

G. ZAPOLSKA.

LEKTOR 1922

PAN POLICMAJSTER TAGIEJEW

PAN POLICMAJSTER

TAGIEJEW

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA ODDZIAŁU WARSZAWSKIEGO „LEKTORA"

D'ALCOFORADO. Listy miłosne.
BARBEY d'AUREVILLY. Plemię djabła, ilustr. Ropsa.
„ „ Pieczątka z onyksu.
BENOIT. Atlantyda.
BUKOWSKI. O kobiecie i o miłości.
BOHOWITYN. Dzieje mężatek, II wyd.
EWERS. Indje i ja.
FARRERE. Człowiek, który zabił.
„ Korsarz z Malo.
„ Markiza Yorisaka.
„ Nasze sojuszniczki, II wyd.
„ Ostatnia Bogini.
FRANCE. Bunt aniołów, II wyd.
„ Czerwona lilja.
„ Historja komiczna.
„ Zbrodnia Sylwestra Bonnard.
KELLERMANN. Ingeborga.
LOUYS. Kobieta i pajac.
PRZYBYSZEWSKI. Homo sapiens, III t.
Na rozstaju.
Po drodze.
W Malstromie.
„ Dzieci szatana.
„ Krzyk, II wyd.
SROKOWSKI. Kult ciała, II wyd. ilustr.
DA VERONA Życie zaczyna się jutro.
ZAPOLSKA. Kobieta bez skazy.
„ Menażerja ludzka
„ O czem się nie mówi.
„ Pan policmajster Tagiejew.
„ Przedpiekle, II wyd.
„ Rajski ptak, II wyd.

GABRYJELA ZAPOLSKA
(Józef Maskoff)

PAN POLICMAJSTER TAGIEJEW

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA



WYDAŁ ODDZIAŁ WARSZAWSKI
INSTYTUTU LITERACKIEGO „LEKTOR", SP. Z OGR. ODP.
WARSZAWA — LWÓW — POZNAŃ — KRAKÓW — LUBLIN
1922

884-3

I 78716

78716

SKŁADY GŁÓWNE:

W WARSZAWIE
„LEKTOR“ SIENKIEWICZA 5
Telefon 253-99

WE LWOWIE
„LEKTOR“ MIKOŁAJA 23 (DOM WŁASNY)
Telefon 525
„KSIĘGARNIA NAUCZYCIELSKA“ BATOREGO 12

W POZNANIU
„LEKTOR“ UL. RATAJCZAKA (RYCERSKA) 33

W KRAKOWIE
„LEKTOR“ RYNEK GŁ. 22

W LUBLINIE
„LEKTOR“ SZOPENA 5

Nr. 4422

Egzemplarze nienumerowane będą prawnie ścigane

OKŁADKĘ RYSOWAŁ W. PIKULSKI W WARSZAWIE

ZAKŁADY GRAFICZNE WE WŁOCŁAWKU
H. NEUMANA

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

CO SIĘ DZIEJE NOCĄ W MIASTECZKU?

Rozległ się krzyk.

A potem cisza.

To był straszny krzyk z pod wtłoczonej w usta pięści, z piersi, na których ktoś przyklął i dławi, i dusi.

W wilgotnej nocnej ciszy przeleciał ten krzyk z oddali, stamtąd, gdzie powoli toczyły się fale rzeki i gdzie niegdzie tliła się wysoko latarenka naftowa.

Za chwilę ponowił się ten sam krzyk.

Był słabszy, już jakby echo — jakby ktoś omdlewał wyczerpany — bez możności obrony, a nawet skargi.

Jękiem krzyk się zakończył — jęk ten posunął się prawie po ziemi, po kałużach zastygającego jesiennego błota, na którem liście, wywiane zdala od lasów i pól, jasne tarcze kładły.

I ucichł, skonał jęk — rozpłynął się w czerni, we mgle wilgotnej, w ciszy, w zgniliźnie liści.

Horski i Jania zaczęli iść śpiesznie — tak, że Klicki nie mógł im nadążyć kroku.

— Niech państwo się nie boją... — odezwał się młody człowiek — ja mam zawsze kastet ze sobą.

Sięgnął do kieszeni i założył na rękę kastet składany, opatrzony rodzajem sztyletu.

— W Krakowie, gdy wracam do domu z Bronowic, noszę go zawsze na ręku. — To mój najwierniejszy towarzysz...

Horski nic nie odpowiadał. Wziął córkę pod rękę i szli tak pod domami, omijając instynktownie wyboje i kałuże zastygłego błota.

Zdaleka rozjaśniała się trochę przestrzeń rynku, obramowana bielą kamienic.

Jedyny hotel świecił rozwartą bramą i kilkoma oknami na pierwszem piętrze.

Zresztą nie było nikogo.

Gdy mieli już prawie wchodzić na rynek, znów od strony wału, ciągnącego się nad Wisłą, doleciał najwyraźniej krzyk:

— Mordują!...

Klicki stanął.

— Może należałoby pośpieszyć z pomocą? Tam najwyraźniej kogoś mordują!

Lecz Horski pociągnął go szybko za rękaw.

— Niech pana Bóg broni mieszać się w te rzeczy...

— Ależ ktoś woła — mordują!...

— To trudno.

A Jania dodała:

— My już do tego przyzwyczajeni.

Klickiego ta obojętność niemile dotknęła.

Wolałby widzieć w tej ślicznej dziewczynie mniej egoizmu.

— Ale ja jestem nie tutejszy i do tego nie przyzwyczajony, więc pójdę z pomocą.

Natychmiast Jania wyrwała rękę z pod ramienia ojca i uczepiła się palta Klickiego.

— Panie Władysławie — proszę, nie idź pan tam! Pan nie zna tutejszych zwyczajów.— Pan nie wie, że to właśnie może zasadzka, aby zwabić kogoś na wał i tam obedrzeć i zamordować.

— Ależ ten głos rozpaczliwy...

— Pan nie wie. Oni wybornie naśladują nietylko ludzi, ale i zwierzęta.

— Kto... oni?

Jania obejrzała się dokoła.

— Oni... policja — wyszeptała.

— Jakże to?... przecież oni są na to, aby właśnie ludzi bronili?

Horski zaczął się śmiać przeciągle.

— Może tam u was w Galicji, miły panie — ale nie tu. — Chodźmy.

Mówili szeptem, jakby lękając się własny głos posłyszeć. — Dokoła cienie nieruchome chłonęły w siebie ich słowa.

— Bo... — zaczęła znowu Jania — pan nie wie, u nas policmajster...

Lecz ojciec przerwał jej szybko:

— Nie tu miejsce, proszę cię! Chcesz mnie znowu wpędzić w jaką biedę.

— Niema nikogo.

— Skąd ty wiesz? Tu kamienie słyszą i donoszą — chodźmy!

Zwrócili się ku rynkowi i zaledwie uszli parę kroków, poszłyszeli za sobą łopot nóg bosych, lecących w ich kierunku.

Przejął ich strach, bo wszystko tu dyszało jakąś grozą w tę noc jesienną — lecz szli dalej, jakby lękając się zatrzymać i czekać na to coś, ku nim z ciemni nalatujące.

Tylko Klicki zbliżył się ku Jani tak, że na ramieniu swojem czuł zetknięcie się jej drobnego ramienia, odzianego w pluszowy żakiecik.

Kastet otworzył w pogotowiu do obrony i czuł się prawie rad, że może temu dziewczęciu w tej chwili dać jakąś pewność bezpieczeństwa, gdy coś groźnego ku nim z chyżością pędziło. Łopot bosych nóg zbliżał się gwałtownie, coś jakby elastyczna ziemia odbijała te kroki. Było ich kilku tych, którzy lecieli. W ślad za nimi dały się słyszeć jakby jakieś brzęki o flizy, coś uderzało, jakby podkute buty. Wszystko to leciało gwałtownym tumanem i zdawało się walić idącym na karki.

Wreszcie prawie im z pod łokci wyrwali się i przelecieli dwaj ludzie bosi — odziani w jakieś nieokreślone, jasne odzienie. Jeden z nich był z gołą głową. Drugi miał okaleczoną rękę. Gdy biegli pędem około Horskich i Klickiego — słabe światło latarni na chwilę oświeciło ich twarze. Jeden z nich był żydem, drugi był to młody, bezwąsy chłopak

o ospowatej twarzy. Lecieli jak wicher i śmiali się tak, jakby ta gonitwa była dla nich zabawą.

Tylko żyd, który miał rękę skrawioną, lecąc, owiązywał jakąś szmatą dłoń i palce, których krew broczyła ubranie i bruk.

Horscy i Klicki instynktownie rzucili się w bok, do ściany domu przylgnęli.

Zaledwie zdołali się opamiętać, a dostrzegli z cienia nocy wysuwającą się sylwetkę policjanta, który biegł w kierunku uciekających.

Policjant rosły, silny, barczysty — biegł ciężko w milczeniu zupełnem. Zobaczywszy stojącą pod ścianą grupę ludzi, przyśpieszył kroku. Klicki rzucił się z pomocą.

— To mordercy! — wyrzekł — trzeba dopomódz do schwytania...

Lecz znów uczuł drobne ręce Jani, wpijające się w jego ramię.

— Proszę... niech pan się w to nie miesza!

Błękitne oczy patrzyły na niego tak wymownie z pod skrzydeł czarnego kapelusika, usteczka drobne w podkówkę się układały. Tyle trwogi poczciwej było w wyrazie tej drobnej buzi, że Klicki pozostał znów na miejscu.

Przebiegający mimo nich policjant miał czas obrzucić ich długiem, nieufnem spojrzeniem. Zwłaszcza spojrzenie jego siwych oczu utonęło na chwilę w osobie Klickiego, badawczo i z dużą siłą.

Wszystko to załatwił ten człowiek w jedną chwilę z bystrością niezwykłą — widać było,

że pragnie zapamiętać, kto mu na drodze staje. Załatwiwszy to, pobiegł dalej.

Bosi złoczyńcy tymczasem wydostali się już na rynek i tam migotali w jasności niepewnej, jakby duchy lekkie, z mgły utkane. Czarna sylwetka policjanta przecięła kilkakrotnie stalowe jeziorko błotne, w którem odbijała się melancholijnie samotna, płonąca na środku rynku latarnia.

I nagle ta sylwetka się zatrzymała i znieruchomiała zupełnie.

Horscy i Klicki wyszli na rynek i skierowali się ku kamienicy narożnej, prawie całej wygasłej i pogrążonej w ciemni.

Nad zaryglowanemi drzwiami sklepu Horskiego głucho wicher szarpał szyldem starym i obszarpanym. Gdy doszli do bramy, Horski spojrzał na ów szyld, szukając klucza od bramy w kieszeni.

— Uważajcie — wyrzekł — żeby wam to stare próchno na głowy nie spadło.

Jania zaczęła się śmiać wesoło.

— No, no, śmiej się... zobaczysz, że się szyld kiedy w taką noc rozleci.

— Czemu pan nie zmieni na nowy? — zapytał Klicki.

Lecz Horski rozłożył tajemniczo ręce i rumiana, okrągła jego twarz — typowa twarz „kupca“ z pokojem do śniadań — przybrała dobroduszny a zarazem wystraszony wyraz.

— *Nie lzia!...* — wyrzekł tajemniczo.

Jania natychmiast powtórzyła gest ojca i buzię swoją nastroiła do tegoż samego wyrazu.

— *Nie lzia!...* — powtórzyła.

Klicki zdumiony na nich spojrzał.

— Cóż to znaczy po europejsku? — zapytał.

— Znaczy... nie wolno! — zachichotała Jania.

— Któż nie pozwala?

Miny Horskiego i jego córki przybrały jeszcze więcej tajemniczy wyraz.

— On!...

— Ależ kto? Mówicie zagadkami, oni... on... kto?

— Skoro pan tu dłużej zabawi, to się dowie.

— Chętnie, choćby dlatego, ale ja pojutrze odjeżdżam.

Jania posmutniała i zaszyła się w swój wysoko postawiony bobrowy kołnierzyk...

— Dlaczego?

— Muszę.,. Pani wie... Atelier zostało samo. I tak trudno się było wyrwać...

Mówili na pozór obojętnie, ale dwie pary młodych oczu aż przeszywały się miłosnem spojrzeniem.

Horski irytował się, bo w klucz nasypane okruszyny nie pozwalały mu odrazu otworzyć bramy.

— Skaranie Boże z tą dziewczyną... — zawołał nareszcie — uparła się, żebym do kieszeni zabrał pudełko z resztą cukierków.

I ot okruchy się wysypały, a ja mam biedę z kluczem.

Jania przybrała żałosną minkę.

— Ach, taciu — szkoda przecież cukierków...

— Mało się ich najadłaś w teatrze? Podczas przedstawienia nic nie robiłaś, tylko gryzłaś cukierki. Pan źle zrobił — dodał, zwracając się do Klickiego — że jej tyle słodyczy przyniósł. Zęby potraci.

— Przesądy, tatku...

— No, no — dobrze. Żegnaj się z panem, bo wreszcie brama otwarta.

Jania podała drobną rzeczywiście rączkę Klickiemu.

— Do widzenia—wyrzekła z uśmiechem— do jutra... Pan u nas je obiad? prawda, taciu?...

Ale „tacio" już był w bramie. Zawrócił się jednak i wyciągnął szeroką, poczciwą rękę ku Klickiemu.

— No, naturalnie. Opowiadałaś mi tyle o tem, jak to pan ciebie i wujenkę gościł i podejmował w Krakowie, jakeście wracały z Zakopanego, że przecież musisz się jakoś wywdzięczyć.

— A więc do jutra!...

I gdy „tacio" porał się z zapałkami, aby drogę roświecić, pewna mała rączka wysunęła się z bramy, znalazła się w rękach Klickiego i uczuła, że wąsy młodego człowieka były miękkie i bardzo miłe, gdy się tej rączki z całym ferworem dotknęły.

Za chwilę rączka znikła, brama zatrzasnęła się z łoskotem i tylko wicher szarpał starym zbutwiałym szyldem nad głową Klickiego.

Młody człowiek przypomniał sobie owe „*nie lzia*“ — wzruszył ramionami i zaczął iść wzdłuż muru w kierunku hotelu, w którym mieszkał.

Idąc tak w cieniu domów, był prawie niewidzialny i rad trzymał się tej czerni, bo chciał pozostać sam ze swemi myślami, które zuchwale tłoczyć mu się do mózgu zaczęły.

Opuszczając Janię, sądził, że główną impresją tego dnia będzie jej uśmiech, jej spojrzenie oczów dziwnie świetlanych, błękitnych, które od pierwszego spotkania w Zakopanem na werandzie w Kuźnicach tak mu się w serce wgryzły.

Lecz ta droga i nad wszystko miła dziewczyna była we wrażeniach jego w tej chwili przysłonięta. Coś silniejszego, coś bardziej groźnego, ogromnego wysuwało się ku niemu z tych czarnych zaułków, któremi cały rynek był poprzecinany. I ten jęk, dosłyszany od strony Wisły — ten jęk zdawał się stężały w powietrzu i ciągle omotywał go echem jakiejś okropnej, strasznej siły.

Co się tu tak żali? —

Co kona? —

Co jęczy? —

Co tak strasznością swoją pełza i życie dławi? Dlaczego głowy gną się ku ziemi? Dlaczego ci ludzie rzucają ciągle ukośne spoj-

rzenia i nasłuchują jakby jakichś dla nich tylko zrozumiałych głosów?

Od wczoraj, od chwili przybycia Klicki doznaje tego wrażenia. Otrząsnąć się z niego nie może. Gdy posługacz hotelowy stanął przed nim, żądając paszportu, on jeszcze obrażony, w palcie, w kapeluszu ofuknął się opryskliwie:

— Za chwilę!

Lecz posługacz pokornie, cicho tłumaczyć począł:

— Proszę łaski pana — my nie możemy inaczej wpuścić do numeru.

I ten ruch charakterystyczny złożenia rąk w smutnem tłumaczeniu.

— Nie wolno!

Ach!... więc i tu „ nie lzia".

Paszport oddał, a chłop wziął go ostrożnie z nabożeństwem i wyszedł z pokoju zrezygnowany i przyjmujący zły humor gościa w imieniu rządu.

Lecz od tej chwili Klicki już poczuł, że mu spadła na kark szara, błotna zmora i że go dusi i dławi i męczy. Nawet przejasne oczy drogiej dziewczynki nie mogą odegnać tego czegoś „strasznego", co się po kątach miasteczka rozwłóczy, a nocą już wypełza, wstaje jak kłąb nagle zbudzonych żmij.

II

TAJEMNICA WAKOWLINA I DWÓCH BIAŁYCH CIENIÓW

Powoli zmierza Klicki ku hotelowi. Musi wreszcie wyjść z cienia, a że mu nie pilno, więc się nie śpieszy.

Na rynku niema nikogo.

Złoczyńcy, goniący ich policjant, wszystko znikło jak zaczarowane.

Klicki zaczyna uczyć się chodzić cicho, stąpać bez hałasu, tak, jak tu czynią przeważnie wszyscy mieszkańcy tego dziwnego miasteczka.

Idzie cicho — laskę wziął w lewą rękę, prawą, uzbrojoną kastetem, trzyma w kieszeni paltota.

Ciągle ma bowiem wrażenie, że ktoś poderwie mu się z pod nóg, że napadnie na niego, dźgnie go nożem.

Dochodzi do zaułku.

I słyszy szepty.

Jest to ciemna jama, zamknięta rozkopaną ziemią, na której migoce słabiuchno zatknięta na żerdzi latarka. Koło tej latarki ktoś ma-

jaczy. Lecz Klicki cofa się. Boi się teraz, gdy jest sam. Nie wie, czy ma iść. Szept dolatuje do niego dość wyraźnie.

Przylgnął do rogu kamienicy.

Namyśla się, czy przejść mimo zaułku, czy wrócić się i obejść rynek dokoła.

Lecz oto co słyszy.

— *Dawaj połowinu!*

— Nic... to nie można. To jak? To dla nas obu połowa?

— *Czorty pohane, dawaj połowinu, a niet... no...*

Zaczyna się dzielenie jakąś koprowiną. Dzwoni drobna moneta. Białe cienie przysiadły przy latarce — liczą.

W cieniu ukryta wielka rosła postać wyciąga rękę.

— *No... paskarieje.*

Jakieś westchnienia i znów brzęk pieniędzy. Klicki w jednej chwili rozumie sytuację. Uciekający złodzieje dzielą się łupem z kimś ukrytym w cieniu.

Mówi po rosyjsku, każe sobie dać połowę... Dział skończony.

Ciężkie kroki, pobrzęk szaszki i z zaułka wynurza się postać policjanta.

Klickiemu oddechu w piersiach nie stało. Cóż za bezprawie! Ogarnął go jednak wielki lęk. Przycisnął się do ściany i chciał w nią wrosnąć poprostu.

Wolał wpaść w ręce tym dwom, z ktorych jeden ociekał krwią, a drugi w biegu błysnął ku niemu szeregiem białych wilczych zębów —

niż popaść w moc tego strażnika bezpieczeństwa, który roztaczał dokoła siebie cały krąg grozy i strachu nieokreślonego.

Policjant stanął na chwilę — spojrzał przed siebie i nic w przestrzeni rynku nie dostrzegłszy, iść zaczął w przeciwnym kierunku.

I, tak powoli idąc, zniknął w ciemności.

Z zaułka dobiegał znów szept:

— Ścierwo... wziął połowę!

— Boś frajer — było lecąc schować co nieco za pazuchę.

— Ny... jak było chować?... to było zawiązane na węzełek w chustkę. Jak się chłop zwalił na ziemię, to było wtedy rozwiązać.

— Kiedy psiajucha wrzeszczał.

— Ny — on może jeszcze wrzeszczy!...

— Trza go było z wału w wodę.

— E!... po co? Niech go najdą. Co nam do tego?

Jeden ze złodziei wstał i kilkoma susami wydostał się na wierzchołek kupy ziemi.

— Idę do „mamusi" — bywaj zdrów, parchu!

— Ja idę też...

Wskoczył i ten — migotali chwilę, jakby dwa leciuchne cienie — zesunęli się w jamę i znikli po drugiej stronie rowu.

Klicki zdrętwiały wysunął się wreszcie ze swego ukrycia.

— Zamordowali — myślał — może nie zabili, ale mordowali. Tam leży ten chłop, któ-

rego później obrabowali. Policjant się z nimi podzielił łupem. Ależ to coś okropnego!

Uczuł żal do Horskich, że nie pozwolili mu biedz na pomoc mordowanemu.

— Byłbym go może ocalił, a przynajmniej którego z nich kastetem naznaczył.

Ogarnął go wielki smutek na myśl, że to dla marnej koprowiny, uwiązanej w róg chusteczki, polała się krew i może konał w męce i bólu człowiek.

— Ależ... trzeba dać znać do policji... niech idą go ratować... koniecznie...

Aż go podminowało to postanowienie. Zaczął biedz szybko w kierunku oświetlonej, hotelowej bramy. Dopadłszy do niej posłyszał cienkie tony skrzypiec, grających *Tigrionka*. Dragoni bawili się w restauracji. Od czasu do czasu zrywał się zawodzący, bolesny tenorowy głos:

— „*moj Tigrionok na bałkan*!..."

Całe lata przetrwała piosenka, wyjąca o losach Tigrionka. I znów grały skrzypce, jakoś łkająco, dyskretnie — a tylko jak grzmot zahuczał nagle śmiech głosów męskich, jakiś brzęk tłuczonego szkła przedarł się przez szyby — i znów cisza, i znow łkające, rozśpiewane skrzypce.

W bramie na stołku skurczony siedział posługacz hotelowy, chłop milczący, małomówny, ciemny dziwnie na twarzy, a w kornie prawie białych włosów. Skulony, jakby

zawsze czegoś strwożony, sharmonizowany był dziwnie z grozą, rozwianą dokoła.

Zdawał się drzemać, czy być tak pogrążonym w swoim wewnętrznym świecie, iż nie widział, jak Klicki wpadł do bramy.

Młody człowiek targnął go za ramię.

— Słuchajcie!... — wyrzekł — tam na wale zamordowali kogoś. Trzeba pośpieszyć z pomocą. Wyście tutejsi — co mam robić? gdzie się udać?

Posługacz podniósł na Klickiego senne oczy i widać było, że chwilę dłuższą przeżuwał usłyszane słowa.

— Na wale? — powtórzył.

— Ależ tak!

I w zgorączkowanie Klickiego wpadło nagle dziwne, pełne prawie obojętności pytanie:

— No to co?

Klicki na chwilę oniemiał.

Jakto? mord, rabunek, krew — a ci ludzie zdają się to przyjmować jako rzecz zwyczajną, jako stan, nie wyprowadzający ich prawie z równowagi?

Co najwyżej w oczach przejawi się lęk, trwoga, ale to już o siebie, o swoich — o tę bliskość ludzką — a dal wyjącą odsuwa się i mówi:

— No to co?

Dziwne!

Jest to krótka chwila takich refleksji. Klicki powraca do swego pierwotnego postanowienia z uporem sobie właściwym.

— Powiadam wam, że kogoś zamordowano... weźcie latarnie, zawołajcie ludzi — pójdziemy szukać. Idąc, damy znać na policję.

Nic nie zdoła oddać wyrazu oczów, jakim wypełniły się źrenice posługacza, gdy usłyszał ostatnie zdanie Klickiego. Była w tem ironja, lekceważenie i rodzaj litości nad zaślepieniem człowieka, który nie wie, co mówi.

— Cóż się na mnie patrzycie?... chodźcie, mówię wam — może być zapóźno...

Rozległ się cichutki skrzyp drzwi — za Klickim ktoś stanął. Klicki obrócił się żywo. Dostrzegł właściciela hotelu — Izaaka Feinbube — spokojnego, szpakowatego żyda, odzianego w długie watowane palto.

— On nie pójdzie, mój człowiek — wyrzekł powoli Feinbube — żaden z moich ludzi nie pójdzie... Ja tu już stoję od chwili w progu i słyszę, co pan mówi. Pan jest przyjezdny, pan nie zna naszych zwyczajów... Niech pan lepiej idzie spać!

Klicki zwrócił się teraz nalegająco do właściciela.

— Ależ dlaczego? skoro tam ktoś kona? Pójdziemy w kilku — nic się nam nie stanie. Weźmiemy policję.

I na twarzy Izaaka Feinbube wystąpił znów ten nieopisany wyraz ironji i litości nad zaślepieniem człowieka, który nie wie, co mówi.

A ręce wykonały gest, ten sam gest, który

wrył się już w umysł swoją charakterystyczną rezygnacją.

— Nie wolno...

Klickiego energja wzrastać zaczynała. Uczuł chętkę walczenia z tą apatją, która leniwą, mętną falą błota zaczynała ku niemu występować ze wszystkich zaułków, z tych domów cichych i uśpionych, z gestów bezradnych tych ludzi o sennych, zrezygnowanych, strwożonych źrenicach.

— Skoro nie chcecie się tem zająć — to ja sam się zajmę — wyrzekł stanowczo, zapinając palto — proszę mi tylko powiedzieć, gdzie jest policja.

— Ja panu radzę lepiej iść spać — powtórzył z flegmą żyd.

W tej chwili ze schodów zesunęła się cicho postać kobieca, owinięta w pled. Z pod pleda widać było biały nocny kaftanik. Włosy czarne, silnie ufryzowane, twarz blada trójkątna — oczy ogromne, czarne, ocienione rzęsami. Młode to było i nędzne, gdy tak stanęła pod światłem latarni oświecającej bramę. Podkowy pod oczami — zapadłe policzki wystąpiły jak skarga na przeznaczenie, na los.

— Panie właściciel — zaczęła prawie szeptem — czy pan ma mój paszport?

Izaak wzruszył ramionami.

— Panny paszport w policji. Ja już mówiłem przez posługacza.

— Ale ja muszę jutro wyjechać. Ja mam

śpiewać pojutrze gdzieindziej... Proszę mi oddać paszport.

— Nu... jest w policji.

— Ja go panu oddałam. Niech mi go pan zwróci...

— Nu, jest w policji. Ja nic więcej pannie nie powiem.

— Niech go pan wydostanie.

Klicki już z góry wiedział, co nastąpi. Gest rezygnacji i zupełnej bezsilności ze strony żyda.

A potem dobra rada:

— Niech panna lepiej idzie spać.

Lecz „panna" zaczęła podciągać nosem i mruczeć coś — targać pled, aż wreszcie odwróciła się i poszła na górę, na schody.

Klicki mimowoli patrzył, jak drobna i chuda znikała w szarej ciemni wchodowej klatki, idąc z wysiłkiem i czepiając się poręczy.

— Proszowski!... — zapytał żyd posługacza — co *oni* tam o jej paszporcie powiedzieli?

— *Oni* powiedzieli, że Josełe z nią pogada.

— No... to niech Josełe z nią gada.

Klickiego to wszystko zaczęło niecierpliwić.

— Gdzie tu policja?

— Pan naprawdę chce tam iść?

— Naprawdę. Niech mi Proszowski pokaże.

Żyd z flegmą rzucił się ku drzwiom restauracji.

— On panu nie pokaże, bo ja jemu nie

pozwolę się w to mieszać. Ale tu jest taki jeden żydek, on pana zaprowadzi,

— No, to śpieszcie się... prędko...

Izaak zniknął w restauracyjnej sieni. Za chwilę tony skrzypiec umilkły.

Wówczas Proszowski postał chwilę, jakby się wahał, jakby walczył ze sobą — wreszcie zbliżył się do Klickiego.

— Proszę pana... lepiej niech pan z *nimi* nie zadziera, a potem niech się pan strzeże.

Otwarcie drzwi restauracyjnych przerwało słowa posługacza. Cofnął się w głąb bramy i przysiadł na krzesełku. Zdawał się zapadać w martwotę.

Tymczasem z restauracji wypadł jak z procy nieduży rudy żyd — widocznie skrofuliczny, bo cały pozszywany, z długim nosem i wysuniętemi wargami, co mu nadawało podobieństwo do lisiego ryja. Pod pachą trzymał skrzypce. Na szary surdut narzucone miał zniszczone palto, grube buty z cholewami zbłocone były, a błoto to zdawało się być przyschnięte i zeskorupiałe od wichrów.

Robił wrażenie czegoś bardzo nieczystego i zgniłego, chciało się go usunąć kijem z drogi, aby nie zetknąć się z nim wypadkiem, tak jego dusza ziała czemś szpetnem w linjach jego ryja — w szwach jego szyi, okręconej czerwonym wełnianym szalikiem.

Za nim szedł Izaak i Klicki został dopiero teraz uderzony kontrastem powierzchowności Feinbuka z rudym muzykantem.

Właściciel hotelu ze swą srebrnawą brodą patrjarchy miał jakiś wygląd, budzący na pierwsze wrażenie uczucie zaufania. Nosił się czysto i z godnością. Sam nie uwydatniał tych zalet, w zestawieniu ze skrofulicznym niechlujem odbijał korzystnie.

— Josełe pana zaprowadzi! — wyrzekł, wskazując na rudzielca.

— Pan do policji? — zapytał szybko Josełe — proszę, proszę, niech pan za mną idzie.

Wypadł z bramy, podkasał palto i zaraz, chlupiąc nogami, wpadł w jaknajwiększą kałużę.

Obrócił się i rzucił Klickiemu zachętę:

— Proszę pana za mną!

Lecz drzwi restauracji otworzyły się i pokazał się w nich oficer z rozpiętym na piersi mundurem, z trupio bladą twarzą.

— — *Josełe! prachwost ty etakij... Kuda ty diewałsia?...*

Josełe ze środka kałuży usłyszał ten głos.

— *Siejciaś ważwraściajuś...* odkrzyknął — zmiękczając komicznie s i z.

— *Pajdi siejczas zaigrat', ty swinskoje ryło, Tigrionka.*

— *Siejciaś!*

— *Wot ryżyj djawoł uszoł!*

Oficer pokiwał się na nogach i wrócił do restauracji.

— Niech pan idzie zaraz za Josełem, bo panowie oficerowie mogą się rozgniewać, że im pan zabrał muzykanta. Ja każę zamknąć

bramę, a on tymczasem pana doprowadzi do policji i zaraz się wróci. — To bardzo mądry i uczciwy żydek.

Klicki wyszedł na ulicę i zaczął się rozglądać w ciemności, nie mogąc już dojrzeć Joseła.

Tymczasem Proszowski zamykał bramę pośpiesznie, aby utrudnić dragonom wydostanie się szybkie na ulicę.

Klicki stał na trotuarze, nie mogąc się zorjentować, w której stronie jest jego przewodnik.

— Pst... pst... — dało się słyszeć w ciemności.

— Czy to Josełe? — zapytał Klicki.

— Tak ja. Niech pan idzie.

— Nie widzę was. Nie wiem, gdzie jesteście.

— Aj... aj... Dlaczego ja pana widzę? Ja wszystko widzę w nocy, jak we dnie. Ja panu zagram co po cichutku, to pan pójdzie za skrzypcami.

— Po co?

— Bo ja nie mogę wyleźć z ciemnościów. Tam dragony mogą mnie zobaczyć, oni się do lufcików dobierają.

Rzeczywiście przy oknach restauracyjnych zapanował jakiś ruch.

Cieniuchne toniki skrzypiec leciuchno wionęły Tigrionkiem. Zaledwie to brzęczało w wilgotnej przestrzeni. Klicki zmiarkował, że pochodziły z pod domów na lewo. Skie-

rował się w tę stronę. Tony umilkły. Ponowił się szept:

— Dobrze wielmożny pan idzie... tak... tak...

Klickiego owionął nieczysty odór.

— Proszę ze mną... — mówił Josełe tuż przy Klickim — ja wezmę pana pod łokieć, bo znów się zgubimy...

Ze strony hotelu doleciały przez otwarte lufciki rozpaczliwe wołania:

— *Josełe!... pajdi siejczas!... Josełe!*

Lecz Josełe już nie reagował na te wrzaski i prowadził Klickiego, który odwracał głowę, aby o ile możności zaczerpnąć jakiegoś możliwego powietrza.

— Josełe!... Jo... se... łe!...

Skręcili na prawo w uliczkę, pełną wybojów.

Klicki zaczynał doznawać wrażenia, iż wchodzi na jakiś niebezpieczny teren, lecz nie chciał sam przyznać się przed sobą, iż to niebezpieczeństwo jest mu przykre i straszne. Przeciwnie, zaczął się podniecać nerwowo i przywoływał z głębi swego sumienia to, co nazywał poczuciem obowiązku.

— Powinienem to zrobić — myślał, zdając się na łaskę i niełaskę cuchnącego stworzenia, uczepionego jego paltota.

Szli chwilę w milczeniu, wreszcie Josełe pierwszy mówić zaczął

III

JOSEŁE PINKAS

A po co pan chce iść na policję?

— Tobie co do tego?

— Nic... ja tylko tak z ciekawości. Bo jeżeli pan chce do samego policmajstra, to on już śpi, a jak do sekretarza, to on już także śpi.

— To się obudzą.

Josełe umilkł i, idąc, podskakiwał tak jakby nie mógł ani na chwilę utrzymać jednej linji nieprzełamanej ciała.

— Uni nie lubią, jak się ich budzi — wyrzekł wreszcie. — Uni są z tego bardzo niekontentne.

Klicki wzruszył ramionami.

— Mnie to nic nie obchodzi!

— Ale uni się mogą na pana pogniewać.

— Tego im nie radzę. Ja się ich nie boję! Ja nietutejszy—ja sobie z nimi dam radę.

Josełe zaczął cmokać.

— To... to... Pan jest gorączka. Mnie mówił Feinbube, że pan wedle jakiegoś krzyku, co był na wale... Ale to proszę pana u nas tak po nocy często koty krzyczą, albo dziewki.

— Nie, nie — to było co innego.

Klicki, idąc tak w ciemni z tym żydem, miał coraz dziwniejsze wrażenie. Nie widział go, a przecież go widział doskonale. Ta chwila, podczas której ujrzał go wychodzącego ze drzwi restauracyjnych, a potem na środku kałuży pokurczoną sylwetkę ze skrzypcami pod pachą — wbiła mu w pamięć każdy szczegół tej postaci. I nie dziw, że Klicki odtwarzał pamięciowo ruchy i całość Joseła — on go teraz widział w ciemności, tak jakby jakaś nadzwyczajna siła promieniowała od tego człowieka i oświetlała go i czyniła z niego to coś niezwykłego, co się tylko w kręgu wewnętrznego świata w chwilach przeczulenia dostrzega.

Więc Klicki czuł, jak te obojętne na pozór pytania wykrzywiają twarz Joseła. On widział jego mruganie oczów i to nerwowe drganie, przelatujące mu sztychem pod skórą. Widział to i postanowił strzedz się owego muzykanta. Postanowił nie mówić mu nic ani o sobie, ani o tem, z czem do policji idzie.

— Ja, proszę pana — zaczął po chwili Joseła — tak samo raz w nocy wracałem i słyszałem takie krzyki. Zaraz poleciałem do policji, dałem im znać. Pan policmajster zaraz się odział w mundur i w szynel — bo to taki porządny policmajster — i poszedł tam, gdzie krzyczeli. I to były pijane dziewki z żołnierzami. Une się z nimi kłóciły — a uni się po mordzie bili... Tak pan policmajster zgniewał

się na mnie za to, że go zbudziłem... Un bardzo się gniwał...

— No, ale na mnie gniewać się nie będzie.

— Nu, może pan ma i rację — może tam i kogo zamordowali.

— Jakto... może?...

— Nu... bo gdyby pan widział, jak uciekali, to...

— Pewnie, że widziałem!

Te słowa wyrwały się mimowolnie Klickiemu.

Josełe podskoczył jakby się potknął o kamień.

— To inaksze...—wyrzekł z namysłem. — Ale to może nie uni mordowali. — Pan mógł nawet widzieć krew, a to przecie jeszcze nie to. Takiemu mogła krew z nosa skapać.

Klicki milczał, lecz czuł, że ogarnia go w tej chwili ogromna chęć wygadania się.

Jest to uczucie, znane osobom, które były w sądzie badane.. Jest wtedy w nas rozdwojenie sił. Jedna siła każe nam milczeć i omijać pewne kwestje — druga siła, jakaś przekorna, rozpętana, dziwna, a przecież niezwalczona, każe właśnie to ukrywane wypluć ze siebie jaknajśpieszniej, dławiąc się poprostu tem ukrywaniem tego, co swem niebezpieczeństwem zdaje się nas pożerać do głębi.

I teraz Klicki zaciskał tak rękę dokoła kastetu, że aż kolce wpiły mu się w dłoń.

Próbował fizycznym bólem zwalczyć moralne wrażenie wyrzucenia ze siebie potoku słów, któreby mu ulgę przyniosły.

— Choć to z nosa — zaczął znów Josełe — krew leje się po giembie i zaraz to widać. Pan dobrodziej widział, że mu się krew po giembie lała?

— Nie.

— Ano... to po ręki? czy po ubraniu? Pewnie po ręki. — A dlaczego pan dobrodziej go nie zatrzymał? — Uni prędko biegają, ale ich można dogonić... Nie?... Pan dobrodziej ich nie gonił?... Ich może policjant gonił?

Klicki parsknął śmiechem.

— A gonił ich!... — zawołał — ładnie ich gonił!...

— Bo on trochę gruby — jemu ciężko. Bo to gruby ich gonił. Un tam stoi zawsze w nocy na wale. To un ich musiał chcieć złapać...

— A... chciał ich złapać!

Josełe roześmiał się cicho.

— Takiemu grubasowi to się i nie chce łapać po błocie... Un jest porządny człowiek, tylko się zatył...

— To jest łotr...

I to wyrwało się znów z ust Klickiego prawie bezwiednie. Posłyszał swe słowa dopiero wtedy, gdy je wymówił. Zdawało mu się, że ktoś wyciągnął mu je przemocą z gardła. Chciał zatrzeć to wrażenie i odezwał się zaraz:

— Daleko jeszcze?... dlaczego się tak wleczemy?

— O tu... za rożkiem... Ale dlaczego pan

dobrodziej mówi, że Wakowlin to łotr? Ja wiem o nim co nie co... ale un dobrze jest widziany.

Zamilkł na chwilę i dodał zupełnie dobrodusznym tonem:

— Może ja nie wiem — może un się tak ukrywa. Ja jestem głupi. Znam grać na skrzypcach i to mój zarobek. Ja Wakowlina znam tylko tak, z wału, z policji. Un mi się wydawał uczciwy... Aj! aj! jaka szkoda, że un dziś taką paskudną rzecz zrobił i że go pan dobrodziej widział... Aj! aj!... To jemu bardzo zaszkodzi u pana policmajstra — a un ma dzieci i żonę.

Przystanął na trotuarze i przytrzymał za rękaw Klickiego.

— Może pan dobrodziej nie powie nic panu policmajstrowi? Un go wypędzi, bo un jest bardzo *karaktierny*...

Klickiego ogarnął upór.

— Właśnie że powiem.

— Chociaż nie wszystko.

— Wszystko powiem. I to, że źle ścigał złodziejów i to, że się z niemi dzielił pieniędzmi...

Chwileczka zapanowała milczenia. Klicki jasno zupełnie dojrzał siebie i Joseła, jak stoją naprzeciw siebie i mierzą się w ciemności oczami. Był to blask jeden, nadzwyczajny. Klicki po wyrazie Joseła dostrzegł, że powiedział rzecz ogromnej wagi, bo drgawki nerwowe aż wykrzywiły lisi ryj, a oczy latać jak na sprężynkach zaczęły.

Klicki zrozumiał, iż stało się coś nie do naprawienia — coś, czego może pożałować całe życie. Sięgnął jednak znów na dno swego sumienia i wygarnął z niego wszystek zapał, jaki miał dla wypełnienia społecznych obowiązków.

Wygarnąwszy — okrył się nim jak płaszczem. Pocieszył się, bo miał go dostateczny zapas. Ogrzał się i umocnił.

Tymczasem Josełe powrócił do równowagi.

— No... skoro pan dobrodziej widział... A pan dobrodziej nie był sam? Pan dobrodziej był w teatrze z kupcem Horskim i z jego *doczką*? To uni widzieli.

Klicki instynktem odgadł, że należy „miejscowych" uchronić od jakiegoś niebezpieczeństwa.

— Nie... nie. Już byłem sam. Oni weszli do swojego domu. Pożegnali się ze mną.

— Tak?... To bardzo porządni ludzie. Bardzo porządni ludzie i panienka krasiwa...

Zaczął śmiać się chytrawo.

— Pan dobrodziej może *wlublon*?... niech się pan dobrodziej nie ciśnie... Josełe zawsze w takie sprawy nos wściubia — bo Josełe gra na wszystkich weselach... Jeszcze panu dobrodziejowi mazura zagra... Co?...

I jakby wesołością nagłą porwany — prawie poniósł Klickiego przed sobą.

— My teraz pójdziemy do policji.

— Czy my nie idziemy?

— My trochu pobłądzili.

Zawrócił Klickim tak jak na karuzeli z ogromną nerwową siłą.

— Niech się pan dobrodziej nic nie boi! — wołał z fantazją i animuszem — pan policmajster bardzo uczciwy człowiek i un panu nic nie zrobi. Ja sam go obudzę, jak un śpi, i ugładzę. Niech się pan dobrodziej nic nie boi.

Doszli do jakiejś sionki, w której drzwi były na wpół uchylone i na ścianie paliła się mała naftowa lampeczka.

— Tu jest policja! — wyrzekł Josełe, wpuszczając Klickiego do sieni — tu się całą noc pali lampka, coby był porządek i bezpieczeństwo. Niech się pan dobrodziej nic nie boi.

Przystanął chwilkę.

— Pst...

Podniósł palec w górę i słuchał.

Klicki ogarnął go wzrokiem i znalazł go zupełnie takim, jak go wyczuwał tam, pośród ciemności ulicznej.

Straszny, cuchnący, nerwowy i obdarzony nadzwyczajną siłą fizyczną i moralną.

Jak czarodziej ciągnął myśli wstęgą słów z głębi duszy...

Ciche tony skrzypiec dolatywały z górnego piętra.

— Pan policmajster nie śpi! — wyrzekł Josełe — un gra na skrzypce... un lubi grać... un dobrze gra...

I, stojąc już na schodach brudnych, obłoconych, na które, jak na drabinę, wciągał po-

prostu Klickiego — dodał z nieokreślonym wyrazem, w którym pomieszana razem była duma, ironja i coś bardzo subtelnego, właściwego żydom, którym powiodło się zarzucić uzdę na pysk chrześcijanina:

— Un jest mój uczeń... pan policmajster.

IV

PAN POLICMAJSTER GRA...

Tu na prawo jest kancelarja, ale tam niema nikogo... Niech pan dobrodziej trochę przysiądzie, a ja zaraz pana policmajstra poproszę.

Josełe sięgnął po klucz, podłożony pod słomiankę, leżącą przed drzwiami kancelarji, otworzył drzwi, wszedł pierwszy i potarł zapałkę.

Prędko jednak ją zdmuchnął.

W kąciku przybita kuchenna lampeczka tliła się leciuchno. W rogu izby czerwona gwiazda wiszącej przed *ikoną* lampki znaczyła się krwawą gwiazdeczką, drżącą w przestrzeni.

Josełe szybko rozwidnił kinkiet, przysunął krzesło do pieca i uprzejmie zapraszał Klickiego, aby usiadł.

— Niech pan dobrodziej przysiądzie — piec jeszcze ciepły, a tam na dworze pieskie zimno!...

Czynił honory domu zupełnie jak u siebie, szastając się po izbie kancelaryjnej.

— Ja zaraz powrócę.

Przechodząc mimo stołu, dojrzał jakąś szufladę wpół otwartą. Zamknął ją na klucz

i, wyjąwszy klucz z zamku, wsunął go do kieszeni.

— Niech się pan nic nie boi... un będzie dla pana łaskawy. On gra... a jak gra, to w dobrym jest humorze.

Wysunął się za drzwi i zamknął je.

Klicki mimowoli porwał się z krzesła i w tej samej chwili usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

Zamknięto go.

Ciche kroki Joseła przesuwały się przez sień i po chwili słychać było, jak otwierano drzwi, a muzykant znikł w mieszkaniu policmajstra.

Klickiemu uderzyła krew do głowy.

Po raz pierwszy w życiu znalazł się w tej sytuacji.

Być zamkniętym w nocy, w samotnej izbie rosyjskiego urzędu policyjnego, jest rzeczą groźną. Poprzednio jednak zaszłe fakta grozę tę powiększały — Klicki był po raz pierwszy w Królestwie. — Od dziecka myślał ze strachem o tem, „co się tam dzieje". — Co wiosnę powstawała w nim obawa „wojny z moskalami". — Ta charakterystyczna wiosenna nowina, rodząca się z podmuchem ciepła, płynąca od pól i lasów z wonią świeżo zoranej ziemi — wpada zawsze do miast galicyjskich i przez pewien czas obija się o mury i dusze ludzkie jak ptak zbłąkany z wieścią pod skrzydłem zranionem.

Kto ją przywłóczy tę wieść? — nie wie

nikt. Może te krasno odziane chłopki, co z blaszankami i pękami pierwiosnków przez rogatki ku miastu zdążają? — Zda się ona zimować, jakby uśpiona po błękitno malowanych chałupach, przed któremi rzędem rosną różowe malwy i przeglądają się w drobnych szybkach okien.

Dość, że razem z wiosennem ciepłem wykwita powoli ku słońcu trwoga dziwna, zmieszana z jakąś dumną radością. Wojna — kozacy — a jakże...

Najczęściej dzieci drżą ze strachu. Ociekn ięte krwią ciałka dzieci podczas rzezi Pragi, widmami przeczutemi po przestrzeni się snują. Dzieci w Galicji tulą się co wiosnę trwożliwie w białych łóżeczkach i „daj Boże, żeby kozacy nie przyszli“ — naiwnie się modlą. I potem to już we krwi zostaje taka groza i lęk. Tak myśli w tej chwili Klicki.

Przypomina sobie swoją naiwną modlitwę i to, jak niańka po konferencji z babą, co nosi mleko, przezimowaną wieść o wojnie do pokoju wnosi. Rodzice mówią „głupia jesteś“ — lecz niańka uparcie powtarza: „Będzie wojna... będzie“.

A on kurczy się na krzesełku, na którem klęczy, bawiąc się przy stole. Udaje, że ustawia papierowych żołnierzy, lecz rączki mu drżą. Mimowoli myśli: — „kozak straszniejszy od takiego żołnierza“.

I gdy w nocy zostanie sam, całe szeregi wizji, mar przestrasznych opadają jego wyso-

kie, opatrzone sztachetkami łóżeczko. Kozacy ciągną przez ulice miasta, śpiewają, krzyczą. Wszyscy się chowają do piwnicy i mama, i tato, i siostry, i sługi. Nawet pies, nawet kotka Misia.

Tylko jego zostawili, zapomnieli w pośpiechu... On chce iść za nimi, drzwi zatrzasnęli, zamknęli się, on pozostał — umiera z trwogi, czeka.

A tu słychać muzykę... idą... idą...

Klickiemu wystąpił pot na czoło, tak go bardzo przejęło to wspomnienie. Przez chwilę zdawało mu się, że jest znów małem dzieckiem — tam w Krakowie, na Wiślnej ulicy, w skromnem mieszkanku rodziców. Złudzenie było silne. Strach był ten sam. Te drzwi izby policyjnej zamknięte, te tony skrzypiec policmajstra, jakaś piosenka cygańska, dziwna, denerwująca... i ta niepewność, co za temi zamkniętemi drzwiami *oni* względem niego knują...

Klicki kocha bardzo Janię. To nie ulega wątpliwości. Lecz w tej chwili przez umysł zaczyna mu się przewijać jakiś żal do niej, że go tu ściągnęła.

— Skoro się z nią ożenię — myśli — natychmiast ją stąd wywiozę... Tu jakieś straszne miejsce. Niepodobna tu wyżyć.

Skrzypce ucichły i zaległa teraz wielka, prawie grobowa cisza.

Nie była to ta cisza, która niesie ukojenie i rozpoczyna swe wielkie, dobroczynne dzieło

od tego, że wszystkie bole i trwogi, w gwarze i hałasie przeżyte, we mgły spokoju osnuwa.

To była groźna cisza czuwającego zwierza, który nie odpoczywa, lecz przytaił dech, skurczył łapy, pazury wciągnął w pochwy — i coś obmyśla, coś mota...

Klicki otarł pot z czoła i całą siłę woli zebrał, ażeby dojść do równowagi.

— To do niczego nie doprowadzi — pomyślał — poddawać się nerwom. Trzeba przeciwnie zebrać wszystkie siły i mieć je jako środki obrony do rozporządzenia.

Zapragnął ruchu.

Zaczął obchodzić izbę, lecz nie znalazł w niej nic godnego uwagi.

Był to pokój kwadratowy o ścianach wilgotnych, pokrytych plamami wilgoci i brudu. Wysoko umieszczone okna, snać nigdy nie otwierane, opatrzone były kratą, zasnutą gdzie niegdzie pajęczyną. Na oknie czerniały jakieś butelki, leżał numer „Warszawskiego Dniewnika" z resztkami chleba. W izbie znajdowały się tylko dwa grube ciężkie stoły, poplamione atramentem, z wpuszczonemi wewnątrz kałamarzami. Kilka piór walało się na stołach. Wąskie ławki ciągnęły się wzdłuż ścian. Tu i owdzie stało czarne od brudu sosnowe krzesło. Dokoła pieca leżały masy popiołu. Koło drzwi stał kubeł, z którego dobywała się ohydna woń rozmoczonych ogarków cygar. Wogóle powietrze było tu straszne, zgniłe i przepełnione chorobliwym smrodem.

W głębi małe drzwiczki prowadziły do komórki bez okna, która służyła za miejsce ustępowe. Z komórki przez źle dochodzące drzwiczki wyciekała struga smrodliwej cieczy na podłogę izby.

W strudze tej odbijało się światło lampki, płonącej czerwono w przestrzeni.

Wielki smutek ścisnął serce Klickiego. Artystyczna strona jego duszy umilkła zgnębiona. Chcąc jednak ożywić się w jakimś zdroju, przynoszącym świeżość pięknych wrażeń, całą siłą zwrócił się ku Jani jak ku dobremu aniołowi swych myśli.

— Drogie złote maleństwo... czy ona przeczuwa, gdzie jestem w tej chwili — myślał, siadając znów koło pieca — gdy jej jutro opowiem, wyłaje mnie za nieposłuszeństwo, ale zarazem będzie rada i dumna, że, wypełniając obowiązek, naraziłem się na niebezpieczeństwo.

Pogrążył się w rozpamiętywaniu najdrobniejszych odcieni charakteru Jani. Wydawała mu się jeszcze trochę dziecinną i trochę skrytą, lecz postanowił umiejętnem prowadzeniem wyplenić te dwie drobne wady, które oszpecić nie mogły jej jasnej i drogiej duszyczki.

— Byle mi ją dali! — pomyślał z trwogą. — Kto wie. Horski kupiec zamożny. Oprócz syna Kazia w szkołach w Warszawie nie ma więcej dzieci. Jania będzie panną posażną. On — Klicki jest wprawdzie właścicielem połowy fotograficznego zakładu w Krakowie,

ale zakład malutki, ledwo zaczynający prosperować, długu dużo...

Nagle Klicki usłyszał, że w sieni dały się słyszeć kroki, klucz zgrzytnął w zamku i przed Klickim stanął Josełe Pinkas.

— Pan policmajster prosi dobrodzieja do siebie.

Klicki nie ruszył się z miejsca.

— Jeżeli to kancelarja, to niech pan policmajster wyjdzie tutaj — dlaczego ja mam iść do niego?

— No, on tak chce.

— Ale ja tak nie chcę. Ja nie przyszedłem z wizytą do policmajstra, tylko z oświadczeniem do policji.

Josełe zniknął i przymknął drzwi.

Klicki się za nim rzucił.

— A proszę mnie nie zamykać jak złodzieja, kiedym tu przyszedł to nie po to, ażeby uciekać.

Stanął w progu, nie dozwalając Josełowi zamknąć drzwi do sionki.

— A proszę się spieszyć, nie mam ochoty tu siedzieć całą noc.

— Ja idę i jemu powiem, ale *on* jest uparty, *on* chce tak, musi być tak.

Josełe do przedpokoju wpadł, drzwi nie zamykał, tak że całe wnętrze przedpokoju było widać i oświetlone szeroko otwarte drzwi jadalni.

Klicki na minutę został sam.

Słyszał przyciszone głosy i przez chwilę przeszło mu przez myśl rzucić się na schody i umknąć do hotelu. Nie chciał jednak być niekonsekwentnym. Przyszedł — więc powinien wypełnić to, co postanowił.

Zresztą nie miał czasu na powzięcie postanowienia, bo dały się słyszeć szybkie kroki i, zanim Klicki się opamiętał, przedpokój wypełniła jakaś tęga figura i szybko zbliżyła się ku drzwiom wchodowym.

V

„ON"

Pan policmajster Tagiejew zatrzymał się we drzwiach.

Grzecznie, ale dość ostro wyciągnął rękę z zapraszającym gestem.

— *Pożałujsta... wajditie...*

A widząc wahanie na twarzy Klickiego, dodał na pozór dobrodusznie:

— *Ja bolen... wy znajetie sierdce... praszu ka mnie... sdiełajtie adałżenje...*

Klicki musiał ustąpić wobec choroby, którą się policmajster zastawiał.

Wszedł do przedpokoju.

— *Razdienties* — wyrzekł gościnnie policmajster — *w komnatach żarko.*

Głos miał przyjemny, a mimo to dzwoniła w nim jakaś twarda nuta.

Klicki zesunął palto z ramion.

— Ja na chwilę, to rzecz niecierpiąca zwłoki...

— *Wajditie w gastinnuju...*

Z przedpokoju Tagiejew otworzył drzwi do jasno oświetlonego salonu.

Jaskrawo płonęła duża lampa, powieszona

u stropu. Nadto na konsolce pod lustrem stał kandelabr z pięciu gorejącemi świecami.

— *Saditieś* — zapraszał gospodarz.

Na środku salonu tuż pod lampą stał pulpit z nutami. Na taburecie wyplatanym leżały skrzypce. Policmajster skrzypce przeniósł na fortepian. Czyniąc to, uśmiechnął się cierpkawo do Klickiego.

— *Wy znajetie... od skuki... eto pas tan...**)

Klicki niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

— Panie policmajstrze!... — zaczął — tu niema czasu do stracenia. Szedłem ulicą, słyszałem jęki, krzyki... Ktoś wołał... najwyraźniej mordują!.. Potem przeleciało dwóch ludzi. Jeden miał rękę skrwawioną.,. za nimi gonił policjant...

— *Nu tak prekrasno...* — wyrzekł z dobrodusznością udaną Tagiejew — *skoro ich gonił, to ich dogonił i pojmał...*

Nie patrzył w oczy Klickiego. Swemi siwemi oczkami, zapadłemi w głąb, błądził po ścianach, po fotografjach, oleodrukach, któremi cały salon był obwieszony. Jarzące światło wydobywało na jaw ich szpetność i czyniło ten pokój dziwnie wstrętny nietylko dla takiej artystycznej jak Klickiego duszy.

Klickiego zaczynało ogarniać jakieś gorączkowe zdenerwowanie.

— Ależ panie policmajstrze, ten policjant

---

*) Passe-temps.

wcale ich nie ścigał, on biegł tylko dla formy — on pozwalał im umykać.

Tagiejew się żachnął.

— Co wy!.. co wy!..

— Mówię to, com widział...

— Wam się przywidziało... wy nie *zdiesznij?*

— Nie rozumiem.

— A... pan nie tutejszy?

— Ja z Krakowa.

Coś błysło w oczach Tagiejewa. Pierwszy raz przesunął się źrenicami po twarzy Klickiego. I nagle począł się śmiać.

— Wy nas tam nie lubicie... co?... ja widział, *igrali Kostiuszkę*, tak nasz oficer pląsał na *rozpaszkę* i był *pijan*...

— Panie policmajstrze, o tem niema teraz mowy. Tam może na wale ktoś kona bez ratunku...

— Och!.. zaraz kona!..

W sieni dały się słyszeć ciężkie kroki, głos jakby Joseła. Tagiejew nasłuchiwał chwilkę, potem wstał i wyszedł do przedpokoju.

— *Izwinitie* — wyrzekł grzecznie i drzwi od salonu do przedpokoju przymknął.

I znów Klicki pozostał sam.

Była to inna dekoracja, niż tam w smrodliwej kancelarji, lecz uczucie trwogi, to wyczuwanie przyczajonego zwierza, było to samo.

W salonie przedewszystkiem uderzała Klickiego mnogość kwiatów, które poustawiane rzędami na drewnianych schodkach zasłaniały okna, przybrane muślinowemi firankami.

Przeważały potworne kaktusy, ustawiane i dobierane według wzrostu, tak jak tam w Petersburgu dobierają według wzrostu żołnierzy i konie do gwardyjskich pułków.

Były to całe bataljony kolczastych potworów.

Po brzegach jak oficerowie rozkładały liście mięsiste draceny.

Oprócz kwiatów salon był obstawiony długiemi, z kilku części złożonemi lustrami, które sięgały aż sufitu. Klicki, spojrzawszy dokoła, zobaczył nagle swą postać powtórzoną kilkakrotnie w rozmaitych pozach i oświetloną jaskrawo. To zdenerwowało go do reszty. Kto wie, czy nie wolał tiuremnego smrodu policyjnej kancelarji.

Drzwi otworzyły się, wracał Tagiejew.

— Pan daruje... ale to *służebne afiery!* — wyrzekł — taka to już moja dola. Ani nocy, ani dnia spokojnego... straszna praca.

Usiadł na taburecie, natomiast Klicki wstał.

— Panie policmajstrze, ja przyszedłem prosić, aby tam natychmiast się udano. Ja pójdę także, wskażę mniej więcej, skąd dały się słyszeć krzyki i gdzie złoczyńcy biegli. Muszą być ślady krwi.

— Ach tak... ja zaraz dam moich ludzi, tylko oni nadejdą. Oni teraz są zajęci... tu straszne rozboje. Dla człowieka z wychowaniem to prosto *katorga* takie miasto. A może *papieroska?*

Podawał srebrną papierośnicę, ciężką i doskonale wykonaną.

Klicki odmówił.

— Czemu? — zdziwił się Tagiejew — wy że tam lubicie nasz tytoń i naszą herbatę... A ot może pan się napije *czaju*... u mnie samowar kipi dzień i noc.

Ręką ukazywał otwartą jadalnię, gdzie w rzeczywistości na stole oświetlonym kandelabrami stał samowar błyszczący, butelki dwie z rumem, winem i głowa cukru z niedużą siekierką.

Klicki ramionami wzruszył.

— Już z godzinę upłynęło — wyrzekł dobitnie — od tej chwili, kiedy tam mordowano na wale, może ten zamordowany umarł?

— Ach, *gałubczyk!* — odparł chytrze Tagiejew, skrobiąc się w głowę — taż *skazałeś*, że za nimi biegł policjant. Jeżeli nie dogonił, to się musiał wrócić i dał ratunek...

Klicki przez chwilę zamilczał. Czuł, iż Tagiejewowi chodzi o to, aby mu powiedział o wszystkiem, co widział. Josełe musiał go uprzedzić, lecz coś wstrzymywało jeszcze Klickiego od wypowiedzenia całej prawdy.

— Tak... jeżeli on wrócił, to my niepotrzebni — ciągnął Tagiejew — i ot chodźmy się lepiej napić *czaju*.

W Klickim krew nagle zawrzała.

— On nie wrócił do zamordowanego ten policjant — wyrzucił ze siebie — on się dzielił łupem ze złodziejami...

— O!... o!...

Tagiejew oczy wybałuszył, usta otworzył.

— Co wy, gołąbku, mówicie...

— Prawdę. Widziałem ich, jak w zaułku, gdzie rozkopana ziemia i tli się latarnia na żerdzi, wziął połowę pieniędzy, które mordercy zabrali na wale jakiemuś chłopu.

Tagiejew powstał, wpakował ręce w kieszenie od kurtki i zbliżył się do Klickiego, że ten uczuł jego oddech przepojony tytoniem, miętą i alkoholem.

— Wy to widzieli? — zapytał.

Klicki aż się cofnął.

Na okrągłej, trochę nalanej twarzy, w której tonął nos, wierny typ preobrażeńskiego pułku, zmienił się wyraz tak szybko i z taką mocą, że aż to przeraziło Klickiego. Było to tak jakby zwierz dziki znalazł nagle wroga u wejścia do swego doskonale wysłanego gniazda.

I cała *ujutnost'* tego mieszkania cichego, ciepłego, jasnego, wystrojonego według stopnia kultury właściciela, wypełniła się zbrojną nienawiścią, postanowieniem obrony choćby za cenę zatracenia poczucia sprawiedliwości nie tyle prawnej, ile z dziedziny serca czerpanej.

— Pan to widział? — powtórzył Tagiejew.

— Tak — odparł Klicki — widziałem.

Zdawało mu się, że stoi po drugiej stronie przepaści, że pochyla się nad nią, ale że odpowiadać tak musi i powinien.

— Pan tego widzieć nie mógł — podjął

policmajster, a każde jego słowo było twarde, wyraźne i śpiewny akcent rosyjski, którym poprzednio ubarwiał swoją polską mowę, zniknął prawie zupełnie — pan tego widzieć nie mógł... to była halucynacja. Nic więcej!

— Pozwoli pan! — przerwał Klicki wyniośle. — Jestem trzeźwy, zdrów i halucynacji nie miewam. Widziałem dokładnie, a że jestem artystą malarzem, niech mi pan da kawałek papieru i ołówek, a ja panu sylwetki tak złodziei jak i policjanta narysuję.

Tagiejew zaczął się śmiać, roztwierając szeroko usta.

— Da... da... *wot słowo zagadki.* Pan jest artysta!... Wy stamtąd wszyscy artyści... Pan we wszystkim widzi przyczynę do obrazu. I tu także pan widział... Ot i wyjaśniło się.

Klicki pożałował swego pomysłu. Czuł, że ten człowiek o pozorach dobrodusznych jest silny, a może i silniejsy od niego. Lecz równocześnie ogarnęła go pewna pogarda, jaką czuje każdy człowiek dla reprezentantów obcego rządu. Spojrzał z góry na Tagiejewa.

— Jak pan chce, może pan nie wierzyć, ale co do mordu uwierzyć pan musi. Proszę o asystę policyjną, powiodę na wał.

— Jaż asystę dam... za chwilę. A co do owego, który się dzielił łupem, to niech pan wie, że często policjanci sprzedają stare mundury i ot może jaki złodziejaszek się ubrał...

— Nie — on był ubrany po formie.

— Jaki pan uparty...

Tagiejew zaczął chodzić po pokoju i ciągle z pod brwi ściągniętych wejrzenie na Klickiego zrzucał. Widać było, jak jak się powściągał, jak się powstrzymał, aby tego zuchwalca z „Krakowa" nie nauczyć po swojemu moresu i posłuszeństwa.

— Ja panu nawet radzę — zaczął znowu — niech pan takich rzeczy nie rozgłasza i nie powtarza, bo to panu może tylko zaszkodzić.

Klicki uśmiechnął się ironicznie.

— Mnie? w czem?...

Tagiejew ramionami wzruszył.

— Panu to może zaszkodzić — powtórzył.

— Wy do mnie nic nie macie.

— No,,, pan jest teraz u nas.

— Przepraszam, ja do pana i do policji w gościnę nie przyjechałem.

Tagiejew z wściekłością kopnął taburet.

— *Da... no wy tiepier u nas żywiotie, tak wy dołżny diełat', czto ja wam prykazywaju* — wyrzekł po rosyjsku, prostując się i zapinajac mundur, który miał do tej chwili rozpięty, tak że widać było czerwonem wyszytą *rubaszkę* i spodnie rzemieniem podpasane.

Obrzucił strasznem wejrzeniem Klickiego i do okna podszedł.

Zapanowało milczenie. W przestrzeni aż kłębiło się od nienawiści. Klicki drżał cały nerwowo. Miał wrażenie, że Tagiejew przemyśliwa, jakby go zmusić do milczenia. I w tej chwili właśnie postanowił nie milczeć.

Wreszcie Tagiejew oderwał się od okna.

— Ot i moi ludzie... — wyrzekł znacznie złagodzonym głosem.

Klicki spojrzał na niego zdziwiony.

Twarz policmajstra przybrała układny, grzeczny wyraz. Usta układały się pod szczeciną wąsów w obleśne linje uśmiechu. Tylko żyły na czole nabiegły krwią, oczy jeszcze błyszczały z pod brwi ściągniętych. Widocznie ten człowiek umiał wybornie panować nad sobą.

— Proszę!.. niechże pan idzie z moimi ludźmi na wał... Ja iść nie mogę, Jestem chory... ale tam są tacy, którzy mnie zastąpią.

Od schodów i sionki dolatywał tupot butów i zmieszane głosy.

— Proszę!...

Drzwi od przedpokoju otworzył. Klicki przeszedł mimo niego, kłaniając się lekko. Gdy nakładał śpiesznie palto, Tagiejew stał w progu i przyglądał się oświetlony z tyłu jaskrawo tak, że kontur jego zdawał się oznaczony cały złotą linijką.

— *Kak wasza familja?* — zapytał wyniośle.

— Władysław Klicki.

— *Da...* wy za paszportem?

— Tak!..

— A kiedy wy jedziecie?

— Pojutrze!...

— Nu... *ładno... Praszczajtie.*

Lecz Klicki bezwiednie zupełnie wyrzekł:
— Do widzenia.
Tagiejew z uporem powtórzył:
— *Praszczajtie*!
I ręką drzwi od sieni ukazał.
— Oni na pana czekają!
Ukłonił się lekko i do salonu wrócił.
Klicki otworzył drzwi i wyszedł do sieni.

VI

„ONI"

W ciemnej sionce aż roiło się od ludzi. Kilku z nich miało w rękach zapalone latarnie. Ciężka woń zmoczonych szyneli wypełniała powietrze.

Do Klickiego podsunął się natychmiast Josełe, który, trzymając skrzypce pod pachą, niósł w prawej ręce latarkę.

— Ja mam dobrą latarnię... widać z niej na cztery mile, ja pana dobrodzieja poprowadzę!

I, nie czekając na pozwolenie, uczepił się ramienia Klickiego.

— Ot i pan pomocnik! — wyrzekł, mrugając znacząco.

Z drugiego piętra schodził bardzo wysoki blady mężczyzna z zaspanemi rybiemi oczami. Wąsy blond opadały mu na wargi. Wyraz twarzy miał wysoce niezadowolony i znudzony. Czuć było, iż wydarto go z ciepłej pościeli i że tego darować nie mógł.

Gdy zobaczył Klickiego, skrzywił się zupełnie jawnie i stojąc na schodkach, wyrzekł w formie rekomendacji:

— Piotr Iwanowicz Markowskij!..

I, wyciągnąwszy nogę, odzianą w but z cholewami, dotknął nią Joseła.

— *Prygaj, jewrej!..*

Josełe podskoczył, pociągnął Klickiego i otworzył pochód.

Aż trzęsły się schody pod ciężkiemi krokami policjantów. Szli w milczeniu, ocierając się o wilgotne, czarne ściany.

Josełe podnosił latarkę, oświecając wyboje, któremi wypełnioną była sień wchodowa. Wreszcie wydostali się na ulicę.

Zaraz zeszli na środek ulicy w największe błoto, nie dbając zupełnie o to, że poprostu kroczą w samych kałużach. Snać byli do tego przywykli. Josełe pociągnął za nimi Klickiego, trzymając się ciągle honorowego miejsca na czele pochodu.

Klickiemu nogi w błocie więznąć zaczęły. Miał na nogach kalosze, lecz były one zbyt duże i utrudniały mu chód, błoto lepkie i ta maź, specjalny fabrykat miasteczek w „prywiślańskim“ kraju, do wnętrza kaloszy Klickiego nalewać się zaczęła.

— Chodźmy trotuarem! — rzekł do Joseła Klicki.

Lecz żyd pokręcił głową.

— Nie można. *Oni* muszą iść z nami. Pan nas przecie prowadzi. *Im* nie wolno chodzić trotuarem, oni muszą iść po *śriedinie* ulicy.

Za Klickim szedł ów Markowskij i ze złością wbijał swe nogi w błoto, rozbryzgując je dokoła. Inni policjanci szli zwartą gromadą,

ochlapując się wzajemnie tak, że latarnie ich niedługo pokryły się plackami błota i przyciemnione rzucały słabe, migotliwe światełka. Tylko latarka Joseła wysoko wzniesiona, trójkątem szarawo świetlnym tańczyła po czarnej przestrzeni. Trójkąt ten wybiegał, cofał się, rozścielał się po ziemi, czepiał się domów, wydobywając z ciemni okna ciemne, drzwi zawarte — całą nocną senność wegetującego smutno nędznego życia.

Klicki szedł pomiędzy tą bandą, otoczony ich wrogiem milczeniem, cały zziębnięty fizycznie, moralnie wszakże przejęty gorączkowym żarem. Ci *oni* stawali się wreszcie ciałem. Widział ich, niemal dotykał, czuł ich ciężkie oddechy, woń ich mokrej odzieży,

Byli tą sforą nielegendową, lecz istniejącą, która otoczyła go i teraz niosła za sobą w przestrzeń ciemną, milcząc tajemniczo. Czuł, że pchnął ich w tę drogę ten „*on*," który pozostał w jego umyśle, oddzielony kłębami nienawiści. Byli jego przedłużeniem, wolą jego woli, czynem jego czynów. *On* im nakazał milczeć, iść tak tajemniczo w tę noc ciemną, i *oni* milczeli, i szli pochyleni, brodząc w błotnistych cieczach, niepokojąco cisi i niepokojąco posłuszni.

I powoli — powoli, w tę noc czarną, szarpaną gwizdami wichru i skrzypieniem szyldów, które waliły rozpacznie o cielska kamienic, Klicki zaczął doświadczać wrażenia, iż on sam

przestaje być istotą żywą, istotą realną i rozpływa się w jakiejś abstrakcyjnej sferze.

Wlecze się po szmacie ziemi, która jest napozór ziemią, lecz to jest kraj już oderwany, a tak przepojony myślą i pragnieniami całych pokoleń, że ponad jego powierzchnię jak opar wysnuwa się właśnie ta abstrakcyjna sfera pragnień i jego — Klickiego ze sobą podnosi.

Czuł, że stopy jego jeszcze toną w mazi lepkiej, lecz z czego była ta maź złożona, czy to nie mgła krwista, nie mgła potu, który groza na czole wyciska, ku niemu się snuła? I ci, którzy szli zwolna obok niego, migocąc niepewnemi blaski mundurowych guzików i zbłoconych latarek, wkraczali w krainę widm dławiących — sami zdławieni — widm, nakazujących milczenie, sami milczący — widm, roznoszących atmosferę zgniłą — sami w niej gnijący.

Ludzie to byli — czy synteza tych, którzy nie wiedzą już, co jest sprawiedliwość, skąd ona się sączy i gdzie zanika? Stanęli przy źródle — pochylili karki — lecz oddech ich był zatruty, bo pragnęli długo. I pić ze źródła nie umieją, a naczynia, z których pić im kazano, zatrute są błotem i nieczyste.

A oni milczą, bo im z tem pragnieniem zróść się przyszło i teraz nawet skarżyć się nie mogą, czy nie chcą.

. . . . . .

Minęli rynek. Klicki szedł machinalnie,

ciągle pogrążony w myślach. Nagle poczuł, że go ktoś w ramię dotyka.

— *Izwinitie* — dał się słyszeć głos Markowskiego — *kudaż nam idti?*

Głos był ironiczny, nisko basowy.

Klicki całą siłą woli zebrał swą świadomość.

— Ja sądzę...

Zatrzymał się.

Nie wiedział, co powiedzieć. Nie umiał nazwać strony miasta, skąd jęk słyszał.

Cała gromada zatrzymała się, nieufna, w gruncie wyzywająca — napozór obojętna.

Klicki przypomniał sobie, że mówiono o wale.

— To musiało stać się na wale! — wyrzekł, odzyskując pewność siebie.

— *Priekrasno* — odparł grzecznie Markowskij — *pajdiom na wał.*

I znów zaczęło się rozbijanie błota ciężkiemi kroki i zbita czarna masa ludzi, poznaczona punktami światełek latarnianych, posuwała się wolno w stronę uliczki, przez którą niedawno przechodzili Horscy wraz z Klickim i gdzie spotkali złodziei.

Josełe wymachiwał wysoko latarenką pod pozorem oświecenia drogi.

— Trzymaj niżej latarnię — rozkazał mu Klicki — tu niema takiego błota, mogą być ślady krwi. Oni tędy biegli.

Josełe opuścił latarenkę, lecz trójkąt świa-

tła tak zaczął tańczyć po bruku, iż nic dostrzedz nie było można.

Klicki zniecierpliwiony wyrwał latarnię z rąk żyda i sam powoli zaczął rozświetlać drogę.

Za nim wolno postępowali policjanci, lecz żaden z nich nie dopomagał mu w poszukiwaniu krwawych śladów.

— Wy co zgubili? — zapytał nagle Markowskij.

— Nic — sucho odparł Klicki — szukam śladów krwi.

— Ach!.. *pamiłujtie* — zawołał znudzonym głosem pomocnik policmajstra — „*brostie*"...

Jakby na ten sygnał czekał Josełe, pochwycił Klickiego pod ramię i ze zwykłą sobie nerwową siłą nieść go przed sobą zaczął.

— Pan dobrodziej nic nie znajdzie... — wyrzekł — jeśli co było ludzie na butach roznieśli, a to szkoda zdrowia pana Markowskiego i ludzi...

A potem zaraz poufnie w kłębie cuchnącej woni dorzucił:

— Pan Markowskij bardzo porządny człowiek!

U wylotu ulicy ciągnął się ciemny, wyniosły, oddalony pas ziemi.

Za nim szumiało coś, przelewało się, biegło, goniło, szemrało.

— Nu... tam to czarne daleko... to wał.

Klicki zaczynał się oswajać z patrzeniem w ciemnościach. Spostrzegł teraz, że na owym

wale wznosiły się jakieś szopy, budynki, lecz nigdzie nie paliła się latarnia. Wszystko to było tak czarne, że niebo, chociaż zupełnie chmurami zaciągnięte, wydawało się o wiele jaśniejsze i uwydatniało sylwetki budynków. Wicher tu był silniejszy.

Dął wprost w twarz i niósł jakby mokre ze sobą pyły — zimne, kłujące jak lodowe szpilki.

Wał na pozór zdawał się bliski.

Tymczasem skończyła się ulica — po obu stronach rozwinęły się płaszczyzny placów, zwalone parkany, zagadkowe kupy gruzów, czy drzewa — a wał ciągle był jeszcze daleko i Klicki zaczynał tracić cierpliwość.

Bruk się urwał także. To, po czem teraz Josełe ciągnął Klickiego, było raczej jakiemś bagnem, w które nogi po kostki i wyżej zapadały.

Klicki uczuł się wyczerpany, cały potem okryty, z trudnością wydzierał nogi z bagna. Kalosze dawno zgubił. Na spodniach poczepiane ciekły strugi błota. Dół palta także ociekał błotem.

Josełe prowadził Klickiego prosto na wał, lecz z tyłu doleciał głos Markowskiego:

— *Josełe... kuda ty? idi czierez drewniuju płoszczad'.*

Żyd skręcił na lewo i zaczął zataczać krąg. Teraz już zapadł kilkakrotnie Klicki po kolana w bajury. Za każdym razem Josełe stękał:

— Aj!... aj!.., pan dobrodziej nie umie po naszem błotku chodzić... pan dobrodziej się jeszcze utopi!

Chwilami znów pokrzykiwał:

— Niech się pan dobrodziej nie boi — Josełe pana wyciągnie!...

Klicki miał wrażenie, iż go umyślnie prowadzą bardziej rozmokłą drogą i ta cała męka była mu mniej przykrą, niż ta fatalna myśl, iż *oni* w tej chwili drwią z niego, widząc go tak słabym i zdanym na ich łaskę i niełaskę.

Czuł tę milczącą hordę za sobą, spojrzenia ich przeszywały go. Za każdem potknięciem potęgowało się jego uczucie moralnej, nieokreślonej przykrości. On miał ich prowadzić, a właściwie gnali go *oni* przed sobą i topili w błocie, wichrem ciskali w oczy, mrozili oddech, wyciskali pot i wydzierali siły.

I wszystko to czynili w ciemni, w milczeniu, w ciszy.

Tak — to byli oni — cali, zupełnie tacy, jakich on przeczuwał w grozie i trwodze, gdy z zaułków, z kałuży, z błota wysuwali się legendą na kształt przyczajonego zwierza. Jakże chętnie byłby się odwrócił — plunął im w milczące twarze, które miały wyraz sfinksów w swej kamiennej martwocie.

Tymczasem iść musiał—i za podporę trzymać się ręki cuchnącego stworzenia, które żywością swych ruchów i giestów — niedościgłe w roztaczanej dokoła siebie przebiegłej podłocie, tworzyło niejako jeszcze łącznik po-

między nim żywym a temi kamiennemi kolosami, milczącemi tragicznie w poświście wichrowego jesiennego szumu.

Nagle — Markowskij wyjął z kieszeni świstawkę i zbliżywszy ją do ust, zagwizdał przeciągle.

Od strony wału odpowiedział mu natychmiast taki sam gwizd drżący, jękliwy.

— To Barłamow!... — wrzasnął Josełe — to un śwista... Un musi być na wale... un zawsze w nocy jest na wale... To bardzo porządny człowiek.

I ze zdwojoną energją Josełe pchnął Klickiego ku wałowi.

Ten szedł już zupełnie biernie. Opuściła go energja. Chwilami nie wiedział nawet, po co idzie. Był anemiczny i wycieńczony długą walką o pracę i stanowisko.

Przeszedł nawet dość ciężką neurastenję. Wyczerpywał się szybko. To, czego dokonywał tej nocy, było wynikiem nerwów i ponad jego siły.

— Pan dobrodziej niech uważa, bo się wdrapiemy na wał... — strofował go Josełe.

I zaczęli wdrapywać się na wał.

VII

NA WALE.

WASIL ANEMPODISTYCZ BARŁAMOW

Wejście na wał nie było zbyt trudne, bo poukładane żerdzie, powbijane w ziemię pale nie pozwalały ześlizgiwać się i zapadać w błoto.

W kilka chwil znalazła się cała banda na powierzchni wału.

Stanęli bezradnie, opuszczając latarki.

Markowskij znów gwizdnął.

Zdala odpowiedział mu cichy gwizd.

— Un jest koło *targowli* — objaśnił Josełe.

— *Siemipudow — idi — skaži, cztob priszoł* — rozkazał Markowskij.

Zwrócił się do Klickiego:

— Nadejdzie zaraz policjant, który ma straż na wale. On nam objaśni, jeśli co było.

Rosły, ogromny policjant odłączył się od gromady i udał się wałem w stronę, gdzie czerniały zabudowania.

Klicki zrezygnowany stał, chłonąc w siebie ogromną czerń, która się roztaczała z drugiej strony wału.

Niewidzialna, potężna, silna, przewalającemi się falami, płynęła pod jego stopami rzeka — obojętna na wszystko — zbyt wielka i mocna, aby ją obchodziły drobiazgi ludzkiego istnienia. Ta potęga żywiołu imponowała i gnębiła. Niepowstrzymanie waliła się w dal cielskiem swem niespożytem, głusząc szmerem, którym dyszała, oddech słabych piersi człowieka. Po drugiej stronie rzeki, na przeciwległym brzegu migały słabo jakieś światełka. Ktoś czuwał w chałupie u przewozu. Łuczywo gorzało widocznie, bo błysk stawał się to silniejszy, to gasł...

Klicki wobec tej olbrzymiej ciemni zapomniał się zupełnie.

I w serce jego nabierało się, jakby w zdrojowisko, ocembrowane marmurem, to wrażenie wielkie nieukróconej w swej żywiołowej potędze rzeki. Wyczerpały się ludzkie siły, wygasał zapał, letniała wrząca krew, rosły mogiły — a ona wiecznie miała poddostatkiem fal, które tarły się o brzeg hymnem triumfalnego wyzwolenia.

. . . . . .

Tymczasem sylwetka czarna zbliżała się powoli i Klicki utwierdzał się coraz więcej w przekonaniu, że to nikt inny, tylko ten sam policjant, który gonił rzekomo owych dwóch złodziei.

Pewność jego była tak wielka, że doznał uczucia triumfu i zapragnął triumf ten objawić jaknajprędzej.

Postąpił więc kilka kroków ku zbliżającemu się policjantowi.

— To ten — wyrzekł mimochodem do Markowskiego — poznaję go doskonale.

I zwrócił się już wprost ku nadchodzącemu:

— To wyście biegli za zbrodniarzami do rynku, prawda?

Nie było odpowiedzi.

Natomiast Markowskij stanął pomiędzy Barłamowem i Klickim.

— *Izwinite* — wyrzekł sucho do Klickiego — *eto majo dieło.*

Barłamow wyprostował się po służbowemu. Okrągły jego brzuch, jak u starej baby, wznosił jego szynel, na którym połyskiwały guziki.

Pomiędzy pomocnikiem Tagiejewa, a policjantem rozpoczęła się po rosyjsku następująca rozmowa:

— Wy Barłamow dawno pełnicie tu straż?

— Od zmierzchu, wasze błagorodie.

— Tu nic nie zaszło?

— Nic, wasze błagorodie.

— Nie było tu napaści, mordu?

— Nie!

— Jesteś tego pewien?

— Najpewniejszy. Mogę przysiądz.

Markowskij zwrócił się ku Klickiemu:

— To bardzo porządny człowiek — on nie pije i dlatego my go tu stawiamy. Czy pan się przekonał?

Lecz Klicki porwał latarnię z ręki Joseła i wprost twarz Barłamowa oświetlił.

Była to twarz jakby toporem w kamieniu wyciosana. Barłamow miał charakterystyczne proste linie rysów, właściwe rdzennym Moskalom. — Nos, oczy, brwi, usta, wszystko prostemi liniami rysowało się silnie jakby ktoś starannie pod kreską je ciągnął. Była to twarz, znamionująca tyle silnej woli i pełnej prostoty podłości, że wbijała się w pamięć jak raz ujrzany obraz, mocną ręką syntetysty zakreślony.

Klicki, oświetliwszy nagle Barłamowa, od pierwszej chwili zrozumiał, że ma do czynienia ze skałą, o którą rozbijają się wichry, lecz jej nie skruszą. Mimo to drżącym ze zdenerwowania głosem zadał mu pytanie:

— Wy mnie nie poznajecie?

Barłamow patrzył Klickiemu prosto w oczy, nie zmrużając powiek.

— Nie!

— Przypomnijcie sobie. Przed godziną bigliście uliczką, prowadzącą na rynek. Przed wami uciekało dwóch, jasno odzianych ludzi. Minęliście mnie. Stałem naprzeciw latarni. Spojrzeliście na mnie... no...

Barłamow ani drgnął. Ani jeden muskuł w jego twarzy się nie poruszył. Patrzył ciągle w twarz Klickiego.

— Nie — wyrzekł nareszcie po rosyjsku — to nie możebne. ja z wału nie schodził.

Klicki zagryzł wargi aż do krwi.

— Biegliście na rynek... — zaczął znów z uporem — a potem... przypomnijcie sobie, co robiliście potem?

Barłamow powtórzył:

— Ja z wału nie schodził.

Klickiego zaczynała opanowywać jakby halucynacja. Te nieruchome sylwetki jakby wrosłe w ziemię na tle pustki przestrzennej, te niskie basowe głosy, śpiewające cerkiewnym tonem słowa zaprzeczenia na tle szumu rzeki i gwizdu wichury — to równało się prawie widmowemu światu. Ścisnął znów kastet, i ból, którego doznał, pozwolił mu na chwilę wrócić do równowagi.

— To ja wam przypomnę, coście robili tam, gdzie ziemia jest rozkopana i latarnia pali się na żerdzi... Wyście dzielili się pieniędzmi, które złodzieje zrabowali tu na wale jakiemuś chłopu... słyszycie?

Nikt nie drgnął, i chwilę panowało zupełne milczenie.

Tylko przewalały się fale rzeki z jakąś zdwojoną mocą.

Wreszcie znów zaśpiewał sennie bas Barłamowa.

— Ja z wału nie schodził.

Klicki aż targnął się cały w bezsilnem, przejmującem go na wskroś oburzeniu.

— To straszne... ja przecież to widziałem... ja na to przysiądz mogę...

A wtedy z ciemni zaśpiewał głos Markowskiego:

— On także przysięgnie.

Klicki odwrócił światło w stronę pomocnika policmajstra.

— To przysięgnie krzywo.

Światło wydobyło na jaw długą sylwetkę Markowskiego i jego twarz zimną, żółtą, znużoną, opatrzoną parą stalowych, chłodnych źrenic.

— Nasi ludzie nie przysięgają krzywo, ani nie kłamią, proszę pana. Skoro Barłamow mówi, należy wierzyć, bo on jest na to, ażeby prawdy pilnował i prawdą żył.

Ręka Klickiego z latarką opadła. Skorzystał z tego gestu Josełe i wyrwał Klickiemu latarkę.

— Niech Barłamow idzie na swój posterunek! — zakomenderował Markowskij.

— Słucham, wasze błagorodie!

Lecz Klicki jeszcze nie dawał za wygraną.

— Chwilę jeszcze — zawołał — skoro zaprzeczacie udziału Barłamowa w tej sprawie, to gdzież są oni, złoczyńcy? Ja wiem, gdzie są, wiem, gdzie będą nocować. Są u — *„mamusi"*. — Proszę tam iść ze mną, ja ich wkażę.

Zdawało się Klickiemu, że to słowa *„ma-*

musia" sprawiło pewne leciuchne wrażenie. Barłamow wstrzymał się w pół obrotu — Markowskij podniósł głowę, jakby podwajając czujność.

Lecz szybko wmieszał się w tę sprawę Josele Pinkas.

— U mamusi... — wrzasnął — jak uni mogą być u mamusi? Una teraz śpi i wszyscy u niej śpią. A potem... jak pan dobrodziej chce chodzić w takie paskudne miejsce? — Tam porządne obywatele nie chodzą. Tam jest najgorszy sort...

Lecz Klicki uczepił się silnie tej myśli.

— Proszę mnie tam zaprowadzić. Ja wskażę złodziei.

I z goryczą dodał:

— Nie noszą munduru, więc nie żyją taką prawdą, jak *to* — o...

Wskazał na ciemną bryłowatą postać Barłamowa.

Markowskij uczuł się dotknięty.

— Prosiłbym pana — nie robić aluzji do munduru! — wyrzekł z godnością — my ulegamy pańskiej fantazji w tej chwili, proszę nam za to być wdzięcznym.

I zwróciwszy się do stojących jak mur policjantów, zawołał:

— *Pajdiom, rebiata!*

W jednej chwili posągi ożyły i zaczęto schodzić z wału pośpiesznie, rzucając się z ca-

łym stoicyzmem w błoto. Klicki w jednej chwili uczuł się zupełnie opuszczony, bo Josełe ze swą latarką gdzieś znikł. Chciał jednak iść sam i postąpił kilka kroków. Potknął się o belkę, poślizgnął i przykląkł. Zabolało go silnie kolano, i ręce zanurzał w błocie. Powstał i zaczął wołać:

— Josełe!

Z dołu odpowiedział mu głos żyda:

— A gdzie pan dobrodziej? jeszcze na wale? ja idę po pana dobrodzi!

Mignęło światło i Klicki dostrzegł, że Josełe najwyraźniej konferował przed chwilą z Markowskim.

Gdy przy pomocy żyda zesunął się Klicki z wału i uszedł kilka kroków, obejrzał się poza siebie, jakby chciał raz jeszcze spojrzeć na ten wał, na którym spędził pamiętną chwilę życia.

Josełe zrozumiał jego ruch i natychmiast usłużnie podniósł latarnię. Trójkąt świetlany padł z dołu na czarną wyniosłość ziemi, za którą była tragiczna pustka ciemnego, przepaścistego horyzontu.

Tylko na tej linji czarnej — wyciśniętej daleko, jakby wyrosła z niej potwornym, ciemnym kaktusem, znaczyła się sylwetka ludzka — nieruchoma i triumfująca.

Nie była ona na straży tych miejsc bezludnych, groźnych i pustych, — lecz sprawiała wrażenie, iż ona jest tą grozą, czyhającą na łupy, ciągnące ku niej razem z szumem fal.

Jękliwie świstał wicher — lecz ani jeden fałd ciężkiej opończy, w którą postać ta była owinięta, nie drgnął. Prosto, silnie — jakby ze spiżu posąg molocha, tak stał ten człowiek groźny, silny i w swoim zakresie potężny.

A Josełe, zakreślając dokoła niego aureolę zgniłego światła swej cuchnącej latarki, wyszeptał:

— To Barłamow... un nigdy z wału nie schodzi — un jest uczciwy człowiek.

VIII

U „MAMUSI"

K' Frumele Lajnbram! — zakomenderował Markowskij.

I znów zaczęła się błotna wędrówka, lecz Klicki zobojętniał już teraz na to, co się dokoła niego podczas drogi działo. Tonięcie w błocie — ślizganie się — nie było dla niego nowością. Zaczynał się przyzwyczajać i dziwił się tylko, że mógł się przyzwyczaić tak łatwo. Co więcej, to borykanie się z każdym krokiem zaczynało sprawiać pewną ulgę jego zdenerwowaniu. Pozwalało mu dać upust zewnętrzym odruchom, wyładowywać siłę i nie dławić się tak strasznie, koncentrując ją wewnątrz siebie.

Ta bezczelność groźna Barłamowa przepełniła go bowiem najwyższem oburzeniem, którego nie mógł nawet ściśle określić, tak go bowiem wzruszyło. Nigdy jeszcze w życiu nie spotkał się z kłamstwem, podanem w tak prostej formie. Linje tej nieprawdy były tak nadzwyczajnie nieskomplikowanie nakreślone, że przybierały aż pozory dróg, po których zwykła chodzić prawda.

Ta prymitywna forma kłamstwa, którą uprawiał Barłamow — zadziwiła swą siłą Klickiego.

Sylwetka Barłamowa dominowała tą prostotą i potęgowała jeszcze w przesubtelnionej naturze Klickiego dozę oburzenia.

— Co za łotr!... — myślał, idąc drogą, którą dla niego Josele wśród największych bajur wybierał. Teraz te kałuże już były dla niego drobiazgiem. Cóż one znaczyły wobec odmętu moralnego, jaki dokoła niego wirować począł! To pasmo błotne sięgało mu kolan — czepiało się jego odzieży — tamto moralne wnikało wewnątrz jego istoty i przepajało go zgniłemi, a nieznanemi mu miazmami.

— Co za łotry! — myślał, zataczając spojrzeniem krąg szeroki, którym obejmował nietylko cisnące się dokoła niego policyjne sylwetki, lecz i tego niewidzialnego a tak żywotnego Tagiejewa, grającego cygańskie piosenki, w takt których działo się to wszystko— a dalej Barłamowa, kamiennego molocha, na tle czarnego beznadziejnego nieba i tych bosych, pokrwawionych, skaczących z chyżością małp przez jamy i błoto i dalej jeszcze całą masę, całą procesję nieznanych, a przeczuwanych już istot, które wytwarzały ów wir moralnego kłamstwa, tragicznego oszustwa, co przenikało go nawskoś przeszywającem wrażeniem.

Szept cichy, woń cuchnąca zbudziła go z tych myśli.

— Widzi pan dobrodziej — szeptał Josełe — pan dobrodziej się pomylił... Barłamow nic nie słyszał — nikt nikogo nie mordował. U nas w miasteczku cicho jak w ogródku, gdzie się owce pasą... A teraz pan Markowskij się gniewa, un jest bardzo niekontentny...

To szeplenienie wstrętne wzburzyło Klickiego do reszty.

— Cicho! — krzyknął groźnie — ja się was nie pytam, z czego wy kontentne, a z czego niekontentne. Policja jest na to, żeby porządku pilnowała.

— Co się pan ciśnie — wyszeptał Josełe — ja tylko dla pana dobra. Ja mówiłem, niech pan dobrodziej nie idzie do pana policmajstra — ja miałem rację. Teraz pan dobrodziej musi iść do „mamusi".

— To pójdę...

— Aj, aj... to nieprzyjemnie chodzić po takich miejscach dla porządnego pana. Ale ja jemu znam, temu Markowskiemu. On się zaciął, un już pójdzie bez to, żeby pokazać, że się pan pomylił... choć... ja... wiem... na to sposób...

Zatrzymał się—zachlipnął i dodał, mrucząc:

— Pan dobrodziej by chciał lepi wrócić do hotelu. Jaby coś rarytnego przyprowadził. Bardzo uczciwe...

Klicki szarpnął się z rąk żyda.

— Poszedł precz!...

— Pan dobrodziej nie chce? to nie... Ale

przecie lepi byłoby iść spać w cieple, niż się tam do takiego paskudnego miejsca wlec.

Głos ściszył — do rękawa Klickiego przypadł.

— Może onby się i uładził, żeby tak spróbować... co nie co... ja nie wiem... ja tak myślę...

Klicki parsknął ironicznym śmiechem,

— Aha!... tędy droga? — No — to ja znów wam powiem, że z tego nic. Pójdziemy do „mamusi" — i skoro im owych złodziei pokażę, a zwłaszcza tego z pokrwawioną ręką, zobaczymy, czyja będzie prawda.

Przyśpieszył kroku, znów nerwową fantazją zdjęty.

Równocześnie dostrzegł, iż jeden z policjantów odłączył się od grupy i na przełaj przez zaułek i rozkopaną jamę gdzieś biedz począł.

— Gdzie on idzie? — zapytał Joseła.

— Nu, gdzie? — on tam za tą jamą całą noc stoi. U nas wielkie porządki. U nas tak zawsze. Gdzie niebezpieczne miejsce, stoi jeden policjant. Na wale Barłamow, a tu Siemipudow.

Markowskij przystawał — oglądał się, opóźniał chód, jakby na coś czekał.

— Czekaj, czekaj — myślał z radością Klicki — nie dostaniesz nic...

Wreszcie pomocnik komisarza, widząc, że jakoś perswazje Joseła nie odnoszą skutku

wpadł w wściekłość i puścił się siłą pary naprzód.

— *Skarieje!* — zakomenderował.

Zachlupotało — błoto bryzgnęło na wszystkie strony, ziemia zdawała się jęczeć pod ciężarem kroków. Policjanci otoczyli Klickiego i pędzili go, nadeptując mu na pięty. Lecieli tak jak pędzi procesja popów, wypadająca z obrazami z wrót monasterów.

Klicki zdał się na los — i gnany tą sforą biedz zaczął, on teraz ciągnąc Joseła, który jakby umyślnie ciężarem swoim uczepił się jego paltota. Lecz Klickiego ogarnęła gorączka. To wszystko, przez co przeszedł, ten chłód, ten ziąb — te wrażenia nerwowe podrażniły go do najwyższego stopnia. Biegł teraz bez opamiętania, chichocząc lekko. Coś go niosło i podniecało w nienormalny sposób.

Wydostali się na gościniec poza miasteczko. Na prawo, na lewo — spały ogromne płaty pól — równiny bezkresne i smutne. Czerń cicha, nieprzejrzana. Po dwóch stronach drogi latarenki oświecały krzaki zziębnięte i nędzne, wyrosłe nad rowami. Czasem mignęła tragiczna sylwetka dzikiej gruszy, która rwała się rozpacznie rozwichrzeniem gałęzi ku niebu. Tu i owdzie przypadły do ziemi domki, ciche, czarne, w cień spowite. Lecz nie zdawały się być to schronienia dośmiertne ludzi dobrych i pełnych spokoju wewnętrznego. Miały dachy, a przecież zdawały się być otwarte, a z nich zionęło jakieś

zło — skłębione i fatalne, jak zaraza lub jakaś straszna klęska. Okiennice były szczelnie zawarte, tak szczelnie, iż nie można było domyśleć się, czy po za niemi śpią, czy jest jakieś serce ofiarne, jakaś myśl zbudzona i w szlachetnym kierunku kiełkująca, która czuwa. Czasem, czasem — mignął jakiś promień, jakby filtrowany przez czerwoną zasłonę. Z jednego domku wysunęły się dwie postacie mężczyzn i, widząc nadbiegającą bandę policjantów—skryły się za węgłem. W oddali zdawało się Klickiemu, że słyszy tony harmonji— lecz było to bardzo daleko.

Nagle banda zatrzymała się—potem w rozpędzie przesadziła rów i dopadła do małego domku — również uśpionego napozór i cichego jak poprzednie.

Markowskij butem zaczął walić we drzwi.

— *Frumele!... atkroj dwieri!...*—wołał ostrym, silnym głosem.

W domu panowało milczenie.

— *Frumele!... abiezjana ty etakaja!... dwieri!...*

Josełe podskoczył.

— Uni śpią — ja zaraz pobudzę od tyłu... — szepnął i zniknął za węgłem domu.

Po kilku minutach — dały się słyszeć w sieni kroki — drzwi odryglowane otwarły się.

Na progu sieni stała tłusta żydówka w watowanym kaftanie — żółta na twarzy — bez zębów i ręką chroniła ogarek świecy, który chwiał się na wszystkie strony.

— Pan naczelnik?... — zdziwiła się, widząc Markowskiego... — aj... aj... w takie błoto...

— *Nie razgawariwaj* — żachnął się Markowskij, — *zażgi łampu.*

Usunął żydówkę, wszedł pierwszy, pochylając się; gdyż drzwi były niskie, tak jak po chatach chłopskich.

Kopnął nogą drzwi na prawo i wszedł do szynkownej izby.

Za nim wtoczyła się masa policjantów z Klickim pośrodku.

Żydówka nie pytała o nic więcej. Szybko podreptała za szynkwas i zapaliła niedużą, zakopconą szkaradnie lampę, którą postawiła na baryłce, stojącej na ladzie.

Ohydny, nieokreślony smród zgniłej kapusty, kartofli, łachmanów, błota, ciał ludzkich źle utrzymanych, ryb, cebuli, owiał Klickiego i przez kilka chwil dech mu w piersiach zaparł. Markowskij tymczasem po izbie się rozglądał.

— Czy nikt tu u ciebie nie nocuje? — zapytał żydówki po rosyjsku.

Ta mu odrzekła łamanym językiem:

— *Da* kto ma nocować? *da* nikowo nima... *niech gaspadin naczałnik sam pasmotri...*

Markowskij poszedł wprost do drzwi alkierza. Otworzył je — lecz zwrócił się zaraz ku Klickiemu.

— Proszę... niech pan wejdzie i sam zobaczy.

Te słów kilka zwróciły uwagę Frumele na

Klickiego. Obrzuciła go bacznem, szybkiem spojrzeniem. Klicki doznał wrażenia, jakby ktoś w nim zatopił dwie szpady. Oczy żydówki były cudownej piękności. Na tej wyszarzanej i zjedzonej twarzy odbijały połyskiem djamentów i czarnością onyksu. Lecz zarazem w tych oczach był cały dziwny świat, który, promieniejąc na zewnątrz, nic nie tracił ze swej siły. Wszystko, co nazywają występkiem, gnieździło się w blasku tych oczów, ale występek ten był tak skoncentrowany, tak obwarowany jakoś na swój użytek, że nie rozpraszał się bezpotrzebnie atmosferą niepokoju. On tylko dawał siłę chwytania z istoty wchodzącej w promień roztoczony tego — co było w niej lepsze i wywłókniania z tej lepszości mniej szlachetnych jej części składowych. Frumele z każdego najpiękniejszego czynu potrafiła delikatnie wyciągnąć pobudki lub kierunki rozwoju, graniczące ze złem. Oczy jej przenikały nie ciemności, ale najuczciwsze słońce. Nie olśnione blaskiem, sięgały w głąb i odszukiwały jakby mackami czarne grudy, ukryte starannie i przysłonięte pięknością szlachetnych czynów.

Dla Frumele — nie było wewnętrznego piękna na świecie.

— Proszę... alkierz otwarty!

Tak się rozlega głos Markowskiego.

Lecz Frumele zbliża się do Klickiego:

— Pan dobrodziej kogoś szuka?

Pyta się niby, ale ona już znalazła wpierw

odpowiedź, nim pytanie zadała. Ręce założyła na piersiach obwisłych, obciągających kaftan.

I patrzy.

Klicki wytrzymuje jej wzrok. Czuje, że jest wysądowany, wyżyłowany — on, człowiek z kulturą, przez tę prostą żydówkę z małomiasteczkowego przedmieścia.

Spogląda na nią z pogardą i wchodzi do alkierza.

Tam — bety i bety.

Na łóżkach, na ziemi, na porozwieszanych sznurach.

Przepaście betów, góry pierza, poduszek.— Kto może zgadnąć ich tajniki?

Gdzieniegdzie coś majaczy — głowa dziecka, głowa rozczochranej kobiety. Ciemno jest, tylko z izby szynkowej bije słabe światło i wydobywa na jaw brud pościeli i odrapanych z wapna ścian.

Klicki się cofa. Cóż może znaleźć w tych cuchnących górach pierza? Gdyby nawet kryli się tu zbrodniarze, Klicki ze wstrętem odwróciłby się od tych poszukiwań.

Markowski jednak wpada w rodzaj zapału. Wchodzi do alkierza i szybko, bez namysłu zdziera z łóżka pierzyny, rzuca je na ziemię.— Pisk dzieci i kobiet wypełnia alkierz. Zbudzone bachory podnoszą lament. Jakaś kobieta, prawie naga, okrywa się pośpiesznie poduszką.

Klicki cofa się do izby szynkowej. Spotyka się z oczami Frumele.

— Pan kogo szuka? Jakiej dziewczyny? U nas są tylko same takie, co po dobrej woli. U nas się nikogo nie więzi. My uczciwi ludzie!

Z alkierza wychodzi Markowskij.

— *Kultiapkin — pasmatri pod krawat'* — wydaje rozkaz.

Suchy, mały policjant rzuca się do alkierza. Pisk się potęguje. — Widać, jak policjant na czworakach zagląda pod łóżko — wreszcie ginie i tylko nogi sterczą w obłoconych butach.

Frumele uśmiecha się ironicznie:

— Niech pan Kultiapkin garnków nie powyrzuca — woła w formie ostrzeżenia.

Wreszcie Kultiapkin wyłazi i zdaje raport:

— *Nikawo niet — wasze błagorodje!*

Frumele ramionami wzrusza:

— Kto ma być! U mnie ludzie spią na łóżkach.

Markowskij zwija sobie koło stołu papierosa.

— Pan mówi — i wskazuje na Klickiego — że u was dziś nocują dwaj złodzieje — jeden ma rękę skaleczoną...

— Złodzieje?

Frumele sonduje znów oczami Klickiego:

— Skąd pan dobrodziej takie ma brzydkie na mój handel podejrzenie?

— Słyszałem, że się umawiali, iż idą na noc do „*mamusi*"... Powiedziałem to panu.

Przyprowadzili nas tutaj. Wy jesteście „*mamusia*".

Żydówka roześmiała się. Bezzębna jama ustna zaczerniła się w obramowaniu żółtych warg.

— Nu... oni mnie tak nazywają w mieście. Ja nikomu nic złego nie robię, a często i poborguję biednemu... To już mnie tak przezwali.

Markowskij otrząsał się z wilgoci jak zmoczony pudel.

— Pan naczelnik przeziębnął?... — zaczęła z ubolewaniem „*mamusia*" — aj, aj! w taki czas po nocy!... I po co?... pan naczelnik wie, że u mnie nikt ze złodziei nie bywa... pan naczelnik mógł temu panu powiedzieć, że mu się przesłyszało, albo, że uni się tak umyślnie chwalili. Przecie pan policmajster mnie zna, jaki tu u mnie porządny lokal...

Markowskij spojrzał na nią bokiem. Zmierzyli się oczami.

Widocznie sondowali się i wybierali ze siebie owe czarne żużle. Policjant i paserka znali się nie od dzisiaj.

Wreszcie Markowskij, liżąc bibułkę papierosa, wymówił przez zęby.

— *Da!...*

Nikt nie zdoła oddać liczby znaczeń, jakie w rosyjskim języku może przybrać to krótkie jedno słowo. Można przez nie powiedzieć wszystko, czego się powiedzieć nie chce lub nie może.

Frumele rzuciła się do szynkwasu.

— Pan naczelnik pozwoli *grafinczyk* rumu? Jest *echt* jamajski... co?...

Markowskij ruszył ramionami.

— Ja po służbie, a wy mnie ugaszczać nie możecie — wyrzekł, porając się z zapałkami, które ciągle gasły — ale może pan..

Oczami wskazał na Klickiego.

— Dziękuję! nie piję... — odparł sucho Klicki i odwrócił się do okna.

— A teraz może pan obejrzy strych, piwnicę, może oni tam...

Lecz Klicki uśmiechnął się ironicznie.

— Nie, nie... Już mam dosyć.

— A!... pan ma dosyć? — *Nu ładno!* Tak może pan pozwoli sobie i nam iść spać.

Klicki ukłonił się grzecznie.

— Owszem... pozwolę!...

Ironja go przepoiła całego. Wiedział, że nic i nikogo nie znajdzie, choć wypełniano jego życzenia i prowadzono wszędzie tam, gdzie żądał. Postanowił więc teraz drwić z tej całej sprawy i czynił to, choć zęby mu szczękały z nadmiaru zdenerwowania.

Wyszli z izby do sieni. Frumele kłaniała się nisko Markowskiemu. Wzięła w rękę lampkę, i tak od dołu oświetlona, była jeszcze żółtsza, jeszcze więcej sterana pomimo tłuszczu, jakim obrosło jej ciało. I tylko oczy olbrzymie, promienne, aż biły światłością z tej maski starego klowna.

— U mnie wszyscy śpią... dobranoc i pa-

nom, dobranoc, panie naczelniku. Ja jutro sama będę u pana policmajstra skróś pozwolenia. Kłaniam się pięknie.

Nagle przeciwległe drzwi, które kryły się w cieniu, otwarły się i w nich pojawiły się jakieś dwie postacie. Był to mężczyzna w ubraniu robotnika i uczepiona u jego szyi rozmamrana dziewka. Poza nimi wysączyła się struga światła. Rozczochrane włosy dziewki zaświeciły promienną aureolą. Zobaczywszy policję — oboje cofnęli się i zatrzasnęli drzwi. Było to jednak zapóźno.

Klicki już widział i jasno zrozumiał, że dom ten ma więcej ubikacji, i że tam „nie wszyscy śpią"... jak w alkierzu u „mamusi".

Spojrzał na Markowskiego i uśmiechnął się ironicznie. Ten uśmiech ten podchwycił i chwileczkę się zawahał.

— Tam mąż Frumele ma swój proceder!— wyrzekł niedbale — ale może pan i tam zajrzy, proszę...

Równocześnie przenikliwie spojrzał na „mamusię".

Stała spokojna, bez ruchu, — przeciwnie, uśmiech wykrzywił jej usta.

— Niech panowie wejdą, może się zabawią.

Markowskij uspokoił się, widząc że „mamusia" jest pewną siebie zupełnie, a nawet sama zaprasza.

— A no... to proszę pana...

Zwyczajem swoim pchnął butem drzwi i te otwarły się na oścież.

Buchnęło gorąco i smród jeszcze gorszy niż ten, który panował w sieni.

W półcieniu wionęły przed oczami Klickiego jakieś białe płachty.

Nie czas jednak było się wahać.

IX

PROCEDER MORDKI LAJNBRAMA, MĘŻA „MAMUSI"

Na środku izby, która rozmiarami odpowiadała izbie szynkownej, stał żyd w koszuli z wyszywkami kolorowemi, w kamizelce kraciastej, rozdartej z tyłu, i spodniach, wpuszczonych w buty z cholewami. Był jeszcze młody, jasnowłosy i tak anemiczny. że zdawał się nie mieć w sobie ani jednej kropli krwi. Oczy jego z pod brwi prawie białych, miały tę samą wybladłą barwę, co i cera twarzy. Ręce miał białe, prześliczne i niezmiernie delikatne. Był w czapce czarnej i w chwili, gdy drzwi, kopnięte przez Markowskiego, otworzyły się niespodzianie, usiłował dostać wiszącą na drucie lampę, na którą dmuchał gwałtownie celem jej zgaszenia. Lampa ta wisząca z daszkiem skąpe rozlewała światło. Głównie występowała na jaw niechlujna podłoga, zapluta i oblana — miejscami powyżerana jakby ogniem.

Cała izba była poprzecinana sznurkami i gdzie niegdzie zwieszały się z nich płachty rozmaitych barw, które tworzyły jakby namioty.

Niektóre z tych płacht były obtargane i wisiały strzępami. ujawniając pod ścianami tapczany, na których walały się kolorowe poduszki, derki i bety. Pod oknem stał stolik, a na nim flaszki z piwem, wódką, dwie pomarańcze, jakieś bułki.

Dym ostry i gryzący przepełniał izbę — tumany unosiły się dokoła lampy. Na oknie w kąciku więdła sentymentalnie blada primula w wazoniku, widocznie pielęgnowana przez którąś z przygodnych tej kloaki mieszkanek. Na ścianach tu i owdzie przypięte wycięte z dzienników ryciny, kalendarz z bukietem niezapominajek i aniołek tekturowy w różowej sukience, zdjęty widocznie z szopki, trzymający w rękach wstęgę z napisem:

„Z powinszowaniem nowego roku!"

Żadna jednak mowa ludzka nie zdoła oddać tej atmosfery, jaka panowała w tej izbie. Połączenie wyziewów i potu, końskiego smrodu, tytoniu, paczuli, wilgoci — kłębiło się w rozparzonem gorącu, buchającem z pieca. Klicki cofnął się, opierając o ścianę, lecz za nim tłoczyli się policjanci, widocznie radzi i chętnie do tej izby wchodzący. Na ich twarzach sfinksowych nie zadrgała jednak żadna żyłka. Byli ciągle kamienni i nieruchomi. Wtłoczywszy się, ustawili się szeregiem pod ścianą, chłonąc w rozwarte nozdrza tę woń, którą znali i która była dla nich wspomnieniem chwil ukochanej rozpusty.

Anemiczny żyd na widok Markowskiego przybrał obojętny, niemal zuchwały wyraz twarzy.

— Co pan naczelnik każe? — zapytał cienkim głosem.

Lecz Markowskij nie odpowiedział mu nawet. Od kilku chwil obserwował rudą dziewczynę, która, cofnąwszy się wraz z robotnikiem ode drzwi, teraz usiadła na jednym z tapczanów i zanurzywszy palce niedwuznacznie we włosy, patrzyła wzrokiem znużonego zwierzęcia na nowoprzybyłych.

Robotnik cofnął się do okna i jakby zawstydzony patrzył przez szyby, odwracając się zupełnie i kryjąc twarz.

Markowskij wskazał butem na rudą kobietę.

— *Czto eto?* — zapytał. — *Eto niezdieszniaja?*

— *Niet...* — wyrzekł żyd — ona w odwiedziny do siostry...

Dziewka wydęła usta.

— Łżesz — wyszeptała chrapliwie — ja od tygodnia z Białegostoku przyjechała, boś mnie sprowadził.

I, zaprzestawszy operacji we włosach, obciągnęła dziwaczną turkusową welwetową bluzkę, w którą była odziana, i zaczęła umizgać się, pokazując rząd białych zębów.

— *Ty zamużnaja?* — indagował ją Markowskij.

— *Das* — odparła kobieta — dodając umyślnie petersburskie „s“ dla szyku.

— A u ciebie paszport od męża jest? — badał dalej Markowskij.

Kobieta się zmieszała.

— Nie wiem... nie...

Markowskij zwrócił się do żyda:

— Paszport u niej w porządku? Ja jego na policji nie widział. Czemu nie meldowana, ha?

Żyd spuścił z tonu na chwilę i zaczął się tłumaczyć.

— Ja miałem iść do pana policmajstra w tej sprawie. Ryfka od męża ucieknęła, on jej wyda paszport... Ja chciałem prosić o wydanie *srocznego* pozwolenia..,

— Żebyś mi jutro przyszedł z samego rana — krzyczał po rosyjsku Markowskij, bijąc nogą w podłogę — a nie... to ciupasem odstawić ją każę.

—Panie naczelniku, ona mi potrzebna, ona wesoła, ona *rabotna*... ona...

— Milcz!... jak śmiesz trzymać bezpaszportnych?

Ruda dziewka zaczęła lamentować.

— O ja nieszczęśliwa!... oj!... oj!...

Chwytała się za głowę i udawała, że nią bije o mur. Z poza płacht wysunęły się jeszcze dwie dziewki, równie rozczochrane, tylko gorzej odziane, w pantoflach na bosych nogach. Jedna miała we włosach papierową czerwoną różę — druga była bardzo blada, piegowata i zupełnie otumaniona.

Markowskij ryknął z całej siły olbrzymim

basem, tak jak dzwon cerkiewny w dzień Zmartwychwstania.

— *Małczat' szympanza, a to pa szei!*

Zrobił wymowny gest.

Wrzaski ucichły.

Wówczas Markowskij zwrócił się znów do Lajnbrama.

— Tak ty jutro jaw się.

Żyd już odzyskał równowagę.

Widocznie był pewien swego, bo ramionami wzruszył i wargę dolną wydął.

— Ja się zajawlę — odparł, a potem ciężko westchnął.

Widocznie to „jawlenie się" wzbudzało w nim bolesne wspomnienia.

Robotnik przed oknem kurczył się tak, iż całkiem głowę wsunął w ramiona. Obrywał powoli listki primuli i żuł je bezmyślnie.

— Kto u ciebie dzić nocuje? — zapytał Markowskij.

— Nikt — odparł Lajnbram — byli konduktorzy, zabawili się i poszli. Teraz był ten pan—wskazał na robotnika— i już wychodził...

Markowskij zbliżył się do jednej płachty— podniósł jej koniec. Na tapczanie rozwalona spała jakaś kobieta. Ostatni wyraz zezwierzęcenia opadł na jej twarzyczkę. Była jeszcze młoda i zaledwie rozwinięta. Z pod czerwonej pierzyny sterczały bose, czarne stopy.

Widać w niej było dziewczynę wiejską, zlataną po grudach i wyrosłą wśród zbóż na smutnych mazowieckich równinach. Była tra-

giczna w swym bezwładzie wyzyskanego do ostatnich granic zwierzęcia. Usta jej były boleśnie skrzywione. Ciekła z nich ślina. Włosy, zaplecione w dwie cienkie kosy, opadały na piersi, okryte haftowaną perkalową koszulą, związaną na ramionach kokieteryjnie szmatami niebieskiej wstążki.

Ręka, która z tapczanu zwieszała się ku ziemi, była do łokcia spalona od słońca, prawie czarna. Dalej ramię miało śnieżną białość jasnych blondynek.

Leżała jak kłoda, a sen jej był tak twardy i twarz tak od pijaństwa i zmęczenia blada, że wydawała się raczej trupem, niż żyjącą istotą.

Klickiemu ścisnęło się serce, nudności go dręczyć zaczęły. Potarł ręką po czole — on, który przecież zwyczajem mężczyzn nie cofał się przed wspólną rozpustą i zwłaszcza w swej młodości tarzał się w publicznych lokalach, gdzie mężowie „mamusi" uprawiali swój proceder. Lecz tu — ta rozpusta, tłocząca się w tej ciasnej przestrzeni, ten tragizm ciał kobiecych, zwłaszcza ta wiejska dziewucha, zmartwiała w swej nędzy z tak boleśnie skurczoną maską twarzy, w chwili, gdy we śnie może uświadamiała sobie piękność łanów i krasę maków, swobodnie wyrosłych, od których dzieliły ją rzeki błota — tu, gdzie żyd anemiczny, jak pająk siatki, tak on rozpiął sznury swych namiotów i tam gnał w sprzedaż trzodę istot bezdomnych, wyjących z uciechy i rozpaczy chórem bezradnych głosów — tu — Klicki

uczuł się sam nędzny i wstydem spłonął nad tem, że egoizm mężczyzn wytworzył sobie takie siedlisko, gdzie na moczarach gnijących dusz wzniesiony został gmach świątyń, rozkoszy przeznaczonych.

I nawet nie było tu walki z nędzą przeznaczenia. Tu była straszna, bezgraniczna rezygnacja istot, wydanych na zagładę. Coś jakby ścierwo jagnięce, rzucone w doły zwierząt, które pasły się niem do woli, zanurzając kły i pazury i płacąc potem daninę dostawcy ścierwa, starannie sortowanego.

Widocznie, że nagromadzona w tej dusznej, ciemnej izbie tragiczność faktów była tak wielką, iż przebiła się mimo wszystko i chwyciła Klickiego za gardło. Zapomniał, z czem tu przybył i szybko odwrócił się pobladły i zmieniony.

— Nic tu widzieć nie chcę! — wyrzekł bezdźwięcznym głosem — proszę mnie stąd wypuścić.

Torował sobie drogę do drzwi, lecz Markowskij w lot zrozumiał, iż ten „pan" brzydzi się przebywać w tem miejscu. Nie wnikał w pobudki, nie sięgał głębiej, lecz wyraz wstrętu, zmiana głosu i bladość lic Klickiego wystarczała mu w zupełności. Z całą pasją rzucił się na odsłoniętą w ten sposób moralną część istoty człowieka, któremu zawdzięczał od dwóch godzin spacer nocny po ulicach miasteczka.

— Pardon! — wyrzekł, zastępując Klic-

kiemu drogę — jeżeli pan chce robić poszukiwania, to już proszę w całości... Pan się przekona, że nas nie trzeba uczyć, jak my mamy pilnować w mieście porządku. My już jak co robimy, to dokładnie.

Zbliżył się szybko do śpiącej dziewki — zdarł z niej pierzynę, pochwycił ją za rękę i szarpnął nią z całej siły.

Zamruczała, jęknęła — lecz on rzucił nią o ziemię. Zwaliła się jak kłoda, nie budząc się wcale. Zabielała masą ciała i spała dalej, upadłszy twarzą ku ziemi, z rękami rozkrzyżowanemi, jakby w podłogę się wpiła.

— Może pod tapczanem... — zaczął Markowskij, lecz Klicki pchnął jednego z policjantów i wypadł do sionki.

Tam natknął się na Joseła, stojącego pod ścianą z latarką.

— Odprowadź mnie do miasta. Dam ci trzy ruble!... — wyrzekł, łapiąc z trudem powietrze, Klicki.

— Nu... dobrze... czemu nie... — odparł Josełe.

Otworzył drzwi do izby Mordki i, zamieniwszy parę słów cichych z Markowskim, poskoczył ku Klickiemu, który wybiegł już na ulicę.

— Proszę pana dobrodzieja!... — wyrzekł z fantazją — pójdziemy do miasta... niech się

pan dobrodziej nic nie boi! Josełe jest z panem!

Poszli gościńcem, a po obu stronach ciągnęły się czarne, bezbrzeżne płaszczyzny pól.

Ciemne cielska domków do ziemi przypadły, a ich okiennice były tak szczelnie zamknięte, że niewiadomo, co się w nich kryło — martwota snu, czy objawy czuwania.

Lecz Klicki wiedział już, co jest w tych cichych, małych domkach, znał ich wnętrze.

Źrenicami zbudzonego sumienia, źrenicami sponiewieranej godności człowieczej, źrenicami matki, rozwianej marą w przestworze, źrenicami kobiety, która pierwsza wtajemniczyła go w dreszcz rozkoszy, źrenicami błękitnemi Jani — jak taflą od łez wilgotną, on przenikał ciemne ściany i widział tragiczne upodlenie godzin tajemniczych o wzniosłych wielkich celach. Rozjęczał się w nim ból, rozszalała dusza za to, że ją zbłocono.

I nie to błoto ciężyło mu, które przywarło skorupą do jego odzieży, rąk, twarzy — lecz to błoto, które nagle zionęło ku niemu z przepaści procederu Mordki Lajnbrama i, odnalazłszy w jego czynach te straszne kałuże, teraz gnębiło nie tylko tem, co inni czynili, lecz tem, co on sam kiedyś w życiu czynił.

Z pod łokcia wyszeptał mu Josełe, migając trójkątem latarni:

— Nie podobało się panu dobrodziejowi

u Mordki? Ja mówiłem, że to całkiem ordynarne zabawe... choć un i una bardzo uczciwe ludzie.

Klicki szedł dalej ku miastu.

Nie słyszał Joseła — nie widział czerni domków, pustki płaszczyzny — szedł jak senny, smutny i zupełnie na duchu upadły.

X

„W ZAŁOG!..."

Gdy zrzucił wreszcie ze siebie odzież i, stanąwszy przy piecu, grzać się zaczął, doznał pewnego uczucia ulgi.

Sam nie zdawał sobie sprawy, jak się dostał do tego hotelu, jak wszedł do numeru, zapłacił Joseła i jak zdołał się rozebrać.

Ten mały, pusty, szkaradny numer, który rano budził w nim wstręt, wydał mu się jakimś przytułkiem i chciał go mieć jeszcze mniejszym, aby módz więcej, dokładniej czuć dach nad głową.

Pierwszym jego czynem był krok sentymentalny, ale zarazem ogromnie ludzki.

Oto wyjął z podróżnej walizki fotografję Jani, którą dała mu w Zakopanem i wpatrzył się całą siłą w miłą twarzyczkę dziewczyny.

— Ty moja! ty śliczna! — myślał i zdało mu się, że spragniony pije z czystego źródła ożywczą, srebrną wodę, lub że zbiera rosę poranną ze świeżo zbudzonych kwiatów.

Bolesna postać śpiącej prostytutki o białem ciele i spalonych od słońca rękach mignęła mu przed oczami.

— Straszne!... pomyślał i wpił się spojrzeniem w fotografję z całą siłą i chęcią nabrania jakiejś czystości wrażeń pod wpływem szeroko rozwartych i poznaczonych świetlanymi punktami oczu.

Poza tem nie był w stanie myśleć, nie mógł sobie zdać sprawy z tego, co przeszedł. Wiedział tylko, iż natłoczyła się na niego cała masa niepowszednich zdarzeń i że nigdy nie był tak silnie zgorączkowany wrażeniami życiowemi, jak w tej chwili.

— Wstrętne gniazdo! — pomyślał, podchodząc ku oknu i patrząc w czerń rynku, na którym wszystkie już latarnie pogasły.

A przecież coś mu w duszy jakby ścinało się żalem, jakby ogarnął go smutek, który czasem przeszywa nas nawskroś, gdy stajemy przed trumną, którą niosą dla kogoś nieznanego, a który się nam wydaje bliski...

Od okna podszedł Klicki do swego łóżka i wsunął się wreszcie pod kołdrę.

— Może zasnę — myślał i wtedy dopiero poczuł, jak bardzo był snu spragniony.

Lecz napróżno usiłował zasnąć.

To wszystko, co przeżył w ciągu tych kilku godzin, te nadzwyczajne rzeczy, które działy się tutaj w cieniu tego miasteczka, w taki zwykły na pozór sposób zwaliły się na niego jakby las, huraganem rozniesiony. Te

straszne postacie, wyrosłe z błota, albo migające w żółtem świetle lamp zamtuza i kancelarji Tagiejewa, wreszcie *on* sam, groźny i słodki, pachnący rumem i dziegciem butów — to wszystko w ciemności numeru zaczęło rość olbrzymio i nękać Władysława jeszcze więcej, niż na jawie.

Nagle rozległ się wystrzał.

Najwyraźniej ktoś strzelił na schodach z rewolweru.

Klicki usiadł na łożku, nie dziwiąc się już niczemu.

Ktoś szedł po schodach, dźwigał się ciężko, rozmawiał głośno — wreszcie wszedł na korytarz.

Chwileczkę zapanowała cisza i nagle rozpoczął się dziwny łoskot. Ktoś obijał się o ściany — walił się plecami o drzwi numerów. Dzwoniły ostrogi i szabla, głos przechodził w jakieś dzikie mruczenie.

I wreszcie wypłynął jakby wyciem:

— *Czeławiek!...*

Cisza.

I znów wycie:

— *Czeławiek!...*

Z drugiego końca kurytarza dają się słyszeć niepewne kroki.

— *Gdieże moja komnata?* — pyta zapity głos, przerywany czkawką.

— Wielmożny pan oficer stoi przecież przed drzwiami! — odpowiada drugi głos.

Klicki poznaje niski, nieśmiały głos posługacza hotelowego.

— *Wriosz!* to nie mój numer, ja go nie mogę otworzyć...

Następuje walenie butem z całej siły w drzwi sąsiedniego z Klickim numeru, przy akompaniamencie rozmaitych „macierzyńskich" błogosławieństw. Drzwi nie ustępują. — U Klickiego w numerze wszystko się trzęsie. On sam, zdenerwowany do najwyższego stopnia, wyskakuje z łóżka i biegnie do drzwi.

— Co się tu dzieje? — pyta, otwierając drzwi, prowadzące z numeru na korytarz.

W tej samej chwili rozlega się ryk:

— *Haziain! gdie haziain?!*

Klicki widzi pode drzwiami sąsiedniego numeru młodego jeszcze oficera, bardzo pięknego blondyna o rozmarzonych, szafirowych oczach. Szynel ma narzucony na plecy, w ręku rewolwer. Jest zupełnie pijany, bezprzytomny. Ślina sączy mu się z ust, ocienionych wąsem. W głębi kurytarza stoi Proszowski w narzuconej na ramiona siermiędze, ze świecą w ręku. Widocznie lęka się zbliżyć do rozjuszonego oficera. Na kurytarzu tli się kinkiet. — Z kilku drzwi widać strwożone głowy podróżnych, którzy patrzą przez szpary na to, co się dzieje w kurytarzu. Po drugiej stronie Klickiego z numeru wychyla się w białym kaftaniku i narzuconej naprędce spódnicy owa brunetka o bladej, trójkątnej twarzy,

którą Klicki widział już, upominającą się o swój paszport w bramie hotelu.

Ogólne wrażenie trwogi przepełnia ciasny korytarz hotelowy.

Klickiego porywa pasja na tego pijanego młokosa, który ośmiela się teroryzować cały dom i budzić wszystkich przejawami swego pijaństwa.

— Proszowski! — woła — co to znaczy? Każcie temu panu być cicho. Hotel, to nie koszary.

I, zwracając się prosto do oficera, dodaje:

— Proszę pana być cicho i zachowywać się przyzwoicie.

Oficer zdaje się nie rozumieć nawet, co Klicki do niego mówi.

Pora się ciągle ze spadającym mu z ramion szynelem i woła w dalszym ciągu:

— *Haziain!*

— Proszowski, każcie mu być cicho! — krzyczy do posługacza Klicki.

Lecz Proszowski zwija się w kłębek i bezradnie rozkłada ręce:

— Co ja poradzę?

Ryk znów wstrząsa kurytarzem:

— *Haziain!*

— On chce gospodarza — objaśnia brunetka, zwracając się ku Klickiemu.

— No... więc czemu gospodarz nie przychodzi?

— On nie przyjdzie.

— Dlaczego?

— On się boi!

— Ładna historja!

Blada kobieta, której nie chcą oddać paszportu, ośmiela się i wysuwa nogę, odzianą w grubą, czerwoną pończochę.

— To tak co noc ten pan oficer dokazuje.

— Czemu go nie wyrzucą?

Brunetka pokręciła rozczochraną głową:

— Oni nie mogą! Jego inni panowie oficerowie już dwa tygodnie jak zostawili *w załog.*

— *W załog?*

— Tak, w zastaw. Oni tu całą bandą przyjechali — napili, najedli — potem nie mieli czem zapłacić i jego zostawili w zastaw. On tu będzie siedział i tak wyrabiał, dokąd go nie wykupią.

I z pewną melancholją dodała:

— Ja także tu byłam *w załogu!*

Oficer, wsparty o ścianę, zdawał się teraz spać stojąco. Ściskał tylko w ręku rewolwer, kryjąc go w fałdach szynela. Był blady jak trup — pot mu spływał z czoła.

Klicki spojrzał na niego. Zdawał mu się zupełnie spokojny i wyczerpany.

— Proszę pana! — wybuchł tonem perswazji — niech pan idzie spać i nam spać pozwoli!...

Brunetka, która prawie zupełnie wyszła na kurytarz, cofnęła się pośpiesznie do numeru.

— Niech pan do niego nie mówi — rzuciła pośpiesznie — on ma rewolwer.

Oficer otworzył jedno oko i wbił je z dużą siłą w Klickiego.

— Niech pan spać idzie!...

Lecz jeszcze Klicki nie dokończył swego zdania, gdy oficer wyciągnął rękę i strzelił z rewolweru.

— *Haziain!...*

Klickiego ten wystrzał, zamiast przerazić, jeszcze podniecił.

— Tego już nadto! — zawołał.

Wpadł do swego numeru — wdział pośpiesznie spodnie i palto i chciał wylecieć na kurytarz, aby rzucić się na oficera i bądź co bądź odebrać mu rewolwer — gdy oficer trafił wreszcie kluczem na zamek, otworzył drzwi i wpadł do swego numeru.

Tam runął odziany na łóżko i tylko po chwili słychać było, jak przeciągle zaczął zawodzić *„Łunnyja noczi“* Rubinsteina, do słów Puszkina:

„Noczi bezumnyja“...

Na kurytarzu skradał się teraz cicho Proszowski i drzwi od oficera na kurytarz przymykał.

Klicki natknął się na brunetkę, która także wysuwała się na kurytarz.

— On pana nie postrzelił? — zapytała.

— Nie. A pani nic się nie stało?

— Ja się schowałam...

Zaczęła głową kręcić:

— No... no... Co się tu dzieje. Ja jestem śpiewaczka koncertówka. Ja ciągle jeżdżę. Ja już dużo widziałam i przeszłam, ale coś podobnego, to bardzo rzadko!

Oparła się o ścianę.

Wydała się Klickiemu bardzo nędzna i bardzo mizerna. Żółta szyja ze sterczącemi obojczykami wysuwała się z pod rozpiętego kaftanika i chustki, w którą owinięta była.

— Czemuż pani tu siedzi? — zapytał ją machinalnie Klicki.

W oczach kobiety coś zamigotało jakby łzy.

— Bo muszę. Ja panu już mówiłam, że ja tu byłam *w załogu*. Mój impresario, taki żydek, co mnie i jeszcze czworo ludzi z koncertami obwozi — on zbankrutował i nie miał za co stąd wyjechać. To jemu gospodarz tego hotelu pożyczył na drogę i mnie w zastaw tutaj zostawił. Ale trzy dni temu przysłał pieniądze...

— Czemu więc pani nie jedzie?

Śpiewaczce nos poczerwieniał i zaczęła nim podciągać.

— Jak ja mam wyjechać?. Ja bez paszportu nie mogę się ruszyć, a on mi paszport zabrał i nie chce oddać.

— Kto — on? gospodarz?

— Ale... on, ten łajdak, żeby on tak ręce i nogi połamał, on, ten czort, ten djabeł — ten... ten...

Nie wymawiała jednak nazwiska, oglądała się jakby strwożona.

Wreszcie rozbeczała się na dobre.

— On się mnie czepił i nie chce mnie ostawić w spokoju... A ja jego nie chcę. On mi mówi, że jak ja będę dla niego łaskawa, to on mi każe paszport wydać i wtedy ja będę mogła pojechać... No — niech pan sam powie, jaka to świnia!...

Czarnym wełnianym szalem ocierała sobie łzy, płynące po bladej i wymizerowanej twarzy.

Klicki już instynktem zgadywał, że ten *on* to będzie Tagiejew.

— To policmajster? — zapytał.

Kobieta, szlochając, skinęła głową.

— Mnie to nigdzie jeszcze nie spotkało, choć ja całą Rosję zjeździła. Ale tu w Królestwie, to te policmajstry to niech ich!... co oni wyrabiają!... A już kobietom i żydom to najgorzej u nich. No... dojedli mi...

Zimno było na kurytarzu. Klicki spostrzegł, że dzwoniła zębami, drżała cała.

— Niech pani idzie do numeru—ogrzeje się.

Uśmiechnęła się smutnie.

— U mnie w numerze tak zimno, jak na kurytarzu — rzekła — mnie nie palą, nie mam za co.

— Dlaczego impresario pani nie przyśle?

— On sam nic nie ma. On przysłał tyle, co na drogę i na dwa dni życia, a oni mnie tu trzymają już piąty dzień. Ja nawet nie wiem, jak ja pojadę. Już i nie jem i śpię w zimnie,

żeby tylko tych pieniędzy na drogę nie ruszyć. Ale i tak przyjdzie mi co z rzeczy gospodarzowi dać w zastaw...

Mówiła tak monotonnym głosem lamentującej żydówki.

Klickiemu zrobiło się jej żal, taka była nędzna i sponiewierana. I na nią potwór gniotący położył swą łapę. Co więcej, uwziął się na jedyne dobro, jakie posiadała ta biedna nędzarka, na jej cześć niewieścią i chciał wziąć ją głodem, zimnem i zmusić do poddania się jego woli.

Nagle — z zaułku korytarza wysunęła się postać wysokiego, smukłego mężczyzny, odzianego w popielate ubranie.

Robił wrażenie, jakby cały był wyrobiony ze stali. Miał włosy o szarym odcieniu, takież wąsy, cerę twarzy bezbarwną i dziwnie szare, chłodne, nawskroś przenikające oczy.

— Przepraszam! — wyrzekł czystą polszczyzną — państwo pozwolą!,..

Przechodząc mimo Klickiego i żydówki, pochylił lekko głowę i oddalił się kurytarzem, otworzył drzwi jednego z numerów i zniknął.

Klicki wzruszył ramionami.

— Ten skąd się wziął?... wyszedł jak z pod ziemi!

— On pewnie wracał z restauracji do swego numeru — objaśniła „koncertantka" — tam w końcu bocznego korytarza są schody do jadalnej sali. To jest jakiś młody obywatel, on przyjechał z Litwy od kilku dni.

Mowę jej przerwało wycie oficera, oddanego w *załog*.

Noczi bezumnyja,
Noczi bezswietlnyja,
Pomnju ja was...

Przejmujący tenor jakąś straszną, bezbrzeżną tęsknotą obijał się o ściany hotelu.

— On tak będzie całą noc — podjęła znowu żydówka — śpiewa i całą kołdrę ostrogami rozrywa. Gospodarzby mu dopłacił, żeby już sobie pojechał. Ale on mówi, że honor pułku mu nie pozwala.

Podciągnęła włosy z czoła i dodała:

— Trzeba iść spać... Dobranoc panu!

I w formie prezentacji dodała:

— Ja się nazywam Rosa Montag, koncertantka. Ja się uczyłam w konserwatorjum w Wilnie... Dobranoc panu!

Z westchnieniem weszła do swego więzienia i drzwi za sobą przymknęła.

Klicki powrócił także do swego numeru i próbował zasnąć. Wobec zachowania się obojga sąsiadów było to jednak niepodobieństwem. Oficer klął, śpiewał, pluł, a Rosa Montag szlochała, wycierała hałaśliwie nos i wzdychała.

Klicki z upragnieniem wyglądał dnia i przewracał się na łóżku w pościeli o problematycznej czystości.

Cuchnące powietrze, które wydobywało

się z umywalni, z nocnej szafki, z podłogi — przepełniało numer i dławiło go literalnie.

— Ślicznie wykonywane przepisy policyjne! — roześmiał się ironicznie, paląc papierosa za papierosem. — To nie hotel, to kloaka!

Przed jego oczyma przesuwała się w myśli postać owego nieznajomego blondyna, ubranego szaro, z dziwnemi, niepokojącemi oczami.

Ona powiedziała, że to wiejski obywatel, a on wygląda na eks-wojskowego. Taki ma chód miarowy... A te oczy...

Ciągle je miał przed sobą...

Rozwidniało się powoli.

Szary, brzydki dzień wkradał się nieśmiało.

Oficer uspokoił się, Rosa Montag przestała żalić się i szlochać.

Klickiemu mimowoli oczy do snu się kleiły.

— Dziwne oczy — wyszeptał, już na wpół usypiając.

XI

PRZEBUDZENIE SIĘ LWA...
BIEDNY GNAT.
HISTORJA Z FLAGAMI.
PAN POLICMAJSTER ROBI INTERESA

Nie jak podwładny do zwierzchnika, ale jak niezadowolony z czegoś wspólnik wtargnął Markowskij do sypialni Tagiejewa.

Choć już rozwidniało się zupełnie, w sypialni było ciemno i tylko mała lampka przed ikoną świeciła leciuchno jak gwiazdka, zawieszona w przestrzeni.

Tagiejew spał, sapiąc ciężko. Tył, nabierał coraz więcej ciała i dusił się tym tłuszczem. Ręce obrosłe włosami położył na piersiach, z których zsuwała się haftowana w kogutki koszula. Silna woń tytoniu przepełniała sypialnię.

Markowskij do okna podszedł i szybko szafirową storę podniósł. Niemiły nagły blask przebudził Tagiejewa.

Chrapnął, sapnął — machnął ręką i wybełkotał coś niezrozumiale.

Markowskij spojrzał na Tagiejewa z nieukrywaną wzgardą — podszedł do drugiego okna i tak samo nagle storą szarpnął. Wtedy już Tagiejew nie mógł wytrzymać tego nawału światła i oczy wybałuszył.

— Kto *zdieś*?

— *Eto* ja!... Przyszedłem z dokładem.

Tagiejew, wzdychając, usiadł na łóżku.

— E... Boże mój! Daliby wy mnie trochę pospać!...

— Jakże pospać? — odburknął się Markowskij — kancelarja pełna ludzi.

— No... no...

W jadalni służąca Katiusza, przywieziona z Rosji, stawiała na stole samowar.

— Idźcie gołąbku do jadalni, napijcie się czaju, a ja w mig będę przy was! — zapraszał Tagiejew, gramoląc się z pościeli.

— Tylko się nie spóźniajcie — upominał Markowskij — a to przepaść dziś *dzieł* — niewiadomo, za co chwycić!

Tagiejew wzruszył ramionami.

— Poradzi się — mruknął, wdziewając skarpetki.

Za kilka chwil nie umyty, lecz odziany w spodnie, pantofle i szarą kurtkę, siedział przy samowarze naprzeciw bladego i niewyspanego Markowskiego.

— Cóż, wczoraj wy z tym jakimś durakiem z Krakowa uporali się?

— A!... uporali się! — odmruknął pomocnik — ale z jakie trzy godziny nawłóczyli my się i na wał i do Frumele i czort wie gdzie. Ale go tak Josełe w błocie unurzał, że mu się odechce na drugi raz rozumu uczyć.

Tagiejew z radości aż ręce rozłożył.

— W błocie wy go umaczali, gołąbku... to ślicznie.

— Jak świnię... Kazałem go wieść środkiem ulicy i samemi zaułkami. — Cały był oblepiony błotem.

— Cóż wy u Frumele robili?

— Posłyszał, jak Haskiel i Kozik umawiali się, że tam idą — no więc musiałem go i tam zawieść!

— Ale oni tam nie byli?

Markowskij prosto w oczy Tagiejewowi spojrzał.

— Oni tam byli, ale ja naprzód Siemipudowa posłał i oni w czas umknęli.

— No... tak... ślicznie!

Markowskij brwi zmarszczył.

— Nie tak ślicznie, jak wy myślicie — bo ten chłop, co go obdzierali, dziś się do kancelarji przywlókł i siedzi. Całą noc przeleżał za deskami na wale i rano się zwlókł i przyszedł.

Tagiejew porwał się od stołu, wściekły:

— Czemu go Barłamow puścił? Powinien go był nastraszyć, żeby policji nie niepokoił i do domu go namówić — tak, jak zawsze robi.

Markowskij ręce rozłożył.

— Nie wiem... Może Barłamow się zdrzemnął.

Tagiejew cały siny zaczął latać po pokoju:

— Ja Barłamowa za tę wczorajszą noc to by chętnie po karku! A to *drań, edakij*... dzieli się pieniędzmi na ulicy, przez co tego duraka na nas ściąga. A teraz, zamiast tak zrobić, jak zawsze, on tego chłopa jeszcze nam pakuje!

Otworzył drzwi do przedpokoju i wrzasnął:

— Siemipudow!

W tej chwili z ziemi wyrosła sylwetka ogromnego policjanta.

— Zawołaj tu tego chłopa!

Markowskij powstał:

— A... jeszcze jest prośba tej Rosy Montag o paszport..,

— Nie wydawać!... ja o tem z wami później...

— Potem... ja znalazł wczoraj u Lajnbrama bezpaszportową z Białegostoku.

— Niech Lajnbram tu przyjdzie!

— On tu jest.

— Ja się z nim zobaczę...

— Potem...

Lecz Siemipudow do przedpokoju wtaczał obłoconego i skrwawionego chłopa.

— Pan policmajster chce z wami mówić!..

Natychmiast chłop w płacz uderzył.

— A... świetny nacelniku!... — zaczął.

Siemipudow usunął się szybko do sieni. Markowskij wyszedł do kancelarji. Tagiejew i chłop pozostali sami.

W przedpokoju było ciemno, tylko z otwartych drzwi jadalni biło prosto szare światło na twarz chłopa, wydobywając jego tragiczną sylwetkę z cienia. Był to typ podmiejskiego chłopa z Królestwa, smutnego i zgnębionego warunkami, w ktorych rozwijać mu się przychodzi.

Krwawa, nie zaschnięta jeszcze rana przecinała mu czoło, skorupa krwi osiadła na policzku i prawej stronie głowy, klejąc włosy czarną, zgęstniałą posoką.

Tagiejew nogi rozstawił, wypiął piersi i oczami na niego błysnął.

— Wy czego?

— Mnie, świetny nacelniku, zbóje na wale obrabowali... — zaczął chłop z lamentem.

Lecz Tagiejew przerwał mu ostro:

— *Kak wasza familja?*

Chłop, już przyuczony do tego pytania, z którem od dziecka spotyka się w Królestwie, odparł:

— Gnat, Bartłomiej Gnat.

— A po ojcu?

Chłop zafrasował się.

— Ojca to ja nie znał...

Tagiejew przybrał srogą minę.

— Jak? co? — wrzasnął.

— A no... proszę nacelnika, ja niby nieślubny syn, to...

Tagiejew skrzywił się i ze wzgardą na chłopa popatrzył.

— Ślicznie! — wyrzekł.

Chłop w głowę się skrobał.

— Świetny nacelniku... — zaczął znowu— ja tu ze skargą, mnie na wale jakieś zbóje obdarli...

— Kiedy?

— Dziś w nocy.

— Co ty robił w nocy na wale?

— Ja... był w mieście i zabawił się trochę...

— Ty się bawił? To ty był *pjan*?

— No... może i trochę, jaśnie nacelniku, ale nie bardzo. Do mnie się czepił taki tutejszy jeden i prowadził do szynku, a potem wywiódł na wał i tam był zaraz drugi i zbili mnie,.. i pieniądze zabrali...

Lecz Tagiejew mu nie dał więcej mówić.

— Co ty śmiesz do władzy przychodzić i czas zabierać? Ty był *pjan*. ty sam gdzie sobie łeb rozwalił, sam pieniądze zgubił... ty ścierwo...

— Świetny naczelniku! Przysięgnę, było ich dwóch...

— *Małczi!* ty był jeden — moi ludzie ciebie widzieli, jak wlazłeś na wał, jak na deski upadłeś,.. jak sobie pysk zakrwawiłeś... Oni się na ciebie zdaleka patrzyli...

Chłop zamilkł i oczy wytrzeszczył.

— A ty Bogu dziękuj, że oni ciebie nie zabrali i do mnie nie przywiedli. A to za *pjanstwo* i za nieporządki na drodze cesarskiej byłbyś karany siedmiorakim aresztem i do gubernji odesłany. Słyszysz, ty wściekła *pjanico*...

— Jaśnie nacelniku...

Aż w kabłąk zgiął się Gnat pod tym krzykiem, pod tą groźbą siedmiorakiego aresztu i odesłania do gubernji.

— No co? co?... — krzyknął znów Tagiejew — co?... czego jeszcze chcesz?

Chłop już nic nie chciał, tylko wydostać się czemprędzej na wolność.

Lecz Tagiejew jeszcze nutę forsował.

— A ty za fałszywy donos, za to, że władzę niepokoisz, powinieneś siedzieć parę dni... słyszysz?...

Chłop odrazu na kolana upadł. Słyszał on, choć był z dalszej wsi, że tu już niejeden chłop przesiedział parę dni w areszcie.

— Jaśnie nacelniku.., — zaczął płaczliwym głosem — a zmiłuj się! nie zamykaj! tam gospodarstwo... i żona słabuje...

— Wy złodzieje sami! — wrzeszczał Tagiejew — a drugich złodziejami robicie. A skąd ty miał pieniądze, skąd?

— Ja krowę sprzedał.

— Ty?... skąd ty na krowę miał, kiedy ty nie gospodarski syn?

— Żonine rodzice dali...

— Ja z ciebie *sprawki* ściągnę, ja się dowiem, skąd ty pieniądze masz...

— Jaśnie nacelniku... Panem Jezusem się świadczę...

Pokora chłopa podniecała coraz silniej histeryczną naturę Tagiejewa.

— *Małczi!* — krzyknął i na chybił - trafił kopnął nogą w stronę chłopa.

Lecz Gnat usunął się w porę, a tylko porwał się z klęczek i ku drzwiom się cofnął.

— Precz! — krzyknął Tagiejew — wynoś się z miasta. A jak się odważysz rozpowiadać, że cię tu na wale obdarli, to będziesz siedział w siedmiorakim areszcie,..

— Nie będę... nie będę... jaśnie nacelniku — wyjąkał, drżąc cały, chłop i klamki szukał. Otworzył wreszcie drzwi do sieni.

— Won z nim — krzyknął Tagiejew.

Lecz nim Siemipudow się ruszył, już chłop po schodach ciężkiemi butami na dół się walił.

Cała sień pełna była interesantów. Stali zbłoceni, pomieszani z policjantami. Byli to żydzi, żydówki, chłopi, kupcy. Dwóch inteligentnych i porządnie odzianych panów czekało z rezygnacją pod ścianą. Najbliżej siebie dostrzegł Mordkę Lajnbrama, który cichy, blady, apatyczny stał skrzywiony i niechętny. Obok niego Josełe Pinkas ze skrzypcami pod pachą szeptał coś z jakimś kupcem, który zafrasowany słuchał, brodę w ręku ukrywszy.

— Mordka Lajnbram!

Spokojnie, bez żadnego śladu wzruszenia, anemiczny mąż Frumele wszedł do przedpokoju.

Rękę tylko zanurzył w kieszeń paltota, który włożył na ten sam kostjum, w jakim przedstawił się Klickiemu we wnętrzu swej nory.

Tagiejew ruch ten dostrzegł.

— Ty... masz *bezpasportną*? — zaczął.

Lecz Lajnbram rękę niemu wyciągnął.

— Ta... jest, proszę pana naczelnika...

W ręku podawał Tagiejewowi dziesięcioru-blowy papierek.

Lecz ten rzucił się jakby go osa upryzła.

— Co ty? — wrzasnął — co ty? — dziesięć rubli mi suniesz? Ty się wściekł!

— Ja muszę jeszcze panu Markowskiemu pięć... — odparł żyd z flegmą.

— To mnie nie obchodzi — ja mam więcej kosztów, jak *bezpasportnych* trzymam w mieście... Ja dwadzieścia pięć... inaczej nie mogę. A to *won* dziewkę nazad w dwadzieścia cztery godzin... słyszysz?

Żyd ani drgnął.

Zdawał się coś obliczać, nad czemś myśleć, zastanawiać się.

— Ja dodam jeszcze trzy ruble... więcej ani kopiejki — wyrzekł wreszcie powoli i stanowczo.

Tagiejew uczuł, iż Lajnbram rzeczywiście więcej łapówki nie da.

— No... dla ciebie, szelmo ty jeden, to zrobię. Ale ostatni raz. — Jeszcze jedno, tak dwadzieścia pięć. A teraz co do Frumele, każ jej tu przyjść. Rumu niech przyniesie, bo mi wyszedł.

Żyd podał policmajstrowi pieniądze.

— Ona miała dziś tu być — wyrzekł — ona chce pozwolenie, aby mogła trzymać otwarte do drugiej...

Tagiejew wargi wydął.

— Ach, wy *skatiny!* — odparł — wy trzymacie otwarte nie do drugiej, ale do rana. Tylko wy pamiętajcie, że ja tam kiedy przyjdę... i zrobię porządek...

Lajnbram rybie swe spokojne oczy utkwił w źrenicach Tagiejewa.

Tyle w nich było pewności siebie, tyle przeszycia na wylot duszy policmajstra, że Tagiejew się zmieszał.

— Lepiej przecie... — wybąknął — jeżeli mieć będziecie rzeczywiście pozwolenie ode mnie i nie będziecie się potrzebowali kryć tak, jak dotąd.

— My się nie kryjemy! — flegmatycznie odparł żyd.

— No... zawsze...

— Josełe nam mówił już o tem... Ale on duży pieniądz podał... Pan policmajster podobno chce aż sto rubli.

Mówił otwarcie — nie owijając nic w bawełnę, cyniczny i szczery.

Tagiejew ręce rozłożył.

— To i tak tanio... — odburknął — koszta mam, koszta...

Widoczne było, że jeszcze chce coś osłonić, lecz Lajbram ramionami ruszył.

— My sto rubli nie mamy.

Tagiejew cicho śmiać się zaczął.

— Sto rubli nie mają! Ot, *skatiny!* Na pieniądzach leżą...

I nagle pięścią pod nos Lajnbrama zajechał.

— Nu... to kiedy nie macie pieniędzy, to już się przypilnuje, żeby wy w oznaczony czas zamykali.

Lajnbram nawet się do ściany nie usunął.

— My sto rubli nie mamy...

— To *won!*... A niech tu Frumele przyjdzie, bo ty, wypluta bestjo, nic nie wiesz i to *jej* proceder.

Żyd jak dwa noże tak wbił swe anemiczne oczy w Tagiejewa.

— My sto rubli nie mamy!

Drzwi otworzył i wyszedł.

Pod progiem czyhał już na jego wyjście Josełe.

— Ja na dwa słowa do pana policmajstrze. Czy mogę?

Tagiejew go wpuścił.

— Czego chcesz?

Josełe jeszcze brudniejszy, jeszcze bardziej cuchnący w dzień niż w nocy, wypełnił ciasną przestrzeń przedpokoju zgniłem ropnem powietrzem.

— Ja panu policmajstrze co powiem... — wyrzekł od progu — jest dobry interes, jest kilka dobrych interesów.

— Gadaj, smrodzie!...

— Aj! aj! co za brzydkie słowo. A Josełe się tylko dla pana policmajstrze stara. Ja sobie pomyślał, że można kazać kupić nowe flagi wszystkim kupcom i obywatelom...

— Kupili dwa lata temu...

— Nu... to się już zniszczyły, a na galówkę to brzydko dla miasta, jak zniszczone flagi wiszą... Niech oni wszyscy nowe kupią.

Tagiejew uważnie słuchać zaczął.

— Ja już obgadał z Izaakiem Feinbube tę sprawę. On flagi sam robić każe, a pan policmajster przykaże, coby tylko od Feinbuba flagi kupowali. Inne będą policjanty zdzierali.

Tagiejew milczał. Ten interes przedstawiał się serjo i mógł przynieść paręset rubli łapówki.

— Ile daje od flagi? — zapytał przyciszonym i jakby pełnym uszanowania głosem.

— On daje rubla... — rzucił Josełe i zmrużywszy figlarnie kaprawe oko, mrugać niem począł.

Tagiejew aż się zapienił. Żyły mu nabiagły fioletową posoką.

— *A stierwa, swołocze... prachwosty...* rubla, a w zęby butem chcesz?...

Groźny ku Josełowi się zbliżał — ten za wieszadła poskoczył.

— Nu... co się ciskać? On może jeszcze podejdzie i na półtora rubla. To jeszcze do zrobienia. On porządny człowiek, on rozumie swój interes.

Tagiejew cofnął się i sapać zaczął.

— Nie on mnie, a ja jego w garści trzymam! — zaśmiał się z pogardą — ja mogę kazać flagi nowe kupować, albo pozwolić stare wymieniać, to moja wola.

— To się wie...

— I taniej nie zrobię, jak dwa ruble od flagi.

— Nu... ja jemu powim... to się zrobi!

Widocznem jednak było, że miał jeszcze inne ważniejsze sprawy do załatwienia. Oglądał się na drzwi, do jadalni prowadzące.

— Ja mam jeszcze co powiedzieć...

Tagiejew zrozumiał.

Wszedł do jadalni, za nim posunął Josełe w obłoku swej kloacznej woni.

Wyszedłszy, drzwi zamknął i tajemniczo wyrzekł:

— Oni się buntują...

Tagiejew szybko się ku niemu odwrócił.

— Czego chcą?...

— Im ciągle o ten bazar idzie...

Tagiejew pięścią w stół walnął tak, że zastawa do herbaty zadźwięczała gwałtownie.

— Nie pozwolę i nie pozwolę...

— Oni znów chcą wnieść podanie do rządu gubernialnego.

— To im nic nie pomoże.

— Ja im także tak mówię.

Tagiejew wzburzony zaczął latać po pokoju.

— Ot, *ryła pohane*!... Targować to chcą dziennie setki, a ciężko im złożyć się, aby... ot co... ot co...

Josełe znów oczkiem mrugnął.

— Ja im mówił. Niech się panowie kupcy złożą choć trzysta rubli, i ja, Josełe, w tem,

że pan policmajster pozwoli na to, żeby targi po staremu zostały na wale, a nie z musu w „Nowym Bazarze". Ja im tłumaczył sto razy nie raz, że oni sami więcej dziennie tracą przez to, że im nie wolno targować na wale...

— No i co?...

— Oni mówią, że trzysta rubli, to duży pieniądz.

Tagiejew zatrzymał się chwileczkę. Wreszcie nabrał powietrza — i wyzionął całą serję przekleństw, w których „macierzyństwo" było srodze obrażone.

— To niech dalej targują w bazarze, *mordy* jedne... — zakończył wreszcie, osuwając się na krzesło.

Josełe głową ze współczuciem udanem kiwał.

— Aj! aj! biedny pan naczelnik — tak się martwi, tak się gniewa!... Niech pan naczelnik mnie to zostawi, ja już z nimi pogadam. Może oni rozum nabiorą..,

Układną minę przybierał.

— Pan policmajster może i o biednym Josełe nie zapomni.

Lecz Tagiejew przypomniał sobie widocznie o Klickim i gniew w nim zawrzał ku temu intruzowi, który nagle najniepotrzebniej w jego sprawy się wmieszał.

— A... ten durak z Krakowa? — zapytał, zbliżając się do stołu i sięgając po szklankę,

aby sobie nalać herbaty. — Czy ten *skatina* jeszcze tu długo będzie siedział?

Josełe skrzywił się z pogardą.

— Ten... pan... co my go wczoraj po błocie wodzili?

— No... on!

— E... on pojedzie. Ale on coś zdaje się do *doczki* Horskiego zajeżdża. Chce się na niej żenić.

— *Czto?*

Tagiejew specjalnie nienawidził Horskiego. Ten spokojny, zamożny kupiec imponował mu. Tagiejew czuł w nim pewną siłę, steroryzowaną na razie, ale wiedział, iż ta siła mogła w danej chwili wybuchnąć i przeciw niemu pociągnąć może całe miasto.

— Ten Klicki musi stąd iść *won*!...

Josełe poskrobał się w głowę.

— Nu... może on ma paszport nie w porządku... — rzucił, jakby mimochodem.

Tagiejew się zamyślił.

— *Uwidim*! — odparł.

Przeraziła go myśl, iż Klicki wie za dużo, wie o dzisiejszej nocnej kradzieży, o Barłamowie — może rozpowiedzieć to Horskiemu, w danej chwili mogą przeciw niemu mieć jakieś konkretne dowody.

Do tej chwili szło wszystko gładko. Nikt się nie buntował, nikt na gorącym uczynku nie złowił ani jego, ani jego wspólników.

Josełowi widocznie nie na rękę było zasumowanie się Tagiejewa.

— Pan naczelnik smutny? — zaczął układnie — a ja chciałem co dobrego powiedzieć... Ta panna Roza Montag, ona już jest bardzo zmartwiona...

Tagiejew zaczął uszami strzydz.

— Ja dziś u niej był z samego rana. Ona płacze i mówi, że i głodna, i zimno. Ona niedługo się zgodzi przyjąć pana naczelnika... żebym tak zdrów był.

Oblicze Tagiejewa rozjaśniło się radośnie.

— Ty jej powiedz, że ja ze sobą paszport przyniosę i że zaraz na drugi dzień będzie mogła jechać.

— Nu... ja jej to mówił.

— A ona?

— Jeszcze płacze, ale ona się zgodzi... Ona będzie jeszcze bardzo kontentna... Ona się cieszyć będzie, że ją taki honor spotkał i że taki śliczny mężczyzna, jak pan policmajster, dla niej łaskawy.

Tagiejew mimowoli w lustro łypnął.

Ów „śliczny mężczyzna" przedstawiał się jako gruby, pniakowaty, ze szczeciną na głowie, czerwony i nieumyty czterdziestolatek — ale Tagiejew musiał sam sobą być zachwycony, bo uśmiechał się łaskawie do odbitego w lustrze konterfektu.

Uśmiech ten pochwycił w lot Josełe i obleśnie zbliżył się do Tagiejewa.

— Już ja tak ustroję — szepnął, a wyraz niehamowanej zmysłowości ubarwił mu wstrętną twarz — że i panna Montag będzie dla pana

naczelnika łaskawa i kupcy postąpią za te targi na wale, tylko pan naczelnik i dla mnie coś zrobi. Tu przyjdzie Szlojme Rosenduft, ten bogaty Szlojme, prosić pana policmajstra o pozwolenie grania na weselu córki. Niech pan policmajster jemu takie pozwolenie wyda, ale niech on mnie weźmie za muzykanta. On chce sprowadzić muzykanta z innego miasta, bo on mówi, że ja za drogi... Ale jak pan naczelnik mu tylko pod tym warunkiem pozwolenie wyda, że on mnie weźmie, to ja ładnie zarobię i...

— Nu, dobrze!... — przerwał mu Tagiejew — ale on mnie musi za pozwolenie wino przysłać.

— On przyśle!

— Dziesięć flaszek.

— On przyśle...

— No... a...

Josełe w mig zrozumiał.

— A ja panu naczelnikowi trzecią część z tego, co zarobię, święcie przyniosę... Josełe nie oszuka... On jest uczciwy człowiek. Szlojme zapłaci, bo onby nie chciał mieć wstyd, żeby u niego było wesele bez muzyki... Ny... ist git!...

Podskoczył i w lansadach ku przedpokojowi posunął.

Tagiejew go skinieniem ręki zatrzymał.

— A ty idź do tego... z Krakowa, tego... Klickiego i poradź mu, żeby jechał i żeby język za zębami trzymał.

Josełe ręką machnął.

— Już wim!... — wrzasnął — on tu zimować nie będzie!...

Wypadł do przedpokoju, a stamtąd do sieni. Tagiejew herbatę nalaną powoli pił, nie śpiesząc się wcale. Dzień przedstawiał się nieźle. Zyski były już w powietrzu. Łapówki leciały jak ptaki w samotrzask.

Tymczasem w sieni tłok stawał się coraz większy. Już schody były zapchane. Wszyscy mieli miny przygnębione i smutne. Na każdym z tych ludzi znać było straszną dłoń żelazną, gniotącą go w najdrobniejszych jego odruchach życiowych. Szli z rezygnacją przeważnie nieść swą daninę temu smokowi, który, wyciągając rękę po krwawo często zapracowany zarobek, drugą rękę zaciskał w kułak i pod oczy sunął. Niektórzy buntowali się jeszcze, próbowali „stawać okoniem", lecz wprędce, zgnębieni drobiazgową podłotą i gnębieniem na każdym kroku, tracili wolę i energję.

Coraz silniej, coraz ciaśniej zasuwała się dokoła całego miasta żelazna obroża wyzysku. Hydra jakaś w ramiona swoje zagarniała tę garstkę domów, cisnących się na ubogiej przestrzeni, cuchnącej i źle utrzymanej. Hydra ta straszna ssała wszystko, co wyssać było można, nie gardząc niczem, najdrobniejszą daniną, którą jej przemoc ku sobie ściągnąć była w stanie.

Tłum ludzi milczących z datkami, przeważnie już przygotowanymi, tłoczył się w czar-

nej i pleśnią okrytej klatce schodowej. Pomiędzy nim przeciskał się i uwijał jak rudy robak Josełe, szepcząc ciągle tajemniczo z każdym, porozumiewając się swoją łamaną polszczyzną, to znów szwargocąc żargonem, „urabiając" już interesa, czy to dla Tagiejewa, czy dla Markowskiego.

Bo nie dość było wejść do owego przedpokoju, który stanowił widocznie rodzaj poufnej kancelarji policmajstra. Grube drzwi i portjera z sołdackiego sukna, specjalne na ten cel zawieszona, tłumiła doskonale wszystkie głosy, któreby mogły przedostać się z przedpokoju do sieni. Lecz jeszcze należało wejść potem na prawo, do kancelarji, w której we dnie, w smrodzie i ohydnem gorącu, bijącem z rozpalonego pieca, rezydował Markowskij.

Jakkolwiek on trudnił się przeważnie pobieraniem łapówek za paszporty, to przecież i za inne sprawy należało się zawsze opłacić „pomocnikowi". W miarę daniny złożonej Tagiejewowi i ta skromna sumka ginęła w ręku wysokiego, ponurego i wiecznie niezadowolonego pomocnika. Tylko — przynajmniej Markowskij nie obchodził się gburowato i nie podjeżdżał kułakiem pod oczy. Czasem obraził „macierzyństwo", ale i to pod nosem. Być może, iż obecność pisarzy kancelaryjnych nie dozwalała mu na tagiejewskie wybryki, być może, iż natura jego nie potrzebowała podobnych ujść, a nawet doznawałaby pewnej przykrości. Dość, że w kancelarji sprawy za-

łatwiały się szybko, cicho — bez wrzasku. Ogromna szafa ustawiona w poprzek odcinała część izby i tworzyła ciemny zakamarek, w który usuwał się z interesantami Markowskij. Kilka słów zamienionych szeptem, czasem tylko kilka gestów, i sprawa była załatwiona.

Nie mniej jednak, choć w innej poprowadzony formie, i ten wyzysk ciężył strasznie na mieszkańcach miasteczka. Gdy który z nich po załatwieniu „sprawy", wychodził wreszcie na ulicę, miał minę człowieka złupionego ze skóry w zaułku ciemnego lasu.

I co najgorsze, wiedział, że się powtórzy— że będzie musiał znów powrócić na te straszne schody, do tego przedpokoju za portjerę z sołdackiego sukna — że będzie musiał patrzeć na zapienioną twarz Tagiejewa, słuchać jego wrzasku, a potem w smrodzie i gorącu w kącie za szafą spotkać wyciągniętą rękę Markowskiego... Wszystko to się powtórzy.

I może niedługo.

Bo hydra nigdy nasycić się nie może.

I nie śpi...

. . . . . .

Całym korowodem smutnym wchodzili teraz „interesowani" — do przedpokoju Tagiejewa.

On — w miarę ich przybywania stawał się coraz sroższy i bardziej nienasycony. Były chwile, w których się zdawało, że chciałby ich wszystkich razem zebrać, otoczyć postronkiem i targać nimi, wołając: „dawajcie wszystko,

co macie przy sobie!" — Jakiś szał go porywał — szał praktyk tego rodzaju odbywanych już całe lata, które, z początku nieśmiało uprawiane, coraz więcej nabierały mocy i czelności, wypychając obsłonki, po za któremi się kryły.

W tłuszcz, w pieniądze, w zadowolenie zmysłowe wzrastając, Tagiejew — opierał się teraz na silnej podstawie, jaką daje zwykle przyjęte i akceptowane milczącą ugodą prawo zwyczaju. Silne prawo, nienaruszone — w krew wrosłe...

Ten szary, smutny poranek, który ołowianą kopułą zaciążył nad miasteczkiem, był jednym z szeregu takich samych ranków, które bez zmiany płynęły dla niego pieniędzmi, wydieranemi od tego tłumu, który zrezygnowany tłoczył się pod drzwi jego.

I Tagiejew bez troski był prawie, bo wiedział, że mu ten ranek przywiedzie cały szereg innych ranków, i cały korowód takich zrezygnowanych ludzi, mających już przygotowane dla niego pieniądze w drżących rękach.

I dlatego Tagiejew obrastał w tłuszcz i w pieniądze.

XII

JÓZIA OD MATOŁKOWSKIEJ. UNITA. MŁODZI I STARZY. PROJEKT PROTESTU SIĘ WYŁANIA

Od policmajstra, „dieła“ załatwiwszy, Josełe Pinkas jak na skrzydłach frunął do hotelu.

Sam gospodarz już wstał dawno i teraz po dziedzińcu chodził, ujadając się z furmanami, którzy u niego tej nocy w stajniach nocowali. Czynił to jednak z pewną godnością, przystosowaną do jego dość przyzwoitej powierzchowności. Widać było, że ten człowiek dużemi krokami idzie do majątku, że gardzi drobiazgami, a chwyta się już troszkę większych przedsiębiorstw, które mogłyby mu dać cokolwiek większy zarobek.

Josełe Pinkas przed bramą natknął się na Barłamowa.

Policjant był zły, niewyspany i dźwigał z trudnością swój brzuch rozdęty i nieforemny.

Josełe ku niemu poskoczył.

— *Zdrastwujtie*, Barłamow! — skrzeknął — wy lepiej nie jawcie się dziś u policmajstra. Mnie Markowskij mówił, że on na was gniewny. Wy sami mogli wpaść w brzydki interes i pana policmajstra pociągnąć. Ale on człowiek uczciwy, on was wyratował. My dopomogli!...

Barłamow obojętnie tej przemowy wysłuchał.

— *Naplewat'!* — wyrzekł, charakterystycznym ruchem machając ręką.

— Ny... — ciągnął Josełe — a co wy mnie dacie, Barłamow, za to, że ja was z tej historji wyskrobał?

— Ty?

— Ny — ja. — Przecie ja dał znać panu policmajstrowi i panu Markowskiemu. Ja tego pana z Krakowa tak długo po błocie wodził, aż tamci dwaj od „mamusi" uciekli. Ja to wszystko ustroił...

Barłamow westchnął — do kieszeni sięgnął i trochę drobnej monety Pinkasowi w łapę wysypał.

Pinkas skrzywił się niezadowolony.

— Ej!... wy Barłamow strasznie się skąpi zrobili... ej, to źle...

Lecz już mówić dalej nie mógł, bo od strony wału krzyk się podniósł i aż na Rynek wichrem gnany przypadł.

— To dziś *nasi* operują? — zapytał cicho Pinkas Barłamowa.

Policjant głową kiwnął.

— Nie będą dużo robić. Tylko nową

sztuczkę. Będą zasłaniać oczy chłopom i pytać „kto ja?“ — a drugi mu pomaca kieszenie.

Pinkas aż cuchnącą gębę rozdziawił z podziwu.

— Ny... ny...—cmoknął.—Kto to *wydumał*? — * *!

— To chwat! to brylant!... ten wszystko wymyśli.

Krzyk znów się ponowił. Przechodzący przez Rynek nawet nie zwrócili głowy w tę stronę, skąd się krzyk wydobywał.

Barłamow się dźwignął.

— Idę! *praszczaj jewrej* — wyrzekł w formie pożegnania do muzykanta.

Lecz on już nie słuchał, bo cały był wpatrzony w zbliżającą się do hotelu postać kobiecą. Była to dziewczyna młoda, dość ładna, ale z twarzą jakby uwędzoną i przywiędłą. Ubrana była jak przeciętna pokojówka, ale jakiś fontaż różowy, zawiązany wyzywająco, strojnie uczesana głowa czyniły ją podobną raczej do typu dziewczyny, usługującej w restauracjach lub kawiarniach nocnych.

Szła ostrożnie przez błoto, wybierając suchsze miejsca i stawiając pretensjonalnie nogi duże i gminne, odziane w wysokie, zapinane na guziki buciki.

W ręku trzymała list i zmierzała widocznie prosto do hotelu.

Josełe, zobaczywszy nadchodzącą, puścił Barłamowa, który w stronę wału zawrócił, i do dziewczyny przypadł.

— Panna Józia gdzie? — zapytał ciekawie.

Nazwana panną Józią — cielęce, błękitne oczy zmrużyła i z dużą nonszalanją odparła:

— A tobie, parchu, co do tego?

Josełe ciągle miał układną minę.

— Mnie, nic... Tylko... Markowskij kazał pannie Józi powiedzieć, że bardzo się gniewa, że panna u niego dwa dni nie była.

Panna Józia wpadła we wściekłość.

— Szlagby go trafił, twego Markowskiego! — wyrzekła grubym głosem. — Jeżeli nie byłam, to dlatego, że mi się nie podobało...

— Ny... może... — odparł Josełe — ale panna nie powinna tak robić. On pannę od restauracji pani Matołkowskiej wziął, wykupił, dług zapłacił, sukien nasprawiał i tu przywiózł.

— Ojej! — cisnęła się Józia — wielkie mi szczęście... Tam za mną studenty i oficerowie we łby sobie strzelali, a taki tam pomocnik policmajstra to dla mnie żadna figura. I teraz kazał mi iść w służbę.

Josełe obejrzał się na wszystkie strony.

— Panna Józia wie, że to tymczasem, tylko na jakiś czas... — szepnął — Markowskij nikomu nie mógł tak zawierzyć... On pannie Józi wynagrodzi.

— Ij!... gruszki na wierzbie.

— Ny... już ja ręczę. On porządny człowiek. Niech panna Józia do niego idzie dziś jeszcze.

— Właśnie, że nie mogę, bo będą goście.

Ten pan z Krakowa będzie na obiedzie. Do niego idę z listem...

— Ny... ny... to już dobrze... to niech panna Józia dobrze uszami strzyże i słucha. A co tylko na pana Tagiejewa, albo na pana Markowskiego posłyszy, proszę dobrze zapamiętać i powtórzyć.

— Ja do tej pory nic nie słyszałam. Oni się strzegą...

— No... no... Dobrze tylko pilnować, a nie ustrzegą się. Do widzenia pannie!

Podreptał w stronę Izaaka Feinbube i za chwilę obaj, zapchani pod szopę, naradzali się i obliczali, po ile będzie można nowe flagi sprzedawać i ile z tego można Tagiejewowi w formie łapówki odstąpić.

Tymczasem panna Józia weszła po schodach na kurytarz i skierowała się do numeru Klickiego.

W chwili, gdy pukała do drzwi, rozległ się w numerze sąsiednim wystrzał rewolwerowy. To oficer, zostawiony „w załog", dawał w ten sposób znać numerowemu, że się obudził i pragnie napić się czaju.

Klicki, zbudzony wystrzałem, pukaniem i piskiem Józi, wyskoczył z łóżka i uchyliwszy drzwi, list odebrał.

Było to parę słów od Jani, która ponawiała zaproszenie na obiad i zapytywała, czy nic mu się złego w ciągu nocy nie przytrafiło.

„Żyjemy tu jak na wulkanie, w ciągłej niepewności. Pan nie tutejszy, tembardziej

mógł popaść w jakie niebezpieczeństwo. Tacio nie mógł sobie darować, żeśmy pana tak samego puścili. Ja byłam niespokojna całą noc".

Klicki list do ust przycisnął.

Odpisał kilka słów, zapewnił, że się stawi i przeze drzwi Józi wraz z trochą drobnej monety podał. Dziewczyna schowała list i pieniądze i schodzić zaczęła. Widocznie była dobrze obznajmiona z rozkładem hotelu. Idąc, przeglądała się w krzywych i upstrzonych przez muchy lustrach. Przypomniała sobie, że kilka miesięcy temu przyjechała jako „sadierżanka" pana Markowskiego z Warszawy i w tajemnicy spędziła w tym hotelu długi czas w bezczynności i lenistwie. Potem — Markowskij, poznawszy jej spryt, zaczął ją używać do rozmaitych posług policyjnych, i z niektórych Józia wywiązywała się zadowalniająco.

Większą misją, powierzoną jej, było osadzenie w roli pokojówki u Horskich, aby zbadała teren i usposobienie kupiectwa dla Tagiejewa. Od pewnego czasu bowiem węch Markowskiego wyczuwał jakieś głuche wrzenie. Tagiejew, mniej subtelny, tego nie dostrzegał, Markowskij jak pies węszył i czuwał.

Józia z westchnieniem przeszła koło dawniej zajmowanego przez siebie numeru. Chętnie byłaby wróciła do dawnego bezczynnego życia, ale była to istota o dziwnie małej inicjatywie i robiąca zawsze to, co jej ktoś kazał. Dawniej kręciła nią Matołkowska, właści-

cielka nocnej knajpy na Marszałkowskiej ulicy, obecnie wziął ją w posiadanie Markowskij i z jego szponów nie umiała się wywikłać odpowiednio.

Klicki ubrał się powoli i, gdy Proszowski przyniósł mu z trudem oczyszczone buty i ubranie, odłożył je, gdyż jeszcze były wilgotne i niemożliwe do użycia.

Klicki dostrzegl, iż numerowy czegoś chce, lecz widocznie nie śmie powiedzieć.

Jego poczciwa, spokojna twarz z obwisłemi wąsami — uparta i znamionująca dużą siłę duchową — ciągnęła wzrok ku sobie.

— Czy chcecie czego ode mnie? — zapytał Klicki.

Proszowski uśmiechnął się nieśmiało.

— A to...

Ręką na samowar stojący na stole wskazał.

— Chciałbym wziąć z tego szklankę herbaty.

— Ależ weźcie, dwie, trzy...

— Dziękuję welmożnemu panu. To nie dla mnie, ale to dla tej... co tam w numerze zębami dzwoni.

— A!... dla Rozy Montag.

— A no... a no... Kupić nie ma za co, wyjechać nie może, a mizerne to i blade, więc chcę jej zanieść.

— Ależ dobrze. Zanieście i bułki, i kupcie sera, masła — co chcecie. Oto rubel...

Podawał Proszowskiemu pieniądze. Numerowy wziął i pokręcił głową.

— Wielmożny pan dobry, zacny... Ja kupię jej trochę jeść i w piecu jej zapalę. Ale...— zatrzymał się zafrasowany.

— No... niech Proszowski mówi.

— Ale... ja błagam łaski pana, niech nikt o tem nie wie. Oniby mnie wygnali za to, że ja naprzeciw policmajstra idę. I gospodarz i my mamy przykazane nic jej nie dać, póki ona... nie zgodzi się przyjąć policmajstra.

— Ja wiem, ona mi to mówiła.

— Ale przecie to nie po Bożemu, to straszny gwałt tak głodem kobietę do łajdactwa zmuszać. Ja już jej dwa razy co przyniósł, ale ja biedny, nie mam nic. A potem ja muszę ich słuchać, a oni mnie za to w spokoju zostawiają...

— Cóż wyście znów zrobili takiego, że się ich boicie?...

Twarz Proszowskiego powlokła się ciężką zadumą. Rysy wyszlachetniały — zrobił się dziwnie piękny w tej melancholji, jaką twarz jego opływała.

— Ja nie zrobił nic...—wyrzekł powoli — ale ja jestem...

Słowo mu uwięzło w gardle.

Widać było, iż mimo wszystko powiedzieć nie chce i nie powie.

Klicki nie nalegał.

Jakieś wielkie tragiczne tchnienie wypełniło cały pokój.

Powiało grozą, męczeństwem, prześladowaniem ogromnem, które graniczyło z boha-

terstwem i w mroki dziejów strugą krwawą spływało.

Klicki czuł, że ten chłop pochylony dźwiga na sobie piętno martyrologji niezwykłej, że dokoła niego snuje się tajemnica nie zbrodni, lecz jakiejś mistycznej siły.

Z ramion zdawały mu się tryskać skrzydła, a z oczu płynąć jasne strumienie zbożnych myśli.

Miał w sobie prostotę gołębia i nieugiętość dębu, który w burzy, gromami brzemiennej, stoi niewzruszony, a jeno gałęziami szumi, jakby łkał nad dolą swoją.

Klicki milcząc patrzył, jak ten chłop powoli z pokoju wychodził i zdjął go jakiś wielki szacunek, jakieś uczucie nieznane mu poprzednio tak, jakby stanął nagle przed wspaniałym, opuszczonym kościołem, który najeźdca w dzikim szale znieważył, z ornamentów odarł i wrota zawarł.

Lecz kościół mimo to dźwigał swe mury w nocną pomrokę — wspaniały i dawnem złoceniem błyskający.

— *Hospody pomyłuj!...* — jęczało od wnętrza — *Hospody!..*

Lampa zgaszona nie tliła się już, ani dym kadzielnic nie bił pod kopułę mgłą wstęg opalonych.

Lecz lampa ta, gasnąc, zdawała się płomień swój dzielić na tysiące płomyków i miast w kryształowe ściany w serca ludzkie je ukrywać.

A przeto gdy szedł potem taki człowiek po świecie, co miał w piersi swej cząstkę płomienia lampy cerkiewnej — od niego biła łuna światła ciepłego i jakieś krwawe zostawiała blaski.

Długo jeszcze Klicki patrzył we drzwi, przez które znikł — unita.

. . . . . .

W różowej bluzce, cała różowa — z aureolą złotych włosów Jania powitała Klickiego na progu saloniku.

— Niech pan wejdzie, tacio zaraz przyjdzie.

Wydała mu się jeszcze piękniejszą dnia tego i choć światło było szare i bezsłoneczne, to przecież, gdy ją taką różową i złotą ujrzał, rozsłoneczniło mu się w duszy.

Zapomniał o dzisiejszej nocy, o tej włóczędze strasznej po błocie w otoczeniu sfinksów w mundurach policyjnych, o bytności swej u Mordki Lajnbrama i ohydzie, jaka się przed jego oczyma wśród szmat i kłębów dymu roztoczyła.

Do ręki Jani przypadł — całował jej dłoń ciepłą i młodością pachnącą — jakby pił wodę świeżą ze źródła, które przed nim nagle wytrysło.

Ona troszkę się wzbraniała.

— Proszę... proszę pana... Tacio zaraz nadejdzie...

Wreszcie uspokoił się. Usiedli przy okrągłym stole, okrytym pluszową serwetą, na którym wznosiła się wspaniała lampa. Wogóle

biło tu dość zamożnością solidną. Meble były stare, ale mahoniowe. Kilka pięknych antyków, jakiś sepecik, gdańskie biurko, stało po kątach. Nie brakowało naturalnie i rzeczy brzydkich, jakichś stoliczków przystrojonych szyszkami, półek ubranych muszlami, które w innem usposobieniu byłyby nadzwyczaj niemile dotknęły Klickiego, lecz tu, wobec złotych włosów i dziecięcych ślicznych uśmiechów siedzącej naprzeciw niego dziewczynki, pobłażliwie przez niego przyjęte zostały.

— Więc... naprawdę, nic się panu złego nie stało? — pytała Jania, składając ręce.

— Przecież mnie pani widzi. Jestem zdrów i cały.

— Dzięki Bogu!

— Czegoż się pani bała?

— Żeby pan...

Przyciszyła głos i wreszcie dodała.

— *Z nimi* nie zadarł.

Klicki już wiedział, co znaczy owe „oni".

— Z policją?...

— Tak.

— E! nie tacy oni straszni. Spędziłem właśnie z nimi prawie całą noc.

W tej chwili wszedł Horski do domu.

— Całą noc? gdzie? — zapytał, ściskając rękę Klickiego.

— Z policją!

Horski rękami plasnął.

— Jezus Marja!... i pan żyje?

— Jak pan widzi.

— Jak się pan nie bał iść im w szpony!

— Oto — nie bałem się.

— Jeszcze pan nie tutejszy.

— Właśnie może dlatego.

Ojciec z córką patrzyli na siebie z wyrazem przestrachu.

— Co pan chciał od nich?

— Drobnostkę. Chciałem, żeby złapali wczorajszych zbrodniarzy.

Horski ramionami wzruszył. Jania roześmiała się cicho.

— Także pan zachciałeś!.. — wyrzekł Horski — trzeba było lepiej zażądać, żeby sprowadzili słońce na ziemię.

— Przekonałem się o tem.

Horski zafrasowany zaczął chodzić po pokoju.

— Dziękuj pan Bogu, że pana Tagiejew nie widział.

— Właśnie, że mnie widział.

— Gdzie?!

— U siebie.

— Był pan u niego?

— Tak... w nocy. Grał na skrzypcach. Chciał mnie częstować herbatą. Potem dał mi policję i poszliśmy na wał.

Horski ze zdumieniem na Klickiego patrzał.

— To pan odważny.

I dodał serjo głosem zmienionym:

— Ja za nic... słyszy pan, za nic nie poszedłbym tak w nocy z nimi na wał, ani nie udałbym się do Tagiejewa.

Do salonu wsunęła się cicho Józia.

— Czy podawać obiad?

Klickiemu się zdawało, że widział od chwili wejścia do salonu rąbek sukni dziewczyny, wysuwającej się z poza portjery.

Horski spojrzał na zegarek.

— Podawaj! — wyrzekł — panicz nadjedzie za kwandrans, ale mnie się piekielnie jeść chce.

Jania wstała skierowała się ku jadalni.

— No... pani gospodyni! — zaśmiał się Horski — pokaż, co umiesz!

Jania spiekła raka i wybiegła z salonu.

Horski patrzał za nią z pewnem rozrzewnieniem.

— Gospodyni!— wyrzekł ze smutkiem — już tak od śmierci matki przyucza się do gospodarstwa. Ale strasznie to jeszcze młode i roztrzepane. Umyślnie przecież nie wpływam, aby spoważniała, umyślnie.

— To wielki wdzięk w pannie Jani ta jej wesołość — podparł gorąco Klicki.

Lecz Horski głową pokręcił.

— Tu nie chodzi o wdzięk, panie łaskawy, ale o jej własne dobro. Brat jej zaraz przyjedzie. Zobaczy go pan... Jest to młody starzec. Ma lat ośmnaście, a nie roześmieje się nigdy. Poważny, smutny, zdaje się dźwigać na ramionach jakieś straszne ciężary. Nie uwierzy pan, jak mnie to boli, gdy na niego patrzę. Wychowywał się po za domem. Ja byłem zajęty handlem. Matka rozwijała w nim bardzo serce...

ot teraz chłopak zgnębiony, zamyślony, jakiś skryty.

— Może zmęczony nauką?

— Może i to, panie... Musi kuć wszystko po rosyjsku, to podwójna praca... I ostro ich strasznie trzymają... Szykany im robią. Jego podobno specjalnie nie lubią, ale on się im nie daje i nic mu nie mają do zarzucenia.

— Dlaczego go pan nie wyśle zagranicę, naprzykład do nas, do Galicji?

Horski ze zdziwieniem na Klickiego spojrzał.

—Jakiż byłby w tem sens? — zapytał. — Przecie chłopak tu będzie żył, to musi kształcić się w miejscowych warunkach.

— Prawda!

W obramowaniu portjer ukazała się Jania.

— Proszę panów do stołu!

Była rumiana, widocznie od ognia kuchennego. Uśmiechnęła się milutko.

Gdy Klicki z Horskim weszli do jadalni — ślicznie nakryty stół, ubrany kwiatami, ładna zastawa, srebro błyszczące na śnieżnem tle obrazów, biel firanek, nakrywających okna — wszystko to sprawiało nadzwyczaj miłe wrażenie.

Klicki pomyślał wtedy, iż można się nawet pogodzić ze szczegółami domowej atmosfery i znaleźć w nich pewien wdzięk i piękno.

Zasiedli do stołu.

Usługiwała Józia. Chodziła dość zręcznie z talerzami, ale chwilami miała jakiś ruch, przypominający Klickiemu podrzędne restaura-

cje. Wychodząc, nie zamykała drzwi, otwierała je znów czasem pchnięciem nogi. Podając mu półmisek, uśmiechała się szablonowo. Horscy jednak zdawali się nie dostrzegać dwuznacznych manier swej pokojówki. Przeciwnie, Jania zdawała się traktować ją nawet z pewnem wyróżnieniem.

W połowie obiadu zajechała dorożka.

Jania porwała się do okna.

— Kazio!

Jak strzała wybiegła do przedpokoju.

— Chłopiec przyjeżdża na rosyjskie święta... Staram się go ściągać do domu, aby nie stracił spójni ze swem rodzinnem miastem, w którem mu żyć przyjdzie...— objaśniał Horski.

— Czy ma objąć po panu handel?

— Niech Bóg broni!... W takich warunkach, w jakich my jesteśmy obecnie, to niepodobieństwo. A toż policja z nas krew wypija, panie kochany.

— Czemu się nie bronicie?

Horski chciał odpowiedzieć, lecz drzwi się otwarły i Jania wprowadziła z triumfem prześlicznego młodego chłopca w mundurze gimnazjalnym, który do ojca podszedł i z nadzwyczajną powagą w rękę go pocałował.

— Pociąg się spóźnił? — zapytał go Horski.

— Tak, ojcze!

— Głodny jesteś?

— Nie, ojcze!

— Nic nie szkodzi... Siadaj i jedz... Po podróży apetyt przyjść musi.

Wziął syna pod ramię i przedstawił Klickiemu.

— Mój syn... — pan Klicki z Krakowa...

Coś błysło w szafirowych ogromnych źrenicach chłopca. Spojrzał prosto w oczy Klickiego. Ciepłe tchnienie sympatji powiało wspólnie z tych dwóch par źrenic. Klickiego uderzyła nietylko dziwna piękność bladej, regularnej twarzy chłopca, lecz jej wyraz zarazem rozumny, ale i przepojony jakąś mistyczną potęgą.

Horski z widoczną miłością patrzył także na syna, lecz Kazimierz nie zwrócił się ani razu ciepłem spojrzeniem ku ojcu. Klicki od razu wyczuł tu rozdźwięk *młodych i starych*, pomimo, że ze strony starego płynęła wielka a dobrotliwa chęć serdecznego porozumienia i wzajemnego odczucia wspólności myśli.

Jania spoważniała także i, usiadłszy obok brata, starała się zastosować do ogólnego nastroju, jaki się wytworzył z chwilą wejścia chłopca pod dach rodzinny.

Horski, z początku rozjaśniony przybyciem syna, podtrzymywał rozmowę, zwracając się co chwila do Kazia. Lecz trudno było wciągnąć chłopca w rozmowę. Odpowiadał krótko, jadł mało, widoczne było, iż duchem unosił się gdzieindziej. Wszedłszy, nie ogarnął miłosnem wejrzeniem ścian rodzinnego domu, tylko zachował się tak, jakby wszedł do mieszkania obcego, które widzi po raz pierwszy, a może i ostatni w życiu. Tak samo widocz-

nie zachowywał się względem siostry i ojca. Byli to jego wypadkowi znajomi, nic więcej.

Klicki doznał zdziwienia.

Wszakże Horski mówił mu niedawno, że w Kaziu matka rozwijała głównie stronę sercową. W jakimże kierunku poszła ta jego uczuciowość, jeśli rodzina nie otrzymała jej ani cząstki?

Powtórne jednak spojrzenie, jakie zamienił z Kaziem, i ten ciepły prąd bijący z oczu chłopca, gdy patrzył na Klickiego, kazały mu przypuszczać, że ta serdeczna strona istnieje rzeczywiście w istocie Kazia. Jakie są jednak jej przejawy — jaką obrała sobie ścieżkę i ujście, tego zbadać narazie nie był w stanie.

Atmosfera mimo to panująca obecnie w jadalni, mimo wysiłków Horskiego i dobrej woli Klickiego — stawała się coraz przykrzejszą i bardziej surową. Horskiemu brózda przecięła czoło. Jania jakby strwożona krzątała się koło brata — Klicki sam czuł się nie swój i jakby skrępowany. Ten milczący chłopak zdawał się zbierać to, co mówili dokoła niego, analizować — sądzić — ważyć.

Słowa marły na ustach.

Wiatr zerwał się — przykry, zimny wicher wczesnej wiosny, która na mazowieckich równiach szarem, lodowem widmem się skrada i rozwiewa swe mroźne skrzydła nad smutne, zmrożone w brózdach resztki stopionych śniegów.

Wicher ten szyldem starym o ścianę domu walił.

Kazio od talerza głowę podniósł.

— Nienaprawiony? — zapytał.

— Nie — odparł Horski.

Kazio ramionami ruszył.

— Ja ojca nie pojmuję...—wyrzekł niskim, już ustawionym głosem

Horski szczęśliwy, że coś wreszcie zdołało zainteresować syna, ręce bezradnie rozłożył.

— Co chcesz... jestem bezsilny.

Kazio brwi zmarszczył.

— Bezsilny? — powtórzył—nie, ale ojciec jest bez woli.

— Muszę!

— O! mnieby nikt tego nie zakazał! — Tu nie chodzi o głupią deskę, tu chodzi o zasadę. Szyldbym obstalował w Warszawie i w nocy zmienił.

Zwrócił się do Klickiego.

— Pan wie, co się tu dzieje? — zapytał.

— Dorozumiewam się. Policmajster nie pozwala szyldu zmienić...

— Żąda od tacia stu rubli—wtrąciła Jania.

Wszyscy ze zdziwieniem spojrzeli na dziewczynkę.

— Skąd ty wiesz? — zapytał Horski — mnie jeszcze Josełe samemu nic nie mówił.

Jania zarumieniła się gwałtownie.

— Mnie to mówiono...

— Ale kto?

— Ja nie mogę powiedzieć... dałam słowo,

że nie zdradzę. Ktoś mi z życzliwości powiedział.

Kazio spojrzał na nią z rodzajem litości.

— Ładna życzliwość!... Kiedy ty potrafisz odróżnić padalca od człowieka?

Jania otworzyła szeroko błękitne ślepki.

— Och, Kaziu! Ta osoba to nie padalec, to bardzo nam przychylna...

Klicki dostrzegł, iż w tej chwili, stawiając na stole cukier miałki do leguminy, Józia miała dwuznaczny uśmieszek na ustach.

Horski przeciął dyskusję brata i siostry.

— No — mniejsza z tem, choć smutno jest, że te gady już zapuszczają swoje macki aż do prywatnych stosunków i, jak w tym wypadku, nawet mi dziecka nie oszczędzą. Cóż?... będę musiał dać te sto rubli, aby szyld zmienić, bo ten lada chwila zabije jakiegoś klijenta.

— Jabym szyld zmienił, a stu rubli bym nie dał — wyrzekł Klicki.

Spojrzał na Kazia, który się trochę ożywił.

— Cieszę się, że jest nas dwóch — wyrzekł — może pan jako obcy wpłynie prędzej na ojca i zdoła w nim choć trochę siły obudzić. Ja nie mogę!

Horski szybko podchwycił.

— Dlaczego pan Klicki?

— Dlatego, że ja ile razy tu przyjadę, tyle razy widzę was coraz więcej uległych i zrezygnowanych. Wobec takiego braku woli, mój zasób siły nie wystarczy.

— Chciałbym cię widzieć na naszem miejscu — odparł Horski — i w naszych warunkach. Ledwo żyjemy. Coraz straszniejszy wyzysk i ucisk. Niedługo do domów wpadać będą bandy, aby nas mordować. I to wszystko nietylko tolerowane przez *nich*, ale podtrzymywane. Taka walka to zje wolę najsilniejszego człowieka.

Kazio uśmiechnął się gorzko.

— E!... — wyrzekł — co tam taka walka wobec tej, którą ja tam przechodzę? która mnie powinna zeżreć i nic nie pozostawić? A przecież...

Nastało milczenie.

Kazio odsunął się od stołu i posępnie patrzył przed siebie, jakby wywoływał wszystkie widma szkolnej tyranji, którą od dziecka przeżył. Twarz jego postarzała, usta śmiały się w bolesnem skupieniu. Jeżeli kiedykolwiek, to w obecnej chwili ten młody chłopiec zasługiwał na miano „młodego starca" --- które mu niedawno ojciec nadał.

Horski patrzył na syna, poczem wzrok przeniósł na Klickiego. Zrozumieli się obaj.

Smutek ogarnął ich wielki.

— Wstańmy! — wyrzekł Horski, podnosząc się z krzesla.

Jania natychmiast zajęła się podaniem kawy do salonu. Kazio ukłonił się i znikł we drzwiach, prowadzących w głąb mieszkania.

Gdy znaleźli się w salonie, Horski pokiwał smutnie głową.

— I co pan na to? — zapytał Klickiego.

Klicki nie umiał na razie znaleźć odpowiedzi.

— Syn pana jest rzeczywiście bardzo poważny — wyrzekł po chwili.

— Nie, panie, on nie jest tylko poważny on jest strasznie smutny. Oto — jakich nam oni synów oddają!... Z rozbitą duszą!

Ostatnie słowa wymówił z tak ogromnym żalem, że nawet określić go było niemożebnem.

— Z rozbitą duszą!

Lecz Klickiemu określenie to wydało się nieodpowiedniem.

— Syn pana nie ma rozbitej duszy! — wyrzekł powoli, ważąc każde słowo — ja sądzę przeciwnie. Dusza jego wydaje mi się bardzo silną i zahartowaną.

Lecz Horski upierał się przy swojem.

— To, panie łaskawy, jest słomiany ogień.

— Czyż go pan kiedy widział *działającego?*

Horski narazie nie umiał znaleźć odpowiedzi.

— Nie wiem, jak pan to myślisz? — wyrzekł.

— A ja panu to zaraz określę. Czy pan widziałeś syna, opierającego się wpływowi wrogiego żywiołu rosyjskiego, chcącego go o ile możności już od dziecka zrusyfikować? Panu się zdaje, że nie. A przecież wszystko, co syn pana do tej chwili uczynił, to właśnie jest takiem dziełem. Pomyśl pan! Dziecko walczy z całą hordą, z całym systemem,

z ogromną mocą, płynącą z góry i wskazującą mu iść po nakreślonej przez nich linji. I dziecko się opiera skutecznie. Ileż ono musi mieć siły, wytrwałości, i czy to, co całe lata trwa nieprzerwanie, taka walka dziecka z systemem wychowawczym rosyjskim, jest... ogniem słomianym?

Klicki uniósł się, mówiąc te słowa.

Nie poznawał siebie.

On — zawsze w Krakowie traktujący życie z punktu artystyczno - utylitarnego z pewnym odcieniem humanizmu — tutaj zaczynał do przejawów życia przykładać miarę inną, która gwałtownie narzucała się, wydobywając się z jakichś jakby zamkniętych komórek jego duszy, tu — gwałtem wypływała kwestja narodowościowa i ta zajmowała główny punkt widzenia, z którego sądziło się zamiary i czyny. Klicki nie doświadczał w Galicji tej potrzeby. Lecz tu przyszło to na niego jak mus, jak rzecz konieczna.

Horski słuchał jego słów z przejęciem.

— Tak — ma pan rację. Nie zastanowiłem się nad tem nigdy. Dotknął mnie jednem. Czy nie uważał pan, z jakiem lekceważeniem odezwał się o tem, co my tu przenosimy, wywyższając swoje zasługi?

— To jest cechą młodzieży! — odparł Klicki — musi się pan z tem pogodzić.

— Dlaczego... przecież i ja byłem młody, a ja takim nie byłem.

Klicki się uśmiechnął.

— Może pan nie pamięta.

— Pamiętam dobrze, pamiętam... Tylko, widzi pan, oni, ci młodzi to są „górni i chmurni" i widzą tylko silne uderzenia młota, a drobnych codziennych ukłuć nie liczą. A takie ukłucia to mogą człowieka zabić. Wszak nasze miasteczko — to jedna zbójecka nora, to eldorado dla opryszków i złodziei. Pan ich jeszcze nie widział przy robocie w całej pełni, ułatwianej przez policję. Tagiejew ich wspiera, dopomaga, bo są dla niego źródłem dochodu. Miasto nasze steroryzowane, zdemoralizowane. Każdy na swoją rękę rozbija, ufny, że nic mu się nie stanie...

Klicki ramionami wzruszył.

— Ależ panie... to wasza wina — podjął gorąco — możecie zrobić podanie do rządu gubernialnego i Tagiejewa wygnać z miejsca.

Horski uśmiechnął się cierpko.

— Kruk krukowi oka nie wykole. Pójdzie Tagiejew, przyślą nam podobną wybrakowaną z głębi Rosji kanalję...

— A ja nie wierzę — przerwał Klicki, — aby nie można było zebrać kilkudziesięciu obywateli, którzyby wreszcie zdobyli się na podobny protest. Niech pan spróbuje...

W tej chwili w jadalni zaszeleściła suknia.

Horski powstał zaniepokojony.

— Zobacz Janiu... tam ktoś jest w jadalni.

Jania uniosła portjerę.

— To Józia sprząta ze stołu.

Lecz już rozmowa na ten temat nie kleiła się. — Jania usiadła przy fortepianie i zaczęła grać cichutko jakiegoś mazurka Szopena. Grała nieuczenie, ale jakoś serdecznie i miło.

Klicki zbliżył się do fortepianu.

— Znudziła panią nasza poważna z tatkiem rozmowa.

— Nie — odparła dziewczynka — ja tu nic innego nie słyszę, tylko ciągłe biadania nad tem, co się w miasteczku dzieje. — To rzeczywiście straszne. Tu odetchnąć nie można swobodnie...

I z całą szczerością młodej duszy dodała:

— Mnie to jednak nie odbiera ani fantazji, ani dobrego humoru. Tylko...

— Tylko co?

— Tylko nie wiem, czy to tak długo będzie.

Klicki obejrzał się i dostrzegł, że Horski wyszedł z pokoju. Prawdopodobnie udał się do sklepu.

— To powinno być całe życie! — wyrzekł, siadając obok dziewczyny — przedewszystkiem choćby dlatego, aby tym, którzy są obok pani, ta twoja słoneczność dodała sił do życia.

Jania przestała grać i położyła rączki na kolanach.

— Kiedy ja nie na wiele się przydać mogę, proszę pana. Czasem zdołam tatkę rozchmurzyć.

— To też o to czasem chodzi.

— Ale Kazia to już nigdy. I, wie pan, mnie się zdaje, że on mnie bardzo lekceważy.

— To się pani zdaje. Ale Kazio ma zbyt wiele do zwalczenia, aby mógł znaleźć czas i ochotę na zajmowanie się panią.

— Ja wiem... wiem...

Oczka jej zaszły mgłą. Była śliczna z tą zmartwioną minką.

— Znajdzie się ktoś — ciągnął dalej Klicki — kto poświęci pani cały swój czas i wszystko, czem jest i być może... Wtedy pani nie będzie tak przykro i słoneczność pani będzie nietylko oceniona, ale i ubóstwiona...

Powoli śliczny rumieniec wypłynął z pod różowej bluzki na szyjkę, uszka, bródkę i całą twarzyczkę Jani. Nie mówiła nic — spuściła ręce i została tak, jakby w oczekiwaniu czegoś nadzwyczaj miłego i sercu drogiego.

— Czy pani kiedy o tem myślała?—szeptał jej do ucha Klicki.

— Nie...

— Jest pani nieszczerą. Nie myślała pani o tem nigdy? nigdy?

Milczenie.

— Nawet w Zakopanem?

Padło wreszcie to słowo, a z niem wspomnienie woni smereków, widm gór — nocy srebrnych księżycowych i powstającego jak kwiat o różannym poranku — uczucia.

— Ach!!.. w Zakopanem...

— Więc?

— Może!...

— Panno Janiu, moja Janiu...

Z poza koronkowych firanek padł snop promieni słonecznych i ozłocił cały karczek panienki, wypływający z różowego jedwabiu.

Klicki oczyma w ten jasny płatek ciała, ozłocony jedwabistym puchem, oczy łakomie wbił, lękając się, czy zdoła przezwyciężyć w sobie chęć złożenia na tych złotościach gorącego pocałunku.

Na szczęście dały się słyszeć kroki. Wolno wszedł do pokoju Kazio. — Spojrzał na siostrę, na Klickiego, potem znów na siostrę, lecz wyrazu twarzy nie zmienił.

— Ojca niema? — zapytał.

— Nie — pośpieszyła z odpowiedzią Janina — tacio poszedł do sklepu. Ja zaraz każę podać herbatę.

Wybiegła szybko, bez szelestu kroków i sukienek.

Kazio do Horskiego podszedł.

— Pan prosto z Krakowa? z samego Krakowa? Pan tam stale mieszka? Prawda?

— Tak.

Kazio stał teraz naprzeciw niego i patrzył mu prosto w oczy.

— Pan szczęśliwy! — wyrzekł nareszcie.

— Tak pan sądzi?

— Panu łatwiej się wykształcić, niż mnie rozwinąć, wyrobić sobie swój sąd, swój ideał na podstawie tego, co inni za pewnik przyjęli. Tutaj strasznie ciężko. Ojciec boi się wystąpić do walki z takim marnym Tagiejewem,

a ja muszę walczyć z takiemi potęgami i iść po omacku! I to najstraszniejsze.

— To samo właśnie mówiłem przed chwilą ojcu pana.

Kazio machnął ręką.

— To szkoda słów, panie! — wyrzekł — ojciec mnie nigdy nie zrozumie.

— Przeciwnie. Ojciec chce właśnie wejść z panem w porozumienie. Jego to boli, że pan się do niego nieufnie odnosi.

Kazio ramionami wzruszył.

— W jakież my możemy wejść porozumienie? — wyrzekł. — Ojcu się zapewne zdaje, że ja mam już urobiony program i swoje przekonania polityczne. Tymczasem ja jeszcze się błąkam, poprostu nie wiem sam... Chciałbym wszystko zrozumieć, zanim sam z tego coś zdołam wybrać...

— Poco wybierać? — rzekł Klicki — najlepiej pozwolić, aby ideał ukształtował się sam z tego, co jest dla nas najlepsze.

Marzące, prześliczne oczy Kazia stały się tak dziwne, jakby sobą ogarniały całe horyzonty.

— Taki ideał — wyrzekł — ja mam już dawno urobiony, tylko teraz chodzi o to, którą on pójdzie ścieżką. Chodzi mi o to, czy... mam być człowiekiem w wszechludzkiem pojęciu rzeczy, czy mam się ograniczyć w żałobnych linjach naszego kraju. Pan mnie rozumie?...

Klicki zrozumiał doskonale, że chłopiec ten stał jeszcze na partyjnem rozdrożu, ale że

miał ogromną dozę samoanalizy, więc nie chciał iść za pierwszym lepszym prowodyrem, który mógł mu w danej chwili zagrać na strunie uczuciowej i porwać go w wir nie przekonań, lecz wzruszeń.

— Rozumiem pana — odparł, rad niewymownie, że ten skupiony i zamknięty w sobie chłopiec tak szczerze się ku niemu zwraca — i mogę panu powiedzieć to jedno: wybieraj rozumem i sercem, a staraj się nie zezwalać, aby jedno miało przewagę nad drugiem.

Kazio westchnął i ręką po czole przesunął.

— To jest właśnie tragedja mojego życia — zaczął powoli — to, że u mnie przeważało zawsze serce. Gdy doszedłem do uświadomienia, zrozumiałem, że muszę powściągnąć jego porywy, bo inaczej w naszych warunkach nie będę nigdy człowiekiem zrównoważonym. I zacząłem walkę z własnem sercem, Wziąłem je na uzdę i zdołałem uchodzić na tyle, że jest mi posłuszne...

Mówił te słowa z pewną melancholją, i Klickiemu rzeczywiście wydał się tragicznym los tego dziecka, które musi katować i zmuszać do milczenia własne serce, lękając się, aby nie odebrało mu sił do walki z gniotącą go wrogą przemocą.

— My — podjął znów Kazio — powinniśmy się rodzić bez serc. W piersiach powinniśmy tylko mieć słowo: obowiązek, i z tem iść w życie. Tak u nas być powinno...

Zamyślił się.

Widocznem było, że ten chłopak już wchłonął wiele i przetrawił w sobie, lecz nie był jeszcze na tyle dojrzałym, aby sam swoją ścieżkę wybrać był w stanie.

— Muszę poznać wszystko, cokolwiek dla kraju zrobić chciano — wyrzekł wreszcie z pewnym uporem człowieka, chcącego zliczyć gwiazdy, migocące w noc lipcową na firmamencie z ciemnego szafiru.

— To niepodobna—zaprotestował Klicki— strawisz pan siły, wpadniesz w chaos, nie zdołasz nic sobie przyswoić...

— Ja nie chcę nic przyswajać, ale ja nie mogę błądzić, ja poznać muszę.

— Jak?

Po ustach Kazia przewinął się nieokreślony uśmiech.

— Ja już dużo poznałem...

— A...

Kazio teraz uparcie wlepił oczy w Klickiego. Zdawało się, że go bada, sonduje aż do najtańszego zakątka duszy.

— Może ja będę miał potem prośbę do pana — wyrzekł powoli.

— Ależ proszę, rozporządzaj pan mną...

— To — potem!...

— Dlaczego nie zaraz? Czy mi pan nie ufa?

— Ja panu ufam. Ja znam pana.

— Mnie? Czy... panna Janina?...

Kazio pogardliwie się uśmiechnął.

— Zdanie Janki nie miałoby dla mnie żadnego znaczenia. Ale ojciec pisał mi, że pan ma być tutaj w tym czasie, w którym ja przybędę — i —

— Starałeś się pan zasięgnąć o mnie wiadomości?

Kazio otwarcie w oczy Klickiego patrzył.

— Tak! — wyrzekł z prostotą.

Klicki nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy gniewać z tego troskliwego badania jego osoby. Wolał wybrać to pierwsze.

— Cieszy mnie, że informacje, których panu udzielono, wypadły na moją korzyść.

— Zawdzięcza pan to sobie. Tylko, porozumiejmy się. Ja dowiadywałem się jedynie o moralne strony pana istoty. Reszta mnie nic nie obchodzi. Chciałem wiedzieć, czy mogę z panem mówić szerzej i czy w danym razie będę mógł prosić pana o oddanie mi pewnych przysług...

— Jeszcze raz powtarzam panu, proszę mną rozporządzać.

— Dziękuję. Na teraz pańska chęć mi wystarczy. Kiedy pan wyjeżdża?

Klicki się zawahał.

— Nie wiem... może jutro...

— A... przyjedzie pan znowu?

Wahanie Klickiego się wzmogło.

— Także nie wiem. To będzie zależeć...

— Rozumiem. Ja jednak się do pana zgłoszę. Nie listownie, lecz... przez moich... przyjaciół.

Podał rękę Klickiemu i wyszedł z pokoju powoli, trzymając ręce w kieszeniach, z głową opuszczoną, jakby jakimś ciężarem stłoczoną.

W tej chwili z jadalni wybiegła Jania.

— Ależ z pana prawdziwy czarodziej, rozmawiał pan tak długo z Kaziem...

Klicki się uśmiechnął.

— Rozmawiałem, i to jak jeszcze! Serdecznie, szczerze.

— O! o! — zdziwiła się Jania.

— Ależ tak, proszę mi wierzyć. Zdumiony byłem zaufaniem brata pani. Jesteśmy ze sobą na bardzo dobrej stopie.

— To mnie cieszy! to mnie bardzo cieszy!

Śmiała się rozpromieniona i nagle dodała:

— Wszyscy tu pana lubią, tacio, Kazio...

— A — pani?...

— Ja?...

— No tak, pani?

— Ja? bardzo...

— Bardzo, bardzo?

— Tak — bardzo, bardzo, bardzo!

— A będzie mnie pani długo tak bardzo lubiła?

— Zawsze!

— Całe życie?

Jania spoważniała nagle, zmieniła się trochę na twarzy i powtórzyła jakimś innym dziwnym głosem:

— Całe życie!

Znów oczy przysłoniła rzęsami i stała tak podobna trawce, która o zachodzie słońca, w jego promieniach nagle unieruchomiona, zdaje się modlić jakąś ciszą wewnętrzną.

XIII

NA TAGIEJEWA NALATUJĄ STRACHY. SPISEK PRZECIW KLICKIEMU. TAGIEJEW IDZIE NA RENDEZ-VOUS.

Panna Józia, korzystając z tego, że Markowskij odwrócił się do biurka, porwała flaszkę z rumem i pociągnęła spory haust. Wypluła jednak rum natychmiast.

— Świństwo! — wyrzekła oburzona — dlaczego ty pozwalasz, żeby ci takie obrzydliwe fałszowane wódki zamiast rumu przysyłali? — Otarła ręką usta.

Markowskij trochę mniej chmurny roześmiał się blado.

— Co chcesz, gołąbko — wyrzekł uprzejmie—darowanemu koniowi nie patrzą w zęby.

— Ale patrzą na etykietę — odcięła się dziewka — a kiedy masz przyjmować damę, to postarałbyś się choć o dobry napitek.

Grymasiła, widząc, że jeszcze miała pewien wpływ na tego chudego, na pozór wystygłego człowieka, który potrzebował jej cynizmu i umiejętnej miłosnej szkoły, aby po-

paść w stan, graniczący z zadowoleniem zmysłowem.

Odziana już jak do wyjścia, w żakiecie, zajęła się z ogromną pilnością zbieraniem na paznokieć stearyny z topiącej się w lichtarzu świecy. Mieszkanie Markowskiego, źle opatrzone na zimę, pełne było przeciągu i wichru. Kulawe meble, rozkopane łóżko, oberwana nad oknem firanka, tworzyły wstrętną całość, źle prezentującą się w rozwianym płomieniu świecy.

Markowskij narzucił na plecy szynel i wziął czapkę.

— Idziesz? — zapytała machinalnie Józia.

— *Da*... na dół do starego.

— Powiesz mu?

— Powiem. Muszę.

Józia zaprzestała manipulować koło świecy i szukała pod sofą, z której wystawały kłaki i sprężyny, swoich wełnianych rękawiczek.

— Mógłbyś też... powiedzieć mu... że to ja ci te wiadomości od Horskich przyniosłam. Możeby stary co zapłacił — wyrzekła, siląc się na uprzejmość.

Markowski ramionami wzruszył.

— Ty dostaniesz za wszystko razem — odparł twardo — dostaniesz, jak będziesz wyjeżdżała!

Józi aż oczy się zaświeciły.

— Ach Boże!... kiedy? kiedy?

— No — może niedługo. Kto wie, jak

będzie. Ja się może będę starał, aby mnie przenieśli.

Radość, błyszcząca w oczach Józi, zniknęła.

— To znaczy, że jechałabym z tobą.

— *Da... pajediem wmiestie.*

Czapkę wdział na głowę.

— A teraz chodźmy,

Wyszedł pierwszy. Józia szła za nim jak cień. Na schodach pożegnali się już obojętnie. Ona wracała do służby zła i zdenerwowana, on pod wpływem świeższego powietrza i cały przepojony myślą spraw dość ważnych, stygł w swem zmysłowem podnieceniu.

Z mieszkania Tagiejewa dobywały się znów tony skrzypiec. Tagiejew usiłował grać jakąś cygańską piosenkę, ale mu nie szło. Markowskij z wściekłością szarpnął za dzwonek.

Ta manja muzyczna doprowadzała go do szału i potęgowała jeszcze nienawiść, jaką żywił dla Tagiejewa. Związany z nim postronkiem brudnych sprawek, mścił się za tę przymusową wspólność, jaka ich łączyła. W tej nienawiści było coś z furji, jaką czują do siebie zrośnięte bliźnięta, które muszą żyć ze sobą, spojone siłą przeznaczenia.

Tagiejew otworzył Markowskiemu drzwi, trzymając pod pachą skrzypce. Salon był jak zawsze rzęsiście oświetlony. Kupcy składali się na tę codzienną iluminację, w której Tagiejew pławił swoją wstrętną figurę.

— A... *eto wy... Siergiej Iwanowicz* — wyrzekł niezadowolniony — *wy pa dielu?*

— *Das...* — odparł Markowskij, zrzucając szynel — *i pa ważnomu dielu*!

Tagiejew brwi zmarszczył. Miał bowiem dziś o północy udać się do hotelu, do Rozy Montag, która według zapewnień Joseła jest już zupełnie „uchodzona" i czeka na pana policmajstra.

— Wejdźcie do salonu! — wyrzekł, otwierając drzwi — i mówcie prędko. Czasu nie mam.

Markowskij wszedł i zaraz do spraw przystąpił.

— Pierwsze *dieło* — zaczął monotonnym i jakby obojętnym głosem — to, że w mieście już się coś knuje przeciw wam.

— *Pustiaki!* — roześmiał się Tagiejew z pewną siebie miną.

— Nie — powtórzył twardo Markowskij — to nie żarty, to prawda. Dlatego do tej chwili siedzą cicho, że nikt ich nie podżegał...

— Nu — a teraz?

— Teraz może się i znaleźli tacy, którzy rzucą jedno i drugie słowo...

Tagiejew nogi rozkraczył i przed Markowskim stanął.

— Nu — tak co oni mogą zrobić?

— Mogą się razem zebrać, naradzić i podpisać prośbę do gubernji, aby wdrożyła śledztwo...

Tagiejew przez chwilę się zmieszał, lecz zaraz się opamiętał.

— I... na to trzeba, żeby się wszyscy na

jedno zgodzili... a Polacy, wiadomo, nigdy się na jedno nie zgodzą...

— No... oni się mogą zgodzić, jak ich kto mądrze poprowadzi.

— Nikt się nie ośmieli.

— Tutejszy tak. Ale — taki z zagranicy czego się może bać?... no — czego?...

— A gdzież taki prowodyr z zagranicy się znajdzie?

Markowskij efekt swój ważył — poczekał chwilę, wreszcie wyrzekł:

— Nu... a ten Klickij?

Tagiejewowi mina zrzedła. — Pomyślał chwilę, wreszcie do Markowskiego się przysiadł.

— Wy co wiecie?

— Tak... — odparł Markowskij. — Wiem, dziś u Horskiego ten Klicki do buntu podżegał — radził zwołać obywateli, zrobić podanie i dopóty kołatać, aż się władze do nas nie wmieszają.

— *A mierzawiec!*

Tagiejew porwał się i swoim zwyczajem zaczął po pokoju latać. — Spodnie bez szelek z brzucha mu się osuwały. Pot mu wystąpił na czoło.

— *Da* — wyrzekł wreszcie — on niebezpieczny — on widział Barłamowa, jak się pieniędzmi dzielił... *da*...

Przechodząc, skrzypce leżące na taburecie nogą kopnął. Był to objaw już najgorszego usposobienia, jeżeli nie szanował „instrumentu"..

Nagle zatrzymał się i krzyknął:

— Gnać go stąd!...

Markowskij głową pokręcił.

— Paszport ma...

— Nu tak co? Odwieźć go do granicy. Powiedzieć mu, że tak być musi.

— A jak na ręce konsula zaprotestuje?

— Tak my raport zrobimy, że on patrjotyczną propagandą się zajmował.

— Tak my powinni byli zaraz *dokład* do gubernii zrobić, a to ich *dieło*...

Tagiejew za głowę się chwycił.

— Aj, Boże mój! Wy Sergiuszu Iwanowiczu nie utrudniajcie położenia, a dopomagajcie, bo tu i o waszą skórę chodzi.

Markowskij przybrał spokojną, obojętną minę.

— O moją? — zapytał — a cóż ja? Ja tylko wypełniam wasze rozkazy... nic więcej.

Tagiejew zatrzymał się tuż przed nim i wbił swe oczy w jego twarz bladą i na pozór bez żadnego wyrazu.

— Ej — ej!... Sergiej Iwanowicz — nie bądźcie ze mną chytrzy... Tagiejew nie głuchy, nie ślepy. Tagiejew słyszy, jak trawa rośnie.— Mało wy się z paszportów nabierzecie dochodów...

— Ja?...

— Nu — wy!

Patrzyli teraz przez chwilę sobie w oczy i nic nie zdoła opisać dzikiego wyrazu, w jaki się ich rysy przyoblekły. — Zdawało się, że jeszcze chwila, a obaj skoczą sobie do gardła

i zatopią w sobie kły, aby zmusić się do wzajemnego milczenia. — Robili wrażenie dwojga dzikich zwierząt, wpędzonych do zbyt ciasnej klatki i żrących się o trochę nędznych ochłapów.

Powoli jednak rozsądek brał górę, nerwowe naprężenie ustępowało — zwłaszcza Tagiejew z dużą siłą zapanował nad sobą.

— I cóż będzie? — zapytał.

— Wy mówicie: odstawić go do granicy?

— Da — na moją odpowiedzialność. Pozwijcie go jutro do kancelarji — rozmówcie się z nim ostro i zaraz razem z nim do hotelu i na kolej. Umiarkujcie tak czas wezwania, aby nie mógł iść żegnać się i naradzać.

A jak będzie już za granicą, to *dokład* o nim zrobić taki, że gdyby chciał przyjechać znowu, to go z granicy zawrócą. Ja sam z *dokładem* gdzie należy pojadę. — Jemu mówcie mało, ale srogo. Lepiej niech mnie nie widzi, tylko was w kancelarji. To będzie więcej po formie.

Markowskij głowę schylił.

— Skoro wy bierzecie na siebie odpowiedzialność...

— Biorę!

Mówił to z uporem, a działał jak człowiek, kryjący głowę przed niebezpieczeństwem i sądzący, że jest już w ten sposób zabezpieczony. Nie czuł, że to odstawienie Klickiego za granicę Rosji, to właśnie takie schowanie głowy na jakąś krótką chwilę. W zacietrzewieniu swojem nie rozumiał nawet, że w ten sposób może tylko sprawę właściwie pogorszyć.

— Z Horskim to ja już jako poradzę! — wyrzekł spokojniejszym głosem — zrobi mu się jedną, drugą szykanę, a potem sfolguje. Najlepiej niech mu kto z naszych piwnice rozbije i okradnie. Będzie miał tyle do czynienia u siebie, że odechce mu się mną zajmować i narady zwoływać. Towar niech do Frumele zaniesie, a potem się mu częściowo zwróci. Będzie miał zatkany pysk.

Na zegar spojrzał.

Była już jedenasta. Chciał się ogolić, upiększyć, a Markowskij siedział jak przykuty.

— Wy jeszcze macie co do *zajawlenia?* — zapytał zniecierpliwiony.

— *Da...* mnie doszły słuchy z gubernji, że oni sami na was oko zwrócili. Ta żandarmska władza coś koło miasta myszkuje... To ważne... Trzeba może przykazać, żeby trochę ścichli.

Lecz Tagiejew nadspodziewanie nie wpadł w swą zwyczajną wściekłość.

— Mnie też o tem słuchy doszły, Siergieju Iwanowiczu. Ale ja mam na nich sposób... Oni będą tańcowali, a nie my!

— Jak?

— Ja wiem, że oni już od roku by chcieli jaką propagandę polityczną złowić, a nie mogą. Nic im się nie udaje. Węch *mierzawce* stracili. Tak ja ich podejdę. Złowię co z propagandy i *sieju minutoczku* do Petersburga *dokład* gotowy, że w gubernji dzieją się agitacje patrjotyczne, a oni jak bałwany nic nie wie-

dzą. *Dokładu* nie poślę, tylko im o tem *zajawię* i będę ich na pasku wodził. Ja będę miał fakt, a oni nic na mnie. Tylko Klickiemu trza skręcić kark... Ot!...

Rozjaśnił się, rad ze swej dyplomacji, aż mu ślepki się rozświeciły i wąsy sterczały do góry.

— No... i co wy na to?

Markowskij podniósł się z krzesła.

— No... to trzeba propagandę złowić.

— Aj, Boże mój!... Śledzić będą... Mnie już się coś troszkę zdaje... A potem święci dopomogą.

Zwrócił się w stronę, gdzie przed ikoną świeciła się mała lampeczka.

— Tak, zawsze lepiej się mieć na baczności — powtórzył Markowskij.

— Ej!... odważny człowiek zawsze ma szczęście za sobą. A to wy, Siergieju Iwanowiczu, strasznie jakoś się zrobili płochliwy. No... idźcie z Bogiem!... A ja idę dziś na rendez-vous... Jej Bogu!

Zaczął śmiać się dobrodusznie. Kły mu było widać.

Markowskij uznał za stosowne śmiać się także.

— Winszuję! winszuję!...—mówił, do przedpokoju się kierując.

Nu... *da*...—cóż robić?... Dama prosi, odmówić nie mogę.

Markowskij, króty już był w głębi przedpokoju, wykrzywił się fatalnie. Wiedział on

dobrze, jaka to była dama i jakie to było jej „proszenie".

— Tylko się nie spóźnijcie! — wymówił obleśnym głosem.

— Pośpieszę się... a potem niech czeka. Kobieta tem łaskawsza, im więcej cierpi.

Śmiali się głośno, radzi i weseli na pozór, choć każdego z nich żarł niepokój i niepewność jutra.

— No... *do swidanja!*

— *Do swidanja!*

— Dobrej zabawy!

— A jutro Klicki... nie zapomnijcie!... W kancelarji i na kolej!

— *Da, da!...*

Markowskij wyszedł, a za drzwiami splunął.

— *Szympanza!* mruknął.

Gdy drzwi się zanim zamknęły, Tagiejew splunął także i z pogardą rzucił:

— *Sybirskaja swołocz!* — czyniąc aluzję do pochodzenia sybirskiego swego pomocnika.

Wróciwszy do salonu, zawezwał Katiuszy, kazał podać sobie brzytwę, ciepłą wodę i puder — wodę kolońską i, wykrzywiając się przed lustrem, nie jak jeden, ale jak całe stado „szympansów", zaczął się upiększać na owe rendez-vous z nieszczęsną śpiewaczką koncertową.

XIV

CO MŁODZIEŻ MA W GŁĘBI DUSZY. KAZIO I KLICKI. WIZJA KLICKIEGO. DUCH CAŁEGO KRAJU. CZŁOWIEK ZWIERZĘ. ROZA MONTAG. SKANDAL W HOTELU

Więc naprawdę — nie ma pan o mnie wyobrażenia, iż jestem rozegzaltowany dzieciak, pędzący na oślep i nadziany, frazesami pozbieranemi z rozmaitych, nieprzetrawionych cudzych myśli?

— Zapewniam pana, że nie. Przyznaję się, że tak sobie was tu w Królestwie przedstawiałem, ale, poznawszy pana, zaczynam zmieniać zdanie.

Kazio smutnie głową pokiwał.

— To też właśnie, że nas błędnie przedstawiają, wliczając nas do poprzedniej warstwy, która dużo krzyczała, mało działała. My — skupiamy się, rozważamy, strzeżemy się przedewszystkiem szowinizmu, bo to zaślepia i siły odbiera.

Klicki z całą sympatją na młodego chłopca spojrzał.

— Postępujecie doskonale. Przejdziecie ze szkół do uniwersytetu znakomicie przygotowani i uzbrojeni do dobrej walki.

— Tak... o to nam przedewszystkiem chodzi.

Siedzieli w numerze Klickiego, pijąc herbatę. Kazio odprowadził artystę do hotelu i przez cały czas rozmawiał z nim z całą serdecznością. Dziwny bowiem ten objaw, znamienny u całej młodzieży, kazał mu się zwracać raczej ku obcym, niż ku bliskim w chęci nieposkromionej wymiany zdań i myśli. Bo choć Kazio należał już rzeczywiście do tej już kategorji najmłodszych, którzy dużo rozważali, to przecież nie mogli się pozbyć tak w krwi naszej głęboko tkwiącej cechy myślenia głośno, choćby tylko potrącając powierzchownie o to, co było treścią ich życia. Ta kwestja narodowościowa, która była niejako szkieletem ich duszy — kazała im pozostawiać za sobą inne części składowe urządzeń życiowych. Była ona osią, około której kręciło się dla nich wszystko. Nie było to „rozpolitykowanie" — ta nazwa była śmiesznie i dziwnie mała i żadna w określeniu stanu ich duszy. Nie było to życie w krainie ułudy i fantazyi, lecz jakiś spokój pełen goryczy, równowaga prawie tragiczna u tak młodych i ledwo na progu życia stojących istot.

Mówili — „my chcemy poznać... my sami

musimy ocenić" — i zatrzymywali się nie dla braku ufności u swych poprzedników, lecz w zaufaniu, że gdy zechcą, im samym starczy siły, aby wiedzieli, którędy iść mają, aby nietylko pożytek, lecz szkody krajowi nie przynieść.

Napozór szli osobno, chroniąc swą indywidualność, a przecież, gdy tylko znaleźli się razem, gdy tylko spotkali się na ścieżce życiowej — zbadawszy grunt, wymieniali myśli, starali się upewnić, czy dobrze czynią, nie rzucając się na oślep, lecz starając się przedewszystkiem zdobyć moralne silne podstawy, zanim działać rozpoczną.

Zarzut lekkomyślności Królewiaków, uczyniony niejednokrotnie ich poprzednikiom, podziałał na dorastających w trzeźwiący sposób. Postanowili wyzbyć się tych cech właśnie, które gubiły niejedno doskonałe rozpoczęte dzieło. Również zapragnęli wyrwać ze siebie sekciarstwo i ciasnotę w stosunku do wolności cudzych przekonań. Ażeby w tym kierunku w dyskusjach sił nie targać, postanowili unikać rozmów z osobami żywiącemi inne, niż oni przekonania. I dlatego to Kazio tak starannie unikał bliższej dyskusji z ojcem. Zdawało mu się, że ojciec ugiął dobrowolnie kark i nie jest już w stanie niczem zbudzić w sobie trochę siły, choćby dla stanęcia przeciw takiemu Tagiejewowi. Usuwał się wciąż od słów i ku Klickiemu teraz dążył. Naturalnie to, co dawał Klickiemu, to była zaledwie wierzchnia warstwa jego duszy, jej cień, nic więcej.

Ale zawsze — było to więcej, niż dawał ojciec, dla którego miał tylko zaciśnięte usta, albo za słabość jego — krótkie słowa nagany.

Słabo płonąca w lichtarzu świeca, oświetlała niepewnym blaskiem twarze tych dwóch młodych ludzi, zbliżonych ku sobie, pochylonych i szepcących swe myśli. Obaj byli bardzo piękni, choć każdy w odmiennym rodzaju. Blada twarz Kazia, jego szlachetny profil, wielkie, głęboko osadzone oczy w półcieniu robiły wrażenie jakiejś zjawy nie z tego świata. Była w niej przecież duchowa siła, duchowa moc — było w niej takie światło wewnętrzne, co jak o kryształowe ściany lampy skrzydłami bije i blaski rozszerza.

Klicki przedstawiał znów imponujący dorobek siły materjalnej wielkiej dobroci, właściwej duszom, które w mistyczne regjony nie sięgając, chcą jakoby tą dobrocią przebłagać społeczeństwo, iż tak wytrwale trzymają się ziemi.

Lecz — w tej chwili w Klickim zaczynał się rodzić pewien obrachunek sumienia.

Przeszedł przez swą młodość, nie mając pojęcia o tych walkach, jakie szarpały życiem Kazia. Ze szkół wpadł w studja malarskie i strona utylitarna podbarwiona artyzmem zajęła go bez podziału. Mniej więcej ta warstwa, z której wyszedł, trzymała się tych samych zasad i od wrzenia przeciw krajowym władzom uchylała się, zapatrzona w ideał artystyczny, z którego miały wyrosnąć podwaliny

jej bytu. A tu o miedzę, o granicę żyły tysiące takich tragedji z początku dziecinnych, a potem młodzieńczych, które w szarości dnia powszedniego wydobywały wspaniałe bryły, sadzone rubinami o przeczystych, ofiarnych blaskach.

Klickiemu wydały się teraz śmieszne i nędzne jego przelezienia bezbarwne przez szkoły, jego monachijskie dnie głodu i upędzania się za zdobyciem techniki i malarskiej wiedzy. Patrzył na Kazia z coraz większą poważną myślą, widząc w nim zupełnie inny typ młodzieży, jak ten, który on sobie wytworzył. Widział w nim nie upiorną marę Kordjanów, padających przed czynem w omdleniu, spowodowanem bezmiarem uczuciowości, lecz rzeczywisty świt promieni niezgaszonych pełen.

— Nie miałem nigdy takich chwil, przez jakie ten chłopiec przechodzi! — pomyślał po wyjściu Kazia, gdy sam pozostał w numerze.

Powstał i podszedł do okna.

Ciemno było tak jak i wczoraj, a przecież Klickiemu zdawało się, że ta ziemia promieniuje i rozszerza jakiś blask, którego wczoraj nie dostrzegł.

Wczoraj to miasteczko wydało mu się tylko jamą, eldoradem złodziei i opryszków.

Dziś — była to jakaś ofiara przykuta do gruntu — bezbronna i wydana na pastwę ryjących ją dzikich trzód. Systemy szkolne, systemy policyjne, systemy ogólne trzymały się jak ogniwa łańcuszka. Wszędzie starano się

brać wszystko, a nie dawać w zamian tego, co się należeć winno. ta straszna, ta gniotąca wszystko opresja —ten lęk przed „wydaniem się“ — ta trwoga przed... myślą swobodną!

I to, co ogarnia Klickiego, zaczyna graniczyć z rozrzewnieniem.

Coś w nim drży, coś jakby się budziło w cieniu.

Oprócz Jani powstaje w nim jakieś ogromne przywiązanie ku czemuś bardzo biednemu i znędzniałemu.

W oddali migoce latarenka, przegląda się w kałuży błota. Klicki przypomina sobie wczorajszą swoją po błocie wycieczkę.

— Wszystko błotem pokryte... — myśli i widzi dokładnie ową kancelarję smrodliwą, ów *urząd* Tagiejewa...

— Błoto i błoto!

— A pod niem?

I coś z ciemności cicho, lekko ku niemu powiało.

Dusza *twojego* kraju!...

. . . . . .

Klicki znieruchomiał przez chwilę.

— Tak — pomyślał wreszcie — dusza mojego kraju.

Bo cóż stąd, że rozciągnięto granice, to przecież mój kraj to miasteczko, na którem rozciągnął się taki Tagiejew, te wszystkie miasta i sioła, na których rozciągnięte drzemią Tagiejewy.

W Krakowie — przywykł myśleć szablo-

nowo — my, tu... w Galicji, oni, tam... w Królestwie, a potem, ci tam... w Poznańskiem.

I tutaj dopiero, w tę noc błotną i smutną, po raz pierwszy poczuł, że myślał źle, fałszywie, że niema „nas tu, ich tam", lecz jesteśmy tylko *my* — nic więcej, tylko *my*.

I ogarnęła go chęć zsolidaryzowania się z tymi, którzy cierpią tutaj, cierpieli ciągle w przygnębieniu i walce bezustannej. Przycisnął czoło do szyby i wpatrywał się ciągle w tę czerń błotną, jakby czekał, że z pod niej wypłynie ku niemu jak mgła lekka i przesmutna wizja *duszy całego kraju*, — którą Kazio i jemu podobni tak często widywać musieli.

— Oni ją ciągle w piersiach swych noszą!.. — pomyślał smutku pełen.

Nagle na kurytarzu dały się słyszeć szybkie kroki.

Ktoś szedł po dywaniku i zbliżał się do drzwi Rozy Montag.

Śpiewaczka widocznie spała, bo zupełna cisza zapanowała w jej numerze.

Tagiejew — gdyż to on był — wyświeżony, z paszportem w kieszeni, zapukał lekko do drzwi. — Ponieważ nie odpowiadano mu, sądził, iż drzwi są otwarte, pocisnął za klamkę.

Zadziwił się.

Drzwi były zamknięte.

Na kurytarzu tliła się słabo nieduża lampeczka. W oddali widać było stół, na którym stały buty i samowary. Na środku kurytarza zegar w szafce wskazywał wpół do pierwszej.

Tagiejew ponowił pukanie.

Klicki usłyszał, iż Roza się obudziła. Zaspana zapytała: — „kto tam?"

Zapanowało milczenie i nagle dała się słyszeć podstępna odpowiedź:

— *Tielegrama!*

Roza wyskoczyła z łóżka. Słychać było trzask zapałek, wreszcie tupot bosych nóg. Szczękając zębami z zimna, drzwi otworzyła.

— Podajcie telegram! — wyrzekła, wysuwając obnażone ramię.

Lecz Tagiejew już do pokoju się walił.

— *Zdrastwujtie*, Roza...

Śpiewaczka lekko krzyknęła.

— To wy?

Słychać było, jak biegła do łóżka, jak kryła się w pościel.

— Ja!.. a cóż? Wy mnie przecie oczekiwali.

— Ja? Pan kłamie.

— To wy kłamiecie teraz. Ej!... ej!... po co takie kaprysy? To nieładnie. Ja przyniósł paszport.

Roza ręce złożyła.

— Mój złoty, dobry, brylantowy królu, daj mi paszport i wypuść mnie z duszą.

Tagiejew w lansadach do łóżka się zbliżał.

— Dam — ale pierwej proszę pocałować!

Straszny był teraz, gdy się wdzięczył, stokroć straszniejszy niż wtedy, gdy wrzał gniewem.

Roza instynktownie wcisnęła się w głąb

ściany, gromadząc dokoła siebie brudną, dawno niezmienianą pościel i zaciskając cuchnącą watowaną karmazynową kołdrę dokoła swego chudego ciała.

— Puśćcie mnie z duszą! — powtórzyła.

Nic nie zdoła oddać tej bolesnej prośby, jaka w jej głosie zabrzmiała.

Klickiemu zrobiło się jej żal strasznie. Przeczuwał brutalność ze strony Tagiejewa i ogarnął go straszny niesmak i wstyd na myśl tego, co się dziać będzie.

— No... tak dosyć już tych kaprysów — zawarczał Tagiejew, a głos mu drżał lekko. Widocznie opór działał podniecająco na jego zmysły.

— Proszę być dla mnie łaskawą... ja tu darmo nie przyszedł.,.

Pochylił się i rękami Rozę objął. Ta wyprężyła się całem ciałem, chciała krzyknąć, ale już wargi Tagiejewa usta jej gniotły.

Wyciągnęła rękę, natrafiła sznur od dzwonka zawieszony nad łóżkiem, uczepiła się go i zaczęła przeraźliwie dzwonić.

Hałas roztłuczonego dzwonu rozległ się po kurytarzu z przerażającą siłą. Tagiejew puścił Rozę i odskoczył.

— Ty się *wzbiesiła*? — wrzasnął.

Lecz Rozę porwał spazmatyczny płacz. Tyle dni głodu, zimna, wyczekiwania — wszystko to złożyło się na ten krzyk, który wydarł sie z jej piersi. Ciągle uczepiona u dzwonka, targała nim z całej siły, a ten

dźwięk dzwonu i jej straszny krzyk, wypełnił hotel grozą przejmującą wrzawą.

Halas ten zbudził w Tagiejewie zwierzę. Cała dzikość jego charakteru rozpętała się w krzyku szalejącej żydówki. Podniecony od rana i oczekujący na zadowolnienie wrzenia wyposzczonych swych zmysłów — zawiedziony w nadziejach — wpadł w gniew, graniczący z obłędem. Wrzaskiem swym Roza podcinała ten gniew jak uderzeniem szpicruty.

Rzucił się ku niej, porwał ją za rękę i wydarł jej sznur od dzwonka.

— *Małczi skatina!* — zawył bezprzytomny prawie.

Za włosy ją pochwycił i targnął. Ona odpowiedziała mu jeszcze straszniejszym wrzaskiem. Wówczas Tagiejew zaczął zdzierać z niej pościel i rwać ją w strzępy. W jednej chwili masa łachmanów napełniła ledwo oświetloną izbę. Na łóżku rozkrzyżowana u ściany, ze szczęką wysuniętą naprzód, z masą włosów rozwianych dokoła, — pół naga, w podartej koszuli, wyła trupio blada Roza.

— *Małczi skatina...*

Teraz w strzępy zaczęły lecieć ubogie sukienki Rozy, jej pończochy i buciki. Czego rękami nie mógł rozerwać — rozdzierał zębami. Piana mu leciała z ust. Nie krzyczał, lecz ryczał cicho i ciężko...

Klicki ku drzwiom podskoczył, na korytarz wypadł. Hotel był pusty. Oprócz niego, Rozy, oficera w „załogu" i obywatela z Litwy, nie

było nikogo. Oficer jeszcze nie wstał, a „obywatel z Litwy", uchyliwszy drzwi, słuchał całego zajścia z nadzwyczajną obojętnością.

W ciemni korytarza Klicki dostrzegł strwożoną sylwetkę Proszowskiego.

Klicki do „obywatela z Litwy" podszedł.

— Przepraszam — wyrzekł zdenerwowanym głosem — pan słyszy, co się dzieje? Może poszlibyśmy interweniować?

Lecz człowiek o dziwnych oczach bardzo grzecznym gestem uchylił się od owej interwencyi.

— Jabym panu nie radził! — wyrzekł uprzejmym głosem.

— Ależ tam kobietę brutalizują.

„Obywatel" z Litwy uczynił jakiś gest niewyraźny.

Klicki odwrócił się od niego. To tchórzostwo wydało mu się nie na miejscu. Dojrzał posługacza.

— Proszowski! zbudźcie gospodarza!...

Lecz Proszowski znikł w cieniu jakby zaczarowany.

Tymczasem Tagiejew, zniszczywszy wszystko w numerze, wypadł w szale na korytarz. Obejrzał się dokoła, zakręcił i rozpoczął robić rzecz nadzwyczajną „niebywałą". Oto — zaczął drzwi od numeru Rozy Montag z zawias zdejmować i na korytarz wystawiać.

Klicki ku niemu się zbliżył.

— Pan oszalał, panie policmajstrze! — wy-

rzekł, drżąc cały, tak go ta scena zdenerwowała.

Z pokoju Rozy Montag dolatywał teraz już tylko cichy płacz. Żydówka wyczerpana padła na materace i tylko głową biła o nie, zawodząc cicho.

— Co ja teraz zrobię.... co ja zrobię!...

Jak byk, którego drażnią umyślnie w arenie czerwonemi płachtami, aby jego uwagę od torreadora odwrócić, tak rzucił się Tagiejew ku Klickiemu.

— Wy czego się tu suniecie? — zapytał po rosyjsku, pakując ręce w kieszenie palta i następując na Klickiego.

— Bo muszę — pan kobietę maltretuje. To ohydne... to potworne... pan jest od tego, żeby porządku pilnował, a nie sam po nocy skandale wyprawiał.

Klicki mówił głosem podniesionym i ani kroku Tagiejewowi nie ustępował, patrząc mu silnie w oczy. Poskramiał go w ten sposób i na wodzy trzymał jak dzikie zwierzę. Lecz to było niepotrzebne. Klicki nie znał takiej natury, jaką był Tagiejew. Ten człowiek w potrzebnej chwili umiał nagle oprzytomnieć i wybrać w postępowaniu swojem to, co było dla niego najwłaściwsze.

Tak samo stało się i teraz. Tagiejew przez chwilę zdawało się, iż skoczy do gardła Klickiemu — powoli przecież jakby się powściągnął. Przymrużył oko, ściągnął twarz w straszny grymas.

— Pan się tu strasznie rozgospodarował — wyrzekł z nieokreśloną ironią — pan się ciągle do wszystkiego miesza. Pan bardzo podatny sam na policmajstra. Szkoda, że pana tam w Krakowie na *garadawowo* nie wezmą!

I czapkę na głowie poprawiwszy, dodał:

— Dobranoc panu!

Przeszedł mimo Klickiego, pewny siebie, stukając nogami jak kopytami po korytarzu.

Klicki, ochłonąwszy, zabrał się do śmiesznej pracy wstawiania drzwi do numeru śpiewaczki. Straszne zimno pędziło do niej z korytarza.

— Daję słowo — myślał — wychodzę tu na Don Kiszota!

Spojrzał do wnętrza izby.

Roza leżała, ciągle płacząc, na łóżku. Strzępy jej odzieży walały się po podłodze. Klickiemu zrobiło się żal tej bezbronnej kobiety, odartej nawet z ostatniego odzienia.

— Niech pani nie płacze — wyrzekł ze współczuciem — ja na to zaradzę, ubranie się znajdzie.

Postanowił znów użyć pomocy Proszowskiego i odziać jako tako śpiewaczkę.

Ale ona nie odpowiadała nic, tylko leżała, ciągle wstrząsana cichem łkaniem.

Wówczas Klicki wyszedł i do swego numeru powrócił.

— Co za piekło!... — pomyślał, patrząc ze smutkiem przed siebie.

XV

SIEMIPUDOW W ZALOTACH. TAGIEJEW SIĘ WŚCIEKA. DWÓCH U DZIEŁA. JÓZIA W SZPONACH TAGIEJEWA.

Wczesnym rankiem musiała Katiusza nastawiać samowar.

— Czort z nim!—mruczała zirytowana wrzaskami „czaju!"—rozlegającemi się z sypialni Tagiejewa. Na ławie w kuchni, przesiąkłej wonią kapusty, gdyż *„leniwyje szczy"* codziennie musiały perfumować stół Tagiejewa — siedział olbrzymi Siemipudow i z lubością patrzył na korpulentną kucharkę.

Była to jego *„ziemlaczka"* z jednej gubernji i stanowiła osłodę w jego wygnaniu do *prywiślańskiego* kraju.

Siemipudow był z gruntu niezłym człowiekiem. Ot — chłop, rdzenny Moskal, z duszą, pełną sentymentalnej tęsknicy, wył wieczorami pieśni, akompaniując sobie na harmonji. Lecz ta gorączkowa żądza wyzysku

i złodziejska atmosfera, w której przebywał, oddziałała już fatalnie i na jego uśpioną duszę. I on zaczynał swoje rabunkowe „*dieła*" na własną rękę, a ciesząc się faworami Tagiejewa, ośmielał się coraz bardziej.

Katiusza dopomagała jeszcze w dziele korupcji. Wdzięki jej rosłe i obfite podniecały ogromnie Siemipudowa. Katiusza jednak nie chciała zostać żoną ubogiego stójkowego. Siemipudow poprzysiągł więc zebrać jaki taki majątek. Okazji było dość — należało tylko korzystać. Siemipudow jednak był trochę leniwy i niejedną dobrą chwilę przepuścił. Sprawniejsi koledzy korzystali, i Katiusza, dowiedziawszy się o tem, była zła i srogie Siemipudowowi czyniła wymówki.

Właśnie taki rozdźwięk panował obecnie pomiędzy „*ziemlakami*". Katiusza nasunęła na sam nos swoją pomarańczową chustkę, obyczajem chłopek rosyjskich związaną pod brodą. Odwróciła się tyłem do policjanta i, pochyliwszy się, dmuchała w samowar. Widok tak nachylonej Katiuszy przedstawiał się obszernie i ponętnie i bynajmniej nie obrażał Siemipudowa, którego twarz rozjaśniona była błogim wyrazem zachwytu.

— Ej, Katiuszeńka! — wymówił wreszcie, darmo czekając na łaskawsze słówko z pod pomarańczowej chustki — ej, Katiuszeńka, ty nie słusznie na mnie gniewna. Pomyśl tylko, gwiazdeczko moja... ja - że inaczej nie mógł zrobić i musiał spisać z tego protokół!

— Na czorta tobie był protokół? — żachnęła się Katiusza — tobie trza było żyda, co te pieniądze skradł, zaraz gonić i na gorąco od niego połowę wydrzeć. Po co ty okradzionego ze sobą taskał i ten protokół pisał?... Barłamowby tak nie zrobił.

Siemipudow się wykrzywił. Pomiędzy nim i Barłamowem była ciągła rywalizacja co do sprawności, z jaką obłupiali interesantów i złodziei.

— Czort mi nadał, Katiusza, świadka. Jak ten Jarszewski upadł, trącony przez Chaskla, to jakiś przeklęty mieszczanin nietutejszy stał obok i zaraz zaczął krzyczeć, że widział, jak Chaskiel Jarszewskiemu pieniądze z kieszeni wyjmował. Musiałem spisać protokół.

Westchnął ciężko, lecz zaraz dodał:

— Ty się nie bój, gołąbku — przecie wiesz... u nas protokół nie ma znaczenia. My nim buty wycieramy. Spisało się i... amen — przepadło. A ja taki Chaskla w kącie dopadnę i zmuszę go, że się pieniędzmi podzieli.

— Dużo ich było?

— Ten Jarszewski gada, że ośmdziesiąt cztery ruble i coś kopiejkami.

— Żądaj trzydzieści.

— Chaskiel tyle nie da. On twardy, on zawsze strażnikom daje ćwiartkę z tego, co ukradnie.

— *Katiusza!* — rozległ się ryk z sypialni Tagiejewa — *podawaj czaj!*...

— *Siju minutoczku* — zapiszczała Katiusza.

Siemipudow, który na ryk policmajstra porwał się z ławki — zmrużył oko figlarnie i zapytał szeptem:

— Z nim co dziś?

— Ot, zbiesił się — odparła Katiusza — chodził dziś w nocy na *swidanje* z jakąś *piewicą* i coś mu tam nie po woli, bo wścieka się i ciska...

— Daj mu czaju — niech zaleje mordę kipiątkiem, nie będzie wrzeszczał.

— Nie chce się zagotować.

— Pozwól!

Siemipudow szybko z nogi but z cholewą ściągnął i tym zaimprowizowanym miechem dąć w samowar zaczął.

Katiusza odstąpiła od niego — wzięła się pod boki i ciężko sapała.

— A to Barłamow — zaczęła znowu — podobno 50 rubli dostał od piekarza z Glinianej za to, że mu pozwolił przestawić piec piekarski. Ot, rozumny człowiek! Choć piekarz miał dawno pozwolenie z magistratu, a on się uparł i mówi — nie i nie... Taki musieli mu pieniądze dać.

Siemipudow nie odpowiedział nic, tylko w dalszym ciągu się nad samowarem znęcał.

Nagle — kopnięciem nogi Tagiejew drzwi od kuchni otworzył i groźny i srogi — odziany w kurtkę i kalesony, ukazał się.

— Ty świńskie ryło — zaczął, lecz zobaczywszy Siemipudowa, zmienił tok myśli.

— Siemipudow, pozwij do mnie Markowskiego.

— *Słuszajus*, wasze wysokobłagorodje! — odparł Siemipudow, wyciągnięty po wojskowemu z jedną nogą owiniętą onuczkami i z butem ukrytym poza plecami.

Za chwilę zjawił się Markowskij.

Szedł pełen złośliwości, gdyż mu już zaraportowano o nocnym skandalu w hotelu Izaaka. Cieszył się zawsze, ile razy zwierzchnik jego doznał niepowodzenia na jakiemkolwiek polu.

Ułożywszy usta w uśmiech obleśny, wszedł do jadalni, gdzie już kipiał na stole samowar, wniesiony przez chmurną Katiuszę.

— Cóż?... tak rano wy już na nogach? — pozdrowił Markowskij Tagiejewa. — Ot co jest młody i pełen życia Rosjanin. Nic go nie zmoże, ani miłość, ani noc bezsenna.

Tagiejew się nadął.

— To są *pustiaki*, miłosne *dieła!* — zawołał — tu chodzi o rzeczy większej wagi... Posłać trza zaraz po tego z Krakowa, zagrozić mu w kancelarji i *won* go tak, jak było wczoraj umówione... Wy to słyszycie?...

— Słyszę... ale pozwólcie. Cóż on nowego zrobił?...

Aż drgały wąsy Markowskiemu od ukrytego uśmiechu. Doskonale wiedział, jaką rolę w aferze z Rozą Montag odegrał Klicki.

Tagiejew na chwilę się zmieszał.

— Co zrobił, to mniejsza! — odparł wresz-

cie — dość, że ja go nie chcę ścierpieć tu ani minuty w mieście. Niech Siemipudow idzie po niego i natychmiast go tu przyprowadzi.

— A kto go ma odwieźć do granicy?

— Wy.

— Ja?

— No — tak.

Markowskiemu było to nie na rękę. Czuł, że popełniają rzecz nieprawidłową. Nie chciał się w to mieszać.

— Pozwólcie... — wyrzekł — a jeśli on da słowo, że odjedzie?

— To... można pojechać za nim, ale tak, żeby on nie widział. Gdyby z granicy chciał się wrócić, tak wtedy się zjawić i odwieźć aż do Krakowa.

— No... a jeśli się zwróci do żandarmerji?

— Ach, Boże mój! Wasza w tem głowa. Zagadać, przerazić — udać, że dla jego dobra, że się właśnie chce go ocalić od zetknięcia z żandarmerją i będzie dla niego niebezpieczne. Czyż uczyć was trzeba?... Czyż wy nie wiecie, jak się to robi i jak się nam wymigać od żandarmerji przychodzi?

W kilka minut później Siemipudow w obu butach — po formie, szedł obarczony misją przywiedzenia do kancelarji Klickiego — pod grozą w razie oporu użycia nawet siły.

— A teraz jeszcze jedno! — podjął znów Tagiejew — my wczoraj mówili, że u Horskiego powstaje myśl, aby się zeszli obywatele mia-

steczka i wnieśli podanie na mnie do rady gubernialnej — co?

— Tak.

— Skąd wy o tem wiecie?

Markowskij się zawahał. Nie wiedział, co uczynić. Bał się odkryć Tagiejewowi swój stosunek z Józią. Lękał się, że dziewczyna będzie wolała policmajstra, niż jego pomocnika. Znając naturę Tagiejewa, nie wątpił, że ten natychmiast obdarzy Józię swoją miłością, co zaś do Józi nie miał żadnych złudzeń w tym kierunku.

Tagiejew zmrużył oczy i przez stół patrzył ironicznie na Markowskiego.

— Wy milczycie? — wyrzekł wreszcie — no, to ja wam powiem. U was jest kochanka — *służanka* u Horskich! Ha?...

Markowskij wściekły zaczął się śmiać, udając dobroduszność.

— A... jaki wy wszystkowidzący, Iwanie Iwanowiczu!

— Nu — ja już taki.

Śmieli się, pokazując kły. Pomiędzy nimi buchał samowar, zasłaniając czasem wzajemnie im przeszywające się na wskroś oczy.

— Skoro wy wiecie — podjął wreszcie Markowskij — to ja już wam nic mówić nie będę.

— Nu, ja się was o pozwolenie nie pytam, ja dziś jeszcze tę Józię zobaczę i z nią się rozmówię. Ona zda się chytreńka i sprawna dziewczyna.

Markowskij się skrzywił.

— Ona ma niebawem wracać do Warszawy.

Tagiejew pięścią w stół uderzył.

— Ona wróci, kiedy *ja* zechcę. Ja mam na nią sposób. Ona mi już służyć będzie, i mnie wprost raport, co się dzieje u Horskich przynosić. Przez posły — wilk nie syty. Dobra przypowiastka, a wy chcieli być dla mnie takim posłem. I ot... nie udało się... Ja was podszedł i wyłapał, kogo wy u Horskich osadzili.

Markowskij aż paznogcie w dłonie wpijał, taka go wściekłość porwała. — Czuł jednak, że nic nie poradzi. — Z całym wysiłkiem woli zapanował nad sobą — wstał i, skłoniwszy się, zapytał:

— To wszystko, co wy mieli mi powiedzieć, Iwanie Iwanowiczu?

— Wszystko! — A tego Klickiego — won z miasta i imperji.

— Dobrze!

Wychodząc, Markowskij aż się cofnął. W przedpokoju stała Józia z koszyczkiem w ręku, z gołą głową, osłoniętą chustką.

— Ty czego tu? — syknął na nią przez zęby Markowskij.

— Policmajster kazał!... — odparła równie szeptem dziewczyna.

Widocznie była rada, że może za pośrednictwem Tagiejewa zdoła się uwolnić ze szponów Markowskiego.

— Idź do domu!

Zuchwale oczami błysnęła.

— Pójdę, kiedy mi się będzie podobało... Panu nic do tego.

Pochwycił ją za rękę. Wywinęła mu się zręcznie, pozostawiając mu w ręku swoją bawełnianą rękawiczkę. To ją rozbawiło do reszty. Zaczęła chichotać, jak tam za stołem u Matołkowskiej.

— Hi! hi!... jaka z pana cholera!...

W tej chwili otworzyły się drzwi od salonu i pojawił się w nich Tagiejew.

—A..! to panna Józia!... proszę, proszę do salonu!...

Zwrócił się ku Markowskiemu z wyniosłym gestem:

— A wy, Sergieju Iwanowiczu, bądźcie zdrowi!

Józia odwróciła się i, korzystając z ciemności przedpokoju, pokazała język w stronę Markowskiego,

— Chodźmy gołąbko!—przymilał się Tagiejew.

I znikli oboje za portjerą.

Markowskij postał chwilę, wreszcie otworzył drzwi do sieni i jak furja wpadł na oczekujących już w sieni interesantów.

— Czego? czego? — krzyczał wbrew swemu zwyczajowi, unosząc się wściekłością — czego leziecie, jak stado świń?... Kultiapkin! Jakimow! Strojka!.. gnać ich won!...

Jak stado strwożonych wróbli rozpierzchli się nagle interesanci.

Jedni uciekali na piętro, drudzy wpadli do kancelarji, inni walili się na łeb na szyję ze schodów.

Tylko Joseле Pinkas pozostał niewzruszony. Przylepiony do ściany, zielony, owinięty szalikiem, patrzył figlarnie na Markowskiego i wreszcie wyrzekł:

— Niech się wielmożny pan sekretarz nie ciśnie... Ta panienka... una potrafi kochać i pana sekretarza i pana policmajstra... Żebym tak zdrów był.

Lecz Markowskij nie był snać w tych sprawach czystym „filozofem", bo rzucił się jakby ukropem oblany.

— Ty *jewrejskaja swołocz*... ty *pohanoje ryło*... to ty ją nastręczył, ty mnie szpiegował... Ja cię tak pod żebro, że cię rodzona matka nie pozna.

Lecz Joseле nie ruszył się z miejsca, tylko skurczył się troszkę i wciąż okiem kaprawem mrugał.

— Kiedy i dla pana sekretarza jej serca starczy... — powtarzał, wyrzucając ze siebie kłęby smrodliwego powietrza.

XVI

CZARNA KSIĄŻKA. W SZPICLE!

Tymczasem Tagiejew Józię do salonu wprowadził.

— Usiądźże gołąbko... — wyrzekł dobrodusznym tonem.

Józia uznała za stosowne się ceremoniować.

— Ja postoję, proszę łaski pana naczelnika.

Lecz Tagiejew w grzeczności zaczął się przesadzać.

— Ja proszę usiąść!... Taka śliczna panna nie może stać przy drzwiach... Wy możecie, duszko, z waszą *krasotą* zająć miejsce choćby na salonach generalskich.

Mówiąc to, szybkiem okiem taksował dziewczynę. Nie pociągnęła go. Wydała mu się zwiędła, jakby uwędzona w kawiarnianym dymie. Przytem Tagiejew miał szczególniejszy pociąg do „artystek".

— Taka już moja natura artystyczna! — mawiał, zapalczywie uganiając za wszystkiem, co miało ze sceną coś wspólnego.

Widział więc w Józi tylko podatny materjał na *szpiega*, i jako taką pragnął dziewczynę czemprędzej do służby swej nagiąć.

Rozpuściwszy swe duchowne macki, uczuł od razu, że dziewczyna jest próżna i że na tej próżności łatwo grać można. Postanowił więc traktować ją jak „damę“ i starać się przedewszystkiem za pomocą dobroci jak najwięcej z niej wydostać.

— Może czajku?... — zapytał, jadalnię wskazując,

— Dziękuję... — mizdrzyła się Józia — u nas wcześnie śniadanie... Wybiegłam na chwilę, niby za sprawunkami... Josełe mi mówił, że pan naczelnik kazał.

— Ja prosił.. ja mogę tylko prosić, żeby, mi panna Józia tę cześć zrobiła i do mnie w gości przyszła.

Posadził dziewczynę na fotelu i sam zajął miejsce naprzeciw niej na taburecie.

Mimo wszystko miał wielką ochotę bodaj ją uszczypać, ale wstrzymywał się, przypominając sobie, że inny ważniejszy cel musi mieć na uwadze.

Ona ze swej strony przypatrywała mu się wprawnem okiem szczwanej restauracyjnej dziewki i pod uśmieszkiem kryła uczucia wstrętu, jaki budził w niej ten nieumyty, opasły już mężczyzna w rozpiętej na piersiach koszuli brudnej i potarganej.

— Panna Józia służy u Horskich? — zapytał Tagiejew.

Józia skrzywiła się jakby do płaczu.

— Och panie naczelniku!.,. — zawołała — służę! Ale niech pan naczelnik powie, czy to ja powinnam wycierać cudze kąty i „bele“ komu usługiwać? Toć ja w najpierwszej restauracji miejsce znajdę, bo za mną goście „ciągnom“ jak te słonki. Jak Boga ukrzyżowanego kocham! A to bez tego pana Markowskiego popadłam w takie „drańst wo“, że „tera ani tędy ani siędy“.

— Jakże to?

— A no... my się tam poznali u Matołkowskiej w restauracji w Warszawie. Tak on do mnie — a rzuć, a jedź ze mną, a będziesz pani całą „giembą“, a ja się może i ożenię, a drugie, a trzecie... Takie tam *„zawracander“*. Ja durne bydlę wierzyłam. A że się pożarłam z Wierciołkiem i Matołkowska jemu dała „recht“ a nie mnie — więc jednego wieczoru powiadam — „dobra“ — i siadam z nim na kolej. A on...

— No... no...

— On — z początku tam się ściągał i numer mi zapłacił i drugie i trzecie. Ale potem coraz gorzej. Tak ja do niego — ile że mi było mordownie nudno bez knajpy — ja chcę jechać! — a on w śmiech. Nie przeczę, mówi. Ja mu po ludzku: — Oddaj złodzieju paszport... a on z grubsza. Ty taka, ty owaka, paszport u mnie. Pojedziesz, jak ja zechcę... I trzyma mnie w tym hotelu. Cały dzień siedzę — beczę... nos mi spuchł jak trąba... cóż? pchły

chyba zapuścić i uczyć tańcować? — Aż on do mnie. — Chcesz wyjść do ludzi? — Chcę! — To cię dam na służbę — do dobrego domu. Roboty mało — a będziesz miała tylko tyle, że czasem mi tam powiesz, czy co na mnie, albo wogóle na policję złego co nie mówią. Ja, panie naczelniku, żeby się wyrwać z tego więzienia, to bylabym rodzoną matkę sprzedała — i zgodziłam się. Ale teraz, to ja mam dosyć. Ja chcę wracać do Warszawy!... Panie naczelniku złoty! jedyny! święty!... niech pan naczelnik tak zrobi, żebym ja mogła wrócić!...

Wytrzeszczyła oczy, wyszczerzyła zęby w jakimś bolesnym uśmiechu, starając się skokietować Tagiejewa. Aż jęczała w niej dusza za knajpowem życiem. Tagiejew uśmiechał się i chwilę na nią patrzał.

— Tak bardzo chce się pannie Józi wrócić do Warszawy?

— O jej!... strasznie.

— No, to panna Józia wróci.

Aż porwała się z krzesła w nadmiarze radości.

— Panie naczelniku śliczny! brylantowy!...

Lecz on ręką skinął.

— Ale... warunek.

Westchnęła.

Wiedziała, że będzie „warunek", że się bez niego nie obejdzie, ale z góry już na wszystko przystawała.

— Dobrze!... dobrze... bierz djabli cielę, kiedy poszła krowa — roześmiała się.

Twardo spojrzał na nią Tagiejew.

— Niech panna Józia siada, bo my będziemy ze sobą mówić *o dielach*.

Jakby kto konewkę zimnej wody wylał na głowę Józi. Bała się niezmiernie owych *diel*, wplątana już raz w pamiętną jej sprawę zakończoną samobójstwem porucznika artylerji, Striełkowa. Pobladła nawet trochę i obałwanionym wzrokiem wodziła po olejodrukach i kryształowych wisiorkach kandelabrów, w których nieśmiało wschodzące słońce grało barwami tęczy. Tagiejew przestrach jej dostrzegł.

— Niech się panna Józia nie boi... — wyrzekł ojcowskim tonem — to są *dieła* z korzyścią dla panny i one podniosą znaczenie panny w świecie.

Odchrząknął i po chwili dalej ciągnął:

— Ot, ja sam widzę, że panna Józia na służankę nie stworzona. ani na dziewczynę z restauracji... U panny jest delikatność i spryt... Trzeba z nich zyski ciągnąć. A panna Józia co?... Marnuje dary Boże... W restauracji gdzieś na Marszałkowskiej z *prachwostami* koniaki spija, zdrowie traci, a ta jakaś Matołkowska przez pannę majątek robi.

— Oj! to to!... — westchnęła spokojnie po części Józia — staram się dla tej wiedźmy, jakby to dla mnie było.

— Właśnie... a to sensu niema. Trzeba pomyśleć coś o sobie. Złożyć jaki mająteczek, żeby coś założyć na własną rękę. Ha!

Józi aż się oczy zaświeciły.

— Bo to... — podjął znów Tagiejew — i uważanie inne w świecie, skoro się ma coś odłożone. A tak? fiu, fiu... i bywaj zdrowa łaciata sroko. Młodość poszła i amen... Ja pannie Józi dam sposób zarobienia pieniędzy.

— ?!...

— Panna Józia pozostanie nadal u Horskich!

Józia spadła z wysokości. Sądziła, że Bóg wie, co jej za świetności Tagiejew przedstawi, tymczasem każe jej pozostawać znów w służbie, w tem znienawidzonem miasteczku.

— Ale proszę pana naczelnika... — wybełkotała strapiona.

— Zaraz... pomaleńku... Panna Józia zostanie u Horskich, ale zamiast opowiadać, co się u nich dzieje Markowskiemu, panna prosto mnie przyjdzie i powie.

Józia milczała. Coś w niej jakby budzić się zaczęło, lękać i drżeć.

— Markowskij co pannie Józi za takie opowiadania płacił?

— Niech Bóg broni... Ja mu tylko tak po znajomości... On prosił...

— No, a ja będę pannie Józi zawsze płacił... Tylko trzeba już dobrze patrzeć i słuchać, a prawdę szczerą mówić, bo to za pieniądze. Ja będę pannie tygodniowo płacił stosownie do tego, co ważnego mi powie... Co?... ha?...

Józia spuściła głowę. Zrobiło się jej głupio na duszy. Miała na tyle inteligencji, iż od razu zrozumiała, że Tagiejew ofiarowuje jej miejsce płatnego szpiega. To ją wzburzyło całą i dokonało w niej przewrotu. Ogarnął ją lęk i zgroza. Zdawało się jej, że tonie w jakiejś kałuży i że gwałtem ją tam spychają, a ona napróżno ręce po ratunek wyciąga.

Tagiejew milczenie jej jednak sobie inaczej tłumaczył. Widocznie powziął o niej gorsze wyobrażenie, niż było w istocie.

— A tutaj chodzi — dodał poufnie — nietylko o to, co mówią o nas, to jest o mnie i wogóle o policji i o to, co na nas knują i zmawiają — ale i o co innego.

Zaczerpnął powietrza, przysunął swoje krzesło i zaczął prawie szeptem.

— Tam przyjechał panicz ze szkół? co?...

— Tak... wczoraj.

— Otóż to... Trzeba, żeby panna Józia bacznie śledziła, z kim ten młody panicz się w miasteczku znosi, co czyta, czy co pisze... Panna Józia rozumie. Tak delikatnie list jaki wziąć, albo książkę i tu do mnie na momencik przynieść... ja zaraz oddam, tylko popatrzę i panna Józia na miejsce odniesie. Nikt nie pozna... A ja za to zapłacę, i nietylko ja, ale potem, jak nam panna Józia odda jakie mądre usługi, to do Warszawy pojedzie; ja pannę Józię wyżej polecę i ot... karjera gotowa. Pieniądze będą leciały jak ptaki... Jej *Boha!*...

Józia ciągle siedziała z głową spuszczoną

na piersi. Ponuro patrzyła w ziemię. Wreszcie podniosła głowę i, zbierając się na odwagę, wykrztusiła:

— To niby pan naczelnik chce, żebym ja *w szpicle* poszła?

Tagiejew się żachnął.

— Ot... marne słowo... Być przychylną dla prawowiernego rządu, to nie szpiclostwo... Skąd takie słowa u panny Józi?

Oczy przymrużył, na dziewczynę niespokojnie patrzył. Ona miała czerwone wypieki na twarzy i nerwowo łamała sobie palce.

— Żeby mnie cholera na miejscu zatłukła!... — zawołała nagle — ja nie mogę!

Porwali się oboje z miejsca.

— Dlaczego? dlaczego?... — zapytał Tagiejew, a twarz mu ze złości pociemniała.

Józia uderzyła w płacz.

— Nie mogę!... nie mogę!... — wołała.

— *Małczi!*... — wrzasnął Tagiejew — *ot skatina, wojet kak sobaka!*...

Pod groźbą tego słowa Józia umilkła, ale płakała wciąż cicho, zakrywszy twarz chustką, którą ściągnęła z głowy.

— Ty nie umiesz być posłuszną władzy? — wysyczał Tagiejew, następując na nią — ty się buntujesz?

— Panie naczelniku!...

— *A ty mierzawka, ty etakaja!*... to ja do ciebie, jak do człowieka, a ty *swołocz* nie chcesz?!...

— Ja nie chcę być szpiclem!

— No tak... ja ciebie czem innem zrobię...

Zwrócił się w kąt salonu, gdzie stało nieduże biurko. Wyjął klucze, otworzył jedną szufladę i wyjął z niej stos niedużych książeczek.

— Ty znasz, co to za *książeczka* — spytał, pokazując Józi jeden zeszycik.

Wszystka krew zbiegła do serca dziewczyny.

— Jezus Marja!... — jęknęła, oparcia szukając.

— Będzie tobie Jezus Marja, jak ja ciebie tu wpiszę. Nic ci nie pomoże! Będziesz musiała co tygodnia jawić się z drugiemi!

Widmo napiętnowanej prostytucji, widmo straszne, przed którem chroni się najnędzniejsza z nierządnic, walcząc do ostatniej chwili, jakby z upiorem, wiało od tej groźnej, strasznej książeczki, którą Tagiejew powiewał w stronę Józi.

— *Kak twoja familja?*

Książeczkę otworzył, za pióro ujął.

Józia osunęła się na klęczki.

— Panie naczelniku!... — wybełkotała zbielałemi usty — niech się pan naczelnik zmiłuje!... ja przecież nie żadna ostatnia... pan naczelnik mnie zgubi!... mnie nigdzie do żadnej restauracji nie przyjmą!...

— *Kak twoja familja?*

— Panie naczelniku!...

Blada była jak trup. Na kolanach przywlokła się do biurka. Słońce przez pryzmat

przepuszczony tęczowy blask na czoło jej kładło.

— Panie na... czel... niku!...

Do nóg mu się schyliła. Kopnął ją i udawał, że coś pisze w książce.

— Ty w piątek jaw się do rewizji.

Ryk wydarł się z jej piersi. Taki krzyk musiał wydzierać się z piersi kobiet, które na szafocie kat piętnował rozpalonem żelazem.

Tagiejew w krzyk ten rad się wsłuchiwał, gdyż w nim widział już utorowaną drogę, którą poprowadzić Józię zamierzał.

Wziął z biurka pieczątkę i z hałasem zaczął ją do książeczki przykładać,

— A teraz *won* z tem, do kancelarji, tam cię wpiszą do ogólnej księgi. A jakbyś kiedy się nie jawiła, to *garadawoj* do ciebie przyjdzie i przygna cię... słyszałaś?

W rękę jej złożoną książeczkę wetknął — ona cisnęła nią o ziemię, jakby dotknęła się gadziny.

— Nie wezmę! Zdechnę, a nie wezmę!... — ryczała — niech się pan naczelnik zlituje... ja przecie jeszcze mogę za mąż pójść... a tak to już mnie chyba na Towarową... panie naczelniku.

— *Won!*

Rozpacz ją chwyta.

— Ja zrobię, co pan naczelnik chce! — wyjąkała — ja już będę szpiclem, ja przyniosę książki i listy, ja...

Nie mogła już mówić więcej. Dusiła się literalnie od własnych słów.

Tagiejew spojrzał na nią z pod oka.

— A będziesz posłuszna?

— Będę.

— I będziesz wiernie służyła *rządowi*?

Zaakcentował umyślnie to słowo „rząd" — cofając siebie poza potęgę ogromną, którą chciał przytłoczyć umysł dziewczyny.

— Będę!

— Zaklnij się.

Dziewczyna obejrzała się wkoło. W kącie przed ikoną paliła się lampeczka.

— Zaklnij się!

Wskazał jej ikonę.

— To przecie nie nasza Matka Boska, tylko wasza!... — wyrzekła Józia, podciągając nosem i ocierając łzy.

— Ty pewnie masz jakie co święte, na sobie.

— Mam „mentaliki".

— No... *skarieje!* wyciągnij i klnij się!...

Józia wyciągnęła z poza bluzki na zatłuszczonej tasiemce kilka medalików.

— Nu... nu...

— Tak mi Panie Boże dopomóż!

— Że wiernie będę służyć rządowi.

— Że wiernie służyć będę rządowi.

— *Da, ładno.* Schowaj świętości i ruszaj do domu. A pamiętaj, jak kiedykolwiek zełżesz, albo co ukryjesz, tak... ot co cię czeka!

Podjął z ziemi książeczkę i potrząsnął nią groźnie.

— Oto, co dla ciebie.

Józia dźwignęła się z posadzki.

— Panie naczelniku... ja przysięgłam, to ja już słowa dotrzymam.

Była blada, zmieniona, postarzała nagle o jakie dziesięć lat. Nie patrząc na Tagiejewa, skierowała się ku wyjściu. Zdawało się, że idzie jak we śnie.

Tagiejew, który sądził, że dziewczyna, uspokoiwszy się, odzyska swój humor i wrodzoną niedbałość, zdziwił się, widząc ją tak chmurną i zaciętą.

— A proszę nie dać na siebie czekać! — wyrzekł, nie wiedząc, jak wobec jej postawy przemawiać do niej.

— Ja przyjdę!

Nacisnęła klamkę i wyszła. Wybiegł za nią do przedpokoju.

— A jeszcze jedno!... — rzucił rozkazującym głosem — przed Markowskim ani przed nikim ani słowa, co między nami zaszło. Inaczej czy tu, czy na kraju świata, panna pójdzie w prostytutki... Słyszano?

— Słyszę...

Ukłoniła mu się z daleka, otworzyła drzwi do sieni i wyszła.

Zesunęła się ze schodów, trzymając się poręczy. Gdy znalazła się w bramie, łzy napowrót napłynęły jej z całą siłą do oczów.

— Jezus! Jezus! — jęczała cicho, zasła-

niając usta chusteczką, aby nie wybuchnąć głośnym krzykiem.

— Szpicel! szpicel! — migało jej przed oczyma — szpicel, albo... Nic mi nie zostało, jeno te dwa wyzwiska. Co ja miałam zrobić, sierota?!

I tak stała długo, choć coraz więcej ludzi snuło się po bramie, wchodziło na schody, lub schodziło z nich. Nikt nie zwracał uwagi na przytuloną do ściany dziewczynę. Widziano tyle razy płaczące kobiety, wracające z posłuchania od Tagiejewa, że jedna mniej lub więcej nie wchodziła już w rachunek.

XVIII.

CO SIĘ W DUSZY KLICKIEGO DZIAŁO. DRUGA MIŁOŚĆ. NAKAZ WYJAZDU. KLICKI SIĘ OŚWIADCZA. CHĘĆ WALKI Z „NIMI". POŻEGNANIE ZLECENIE KAZIA. KOBIETY MAJĄ PRZECZUCIE.

Klicki otrzymał zrana list swego wspólnika, wzywający go do powrotu. Interesa atelier wymagały jego obecności. Uczuł ogromną przykrość. Nietylko wszakże myśl koniecznego rozstania się z Janią oddziałała na niego w ten sposób. Było tam jeszcze jakieś dziwne, ogromne uczucie dla czegoś nieujętego, a przecież tak mu bliskiego, czego on na razie jeszcze wyanalizować nie mógł.

To jedno przecież zrozumiał, że niedawno, kilka dni temu, pobyt w tem miasteczku, odłączając rozkosz przebywania z Janiną — zdawał mu się niemożliwym do zniesienia. Tym-

czasem teraz jakiś smutek go ogarniał, że odjechać stąd musi.

— Zdaje mi się — myślał — iż muszę pozostawić kogoś niebezpiecznie chorego, a mnie bardzo bliskiego i odjechać hen... daleko.

I zaraz nasunęła mu się myśl.

— Kto jest ten chory?...

W okno spojrzał. Roleta była jeszcze spuszczona, ale poza nią Klicki wyczuwał znękany kraj, zdławiony, wymęczony — budzący się do dziennej wegetacji...

— Jakie to smutne!... — pomyślał — jakże to dna duszy sięgające.

Nagle zapukano do jego drzwi.

— Kto tam?

— *Garadawoj*.

— Proszę wejść!

Wszedł Siemipudow. Bez drgnienia muskułu na twarzy *zajawił* Klickiemu, iż pan sekretarz oczekuje na Klickiego w kancelarji.

— Czego chcą odemnie? — krzyknął Klicki zdenerwowany do najwyższego stopnia.

— *Nie smieju znat'!* — wyrzekł spokojnie Siemipudow i plecami drzwi podparł, dając tem dowód, iż bez Klickiego nie ustąpi z pokoju.

— A djabli z wami! — zaklął Klicki, wyskoczył z łóżka i pośpiesznie ubierać się zaczął.

Siemipudow milczał i uparcie w przeciwległą ścianę zamglonym wzrokiem patrzył.

Klicki już wiedział, iż stawianie oporu na nic się nie przyda, a rozdrażnienie jego ner-

wów wskutek ciągłych zajść z Tagiejewem i policją było tak wielkie, iż pragnął jak najszybciej wziąć swój paszport i wyjechać. Przed wyjazdem wszakże miał zamiar oświadczyć się Horskiemu o rękę Jani, aby mieć pewność, iż zostanie mężem ukochanej dziewczyny.

— Chodźmy! — wyrzekł do policjanta, gdy już ubrany stanął na środku pokoju.

Zabawiła go ta myśl, iż będzie szedł przez miasto, konwojowany przez policję. Odczuł, że to jest zemsta Tagiejewa. Postanowił zepsuć policmajstrowi radość i nie ciskać się, nie rzucać, nie wywoływać skandalu — lecz iść do policji dobrowolnie. Wychodząc, już w bramie spotkał owego obywatela z Litwy, który tak jego jak i idącego za nim Siemipudowa bystrem spojrzeniem obrzucił.

Klicki, przechodząc, kapelusza uchylił — „obywatel" o dziwnych oczach ukłon mu oddał i przystanął, patrząc jak Klicki z bramy wychodził. Przeczekał chwilę — potem w trop za idącymi się puścił.

Klicki, wyszedłszy na rynek, stracił jakoś fantazję. Zdaleka — przez całą przestrzeń zbłoconą rynku, dojrzał sklep Horskiego i szereg okien, za któremi przebywała Jania. Wyjazd jego nagły przedstawił mu się w całej pełni smutku. Postanowił iść zaraz i rozmówić się z Horskim.

— Przynajmniej będę miał pewność —

pomyślał i zaczął się kierować na środek rynku.

Lecz Siemipudow przyśpieszył kroku.

— *Pazwoltie* — wyrzekł — *eto nie lzia. Wy dołżny priamo idti k'gaspadinu siekrietarju.*

Klicki ramionami wzruszył.

— Ja idę pomówić ze znajomymi.

— *Nie lzia.*

— Wściekłeś się?

— *Nie lzia.*

Klickiego ogarnęła złość. Siemipudow mu drogę zastąpił i jak posąg w ziemię się wbił. Klicki czuł, iż policjant go dalej nie puści.

Bić się z nim? wywołać skandal? — To wszystko nie miało sensu. Należało innych chwycić się środków...

Klicki sięgnął do kieszeni. Namacał srebrnego rubla. Sprawnie ukrył go w ręku i rękę tę do Siemipudowa wyciągnął.

— Ot... co ja znalazł... — wyrzekł dobrodusznie — to może wasze?...

Siemipudow rękę nadstawił i rubel w jego szerokiej dłoni znikł jak zaczarowany. Bez jednego słowa usunął się na bok. Klicki przeszedł mimo i ku sklepowi Horskiego zmierzał. Siemipudow jednak zamiast za nim, szedł teraz obok niego jakby w podwojeniu gorliwości, z jaką spełniał swój obowiązek.

Klicki do sklepu wszedł.

Za nim wkroczył policjant.

Horski za ladą siedział. Zobaczywszy

Klickiego w asystencji Siemipudowa, ręce rozłożył.

— Ot co... — krzyknął.

Reszta słów, jakby mu zamarła w gardle.

Klicki się roześmiał.

— A no... mam świtę. Rząd rosyjski tak o mnie dba, jako o poddanego Austrji, że aż obdarza mnie honorową gwardją.

— Ale... dlaczego?

— To już ich tajemnica. A ja do pana na chwilę rozmowy.

Zafrasowany Horski szklaną klateczkę, poza którą stało biurko, ogniotrwała kasa i leżały księgi, ukazał.

— Może tam pójdziemy? — co? — sklepu nie mogę zostawić, a zresztą i pański anioł stróż będzie miał w ten sposób pana na oku i nie będzie słyszał, o czem mamy mówić.

Weszli obaj do szklannej przegródki. Klickiemu biło mocno serce. Był zdziwiony tem wzruszeniem. Nie będąc zdeprawowanym — życie, jako artysta, pędził dość swobodnie. Ta chwila przecież zmieszała go uroczystością swoją.

Horski mu krzesło wskazał.

— Proszę...

Lecz Klicki stał zmieszany i miął w ręku kapesz.

— Wolę powiedzieć od razu... bez przygotowań... — zaczął z uczuciem takiem, jakby się rzucał w wodę — ja... i panna Jania... to jest... właściwie ja tylko... bo co do panny

Jani, to pewności nie mam... chcielibyśmy... gdyby szanowny pan się zgodził...

Horski uśmiechnął się łagodnie.

— Zdaje mi się, że mnie pan prosisz o rękę mojej córki?

Klicki odetchnął.

— Tak.

Horski przez chwilę milczał.

— Mało znam pana — wyrzekł wreszcie — kobiety moję z Zakopanego pisały mi ciągle o panu w sposób bardzo pochlebny, jednak przyzna pan — ojciec, dbający o los dziecka, musi z całem staraniem zbadać, komu dziecko to na całe życie powierza.

Klicki schylił głowę.

— Rozumiem to wybornie — wyrzekł — i dlatego natychmiastowej odpowiedzi nie żądam. Pragnę właściwie dać się poznać szanownemu panu i proszę jedynie o pozwolenie rychłego powrotu...

Horski rękę ku niemu wyciągnął.

— Na to chętnie przystaję... zanim klamka zapadnie, zjemy ze sobą prawdziwie nie beczkę soli, ale gościnny chleb, na który pana całem sercem zapraszam. W niczem nie krępuję woli mych dzieci, a tembardziej w wyborze towarzysza lub towarzyszki na resztę życia. Tak samo będzie i z panem. Pokocha cię Jania, okażesz się jej godnym — chętnie pobłogosławię.

Cień smutku przesunął się po jego twarzy.

— Jedno tylko — wyrzekł — zabierzesz

mi ją pan, uwieziesz i to będzie dla mnie ciężkie. Zostanę sam, Kazio jest ode mnie tak daleko. Ona tylko jedna...

Klickiego coś porwało pod sercem.

— Nie, nie... — zawołał — ja *tutaj* osiędę.

Zapanowało milczenie.

To „*tutaj*" padło tak niespodziewanie, jak ptak prawie martwy na pustkę ugoru.

Klicki nawet przeraził się, gdy to słowo posłyszał.

Horski głową pokiwał.

— O!... tutaj zbyt ciężkie warunki. Przez te dni kilka widziałeś pan i przekonałeś się sam choć w części. Poco miał byś kłaść zdrową głowę pod ewangelję? Poco ci tu przejeżdżać?

— Po to — aby *walczyć*.

— Z kim?

— Z *nimi*, z systemem, z represją, ze wszystkiem, co ucisk stanowi.

Horski na szyby szklanne ukazał.

— Próbowałeś przecie, oto do czego cię to doprowadziło.

W mroku panującym w sklepie dźwigała się olbrzymia postać Siemipudowa. Policjant stał nieruchomy, milczący, lecz bacznie patrzył na szklanną przegrodę, widocznie śledził, aby mu Klicki nie umknął.

Klickiego ten widok jeszcze więcej podniecił.

— To drobnostka! ja ich się nie lękam. Cóż mi zrobić mogą?

— Przedewszystkiem jestem przekonany, że każą panu wyjechać.

— O! jeśli *każą* — to nie pojadę. Miałem jechać pierwszym pociągiem, bo mnie interesa wzywają, ale rozkazu ich słuchać nie będę.

— A ja pana proszę, ażebyś dla mnie, dla Jani to uczynił i nie drażnił ich przeciw sobie. Pomyśl pan, mogą tak zamanewrować, że będziesz miał wstęp do Królestwa zakazany. Tagiejew jest bardzo sprytny w pewnych kierunkach.

— Ależ ja będę miał paszport austrjacki!

— To nic nie znaczy. Najlepiej odjechać zaraz bez skandalu. W ten sposób będziesz miał zapewniony powrót. Nie marnuj pan sił swoich na bezużyteczne walki...

Głos Horskiego stawał się głębszy, wyraz twarzy coraz smutniejszy.

— Kazio, pan... inni młodzi sądzą, że duch narodu tkwi w odrzucaniu marnych pocisków w stronę wroga. A przecież... ja, my tutaj wogóle inny system przybraliśmy. *Pod pociskami nie ustawać w pracy.* Czy to nie lepsze?

Klicki gorąco odrzucił:

— Pod pociskami praca wykonywana nie może być ani silną, ani trwałą.

Horski się zamyślił.

— Może pan ma i rację. Dziś całą noc myślałem nad pana wczorajszemi słowy o zwołaniu wybitniejszych obywateli i wniesieniu zbiorowego podania do Rady, wyświetlającego

gospodarkę Tagiejewa. Może, gdy pan nas drugi raz odwiedzi, rzecz już będzie spełniona.

Teraz z kolei Klickiego ogarnęła jakaś trwoga. Zdawało mu się, że tem postanowieniem Horski burzy szczęście i spokój swego domu i całej rodziny.

— Niech pan się jednak zastanowi... — wyrzekł cicho, jakby się słów swoich wstydził.

Horski z zadziwieniem na niego spojrzał.

— Co? pan się teraz lęka? — zapytał.

— Nie o siebie, o pana, o was!...

— A widzi pan... a widzi pan... tak jest zawsze. Każdy siebie naraża chętnie. Gdy jednak pociąga za sobą innych, trwoga ogarnia. A tu trzeba akcji zbiorowej, trzeba masowego wystąpienia całego miasta. Inaczej nic nie poradzimy...

Milczeli znów chwilę, jakby zgnieceni tym brakiem odwagi, gdy szło o innych, nie o nich samych.

— Więc dziś pan jedzie? — przemówił wreszcie Horski.

— Tak.

— Zapewne zechce pan pożegnać się z dziećmi?

— Gdyby szanowny pan zezwolił...

— Ależ zezwolę... zezwolę... Wszak i ja byłem młody. Jania dawno na nogach. Kazio, nie wiem. Spał jeszcze, gdy szedłem do sklepu. Dziwić się nie można. Zmęczone to, przeciążone nauką. Niech choć to się wyśpi...

Westchnął i małe drzwiczki prowadzące na krętę żelazne schody otworzył.

— Trzeba i policjanta za panem puścić, a to narobi hałasu. Lepiej z nimi po dobroci. I jeszcze jedno... Gdy pan tam będzie w owej kancelarji, niech pan ich nie drażni słowami. Niech się pan nie gniewa, ale wy tam w Galicji przywykliście szafować słowami i uprawiać hałaśliwy patrjotyzm. U nas... inaczej. My koncentrujemy wszystko w sobie i siły nie rozdrabniamy na okruszyny. To grunt...

Skinieniem przyzwał Siemipudowa. Ten natychmiast do przegródki wkroczył.

— Idźcie za panem na górę... pan Klicki tylko chwilę zabawi.

Siemipudow nie odrzekł ani słowa, tylko ku otwartym drzwiczkom postąpił.

— Ja tu pana pożegnam — wyrzekł nie mogę sklepu odbiegać. Niechże pan mej rady słucha, niech pan jedzie i znów do nas zajrzy.

Klicki czuł, że coś go garnie ku ramionom Horskiego. Zbliżył się, pochylił i ucałował go w ramię. Do tej chwili nie lubił, ba, pogardzał nawet mieszczaństwem i kupiectwem. Tam w Krakowie widział u nich tylko groszorobów i „kołtunów". Tu nagle zrozumiał, że jest to warstwa pracująca właśnie pod owemi pociskami, które jej siłę roznosiły na strzępy, a przecież zgnębić i złamać jej nie mogły.

Za chwilę, idąc po krętych schodkach, znalazł się w jadalni. Zastał tam Józię, która

z oczyma i nosem, zaczerwienionemi od płaczu, energicznie czyściła kredens. Dozorowała ją w tej pracy Jania, ubrana w blado-niebieską bluzkę i ślicznie wyszyty kanwowy fartuszek. Włosy, splecione w długi warkocz, puszczone miała wolno na plecy. Była śliczna, różowa, błękitna i pachniała świeżością i wiosną życia.

Zobaczywszy Klickiego w asystencji Siemipudowa, którzy nagle jakby wyrośli z ziemi z otworu krętych schodków — Jania przerażona krzyknęła. Szybko uspokoił ją Klicki skinieniem ręki i słowami. Wytłumaczył jej po francusku pokrótce, że wezwano go do kancelarji policmajstra. Widząc strwożoną minkę dziewczęcia, skłamał, iż wie doskonale, że chodzi tu o zwykłe załatwienie formalności paszportowych przed wyjazdem.

Jania posmutniała.

— Pan jedzie?

— Ale bardzo prędko powrócę... Ojciec pani mnie do tego upoważnił.

Twarzyczka Jani pokraśniała.

— A... pan mówił z taciem?

— Tak... Czy dobrze zrobiłem?

— Dobrze...

Jania ku Józi, wciąż majstrującej koło kredensu, się zwróciła:

— Moja Józiu, idź do kuchni... zadzwonię na ciebie.

Pokojówka posłusznie skierowała się w głąb mieszkania. Gdy przechodziła koło

niego, Klicki doznał wrażenia, jakby prześlizgnęła się obok niego jaszczurka.

— Skąd państwo mają tę dziewczynę? — zapytał mimowoli.

— To Warszawianka... Była bez miejsca, sama się zgłosiła. Jest wyjątkowo, jak na sługę, inteligentna, a przytem bardzo nam oddana.

— Czy pani tego jest pewną?

— Jak najpewniejszą... Dużo dała już dowodów przychylności.

— Ha... skoro tak...

Jania wzrokiem śledziła Siemipudowa, który ogromny, rosły, wspaniale się zaznaczał na jasnem tle ściany.

— Dlaczego on pana pilnuje? — zapytała po francusku, usuwając się we framugę, utworzoną przez wgłębienie okna.

Za nią poszedł Klicki.

— Taki ma widocznie nakaz — roześmiał się, pragnąc uspokoić dziewczynkę.

Pochwycił ją za ręce i zaczął całować te małe, trochę czerwone rączęta.

Jania nie broniła się tej pieszczocie. Wzrokiem ogarnęła Klickiego, a w spojrzeniu jej przejawiło się ogromne i szczere uczucie.

— Żeby oni panu co złego tylko nie zrobili!

— Kto?

— No... pan wie...

— Ach! Tagiejew i jego banda? Niech

pani będzie spokojna. Mam zawsze przy sobie rewolwer...

— Och! już ta sama myśl jest dla mnie straszna.

— Ależ nie, nie. Użyję go chyba wtedy, gdyby godzili na moje życie, a o tem niema mowy.

— Pan żartuje.

— Bo nie jestem tchórzem.

— Ale... oni pana mogą... zamknąć.

Klicki zastanowił się chwilę.

— I o to się nie boję — odparł po namyśle — nie zamyka się tak łatwo poddanego obcego państwa.

— Och! pan naszych *porządków* nie zna.

— W każdym razie rząd austrjacki się za mną upomni... więc nie zniknę tak łatwo z powierzchni ziemi. Zresztą, tu chodzi o mój paszport. Chcą mi go pewnie wręczyć osobiście. Jadę za godzinę. Niechże pani stoi tu — przy oknie. Będę dorożką przejeżdżał na kolej. Gdyby mnie pani nie ujrzała, to znak, że Tagiejew mnie połknął...

Mimowoli Jania uśmiechnęła się.

— A kiedy pan powróci?

— Za dwa tygodnie.

— Słowo?

— Słowo!

Nie puszczał jej rąk. Nagle dojrzał, iż oczy jej zaszkliły się łzami.

— Co pani? — zapytał.

— Nie wiem, ale mi strasznie ciężko. Zdaje mi się, że jakieś niebezpieczeństwo grozi nam wszystkim — że coś cięży nad nami... Zdaje mi się, że my tak prędko się nie zobaczymy.

Zaczęła łkać cicho, łzy płynęły po jej ślicznej twarzy i spadały na błękitną bluzkę.

Klickiemu zrobiło się także strasznie smutno i ciężko na sercu.

— To wina tej atmosfery, w której żyjecie — zawołał — ciągle niepewni, ciągle pod wrażeniem, że się coś strasznego stanie.

— Może!... — wyrzekła Jania — ale cóż począć! Tu się urodziliśmy, tu żyć musimy.

Gdy to mówiła — spoważniała nagle. Spojrzeniem błękitnych, załzawionych oczów objęła cały rynek, który słał się poza oknem szary, nędzny, błotny — jak szmata jakaś zużyta — porzucona na przepadłe, gnijąca na wietrze i szarudze.

— Niech pan jedzie!... niech pana Bóg strzeże! — wyszeptała smutnie.

— I was niech Bóg strzeże — powtórzył mimowoli.

Usta do jasnego czoła dziewczynki przycisnął.

— Do widzenia.

Nie odpowiedziała mu nic. Przymknęła tylko oczy i tak stała nieruchoma i pobladła.

Nagle z pokoju bocznego wysunął się Kazio nieubrany, z szynelem, narzuconym na ramiona.

— A... to pan... — wyrzekł — zdawało mi się, że głos pana słyszę. Może pan na chwilę wejdzie do mnie.

— Owszem... — wyrzekł Klicki i, ucałowawszy dłoń Jani, która natychmiast wyszła innemi drzwiami w głąb mieszkania, do Kazia się zwrócił:

— Służę panu!

Siemipudow oderwał się od ściany i w ślad za nimi posunął.

— Czego?! — krzyknął Kazio, drogę mu do swego pokoju zagradzając.

— *Takoj prikaz!* — odparł policjant.

— *Ždat' zdieś!*

Głos Kazia był stanowczy. Oczy mu się zaświeciły nienawistnie. Klicki wszedł do pokoju, zarzuconego broszurkami, zeszytami i książkami. Kazio drzwi przymknął i rękę na klamce położył.

— Pan kiedy jedzie? — zapytał szeptem.

— Za godzinę.

— Tam... w Krakowie... ktoś się do pana zgłosi, ktoś panu wręczy coś, gdy pan znów do nas jechać będzie. Ja na pana liczę.

Oczyma czystemi o szlachetnym, prześlicznym i rozumnym wyrazie, wbił się w twarz Klickiego.

— Nie zdradzę zaufania... — wyrzekł ten mimowoli, do głębi wzruszony.

— Wiem!...

Uścisnęli się za ręce silnie, z całą szczerością serc młodych i uczciwych.

— Niech pan idzie!

Otworzył drzwi i przeprowadził Klickiego do przedpokoju i stamtąd na główne schody. W jadalni oprócz Siemipudowa była już Józia. Widząc, że Kazio wychodzi ze swego pokoju, natychmiast się tam skierowała.

— Czego tam chcesz? — zapytał ją Kazio.

— Wodę zmienię w karafce i uprzątnę na umywalni... — odparła już na progu.

W przedpokoju raz jeszcze Klicki uścisnął rękę Kazia. Chciał mu powiedzieć o swych zamiarach względem Jani, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Ten chłopiec zdawał mu się taki daleki od wszystkich jasnych stron życiowych, tak otaczał się jakąś atmosferą uczuć szerokich, obejmujących masy, a nie koncentrujących się w jednostce — iż Klicki nie śmiał poprostu wszczynać z nim takich kwestji.

— Pan wraca?

— Za dwa tygodnie.

— Dobrze.

Rozstali się. Klicki schodził powoli ze schodów, a za nim rozlegały się ciężkie kroki Siemipudowa.

Idąc, Klicki zaczynał znów doznawać tego trwożnego wrażenia, jakie ogarnęło go pod

wpływem słów i łez Jani. Starał się jednak z niego otrząsnąć.

— Cóż znowu! — pomyślał — ta tagiejewowska atmosfera i mnie zaczyna rozstrajać. To nerwy, nic więcej...

A w głębi duszy coś przecież mu szeptało:

— Kobiety mają przeczucia!.. mają przeczucia...

XVIII

MARKOWSKI ZASZACHOWANY. MARA JANI I MARA KRAJU. WYJAZD. PAN MONTWIŁŁ OBYWATEL Z LITWY. JEGO ZASADY.

Gdy Klicki wszedł do kancelarji, Markowskij siedział przy biurku i udawał ogromnie zajętego pracą.

Tym podwójnym wzrokiem, jakim się odznacza specjalnie policjant rosyjski, dojrzał doskonale wchodzącego, lecz udał, że go nie widzi.

Smród w kancelarji potęgował się jeszcze we dnie, a wiecznie otwarte drzwi ustępu wyziewały ze siebie kłęby cuchnącej woni. Stęchlizna odzieży interesantów, ich ciał brudnych, butów policjantów przesiągniętych dziegciem, dzika woń mokrych szyneli — wszystko to składało się na wytworzenie zabójczego powietrza.

Klicki stanął opodal drzwi — i porwały go nudności. Oddychał z trudnością. Markowskij rozumiał to doskonale, lecz w stanie ner-

wowej złości, w jaką go wprowadziła awantura z Tagiejewem — doznawał pewnej ulgi, robiąc na złość tym, którzy od niego choćby chwilowo zależeli.

Wreszcie cierpliwość Klickiego wyczerpała się.

Przystąpił do biurka i wyrzekł zupełnie głośno:

— Przepraszam pana... czy ja mam długo jeszcze czekać?

Markowskij podniósł głowę i spojrzał na Klickiego, udając roztargnienie.

— A... *eto wy? Nu ładno* — wyrzekł przerzucając papiery — *padażditie niemnożko.*

— Przepraszam pana, ale tu czekać niepodobna.

— Dlaczego?

— Bo tu zemdleć można w tej kloace.

— *Ach, pazwoltie!... Eto* kancelarja policyjna, a nie *watierkłozet.* Wy się nie liczycie ze słowami. To nieładnie.

Śmiał się ironicznie.

— Trudno się liczyć ze słowami, kiedy oddychać nie można.

— Nu... co robić! Tu rozmaici ludzie przychodzą. Tu nie budoar baletnicy. Tak trzeba cierpieć.

— Czego właściwie policja chce odemnie?

— Ach!... *eto drugoje dieło.* Proszę siadać.

Podsunął Klickiemu krzesło. Sam zasiadł za biurkiem, pióro w rękę wziął i zaczął powoli z miną sędziego śledczego:

— Wy tu długo myślicie jeszcze zabawić?

— Gdzie? w kancelarji?

— Ach, Boże mój! Tu, w naszem mieście i wogóle w Rosji.

— Niby w Królestwie?

— Niech będzie w Królestwie.

Teraz Klicki zaczął się ironicznie uśmiechać.

— Zabawię tak długo, jak uznam za stosowne.

Nastała chwila milczenia. Markowskij bawił się piórem.

— *Nu, da!* — wyrzekł wreszcie. — Ale gdyby my panu zrobili uwagę, że dla pana bezpieczeństwa lepiej będzie, jeżeli pan wyjedzie jaknajprędzej?

— Dla mego bezpieczeństwa?

— *Da...* pan tutaj bawi bez określonego celu, a policja, która czuwa nad ładem i porządkiem w mieście, nie może pozwolić, aby tu bywali i siedzieli ludzie obcy, bez żadnego określonego stanowiska...

Klicki zaczął ironicznie głową kręcić.

— Ach! jakiż to wzorowy porządek, ile ładu i opieki policyjnej — wyrzekł — zbudować się można.

Markowskij brwi ściągnął.

— Ład być musi! — wyrzekł twardo — i dlatego my pana prosimy, żeby pan jaknajprędzej z granic rosyjskiej *Impierji* wyjechał.

Klicki miał ochotę podrażnić jeszcze policjanta. Lecz przypomniał sobie rady Hor-

skiego, w oczach stawała mu smutna Jania i dlatego powstał z krzesła, mówiąc:

— Mój panie! ja bez waszych *proszeń* miałem jechać dziś rano i pojadę. Ale czynię to dlatego, że *mnie* się tak podoba, a nie dlatego, że wy tak chcecie. Gdyby nie moja wola, zostałbym, i cóżbyście ze mną poradzili?

Markowskij powstał także. Aż zakipiał ze złości, iż musi wybierać się i jechać równocześnie z Klickim, pozostawiając Tagiejewowi swoją Józię. Potrafił jednak powściągnąć się i odparł zimno, kłaniając się:

— Już mybyśmy na pana środek znaleźli.

— Wątpię!... — odparł Klicki — jest jeszcze nasz konsul, nasz rząd...

Nic nie zdoła określić wyrazu uśmiechu, który przewinął się na te słowa po ustach Markowskiego.

Klicki skłonił się i szybkim krokiem opuścił kancelarję, rad, że popsuł policji, a głównie Tagiejewowi radość ze spodziewanego skandalu. Liczyli na to, że Klicki będzie się bronił, że będą go musieli straszyć *ciupasami* — Bóg wie czem.

— Djabli ich wiedzą, jakie oni tu mają środki, — mówił, idąc do hotelu.

Spakował się prędko i zadzwonił.

— Proszowski! rachunek! dorożka! wyjeżdżam zaraz! — krzyknął na korytarz do nadchodzącego stróża.

Drzwi numeru zajmowanego przez obywatela z Litwy były uchylone. Gdy Klicki zamknął swoje drzwi — wychylił się z numeru ów „obywatel".

— Proszę was! — wyrzekł do Proszowskiego — i mnie natychmiast rachunek. Ja także wyjeżdżam.

— Czy i dorożkę?

— Nie, mam małe zawiniątko. Wezmę na mieście.

Proszowski pobiegł do Izaaka Feinbube, który się bardzo skrzywił na wiadomość, że ci dwaj panowie wyjeżdżają.

— Tacy fajni goście wyjeżdżają, a sama swołocz zostaje — wyrzekł, myśląc o oficerze pozostawionym w *załog*, który tej nocy, chcąc zagasić palącą się świecę, strzelił z rewolweru i zamiast w ścianę — trafił prosto w lustro.

. . . . . .

Z nadzwyczajną sprawnością wsunął się Markowskij do wagonu. Nie widział go Klicki, zajęty kupowaniem biletu. Natomiast „obywatel z Litwy" — zdawał się specjalnie pragnąć zająć miejsce w tym samym przedziale, gdzie miał jechać Klicki. Kupiwszy bilet poprzednio, stał na peronie z zawiniątkiem w ręku i patrzył w stronę kasy. Pociąg jadący ku granicy zatrzymał się na stacji pięć minut. Wreszcie Klicki zjawił się i bez wahania w pierwszy lepszy wagon wskoczył. Za nim wsiadł i „obywatel". Równocześnie w jednem z okien dalszych

wagonów mignęła głowa Markowskiego. Rozległ się gwizd i wśród szczęku łańcuchów pociąg ruszył dalej.

Klicki wszedł do przedziału drugiej klasy zupełnie wolnego. Otworzył okno i usiadł w kącie. Ciężko mu było na sercu i smutno. Przejeżdżając przez rynek, dojrzał w oknie Janię. Dziewczę otworzyło pół okna i otulone szalem czekało na jego przejazd.

Blada była jakaś i zmieniona. Czarne fałdy szala otulały ją żałobnie. Skinęła głową na pożegnanie, a żaden cień uśmiechu nie rozjaśnił jej ustek.

— Kobiety miewają przeczucia... — myślał mimowoli Klicki.

I nigdy to całe miasteczko nie wydało mu się tak biedne, tak nędzne, tak wyzyskane, jak w tej chwili. Marą szarą we wspomnienia mu się kładło. I przez okna wagonu zajrzany kraj cały był taką marą znękaną — bez jęku, bez skargi — zrezygnowaną i jakby opuszczoną.

— To straszne!... — pomyślał — zaledwie dni kilka, a ile goryczy i smutku w duszę mi się wpiło.

Nagle ktoś wszedł do przedziału i usiadł naprzeciw niego.

Klicki poznał natychmiast „obywatela z Litwy".

Miał do niego rodzaj żalu za to, że ten odmówił mu pomocy w obronie Rozy Montag podczas napaści Tagiejewa.

Lecz „obywatel" przywitał go bardzo grzecznie.

— Pan dobrodziej także jedzie? — zapytał.

Głos jego był śpiewny, ciągnący. Wymawiał polskie wyrazy starannie z lekką domieszką akcentu.

— Jadę — odparł Klicki, usuwając się mimowoli, aby i współtowarzysz mógł z otwartego okna korzystać.

— A ja myślałem już, że nie wyjadę — podjął znów Litwin — w ostatniej chwili awantura z paszportem. W policji! Należało *zajawić* wcześniej...

— Och! — roześmiał się ironicznie Klicki — z policją tutejszą łatwo sobie poradzić. Sunie się w łapę cobądź i sprawa skończona.

„Obywatel" w ręce plasnął.

— Co pan mówi?... próbował pan?... wzięli?

Klicki rad, że może wylać swą złość, która go dławiła, odparł bez namysłu:

— Naturalnie. Dałem rubla temu drabowi, co się ze mną od rana włóczył.

— Wziął?

— Aż mu się łapa trzęsła.

Obywatel głową kiwał.

— Oni wszyscy tak postępują. Od policmajstra zacząwszy. U nas na Litwie to samo. Ale ja myślałem, że to tylko na Litwie, a w Królestwie większy ład. A widzę, że przeciwnie. Dziś naprzykład w nocy! Sodoma i Gomora...

— A!... A czemu pan mi nie chciał do-

pomódz, żeby tego kanalję policmajstra ukarać za to, co wyrabiał?

Obywatel ręce rozłożył.

— Panie miły!... — wyrzekł dobrodusznie — ta co mnie sunąć się w takie sprawy? Ja się niedawno ożenił... dzieciątko u mnie... poco mi się narażać?... Montwiłł jestem, z Brzeskiego — dodał w formie rekomendacji.

— Klicki.

Podali sobie ręce. Klicki zauważył, że ręka Montwiłła była długa, męska, o bardzo ładnej, arystokratycznej formie.

To, jako artystę, pociągało go do tego człowieka. Przytem jeszcze artystyczną jego ciekawość drażniły oczy Litwina, dziwne, szare, które, pomimo, że Montwiłł przysłaniał je długiemi rzęsami, przejmowały do głębi siłą jakąś dziwną, która z nich płynęła.

— Jadę do Wiednia... — opowiadał dalej Montwiłł — przyplątał mi się jakiś artretyzm. Strzyka, boli, męczy. Sąsiad mój, Budzyński Juljan ze Stawisk, tak samo cierpiał i poradzili mu w sanatorjum u jakiegoś d-ra Webera. Wykurowali go we dwa tygodnie... Jak ręką odjął. Tak i ja do Wiednia. A to pojmuje pan... artretyk przy roli to funta kłaków nie wart... No i potem jeszcze, ożeniwszy się, także jakoś nie wypada stękać.

Mówił jasno, głosem czystym i miłym. Klicki słuchał go, rad, że wyrywał go ze smutnego koła, w jakie zapadł.

— No... a pan dobrodziej mieszka w Krakowie?

— Tak... — odparł Klicki.

Montwiłł spoważniał.

— Piękny, wspaniały gród! — wyrzekł jakimś poważniejszym tonem — sercu Polaka każdego drogi. Toć, gdybym ja tam mieszkał, tobym na Wawel codziennie chodził... A to darujcie... Parę razy byłem i pustka zupełna. Są, ręczę, między wami tacy, którzy nigdy tam nie chodzą. A to wstyd... to źle... to się ducha, panie, krzepi, jak się pamiątek świętych dotyka. Jak pan myśli? co?...

— Zapewne!... — odparł Klicki — ale tak źle znów nie jest... I my pamiętamy o Wawelu.

— No... jeszcze by też! — oburknął się Montwiłł — może chcecie, zapomniawszy zupełnie... co?

Chwilę milczeli. Rozmowa jednak zawiązana widocznie już była na drodze gładkiego toczenia się. Montwiłł też niebawem podjął:

— I dlatego my do was z opresji, jak na odpust, wy znów chyba nie macie co oglądać u nas?... Pan naprzykład... co pan odniósł za korzyść z bytności w tej, z przeproszeniem, pomyjnej jamie?

Klicki nagle wybuchnął:

— Jaką korzyść?... Ależ, panie łaskawy, olbrzymią. Co ja przez te parę dni widzia-

łem... o czem się dowodnie przekonałem! Niktby nie uwierzył!

— O czem pan mówi?

— Ano o gospodarce rządowej w „przywiślańskich miasteczkach"... To rozbój... to bezwstydne obdzieranie ludzi na gładkiej drodze... to ucisk drobiazgowy, który najsilniejsze charaktery może złamać.

Pod rzęsami u Montwiłła rozpaliły się źrenice.

— Tak, tak... — poparł — ja sam zauważył. Te policmajstry to chyba na to ustanowione, aby oczy zamknęli na wszystko zło, co się dzieje.

— Oczy zamknęli? — roześmiał się gorzko Klicki — może oczy mają zamknięte, ale za to łapy na kubany szeroko otwarte.

— Tak! tak!...

— Taki Tagiejew, to, jak się tu mówi „*wziatocznik*" pierwszego rzędu. Drze skórę, łupi za każdy oddech niemal, a pomaga mu cała szajka jego zbirów. Ja panu opowiem tylko jeden fakt...

Montwiłł aż się przysunął.

— No... opowiadaj, kochanieńki!

Cygarami potraktował Klickiego, ten wpadł w ferwor i opowiedział mu nadzwyczaj szczegółowo cały fakt Barłamowa ze złodziejami, następnie historję szyldu Horskiego, dalej przyczynę znęcania się Tagiejewa nad Rozą Montag.

Montwiłł słuchał z ogromną uwagą, w ręce plaskał, wydawał okrzyki. Gdy Klicki skończył, Montwiłł zapytał:

— Toś widział, dobrodzieju, jak się ten złodziej z policjantem pieniędzmi dzielił?

— Widziałem.

— No... a ten szyld... Toś słyszał, że Tagiejew chce sto rubli za jego przemianę?

— Słyszałem.

— No... no...

— I za to wszystko *staszczyli* mnie dziś do kancelarji i kazali natychmiast wyjechać.

— Kto panu to zajawił?

— Markowskij się nazywa. Jakaś kreatura Tagiejewa.

— No... to oni do tego nie mieli prawa.

— Tak i ja myślałem, ale, że ja chcę powrócić i nieraz do miasteczka, więc chodziło mi o to, aby z nimi nie zadzierać.

Montwiłł się zadziwił.

— Pan chce powrócić? poco to panu?... To taka szkaradna dziura.

Klicki się uśmiechnął.

— Hm... To już moja tajemnica.

— Sercowa?

— Może...

Montwiłł westchnął.

— Oj, młodość... młodość!...

Zastanowił się, a potem jakby od niechcenia rzucił:

— Pan poznał w Zakopanem tę panienkę... Horską, zdaje mi się.

Klicki zmieszał się, ale szczerze odparł:

— Tak. W Zakopanem. Skąd szanowny pan o tem wie?

— Panie łaskawy, mam znajomych w miasteczku. Pantoflowa poczta... To śliczna panienka, a jej brat... to także dzielny chłopak?!

— O tak!

— Pan go dopiero tu poznał?

— Tak.

— On był u pana parę razy w hotelu.

— Zaprzyjaźniliśmy się. Chłopak ogromnie inteligentny, ciekawy...

— Ciekawy?... pewnie bada, rezonuje... pali mu się w głowie?

— O nie! on bardzo rozumnie na życie się zapatruje...

— Refleksje...

— Może. Teraźniejsza młodzież inna, niż poprzednia generacja.

— No... daruj pan i oni zapalni i oni się łudzą, konspirują... co?... tak jak my w młodości.

Klicki ramionami wzruszył.

— Nie konspirowałem, a co do nich wiem jeszcze niewiele.

— No... ale i z tego *niewiele* może pan sobie już coś wysnuć. Naprzykład taki młody Horski. Z tego, co on panu się zwierzył, może pan już przecież wyrobić sobie o nim jakieś zdanie. Co pan o nim myśli?...

Klickiemu zrobiło się jakoś dziwnie. Było

to uczucie, z którego sobie nie mógł zdać sprawy.

Montwiłł nacierał na niego i dominował nad nim. Przytem z pod rzęs przysłoniętych magnetyzował go niejako wzrokiem. Klicki niepewny i zmieszany odsunął się od okna.

— Wieje! — wyrzekł.

Montwiłł natychmiast zmienił sposób postępowania.

— Widzi pan kochanieńki... ja ot nie przez ciekawość, ale z potrzeby radbym wiedzieć — ciągnął dobrodusznie — mam takoż brata w szkołach i zawsze równam charaktery młodzieży, aby jaki pożytek dla siebie z tego wysnuć.

Pociąg pędził, szczękając łańcuchami. Szare, smutne, płaskie skiby odwalały się, zlewając się na horyzoncie z równie szarem niebem. Gdzieniegdzie sterczała rózga samotnego drzewa. I znów płaszczyzna, pełna troski i melancholji, z lśniącą gdzieniegdzie tafelką tającej z lodu kałuży.

— Prędko pan znów tu będzie? — zapytał wreszcie Montwiłł.

— Za dwa tygodnie... o ile pan Tagiejew mnie natychmiast nie wytransportuje... A kto wie, może nawet na granicy mnie nie puszczą.

Montwiłł się uśmiechnął.

— Puszczą... ja to panu zrobię, że puszczą.

— Pan?

— Ja!... Znam doskonale kapitana żandar-

merji na granicy. Bardzo gładki człowiek... Przedstawię pana.

Klicki się uśmiechnął.

— Wolałbym nie.

— Ale cóż znowu! Toć on, ile razy grają Kościuszkę u was, albo jaką inną patrjotyczną sztukę, to jeździ do Krakowa i ogromnie się zachwyca. Powiadam panu, bardzo gładki człowiek. Skoro się pan z nim pozna, to pan zawsze granicę przejedzie i nikt panu nie śmie nic zrobić.

— Skoro tak!...

— Tak, tak, panie drogi... Tutaj nie można inaczej. Gdzie nie można przeleźć, tam trzeba podleźć... Bieda!...

Westchnął i zaszył się w kąt. Nagle porwał się.

— Dojeżdżamy!...

Rzeczywiście... szare, brzydkie cielska budynków granicznych, fatalnie reprezentujących w oczach Europy wjazd do kraju białego cara, widniały po stronie toru. Wicher wiosenny hulał po małym ogródku stacyjnym, gnąc krzaki bzu i szarpiąc słomą, w którą owinięto róże.

Montwiłł powstał i wyszedł na korytarz. Gdy rozległy się ciężkie kroki żandarmów, odbierających paszporty, Montwiłł na żandarmów skinął nieznacznie i szybko zesunął się z wagonu.

Nie widział tego Klicki, który był zajęty wydobywaniem z portfelu swego paszportu.

Gdy wreszcie, uporawszy się, wyszedł na platformę, Montwiłła nie było nigdzie widać. Natomiast zdawało mu się, że widzi znikającego w sieni Markowskiego.

— A to łotry! — pomyślał wzburzony — nie wierzyli mi i ten pies aż tu za mną przyjechał. Mam ochotę zrobić mu na złość i pojechać z powrotem. Montwiłł powiedział, że policja nie miała prawa mnie wytransportować. Należałoby się dowiedzieć.

Wszedł wzburzony do restauracji i usiadł przy stole. Teraz dokładnie widział, że Markowskij chodził po peronie i ciągle zaziérał w okna restauracji. Widocznie pilnował Klickiego.

— Czekaj, małpo!... — myślał — już ja cię urządzę. Żeby gdzie tego Montwiłła znaleźć, mógłbym go się zapytać o bliższe szczegóły i na czem opiera twierdzenie, że policja nie miała prawa mnie transportować.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Montwiłł. Przez chwilę udał, że nie dostrzega Klickiego, popatrzył uważnie w okno, uśmiechnął się i zbliżył się wreszcie do stołu.

— Pan widzi, kto tam chodzi? — zapytał Klickiego przyciszonym głosem.

— Widzę... i djabli mnie biorą... Mam ochotę wrócić do miasteczka.

— Poco?... Właśnie odjechać, a za dwa tygodnie wrócić. *Oni* zanim się dowiedzą, że ktoś przyjechał, zanim wezmą paszporty z ho-

telu, to pan może się ze znajomymi zobaczyć. Ot, ja byłem dwa dni i oni dopiero się zabrali, aby o mnie *sprawki* ściągać. A ja już dziś wyjechał. Tylko niech pan czeka, my tego Markowskiego zaraz weźmiemy w obroty.

— Jakto... *my*?

— Ach, Boże mój! Ja i mój znajomy kapitan żandarmerji; on bardzo policji nie lubi. Ja jemu o panu mówiłem... on rad się z panem pozna. To nadzwyczajny człowiek. O... o... patrz pan!

Przez szybę widać było, jak do Markowskiego podszedł żandarm i coś przemówił. Markowskij się zawahał, rzucił okiem w głąb restauracji, jakby dla upewnienia się, czy Klicki siedzi na swojem miejscu, i wreszcie za żandarmem poszedł.

— Kapitan go poprosił do siebie! — wyrzekł, śmiejąc się Montwiłł — djabli go muszą brać.

Wpadł w doskonały humor i na przechodzącego kelnera zawołał:

— No, wódeczki... dwie czyste i coś na przekąskę... dobrze?

— Kiedy... ja wódki nie piję...

— Co? jakże to?... Wstyd... do stanu małżeńskiego się zabiera, a babskie życie pędzi. Wstyd... Dwie wódki!... a pod strych lej, szelmo, bo inaczej nie dam kopiejki na czaj.

Pod melancholijnym, zaprószonym suto bu-

kietem perkalowych róż, sterczących w wazie od szampańskiego wina, kelner postawił na tacy dwa grube kieliszki i wódkę w nie lać zaczął.

— Za nasze!... — zawołał Montwiłł, porwał kieliszek i trącił się z Klickim, który mimowoli się rozchmurzył i swój kieliszek wypił.

XIX

W LISIEJ JAMIE. HORDYJ. KTO SPRYTNIEJSZY? ŻANDARM I POLICJANT BIORĄ SIĘ ZA BARY. MARKOWSKIJ W PUŁAPCE. ZA KLICKIM IDZIE SZARY CIEŃ

Kapitan Hordyj usiłował swej fizjonomji nadać jak najsłodszy wyraz, gotując się na przyjęcie Markowskiego.

Stał oparty o wysokie staroświeckie biurko, ustawione w kącie kancelarji. Nad biurkiem błyszczała ikona i migotała lampeczka. Sztory okna, wychodzącego na platformę, przysłonięte były do połowy i pogrążały kancelarję w półcieniu. Pod ścianą, naprzeciw okna, stała elegancka, pokryta pluszem sofa, a na niej rzucony leżał pled i poduszka irchowa. Opodal na ziemi widniał tłumoczek z ciemnego brązowego płótna, który Montwiłł przywiózł ze sobą. Laska Montwiłła również stała w kącie. Kapitan Hordyj dostrzegł ją, podszedł szybko i wrzucił laskę za

sofę. W tej samej chwili zapukano do drzwi kancelarji i wszedł Markowskij.

Zanim przemówili do siebie, policjant i żandarm zmierzyli się wzrokiem. Obaj starali się ukryć w sobie to, co nimi rządziło.

Prawie równocześnie wymówili:

— *Zdrastwujtie!*

I umilkli na chwilę, jakby zbierali siły do walki.

— A... *wy tut pa diełu?* — zapytał Hordyj, starając się o ile możności złagodzić ostry ton głosu, który wśrubowywał się poprostu w ucho słuchacza.

— *Da, pa diełu!* — odparł Markowskij.

— Wy kogo tu przywieźli? — zapytał po rosyjsku kapitan, patrząc bystro w oczy Markowskiemu.

Markowskij spostrzegł się, iż nie zda się na nic przeczyć, ani kręcić. andarmerja zdawała się być doskonale poinformowana.

— Tak... — odparł twardo — ja przyjechałem nie z kimś, ale za kimś, patrzeć, czy on do Krakowa powraca.

Hordyj ramionami wzruszył.

— Dlaczego to tak... Siergieju Aleksandrowiczu, dlaczego? Cóż ten jakiś zawinił?... Macie jakie poszlaki? Ha!...

Markowskij się zmieszał.

Nie był na to przygotowany. Sądził, że Klicki przejedzie spokojnie granicę, a jego obecność da się wytłumaczyć chęcią odwiedzenia znajomych urzędników na *tamożni.*

Tymczasem szyki się psuły. Żandarmerja wmieszała się, uprzedzona, czort wie przez kogo. Trudno było Hordemu wytłumaczyć, iż on, Markowskij, z polecenia Tagiejewa, zmusza Klickiego do opuszczenia miasteczka, gdyż los pozwolił Klickiemu być świadkiem kompromitujących policję faktów.

Tymczasem kapitan Hordyj czekał na odpowiedź. Wyprostował się w swym granatowym surducie, podbitym futerkiem, i przybrał minę dygnitarza, oczekującego raportu od swego podwładnego.

Nigdy może ta walka żandarmerji z policją, która wre na terytorjum zabranego kraju, nie ujawniło się z taką mocą. Żandarmerja, poniewierana przez armję, nawzajem poniewierała policję. Wynosiła się po nad stan policyjny, mając się za coś znamienitszego w hierarchji państwowej. W gruncie rzeczy spełniano jedne funkcje, teroryzując się i walcząc podjazdami.

Policja walczyła drobiazgami i sprytem, żandarmerja pokonywała ją siłą i wytrawnością.

Markowskij w tej chwili czuł, że przewaga jest po stronie Hordego i zbierał wszelkie władze umysłowe, aby się wyplątać z matni. Czuł, że tak Tagiejewowi jak i jemu żandarmerja, której obowiązkiem było śledzić policję, zaczyna następować na pięty. Należało zmylić tropy- aby czas jakiś chociaż grasować bezkarnie.

— No... i cóż? Dowiem się, o co chodzi?— pytał Hordyj.

Markowskij ramionami ruszył.

— Ja wiem mało — wyrzekł — to Iwan Iwanowicz Tagiejew wydał mi rozkaz przypilnowania, aby Klicki nietylko miasto, ale i imperję opuścił. Dlaczego? Mnie zdaje się, że Klicki politycznie jest podejrzany i pan policmajster nie chciał, aby się po mieście szastał.

Hordyj ironicznie oko przymrużył.

— Czy wy nie wiecie, co w takich razach wy powinni zrobić? Dać znać do gubernji — a *my* bylibyśmy się ptaszkiem zajęli.

— Tak... ja to wiem, ale to Iwan Iwanowicz tak postanowił... i..i

— Nu... kiedy on *polityczny*, to już pozwólcie my się nim zajmiemy.

Na Markowskiego pot wystąpił. Właśnie chodziło mu o to, aby Klicki nie porozumiał się z żandarmerją. Wyśpiewać mógł wszystko i stać się niebezpiecznym świadkiem.

— Ja nie wiem. To rzecz Iwana Iwanowicza Tagiejewa!— mruknął, zwalając wszystko na nieobecnego zwierzchnika.

— Nu... ładno! My się Klickim zajmiemy, a z Iwanem Iwanowiczem się zniesiemy.

— Pozwólcie!

— Co?... — przerwał ostro Hordyj — polityczne przestępstwa... jeśli wy ich rzeczywiście wytropili, to już nasze *dieło*, a szczególniej co do przejazdu przez granicę, to już chyba ja postanowię.

Zmienił ton, narzucił szynel i z kurtuazją do Markowskiego się zwrócił.

— Wy pozwólcie... ja na chwilkę na peron!..

Wyszedł szybko i ku restauracji się skierował.

Markowskij pozostał sam i z niemej wściekłości gryzł palce. Nie mógł nic przeciw naturalnemu biegowi rzeczy. Czuł, że sami z Tagiejewem pokpili całą sprawę. Bez ich nacisku byłby Klicki sam odjechał, a Tagiejew może wpływami swemi byłby potem wyrobił zakaz przepuszczenia go przez granicę.

Markowskij rzucił się na sofę i plusz paznogciami drapał.

— *Czortowaja mat'!*—klął, nie wiedząc sam, do kogo się to przekleństwo odnosi.

Tymczasem kapitan Hordyj szybko wszedł do restauracji i do stołu, przy którym siedzieli Klicki i Montwiłł, się zbliżył.

— *Nu... ja wasz serwiteur*!—wyrzekł z uśmiechem, oddając zgrabny ukłon wojskowy.

Po Klickim mróz przeszedł. To zbliżenie się żandarma przejęło go jakimś zabobonnym strachem. Lecz Montwiłł serdecznie ku przybyłemu podskoczył.

— A ot... i nasz kapitan! — zawołał — kelner, prędko kieliszek. A panowie pozwolą przedstawić się. Pan Klicki Władysław, artysta malarz, a to nasz dobry i miły kapitan Hordyj.

„Dobry i miły" kapitan skłonił się raz jeszcze i kieliszek odsunął.

— Nie piję.

— Co?...

— Nie piję — wyrzekł po polsku z rosyjskim akcentem. — To dziwne! Cóż wy tam

na Litwie macie za wyobrażenie o nas. Zaraz, jak Rosjanin, to pijak!

Roześmieli się. Klicki uśmiechnął się z przymusem. Hordyj przysunął się z krzesłem i zaczął jeść kwaśny ogórek.

— Pan ma nieprzyjemności? — wyrzekł półgłosem do Klickiego.

— Trochę...

— Pan widział, że za panem przyjechał sekretarz?

— Widziałem i dlatego na złość chciałbym zaraz wrócić.

Hordyj z Montwiłłem zamienili szybkie spojrzenie.

— To niepodobna — wtrącił Montwiłł — ja radzę jechać, a za dwa tygodnie wracać.

— Tak — podparł Hordyj — to będzie najlepiej. Przez ten czas my ich zapytamy, jakie oni mają prawo pana prześladować... Oni dopuścili się bezprawia. Gdy pan będzie znów jechał do Królestwa, pan się sam u mnie na granicy *zajawi*, a ja tu panu wszystko ułatwię.

Klicki zadziwił się niepomiernie. Lękał się ogromnie zetknięcia z żandarmerją. Tymczasem ona właśnie występowała jako opiekuńcza władza i narzucała się z uprzedzającą grzecznością.

Był tak zmieszany tem pogmatwaniem jego wyobrażeń, iż powstał i podszedł do bufetu pod pretekstem wybrania cygar, a głównie dlatego, aby na chwilę samemu pozostać.

Tymczasem Hordyj, nie podnosząc głowy,

zapytał siedzącego naprzeciw Montwiłła po rosyjsku:

— On stale mieszka w Krakowie?

— Tak! — odparł Montwiłł również po rosyjsku — ma tam zakład fotograficzny.

— My tam mu przydzielimy Szarego. Już on go wytropi.

— A stąd kto za nim pojedzie?

— Paklewski... Już się ubiera i brodę goli. Za chwilę, jak pociąg nadjedzie, będzie gotów. On go zda Szaremu.

Montwiłł pochylił się przez stół pod pozorem nabrania soli do mięsa.

— Wy już go, Piotrze Mikołajewiczu, nie pytajcie nic o to, co widział w miasteczku z policją... Spłoszy się jeszcze i nie wróci.

Hordyj ramionami ruszył.

— Ja to wiem i bez was.

— No, darujcie... ja doświadczenie mam, tak ja tylko radę swoją daję.

— Ja wiem... Może się uda podwójne sieci. On nam za świadka przeciw *nim*, no i może się co wytropi, kiedy wy mówicie, że ten student u niego tak ciągle siedział.

— Pst... wraca.

Klicki wracał od bufetu z cygarami. Montwiłł przyjął go nalanem w kieliszku winem. Powoli mowa zeszła na artystyczne tory. Obaj panowie ogromnie zdawali się interesować zakładem Klickiego.

— Ja tam do was zajdę w Krakowie —

roześmiał się Hordyj — a wy mnie sfotografujecie.

— Proszę bardzo... — wyrzekł Klicki, nie bardzo zachwycony tą propozycją.

Rozległ się gwizd. Portjer monotonnym głosem, złą wymową rosyjską, wywoływać zaczął odchodzące pociągi.

— Wam czas w drogę! — przemówił Hordyj — a mnie do obowiązków.

Powstali wszyscy.

— A pan? — zapytał Klicki Montwiłła.

— Ja jadę następnym pociągiem... Mam tu znajomego, chcę się z nim zobaczyć.

W tej chwili do bufetu wszedł mężczyzna niski, krępy, ale barczysty, świeżo ogolony, ubrany w porządne watowane palto niemodnego kroju i zbyt duży kapelusz. Nie patrząc na nikogo, przystąpił do ławki i usiadł na niej apatycznie, z wyrazem pewnego znudzenia i obojętności.

— Tak bądźcie zdrowi, panie Klicki! — szybko i bardzo głośno przemawiał Hordyj, ściskając rękę Klickiego i prowadząc go w stronę ławki, na której usadowił się ów jegomość — proszę! niech pan Klicki nie zapomina, że jestem na jego usługi.

Wyszli na peron. Montwiłł szedł z Klickim. Deszcz dobry mżył i dachy pociągu szkliły się błękitnawym stalowym blaskiem.

Pasażerowie wsiadali. Dokoła pociągów szarzały żandarmskie szynele. Hordyj udał się do kancelarji, z której niebawem wyszedł.

Klicki pożegnał się z Montwiłłem uściśnieniem ręki. Gdy wsiadł do wagonu, uczuł, że ktoś za nim drapie się na schodki. Obejrzał się mimowoli i dostrzegł, że to jest ten sam jegomość wygolony, który niedawno wszedł do sali restauracyjnej.

Lecz już za nimi walili się żandarmi z paszportami. Silna woń dziegciu wypełniła przedział kolejowy. Klicki odebrał swój paszport z rąk żandarma.

Gdy wszystko się uspokoiło, Klicki w okienku stanął.

Montwiłł był jeszcze na peronie i stał opodal Hordego, ale się doń nie zbliżał. Kapitan przybrał minę groźną i rzeczywiście zdawał się cały z sinej stali wykuty w swym fioletowym mundurze i takiejże czapce. Bystrem okiem wodził ciągle dokoła, aż zatrzymał wzrok na twarzy Klickiego, który mimowoli ciągle na żandarma patrzył.

Hordyj uśmiechnął się i ukłonił. Klicki mimowoli uśmiechnął się także i ukłon ten oddał. Zły był na siebie.

— Uśmiecham się teraz do nich — myślał — co się ze mną dzieje!

Nagle — w ramie okna kancelarji dostrzegł Klicki Markowskiego, który podszedł i tę wymianę uśmiechów dostrzegł.

Przygryzł usta i z pod brwi jasnych, rybie swe oczy, brzydkie, a w tej chwili pełne jadu, w twarz Klickiego wbił tak, jakby go chciał przeszyć niemi do głębi.

I Klicki nie wiedział, co było groźniejsze, czy ten uśmiech żandarma, czy ta groźba policjanta, którą poczuł wypromieniowaną w jego kierunku.

I jedno i drugie ścięło mu krew w żyłach.

Pociąg ruszył.

I to było ostatnie wrażenie, które Klicki ze swej podróży do Królestwa unosił.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ DRUGA

I

PUSTKA WIELKICH FANFAR.
WIDMO WAWELU.
SAM NA SAM Z OLBRZYMEM.
SZARY CIEŃ.
JEDEN Z TYCH, KTÓRZY DZIAŁAJĄ.
NADCHODZI ŚWIT.

Widownia była pogrążona w cieniu. Teatr zapełniony zdawał się dyszeć cały od chłonięcia w siebie jakichś przeogromnych wrażeń.

A może była to prosta ciekawość *snobów* rozmiłowanych w tem, czego zrozumieć nie mogli?

Klicki mimowoli obejrzał się dokoła.

Twarze były chłodne, spokojne, bez wyrazu. Cała moc była tych twarzy. Setki. Jakby kto zahaftował falę tysiącem twarzy. Lecz fala ta była nieruchoma. Dreszcz po niej nie biegł...

Na scenie przecież odgrywały się najpotężniejsze tony i dzwon przeszłości i przy-

szłości huczał majestatycznie. Co chwila padały wielkie słowa. Co chwila słychać było — Polska! Polski, Polską, w Polsce!... Przesuwały się olbrzymy poezji... Cała historja forsowała swe bohaterskie chwile. To znów buchał sarkazm, gryzła ironja... Coś się kotłowało... Wszystko szło do pomocy, aby wywołać dreszcz...

Dreszczu przecież nie było.

Ani dreszczu, ani łzy. Jęczono, biadano, łamano ręce... Bóstwa mitologiczne i klechdy słowiańskie tonęły w melancholji nad męczeństwem kraju. Papieże na tronie, Bazyljanie, Wawel uruchomiony, Wisła rozgadana, rola pokrajana w strzępy, pajęczyny pokrywające pleśnią sumienia w nas drzemiące, młode dęby szumiące zarozumiale — upiory krwawe grobów i lilje spadające z głowy Wenedy — wszystko to słało się pokotem, zgrzytało z tronów, kajało się lub straszyło...

A przecież dreszczu nie było.

Nie czuł go Klicki, nie czuł go nikt dokoła. I było tak wszystkim ludziom, jakby weszli do ogromnej świątyni, którą ktoś wznosił na chłodno, wymierzając każdą cegiełkę i umieszczając w ciemnych kątach zeschłe nietoperze i maszkarony dziwaczne.

— Tem ich przerażę,..

— Tem ich wzruszę...

Przerażał — lecz nie wzruszał.

Kurtyna zapadła. Rozległy się brawa, ha-

łasy. Klicki zdenerwowany wyszedł z teatru i plantami prosto przed siebie iść zaczął.

— Nie — wyrzekł w myśli — to nie jest *to*, co do serc przemawia. To nie jest prawdziwa *Polska*, ta, którą widziałem, snującą się po równiach mazowieckich, czerniącą się na błocie steroryzowanego miasteczka, szarpiącą się w wichrze dławionego jęku, lub płonącą cichym ogniem w oczach Kazia... Te rozwiane purpury, rozgadane bóstwa, wędrujący wieszcze, te wszystkie *teatralne* widowiska, to nie skupiona cisza kraju, który przypadł w milczeniu i chroni swe życie wysiłkiem bezgłośnego bohaterstwa.

Szedł powoli plantami, kierując się pod Wawel, jakby te zdaleka na scenie ujrzane parodje narodowego mauzoleum wymagały zatarcia w jego duszy potężnej rzeczywistości.

— I poco to wszystko? Jaki cel? Napędzenie grosza dzierżawcom histrjonów i sfabrykowanie wieszczów o „rozdartej piersi"? Co dzwigną te słowa? Co obudzą? Gromady kołtunów, które w nowych rękawiczkach asystowały temu widowisku, powrócą spokojnie do domów i, zjadłszy kolację, położą się niczem nie wytrąceni ze swej równowagi. Ta *Polska*, którą oglądali przez cztery długie godziny, jest dla nich niepojętą, niezrozumiałą. To *fantazja* — ta ich nie dotyczy, to drugi „Dzwon zatopiony", na który się patrzy z uśmiechem pobłażania. Jeden nerw nie zadrga.

jednego oka nie przysłoni łza, jedna myśl nie poszybuje w przestrzeń.

Cicho, nieruchomo — po obu stronach plant sterczały bezlistne jeszcze drzewa.

Lecz w tę noc wiosenną, która już zanosiła ciepłem rodzącej ziemi — coś kiełkowało tajemniczo, rozpoczynało żyć, budziło się, pragnęło...

Tajemniczy wiew otaczał Klickiego.

Czuł go doskonalszą warstwą swej duszy, która od chwili powrotu z Królestwa była jakby potęgą dominującą w jego usposobieniu. Wysubtelniał dziwnie. Miał zda się w duszy rozpięte struny, które, raz zadrgawszy wielkiem uczuciem, już na inne drobne nie reagowały.

— Ale to nie samo uczucie dla Jani — myślał, wnikając w siebie — miłość moja dla tego dziecka splotła się z czemś silniejszem, potężniejszem.

Przez pamięć jego przesunęła się blada twarzyczka Jani, otulona czarnem okryciem, taka, jaką ją ujrzał po raz ostatni w oknie rynku. Lecz równocześnie i tu ziemia zda się pokryta całunem czarnym—ziemia rozszeptana w trwożliwych skargach — pięła się ku zjawisku dziewczęcia i spływała z niem w jedno.

I gdy tak szedł powoli wśród ciszy wiosennych tajemnic, które zdawały się czarować bezbrzeżną tęsknotą za tem, co przeszło, czego niema wśród nas, ta ziemia zczerniała od niedoli i ta jej córka, blada i w kirach, już trudne były do rozróżnienia.

Która z nich droższa, która silniej w serce się wżarła? która bardziej duszę objęła uściskiem smutków ogromnych? Czy obie razem, jedna powstała z drugiej, jedna przypadła do łona drugiej, nierozdzielne, bo zrodzone i rodzące, splecione mocą wspólnej siły?..

— Obie, myślał, obie... bo one stanowią *jedność*. Nie można kochać kobiety, nie kochając kąta ziemi, która ją zrodziła. Jak kwiat na glebie szarej rozkwitła mi swym wdziękiem i czarem. Wdzięczność mam do gleby, czuję jej krwawy wysiłek istnienia i kocham je obie.

Zdaleka dźwigały się mury zamku. Przez bezlistne drzewa widać było ciemne masy żałobne i ciche. I płynął zeń smutek rzeczy minionych, ten sam smutek wiosenny, który mimo obietnicy zmartwychwstania mogilną jesienią ubiegłą ku duchom ludzkim wieje...

— Taka twarz żałobna — myślał dalej Klicki — takie ciche zamkowe mury, taka noc na wale w miasteczku, nad którem dyszy Tagiejew, takie oczy Kazia wpatrzone w dal, które mówią „chcę dojrzeć w mej walce, abym stanął gotów, gdy przyjdzie mi obrać drogę moją“ — taka szara równina mazowiecka, po której idzie wolno szereg żołnierzy w siwych siermięgach, takie oczy Markowskiego, gdy wpije je w duszę człowieka — to wstrząśnie mną więcej do głębi, niż ujrzane przed chwilą widowisko... Bo to *moja Polska*, to ta prawdziwa, obecna — nie w fantazji żądnej efektów scenicznych wyrosła...

Do zamku dążył, pod jego stopy, jakby w tej ciszy, w tym majestacie wykąpać się chciał i otrząsnąć z jaskrawości, narzucającej się z taką siłą.

— Ty... nasz!... ty nasz!... ty wielki, święty! Z kartonu go stawiać szopkową formą. Zgroza!... Nie tykać olbrzymów. Od katafalka precz!... Już był u stóp góry. W oddali szumiała, jęczała Wisła. Z poza chmur wypływał skrawek księżyca. Wszędzie sterczały rózgi drzew — tragiczne — dziwnie przejmujące jakąś trwogą.

— Ty nasz?...

. . . . . .

Rozwiały się w nim skrzydła i dusza cała spływała brylantową rosą. Nie przeczuwał nawet, że tyle podniosłego majestatu może kryć w sobie taka właśnie chwila. Sam był wobec ogromu, który jeszcze mu olbrzymiał przeszłością cichą, a w ciszy tej właśnie rosnącą do rozmiarów potęgi, jakiej dusza ludzka objąć nie zdolna.

— Dlatego, że *tam* byłem... na tej szarej równi, po której chodzą siwo odziani żołnierze i w której wodach kozacy swoje konie poją — na tej szarej równi, gdzie młodzi chłopcy mają twarze starców i oczy pełne zadumy, a starzy ludzie usta zacięte w pozornej rezygnacji — gdzie niema *słów*, gdzie niema wieszczów, drących teatralne szaty i stawiających trony z tektury, a układających fałdy żałobnej sukni

„rozpiętej na krzyżu Polski“ — lecz gdzie jest potężna *dusza* i gdzie tę duszę na każdym kroku masz w swej krwi, w swym pulsie, w swej myśli, w swem sercu — dlatego, że tam byłem...

Stanął i wzrokiem ogarniał nieruchome masy.

— Dlatego, że tam byłem.,. nauczyłem się kochać ciebie, ty nasz...

— Teraźniejszością wniknąłem w przeszłość.

I wniknąłem nie przez estetyczne, teatralne Wawele, lecz przez ciszę i ból rzeczywistości.

Fakta przemówiły.

I dlatego dziś, w teatralnej sali *słowa* pozostawiły mi chłód i wstręt.

Bo tam — w oddali niema *słów*.

Lecz jest — czyn!...

. . . . . .

Klickiemu serce zda się tak wielkie w piersi, że ból mu sprawia duchowy. Zolbrzymiało nagle — dorasta do ogromu miłości, którą pojąć pragnie. I tu u stóp królewskich murów — on tęskni do szarzyzny równi mazowieckich, do tragicznej grozy zrezygnowanego miasteczka — do tego, co mają w sobie oczy Kazia i sylwetka czarno odzianej Jani.

Mimowoli przypomina sobie, iż niedawno jeszcze pragnął wyrwać się z Królestwa, zabrać Janię i uciec, uciec tam, gdzie jest pozór wolności.

Dziś tęskni za tą nędzą, za tą żałobą cichą, którą pozostawił w oddali, i pragnie być tam w tej głębi, walczyć — cierpieć — lękać się — i mieć w duszy tajnię, do której jak do skarbnicy dusza się zanurza poto, aby z niej wypłynąć czyściejszą, z brylantami rosy na gotowych do lotu skrzydłach.

— Powrócę — myśli, chcąc uspokoić tęsknotę.

A równocześnie w nim jak echo:

— I zostanę.

Z oddali wyjęczała północ. Tak jękliwie, tak boleśnie popłynął ten głos. Targnął sercem Klickiego inaczej, niż wielkie *tam-tam* sceniczne, przed chwilą słyszane.

Znów nad *Nim* przeleciała godzina! przesunęła się przez umysł Klickiemu godzina... *wyczekiwania*...

I tak mu było na duszy, że byłby ukląkł i całował ziemię, i tarzał się u tych murów sprofanowanych obecnością żołdactwa, i wołał:

— Wyczekaj! wyczekaj!...

Jakieś ciche kroki wypełzły z cienia.

Zjawienie się tego człowieka powróciło Klickiego do przytomności.

Poznał go. Od chwili przyjazdu jego do Krakowa bezustannie snuł się za nim taki cień. A był tak nieuchwytny, tak się w danej chwili gubił, zacierał, bladł, że Klicki nie mógł nigdy zajrzeć mu w twarz, choć nerwy jego pragnęły tego z całą siłą. Dawniej Klicki nie zwróciłby uwagi na to, że ktoś za nim się

snuje. Lecz ta bytność w Królestwie, to przebywanie przez dni kilka w tajemniczej atmosferze szpiegostwa, podpatrywania, zaczęło wysubtelniać mu w tym kierunku nerwy i zaostrzać instynkt.

— Czyżby mnie i tu Tagiejew dosięgał? — pomyślał, zwracając się w stronę domu.

Nie ulegało jednak wątpliwości, iż śledzono go. Zaledwie Klicki zawrócił i szedł ku swemu *atelier*, gdzie sypiał w nyży za kotarą, wyczuł poza sobą kroki nieuchwytnego człowieka.

— Idzie! — pomyślał — idzie... czuję go.

Nad wszelki wyraz przykre uczucie zaczęło nim szarpać. To nadsłuchiwanie, ten miarowy łoskot kroków, zdawały się zanurzać mu świder w mózg. Miał chwilami ochotę stanąć i wyczekać, aby porwać za bary to *coś*, co się tam snuło, czaiło, gasło — wstrząsnąć niem i zawołać:

— Wiem, kto jesteś... Wiem, żeś cieniem tej potęgi, która o miedzę nawet graniczną potrafi wyciągnąć swe macki i przejąć strachem nawet takiego jak ja człowieka.

Jakby to „coś" wyczuło, co się w duszy Klickiego działo, bo nagle znikło, zczezło, przepadło gdzieś w ciemni.

Klicki odetchnął, tembardziej, że był pod bramą kamienicy, w której zamieszkiwał.

— Lżej mi — pomyślał.

Otworzył bramę i przeszedł wąski dziedzińczyk, na którym kupki ziemi tworzyły

rodzaj projektowanego ogródka. W głębi atelier, postawione osobno, srebrzyło się szybami i częścią szklannego dachu. Koronką bezlistnych gałązek oplatały krzaki bzu całą budowlę. Zdumiony Klicki dostrzegł, że ktoś w tych krzakach się tuli, tak, jakby chciał się ukryć.

— Czyż znów anioł stróż Tagiejewa? — pomyślał i ogarnął go szalony gniew na myśl, że nawet w domu nie może zaznać teraz spokoju.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kastet oplatany, gotując się na krótką ze szpiegiem rozprawę. Lecz doszedłszy do drzwi, zauważył, iż ta postać wysuwa się z kwiatów i ku niemu dąży.

Przystanął więc i czekał, trzymając na wszelki wypadek kastet w kieszeni.

. . . . . .

Ten, który ku niemu zdążał, był to drobny, niewysoki mężczyzna, w narzuconem na ramiona palcie. Szedł miękko, lecz czuć było w ruchach młodość, choć twarz, która w mroku zadziwiła Klickiego swą bladością, nie wyrażała kalinnej pieściwej wiosny życia. Coś tam było przytłoczonego, coś ciążącego ku ziemi zbyt silnym ciężarem tłoczącej się myśli. Szkło okularów połyskiwało. Za niemi świeciły jasno oczy o dziwnym, głębokim wyrazie.

W ręku mężczyzna trzymał niedużą paczkę, owiniętą w jakiś dziennik.

Gdy stanął przed Klickim, ten nie uczuł w nim nieprzyjaciela. Przeciwnie wiało ku niemu coś lepszego, coś jakby *stamtąd*, z równi mazowieckich, gdzie chodzą szaro odziani sołdaci, a kozacy dońscy konie poją...

— Mam panu to wręczyć — przemówił nieznajomy — proszę!...

Klicki zapytał.

— Od kogo?...

— To mniejsza... lecz ważniejsza dla kogo. Otóż... pan jedzie znów do Królestwa... Pan tę paczkę broszur wręczy młodemu...

— A...

— Tak, lecz uprzedzam pana, należy być ostrożnym przy przejeżdżaniu granicy.

— Więc to...

— Wydawnictwa zakazane. Ufamy, że pan je przewieźć potrafi...

Klicki nic nie odpowiedział. Zdawał się jeszcze rozważać. Coś skwapliwie popychało go do pochwycenia tych broszur, przeznaczonych dla Kazia, lecz pewien dawny, zastarzały rozsądek skrzeczał w nim głosem starej, lubiącej wygody papugi:

— Narażasz się.

I zaraz lotny głos w nim głuszył tamte słowa:

— A... oni?... a tamci?...

Rękę wyciągnął.

— Daj pan!...

Mężczyzna podał mu paczkę, ukłonił się,

odwrócił i ścieżką dziedzińca ku bramie iść zaczął.

Widocznie znał drogę, bo schylił się i zapukał do suteryn stróża.

Klicki za nim nie gonił. Patrzył tylko jego śladem i zdawało mu się, że to był jakiś duch, mara, która przesunęła mu się przed oczami.

— Pewnie jeden z nich... — pomyślał — jeden z tych, którzy nie mogą wytrwać w walce, wybuchają buntem i potem uciekają od domu, od swoich... Zawsze przecież nie ugięci, jednakowi, silni. Innym tam uwięzionym ślą jasność duchową.

Uczuł się dumnym, że on niejako pośredniczy w tem porozumieniu się dobrych duchów, rozwijających się jak kwiaty na krajowej glebie.

— Przewiozę... przewiozę... — mówił do siebie, przyciskając pakiet broszurek do piersi i wchodząc do atelier — przewiozę pod nosem żandarmów i wszystkich szpiclów...

Zapalił świecę i zaraz poszedł za kotarę, gdzie sypiał na otomanie. Ogarnęła go atmosfera rzeczy domowych, codziennych, z któremi zżył się lata całe. Lubił ten kąt, który przyozdobił wedle własnego gustu drobiazgami, zbieranemi tu i owdzie po drodze życia. Każdy sprzęcik przypominał mu jakiś etap w jego karjerze życiowej. Wisiały tu liczne szkice, które rzucał na deseczki i płócienka, oczekując szczęśliwej chwili, w której rzuciw-

szy fotografję, będzie mógł oddać się cały malarstwu.

Lecz dziś pobieżnym wzrokiem rzucił na ściany i na zdobiące alkowę graciki. Nawet nie zatrzymał wzroku na fotografji Jani, która to fotografja w ogromnym formacie wisiała nad otomaną. Cały był zajęty otrzymaną paczką. Szybko rzucił się ubrany na posłanie i zaczął przeglądać broszury, które tylko związane były sznurem po wierzchu gazety.

Stopniowo pogrążał się coraz więcej w czytaniu i rumieńce wystąpiły mu na twarz. Były to dla niego zupełnie nowe światy, lecz pełne nadzwyczajnego i potężnego uroku, który go przenikał.

Świeca dogasła; przez zapuszczoną kotarę przedzierały się jakieś niepokojące blaski wschodzącego dnia. Klicki leżał jak martwy, patrząc teraz w przeciwległą ścianę.

— Jak mogłem tak żyć, jak żyłem poprzednio?... — myślał.

Przed nim jak punkciki wytyczne jego życia majaczyły szkice, zbierane po rozmaitych rozłogach życiowej wędrówki.

— To był dawniej mój cel i jedyne pragnienie... a dziś?...

II

W MIASTECZKU. ZABAWA U HORSKICH. PODPISANIE PROTESTU. PAN POLICMAJSTER HULA. W SEPARATCE. SZAMPAN I DAMY.

Szumno i gwarno przeszedł wieczór u Horskich. W jadalni aż błyszczało od sreber i szkła, w którem przeglądały się światła zapalonych lamp i kandelabrów. Z okien biła ta jasność na rynek, na którym kupy błota, zgarniętego z trotuarów, wydawały cuchnącą woń, głuszącą nawet zapach wiosenny, dobywający się jakby gwałtem od pól i tłoczący się pomiędzy kamienice.

Stoliki od kart, rozłożone w dwóch punktach salonu, miały porozrzucane talje kart, kredy i żetony w najwyższym nieładzie. Nie grano jednak zupełnie, mimo, iż stoliki były gęsto obsadzone gośćmi. Ci wszakże, pochyleni, zsunięci, niemal głowa przy głowie — zdawali się nad czemś naradzać, coś postanawiać, coś niezmiernie ważnego, co im troską na sercu leżało od lat wielu. Byli to przewa-

żnie kupcy miasteczka, tak bogatsi, jak i średnio zamożni. Nawet znalazło się kilku zupełnie drobnych kupców, którzy przedtem nie bywali nigdy u Horskiego. Zebranie to więc przedstawiało się dziwnie. Napozór był to zwyczajny wieczorek, wydany przez Horskiego może celem zaprezentowania syna, może dla zabawienia córki, lecz obecność samych tylko mężczyzn, i to właścicieli sklepów, odbierała mu cechę domowej, przeciętnej zabawy.

Pomiędzy gośćmi snuła się Jania, ubrana jak zwykle jasno, uczesana starannie, podawała herbatę, cukier, rum, odbierając tacę z rąk Józi, którą zręcznie usuwano z salonu. Dziewczyna gwałtem jednak kilka razy wcisnęła się pod rozmaitemi pozorami, za co Horski zgromił dość ostro nie dość uważającą na jego rozkazy Janię.

— Powiedziałem ci... nikogo obcego teraz między nas nie wpuszczać. Czy chcesz, aby się nasz plan rozniósł przed czasem i aby Tagiejew go udaremnił?... Wiesz przecie, ile trudu mnie kosztowało zgromadzić ich tu wszystkich i namówić do solidarnego działania.

Jania zasępiła się trochę.

— Ależ, taciu... — tłumaczyła się — ja jej zakazałam... a zresztą Józia jest pewna dziewczyna, dobra i nam oddana.

— Ta, ta, ta... kobieta żeby miała najlepsze postanowienia, to zawsze u niej ozór będzie zbyt długi i wypaple bez złej myśli.

dla przyjemności paplania. Dlatego ty twoją Józię trzymaj dziś zdaleka... o to cię proszę!

Podniósł portjerę i powrócił znów do salonu. Narada miała się ku końcowi. Po ogromnie długich debatach zgodzono się wreszcie na podpisanie zbiorowego protestu wszystkich znaczniejszych kupców miasteczka przeciwko nadużyciom, ciągle wzrastającym ze strony Tagiejewa. Protest ten miał być wysłany do prokuratora. Nie obeszło się jednak na zwłokach wskutek tchórzliwości niektórych członków zebrania. Niejeden lękał się, iż protest nie odniesie żadnego skutku, a Tagiejew rozwścieczony gnębić jeszcze więcej będzie.

— Zobaczycie... kruk krukowi oka nie wykole; gubernia przyjmie protest do wiadomości, a ten łotr tylko się jeszcze więcej rozjuszy — szeptali, oglądając się trwożnie poza siebie.

— Niech będzie, co chce — odpowiadała na to większość — gorzej już nie będzie... Musimy ryzykować.

Kazio kilkakrotnie przesunął się po salonie.

Poszedł po niego sam Horski, jakby chciał się pochwalić decyzją wypowiedzenia walki Tagiejewowi.

— I cóż? i cóż? — zapytał syna, chwytając go w przejściu.

— Co?...

— No... cóż ty na nas?...

Kazio patrzył na ojca z pod brwi zmarszczonych.

— Tak — wyrzekł po chwili — tak, ale to jeszcze nie to.

Horski się oburzył.

— Czegoż ci więcej potrzeba?

Lecz Kazio nie odpowiedział nic i wrócił milcząc do swego pokoju.

Trochę z tropu zbity Horski podszedł do gości. Redagowano właśnie bruljon protestu. O każde silniejsze wyrażenie większość wiodła spór z tchórzliwą mniejszością. Z niektórych czół pot lał się kroplami. Widać było walkę wewnętrzną, silną. Te małe tragedje dusz, które lękały się „ryzykować" byt swój i spokój egzystencji rodzin, rosły i olbrzymiały. Horski czuł, iż one właśnie raziły Kazia. Chłopiec chciał solidarności wielkiej, takiej, do której tylko *młodość* jest zdolna, porywów jednomyślnych, a tą jednomyślnością silnych. Nie wnikał w przyczyny, które ten brak odwagi zrodziły. I stąd jego pewna pogarda dla tych usiłowań, w których widział chwiejność i jakby skradanie się.

Niemniej przecież protest był zredagowany i odczytany półgłosem. Jania bezustannie teraz lawirowała między kuchnią i salonem. Raz jeden, gdy wnosiła na tacy baterję butelek świeżych, zafalowała portjera. I znów Jania, wyszedłszy z salonu, dostrzegła kropkowaną spódnicę Józi, umykającej do kuchni. Jania trwożnie obejrzała się, czy niema gdzie ojca. Lecz

Horski stał teraz przy oknie i uchyliwszy połowę okna na rynek patrzał. Dwóch policjantów stało naprzeciw jego kamienicy, jakby zahypnotyzowanych. Widocznie oczekiwali wyjścia gości, aby skontrolować, kto był na wiście u Horskiego.

Taki był zwyczaj przyjęty w miasteczku. Tagiejew jawnie dowiadywał się, kto, gdzie i u kogo bywał. Im przyjęcie było sutsze, tem większa później wypływała jakaś dobrowolnie nałożona kontrybucja pod pierwszym lepszym pretekstem.

— *Guliajut gaspada* — śmiał się Tagiejew — *widno dienieg mnogo... pust'sa mnoj pa paławinie.*

Zaczęto wstawać od stołów. Cel zebrania był osiągnięty. Jakiś niepokój targał teraz wszystkimi. Szybko ktoś przepisywał protest. Większość bowiem zauważyła, że na gorąco należy zbierać podpisy. Lecz zaczęto rozchodzić się po salonie, paląc i popijając wino z rozstawionych dokoła kieliszków. Półgłośna rozmowa zmieniała się powoli w gwar coraz silniejszy. Dominowała nuta oburzenia. Ktoś co chwila cytował nowy fakt wyzysku policji. Egzystencja stawała się niemożliwą. Rozboje w biały dzień działy się pod bokiem. Obecnie kwestja kupowania nowych flag poruszyła wszystkich. Dwa lata temu sprawiono nowe flagi na rozkaz policji. Obecnie Tagiejew rozkazał kupować nowe i to jedynie u Izaaka Feinbube. Inne flagi mieli policjanci rozkaz zdzierać. Feinbube sprawę tę wyzyskał do nie-

możliwości, oznaczając ceny flag dwa razy tak wysokie, jak zwykle. Widoczne było, iż chciał odbić łapówki, dane Tagiejewowi.

Głosy coraz stawały się silniejsze.

Horski chodził dokoła mitygując, prosząc o cichszą rozmowę.

— Co tam!... Niech go djabli!... — odpowiadano mu — niechno się tu pokaże!... my go..

Oczy płonęły, gesta stawały się coraz śmielsze. Nawet ci tchórzliwi powoli nabierali odwagi i zaczynali rezonować.

— Tak... tak... niechby tylko przyszedł!...

Kolejno teraz podchodzono do stołu, gdzie gotowy protest leżał, czekając na litanię podpisów. Horski pilnował, aby podpisali się wszyscy i nikogo nie brakowało. Było to jednak zbyteczne, bo cisnęli się wszyscy teraz i jeden drugiemu oddawał pióro. Jakaś fantazja i animusz przejęła ich.

— No... już my go nauczymy!

Wreszcie podpisali się wszyscy, ale nie rozchodzili się do domów. Wino było wypite, a Horski, lękając się zaprószenia słabych głów, nie kazał Jani przynosić więcej butelek, lecz atmosfera, cała przepojona dokonanym czynem, działała podniecająco na tych ludzi, zdręczonych tak długiem biernem poddawaniem się opresji. Fantazja pracowała. Widzieli się już triumfującymi nad tym, który tak długo nad nimi triumfował..

— My go... panie tego!...

W tym zamkniętym, obwieszonym zacisz-

nemi portjerami salonie, z protestem, leżącym butnie na stole, czuli się spokojniejsi i stąd pewność ich rosła.

— My go, panie tego...

W przedpokoju, żegnając się z Horskim, powtarzali jeszcze uparcie pogróżki — wyciągając pięści w stronę rynku. Lecz na ulicy rzeczywistość owiała ich nagle i pochwyciła w swe szpony.

Wyszedłszy gromadą, natknęli się znowu na Siemipudowa i Pluskina, którzy, zupełnie nie krępując się, zaglądali przechodzącym w oczy. Wystarczyła ta milcząca kontrola, wystarczył ten mundur służalców Tagiejewa, aby łapa małomiasteczkowego satrapy wyciągnęła się nad nimi groźna i zda się niepodobna do zwalczenia.

Nawet ten protest, który zostawili tam na górze u Horskiego, wydał się im niczem w porównaniu z tem czemś fatalnem, tak groźnem, które ciążyło nad nimi.

Defilowali przed oczami nieruchomych policjantów w milczeniu — niepewni już — jakby powracający z jakiejś karygodnej wycieczki — i żaden z nich nie śmiał nawet w duszy powtórzyć:

— My go, panie... tego...

. . . . . .

Gdy wyszli na środek rynku, stanęli, aby się pożegnać. Każdy bowiem szedł w inną stronę. Przeważnie jednak mieszkali w rynku,

bo tam skupił się cały handel, a więc i ich sklepy. Podawali sobie ręce, prawie milcząc. Tylko kilku śmielszych dla dodania sobie animuszu i zmylenia czujności policjantów śmiało się i starało coś mówić, jakby wesołość ich wynikała z wesołej zabawy u Horskiego.

Nagle — w bocznej ulicy dały się słyszeć głosy. Mówiono po rosyjsku. Przeciągły akcent trochę śpiewny petersburski—śmiech—dalej grubawy głos mężczyzny...

Stojąca na rynku grupa mężczyzn rozbiegła się nagle. Nie dość szybko wszakże, aby wychodzący z bocznej ulicy nie mogli dostrzedz tego nagłego rozpierzchnięcia się.

W tej samej chwili obaj policjanci wyciągnęli się i zasalutowali.

Powiało opresją i grozą. Przy boku dwóch kobiet, odzianych w długie rotundy, podbite białemi angorami szedł — Tagiejew.

Szynel rozpięty opinał mu się na brzuchu, szedł ostro, nadając sobie ton i maniery co najmniej *gwardiejca*. Widoczne było, iż starał się o względy którejś z dam odzianych w angory, bo powłóczył szarmancko nogą. tak, jak to czynią „kawalerzyści" w zalotach.

— *Ach!... Kakoj wy nahał!* — szczebiotała jedna z dam, śmiejąc się — *użas... da adstańtie!*

Widocznie jednak nie gniewała się za *nahalstwo* policmajstra, przeciwnie kokietowała go zawzięcie niewielkiemi oczkami, świecącemi pod wypukłem czołem Rosjanki.

Tagiejew chciał coś odpowiedzieć, gdy dostrzegł grupę rozbiegających się mieszczan. Bystro spojrzał, jakby chciał przebić ciemności. Policjanci stali wyprostowani.

Tagiejew, kierując się ze swemi towarzyszkami ku hotelowi Feinbube, przechodził mimo policjantów. Zatrzymał się i skinął na Siemipudowa.

— Skąd oni wyszli? — zapytał półgłosem po rosyjsku.

— Od Horskiego!...

— Ach!... tak... u niego dziś wieczór.

Przypomniał sobie, iż Horski był sam w kancelarji i *zajawił* Markowskiemu, że u niego dziś *wint*.

— Cóż... ich aż tyle? — pomyślał.

— Kto był? — zapytał policjantów.

Ci zaczęli wyliczać nazwiska. W miarę ich słów, Tagiejew chmurniał coraz bardziej.

— Sami *kupcy*... myślał — no, no, to podejrzane...

Zwrócił się szybko do Siemipudowa.

— Znaleźć mi Joseła i przywieść go do *restauranu* w separatkę. Ja tam idę...

Panie w angorach niecierpliwiły się.

— *Da pamiłujtie*, mnie *jest' choczietsia* — zaśpiewała jedna.

— *I chołod* — dodała druga.

Tagiejew zwrócił się elegancko.

— Idziemy, idziemy... ale panie wiedzą... *dieła*, sprawy...

Poszli w jasno oświetloną bramę restauracji. Na krześle drzemał Proszowski.

Gdy Tagiejew wszedł z kobietami do sieni, udał, że nie słyszy i nie widzi tego butnego wejścia.

Zamknął oczy i przylepił się do ściany.

— A żebyś zczezł — snuły się różańcem jego pragnienia — a żebyś zczezł...

Lecz Tagiejew „zczezł" — ale we drzwiach restauracyjnych w ślad za damami, które już od progu zrzucały ze siebie rotundy i ukazywały bluzki z czerwonego jedwabiu, przystrojone suto białemi, trochę zbrudzonemi koronkami.

— Gabinet!... — wrzasnął butnie Tagiejew na kłaniającego mu się nisko Izaaka.

Siwa broda patrjarchy zamiotła pył chałatu, a piękny profil żyda zarysował się na ścianie, upstrzonej masą afiszów i reklam.

— Tędy jaśnie wielmożny naczelniku... wszystko przygotowane — zakąska *pierwyj sort* czeka... proszę!...

Drzwi otworzył.

Ukazała się jama małego pokoiku, w którym buchało aż od gorąca.

— Ja kazał zapalić w piecu — mówił z przymileniem.

— Dobrze! dobrze!... zamróż szampańskiego!

Oczy Feinbube mignęły nienawiścią. Spo-

dziewał się, że będzie kolacyjka, widząc jak Tagiejew do młodych śpiewaczek, które dziś właśnie koncertowały w teatrze, zachodzi. Zrezygnowany, przygotował wódkę, zakąski, filety krowie, sufle z marmolady *aprikozowej* i dwie butelki reńskiego. Wiedział, że rachunek niezapłacony będzie musiał dołączyć do całej paczki takich rachunków, które leżały w szufladzie, ale sądził, że przynajmniej ominie go przymus ofiarowania szampana na ołtarzu zapałów miłosnych Tagiejewa. Skłonił się jednak pokornie, poprawił zbity klosz na kinkiecie naftowym, objął wzrokiem dobrze odżywiane postacie „koncertantek prosto z Petersburga", jak opiewał afisz, i wyniósł się czemprędzej, widząc, iż zakąski znikają z przerażającą szybkością.

Za nim w ślad poleciał głos Tagiejewa.

— Feinbube... jeszcze zakąsek!...

Żyd stanął, pięście zacisnął, a twarz mu się zmieniła w niepojęty sposób. Płomienny temperament aż mignął pod skórą, zaciął wargi, widocznem było, ile nienawiści dla Tagiejewa żywi dostawca flag na całe miasteczko.

— Ja ci dam zakąski... — myślał żyd — ale *oni* mnie za nie zapłacą!...

I nienawiść jego objęła w tej chwili płomieniem nietylko tego, który gnębił, ale i tych, którzy byli gnębieni... stokroć razy więcej, bo gnębieni materjalnie, fizycznie i duchowo.

Feinbube był tylko gnębiony materjalnie...

III

PAN POLICMAJSTER CZUWA.
PO SZPICLA.
W PANNIE JÓZI BUDZI SIĘ DUSZA.
SCENA W GABINECIE.
PANNA JÓZIA PIĆ NIE CHCE.
PANNA JÓZIA PŁACZE.

Josełe Pinkas wpadł do gabinetu jakby na skrzydłach.

— Zdrowia życzę i wesołości — zawołał od progu.

Pod pachą trzymał skrzypce, które natychmiast zaczął stroić.

— Co zagrać? — wrzasnął, wymachując smykiem.

Lecz Tagiejew czerwony, spocony, przypity do kieliszka z „reńskiem“ i gorsu młodszej koncertantki, której koronki przedstawiały się w stanie wielkiego wzburzenia, zaprotestował.

— Nic Pinkas... mnie dziś twojej muzyki nie trzeba, ty po co innego tu wezwany...

Josełe nadstawił uszy.

— Ja na usługi pana naczelnika...

— Idź ty zaraz do Horskich i *chytro mudro* przywiedź mi tu natychmiast ich *gorniczną*.

Josełe wytrzeszczył oczy.

— Tę... Józię od pana Markowskiego?

— Tę... co oczy wybałuszasz?...

— Nu... to noc, ona może nie przyjdzie.

— Powiedz jej, że *ja* każę, a ona zaraz przyjdzie... Ruszaj...

Josełe wypadł jak bomba, ściskając swoje skrzypce. W głowę zachodził, poco Tagiejewowi do gabinetu potrzebna Józia.

— Czy ona będzie z nimi towarzystwo trzymała?—myślał, pędząc przez rynek w stronę mieszkania Horskich.

Tymczasem na stole w gabinecie pojawił się szampan, eskortowany przez samego Feinbube, który, ułożywszy wyraz twarzy na kamerton wysokiego szacunku i uprzejmości, asystował przy otwieraniu butelki z minami arcyrabina, wchodzącego do bóżnicy.

Śpiewaczki, coraz więcej roznegliżowane, chrupały orzechy, których miały pełne kieszenie. Co chwila słychać było łomot suchy, i któraś z nich na dłoń wypluwała rozgryziony orzech i szukała ziarna. Opowiadały przytem dzieje swych artystycznych wędrówek. Doszły do przekonania, że, śpiewając duety i arje, można więcej zarobić, niż żyjąc związana *engagement* przy jakiejś stałej operze, i zarobić... podwójnie. Wędrując po małych

miasteczkach, przedstawiały ponętną stronę ojczystych wspomnień dla tych Rosjan, którzy jako wygnańcy transportowani byli do Królestwa.

— Nas wszędzie goszczą jak królowe — chwaliły się, objadając się sufletem, który ginął w ich ustach jak piana morska w czeluściach otchłani.

— Jeszcze *stakanczik*! — błagał Tagiejew, chcąc widocznie nie pozostać w tyle za tymi, którzy owe królewskie przyjęcie rzucali pod stopy koncertantek.

— Tu w Królestwie — podjęła starsza — ludziom żyć, nie umierać. Toż się pławicie w szampanie i ugaszczaniu. Wam tu musi być jak w raju.

Tagiejew uśmiechnął się chytrze.

— Nu — wycedził — tak, zwłaszcza tym, którzy mają rozum.

— A wy?

— Ech, Boże mój!... głupi nie jestem. No, za wasze zdrowie czarująca Zeneido Piotrowno.

Zeneida Piotrowna odsunęła się od Tagiejewa z dąsem.

— Nie... nie... wy kłamca...

— Co z wami?

— Wy kłamca! Wy posłali gdzieś tego żyda po jakąś kobietę... Wam ja nie starczę. Puśćcie mnie.

Tagiejew się rzucił.

— Zostawcie!.,. to *gorniczna*, sługa, nic więcej.

— Czyja sługa? Może waszej metresy?

— Ach! jaka wy! u mnie metresy niema wcale... To sprawy urzędowe. Serce do tego nic nie ma. Serce moje całe dla was... jedynie dla was...

— Ech!... *nasmiesznik!*...

To lube przekomarzanie trwało dalej, prowadzone w tonie, który cechuje specjalnie Rosjanki. Cała ich kokieterja redukuje się do: *„ech, wy takij! ach! kakoj wy! da adstańtie!"* i tak dalej aż do skutku.

Zeneida Piotrowna nie odstępowała od szablonu. Siostra jej, niezaczepiana przez Tagiejewa, ograniczała się na wyskrobywaniu łyżką resztek sufletu z blaszanego półmiska.

Zaskrobano do drzwi.

Josełe ukazał swą cuchnącą głowę.

— Ona jest — mrugnął na Tagiejewa.

Policmajster dźwignął się z krzesła.

— Pozwólcie... ja na chwilkę... to ważna sprawa, wy zabawcie się orzeszkami.

— Wracajcie prędko! — rzuciła za nim Zeneida — bo pomyślę, że wy mnie oszukujecie.

Już przy drzwiach Tagiejew przyłożył rękę do piersi i wywrócił oczy.

— Ja wasz do śmierci! — wydeklamował.

— No już dobrze... zobaczymy! — śmiała się koncertantka.

. . . . . .

Owinięta chustką, blada, stała Józia pode drzwiami gabinetu. Josełe Pinkas za inter-

wencją stróża wyciągnął ją z łóżka i kazał jej iść natychmiast do restauracji. Od chwili bytności u Tagiejewa Józia żyła w bezustannej trwodze. Czuła, że wpadła w matnię, z której nie było dla niej wyjścia. Coś się tam u niej budziło na dnie. Może być, iż dobre i miłe obejście się z nią Jani, może właśnie ten ciągły kontakt z tem czystem i promiennem dzieckiem budził w dawnej kelnerce od Matołkowskiej jakieś lepsze uczucie, jakby żal, jakby smutek...

Dość, że Józia przywlokła się do owej restauracji jakby na tortury. Duszę miała pełną goryczy i odrazy. W obramowaniu szarej chustki jej ładna, regularna choć zniszczona twarz miała jakiś wyraz, dawniej jej nieznany.

Oczy te cudowne, oczy spokojnej i dobrze wypasionej krowy, które kiedyś doprowadziły Striełkowa do samobójstwa, patrzyły teraz głębiej, mądrzej i były przysłonięte gazą melancholji.

W restauracji całej zgaszono już lampy i tylko jedna świeca w mosiężnym lichtarzu oświetlała słabo dużą salę.

Tagiejew wyszedł z gabinetu i ująwszy Józię za fałdy chustki, pociągnął ją ku sobie.

— Gadaj prędko... — zaczął, patrząc jej bystro w oczy — dziś byli goście u twego pana?

— Tak!

— Dużo?

— Dużo, sami panowie!

— Ja wiem. Nazwiska znam. Chodzi o to, *co* mówili?

Józia zawahała się.

— W karty grali.

Tagiejew nogą tupnął.

— Łżesz!... gadaj prawdę!

Józi broda drżeć zaczęła.

— Kiedy... bo... jak Bozię kocham...

— Gadaj prawdę..

— Panienka wejść nie dała do pokoju. Sama wszystko nosiła... Pan jej nakazał, aby nikogo nie wpuszczała.

— A!... nakazał...

Tagiejewowi nozdrza się rozdęły i oczy zaświeciły.

— Ale ty powinna była wejść! — syknął.

— Ja też weszła...

— No...

— Kiedy cicho mówili...

— Ty powinna była słuchać!

Groźnemi oczyma przeszywał dziewczynę.

— Ej... panna Józia!... — zaczął znowu — panna Józia chce koniecznie dostać książkę!

Józia aż się cofnęła.

— Panie naczelniku! — zaczęła zmienionym głosem — ja...

— No, to gadaj... coś słyszała...

— Ja... niewiele... mówili...

— No... no...

Tagiejew następował na nią, patrząc jej

na drżące usta, jakby chciał z nich wyłowić słowa.

— Mówili... że jakiś protest... czy jak tam... że wszyscy podpiszą...

— I co?... podpisali?...

Aż dyszał jej nad twarzą.

— Podpisywali po kolei. To widziałam przez szparę w portjerze. A byli tacy, co mówili: „my jemu pokażemy!...“

— I co? i co?

— Coś jeszcze mówili, że myślą od guberni... i... już nic...

Umilkła wyczerpana.

Nagle łzy jej zaczęły płynąć po twarzy.

— Ja już nic więcej nie wiem.

— Gadaj jeszcze, co mówili?...

— Nie wiem!...

Podniosła głos, nie bacząc na nic, zdenerwowana do najwyższego stopnia.

— Czy ty chcesz książkę?...

Ryknęła głośno. Tagiejew rzucił się i zatknął jej usta.

— Milcz, ty *swołocz*!...

Trząsł się cały ze złości na myśl, iż tam u Horskiego knują przeciw niemu cały spisek, że dzieje się coś, czemu on zapobiedz nie jest w stanie.

— *Małczi*!...

Ręka jego bezlitośnie cisnęła usta Józi. Drzwi gabinetu otworzyły się. Rozmamrane śpiewaczki stanęły w nich, zwabione krzykiem Józi.

— *Czto wy*?... — zaczęła Zeneida — czego wy katujecie tę dziewczynę?

Tagiejew starał się wrócić do równowagi.

— Ja... ja... nic... tak... oto... — bełkotał.

Lecz Józia przypadła do kobiet, jakby udając się pod ich opiekę.

— Ja nic nie winna! — jęczała — ja nic nie winna!

Zeneida śmiać się zaczęła.

— A ot wy *galant* dla kobiet — podjęła z ironją — choć to służąca, *no* zawsze kobieta, a wy kułakiem w zęby do niej się suniecie. To nie ładnie! Niech panna nie płacze... On nie jest zły...

Z głowy Józi zesunęła się chustka. Włosy rozpięte okoliły jej bladą twarz puchem czarnych lśniących włosów. Wychodząc, narzuciła na siebie różową matinkę, pozostałość z lepszych czasów. Wyglądała ze stroju nie jak sługa, lecz jak podrzędna kokota warszawska.

Zeneida przypatrywała się jej bacznie.

— Cóż wy manicie? — zawołała po chwili — że to pokojówka? To przecież coś lepszego! Ej, wy! Tagiejew — z was Don Żuan! Wy pewno unieszczęśliwili tę pannę, a teraz jej w zęby kułakiem. To źle, tak być nie powinno.

Zbliżyła się do Józi z uśmiechem.

— No... nie płaczcie!,.. szkoda oczów. On nie wart waszych łez. Chodźcie lepiej z nami, ogrzejecie się.

Pchnęła drzwi od gabinetu i podochocona porwała Józię za rękę.

— Chodźcie! chodźcie.. będzie nas czworo... a że nasz *Don Żuanczik* nie rad będzie z waszej kompanji, to mnie napluć na jego miny. Ja lubię mężczyznom nos ubabrać w ich własnem błocie. Niech się na was patrzy, kiedy wam krzywdę wyrządził.

Silną ręką pociągnęła Józię do gabinetu.

Za niemi wtoczył się Tagiejew wściekły i rozbawiona siostra Zeneidy.

— Ot... *stakanczik* szampańskiego, pijcie miła — prosiła, śmiejąc się do rozpuku Zeneida.

— Pijcie!... pijcie!... — namawiała siostra, pokładając się na kanapie ze śmiechu.

— Ot... za jego zdrowie!... za tego bałamuta i w moje ręce!...

Lecz Józia podniosła na nią swe wielkie czarne oczy, i patrzyła tak chwilę na upudrowaną twarz artystki, na nabrzmiałe gniewem lica Tagiejewa, na te ściany gabinetowe, które niczem się nie różniły od „gabinetu" ukrytego za sypialnią Matołkowskiej. I w czarnych oczach dziewczyny coraz silniej akcentował się ten wyraz dawniej nieznany, w krórym zaczynało być po troszę wszystkiego, co jest najszlachetniejszego w człowieku.

— No... pij, *mileńka!* — śmiała się Zeneida — to szampan... dobre... może ty nigdy nie piła... spróbuj... to nie trucizna...

Lecz jednym, szerokim a prostym gestem Józia odrzuciła od siebie podawaną jej szklankę.

— Nie chcę!... — wyrzekła przez zaciśnięte zęby.

— No!... no!... — zdziwiła się śpiewaczka.

Tagiejew wreszcie odzyskał znowu panowanie nad sobą.

— Uchodź precz!... — wrzasnął, wskazując Józi drzwi.

— Nu, *stakanczik!* — nalegała po pijanemu Zeneida, sunąc się za Józią ku drzwiom.

— Nie chcę!...

I kelnerka od Matołkowskiej wyszła z gabinetu, unosząc na dnie swych źrenic nienawiść, wzgardę i głęboką, beznadziejną rozpacz.

. . . . . .

Po raz pierwszy w życiu „panna Józia“ odsunęła od siebie ze wstrętem kieliszek szampana.

IV

ROLETY SPUSZCZONE.
BIADA WSZYSTKIM.
MARKOWSKIJ SZALEJE. OKO W OKO.
WROGI NIE WSPÓLNICY.
CZARNYM WCHODEM.
WRÓG ZA PAZUCHĄ TAGIEJEWA.

Na drugi dzień nikt nie śmiał się pokazywać przed obliczem Tagiejewa.

Jak Neron ongi na swem łożu z kości słoniowej, tak obudził się Tagiejew pełen dzikiej furji na myśl, że ci, którzy mu się zdawali na zawsze zwalczeni, bunt jakiś przeciw niemu knują.

— *A ot... mierzawcy... prachwosty!* — myślał, przewracając się z boku na bok.

Josełe Pinkas, widząc rolety w sypialni zapuszczone, wiedział już, co to znaczy. Ostrzegł więc petentów, oczekujących w sieni i w kancelarji, że dziś lepiej nie przystępować do „pana naczelnika", bo on dziś „nie swój".

Frumele Lajnbram, która, przyodziawszy się

w fioletową suknię i uzbroiwszy się w łapówkę, szła z jak najpiękniejszemi nadziejami do policmajstra, musiała zawrócić w pół drogi. Inni także umykali, spoglądając ukradkiem na zamknięte drzwi, jakby lękali się, że z nich wypadnie rozjuszony i gniewny sam pan policmajster, rozdający kułaki i policzki ze szczodrobliwością, godną lepszej sprawy.

Gdy już nikogo nie było na schodach, Josełe Pinkas pomknął do kancelarji. Nozdrza mu się rozszerzyły, gdy wchłonął w siebie ohydną woń, buchającą z ciekącego po podłodze rynsztoka.

Markowskij siedział przy stole bledszy jeszcze niż zwykle. Powróciwszy z granicy po odwiezieniu Klickiego, gdzie niefortunnie spełnił swoją misję, powrócił do miasteczka i nagle przestał się zajmować sprawami Tagiejewa. Zmienił doszczętnie system swego postępowania, interesantów przyjmował wytwornie, nawet grzeczniej, niż należało, łapówek nie brał, słowem stał się wzorem grzeczności i bezinteresowności. Potajemnie starał się o przeniesienie, pragnąc pozostawić Tagiejewa jego losowi, i zabrawszy Józię, umknąć z miasteczka. Widocznie, mając doskonały węch, czuł, iż sytuacja jest nie do uratowania, i że skoro żandarmerja jest na tropie sprawek Tagiejewa, lada chwila wybuchnie katastrofa. Pragnął ocalić swoją skórę i w razie wywleczenia całej sprawy zapewnić sobie przez świadków jakie takie możliwe zeznania,

któreby ułagodziły sędziów na jego stronę. Zemsta za położenie „łapy“ na losach Józi przejmowała go bezmiernem zdenerwowaniem. Gdyby można było zajrzeć do głębi duszy Markowskiego, dojrzećby tam można było pewną radość na samą myśl, iż Tagiejew znajduje się nad brzegiem przepaści. Nie wierzył, iż Józia obronną ręką wyszła ze szponów policmajsta. Pomimo zapewnień dziewczyny był przekonany, iż zapłaciła haraczem ciała swą bytność w mieszkaniu Tagiejewa. I Markowskij, który ongi na Marszałkowskiej ulicy w nocnej restauracji spokojnie wyczekiwał, aż Józia powróci ze spaceru z jakim przygodnym kochankiem i znajdzie trochę czasu, aby i z nim „*kutit'*“ do rana, na samą myśl, iż Tagiejew posiadał tę dziewczynę, szalał z wściekłości.

Nie umiał sobie nawet wytłumaczyć, dlaczego mu to wydawało się tak bezecne i plugawe. Czuł tylko pragnienie zemsty, a chwilami dyszało w nim coś żądzą przyspieszenia ruiny Tagiejewa, choćby nawet i on sam miał popaść w katastrofę.

Wszystkie te burzliwe uczucia pokrywał Markowskij pozorną krwią zimną, spokojem i szyderczą obojętnością. Tylko zbladł więcej, pożółkł i pastwił się nad Józią, dokuczając dziewczynie swą miłością lub gniewem. Dla obcych przecież miał ten zimny, lodowy wygląd, z jakim spotkał Josela u progu kancelarji.

Skrzypiciel w podskokach do Markowskiego posunął.

— Panie sekretarzu... rolety nie podniesione... pan sekretarz widział?

Markowskij ramionami wzruszył.

— No i co?

— Jak to co? Jak rolety nie podniesione, to znaczy, że pan naczelnik się gniewa. A jak pan naczelnik się gniewa, to już, no!... pan sekretarz wi, co to jest przecie...

Markowskij wyniośle usta wydął...

— Ja nic nie wiem. To mnie nie dotyczy. Niech się Pinkas boi...

— Nu... tak... Ale może pan sekretarz zajdzie do pana naczelnika i dowie się, czemu on taki zły? On wczoraj ze śpiewaczkami w gabinecie był i kazał mi wołać do *restoranu* tę Józię od Horskich.

Twarz Markowskiego pożółkła prawie. Miał jednak tyle siły, że powstrzymał rękę, którą chciał porwać Joseła i za tę wiadomość za drzwi kancelarji wyrzucić. Lecz nienawiść jego do Tagiejewa jeszcze bardziej wzrosła. Z radością pomyślał, iż ów Montwiłł był żandarmem, delegowanym z warszawskiego okręgu, aby na miejscu przekonać się o istotnym stanie rzeczy.

Miał w tym względzie prawie pewność, lecz postanowił pewność tę zachować dla siebie i nie ostrzegać nawet Tagiejewa o tym ważnym fakcie.

— *Czort z nim* — myślał, zaciskając bezkrwiste usta — *czort z nim...*

Wszedł pisarz i Josełe, zakręciwszy się na pięcie, wypadł z kancelarji i na schodach natknął się na Katiuszę, która pędziła, aby powołać Markowskiego przed oblicze Tagiejewa.

— Przyzywa pomocnika!...

W umyśle Joseła zrodził się obraz burzliwej sceny, jaka będzie miała miejsce dokoła porannego czaju. Uznał za stosowne umknąć zupełnie z obrębu policyjnego, postanawiając przybyć w stosowniejszej porze.

Wezwany przez Katiuszę, Markowskij odburknął, że iść nie może, gdyż ma wiele *dieł* do załatwienia.

Lecz *ziemlaczka* Siemipudowa, złożywszy ręce, piskliwie modlić się zaczęła:

— Ach *miłyj!... nie razdrażajtie naczalnika, da on priamo sumaschodit. Da iditie że paskarieje...*

Markowskij leniwie dźwignął się i poszedł za drepczącą przed nim Katiuszą, której chustka, zwyczajem chłopek rosyjskich zawieszona na brodzie, zesunęła się aż pod nos. Gdy weszli do jadalni, Tagiejew latał już dokoła stołu w kalesonach i w narzuconej na ramiona kurtce.

Gniewnem *„zdrastwujtie"* przywitał Markowskiego, a uprzejmem *„procz!"* usunął Katiuszę z komnaty.

Markowskij nie patrzył na swego zwierzchnika. Nerwy jego nie mogły wytrzymać

widoku tej kosmatej, lśniącej postaci. Wbił oczy w kwiaty obicia i usta zaciął z heroicznem postanowieniem wyrzucania ze siebie jak najmniejszej ilości słów.

— Wy wiecie, co się dzieje? — zaczął Tagiejew — wy wiecie... Protest podpisują, *mierzawcy*, i to z namowy Horskiego... wczoraj... niby nie wiecie... protest do gubernji... na mnie, na was...

Markowskij ramionami wzruszył.

— Na mnie?... — wyrzekł, nie zmieniając kierunku wzroku — na mnie?... To niemożebne... Ja... cóż?... ja tylko wykonawca *waszej* woli... ja działał, jak manekin. Wy kazali, a ja wypełniał...

Te słowa padły nagle i rozjaśniły Tagiejewowi sytuację. W tej jednej chwili zrozumiał przedewszystkiem, iż Markowskij całą winę zwala na swego zwierzchnika i że sytuacja musi być rzeczywiście groźna, skoro Markowskij tak szybko w kilkunastu dniach zmienił taktykę. Zmrużył oko i zatrzymał się tuż przed samym pomocnikiem.

— Wy co? wy co?... — zaczął gwałtownie — co wy *bałłajetie*, żeście igraszką w moich rękach? A to wy popełniali całe sterty nadużyć na własną rękę... Wy myślicie, że ja nie wiedział?

Markowskij spojrzał w twarz Tagiejewa i nic nie zdoła opisać tej szalonej pogardy i ironji, którą pokryły się jego lica.

— Moje, to, co wy nazywacie nadużycia —

podjął ironicznie — to były tylko konsekwencje waszego postępowania i jego następstwa. Musiałem chronić was i przyjmować wasz system. Powtarzam raz jeszcze, że nic sam na własną rękę nie przedsiębrałem... to sobie zanotujcie.

Ta pewność siebie, ten ton zimny, obojętny, zdecydowany zaimponował Tagiejewowi. Przez chwilę był nim oszołomiony. Lecz zaraz ujrzał się sam, opuszczony i zrozumiał, że sam bronić się będzie musiał. Jak dziki zwierz osaczony zbiera wszystkie siły, tak i on w tej chwili przyzwał na pomoc cały swój spryt i obliczył się, czy może pozostać sam i czy będzie miał rzeczywiście dosyć mocy, aby stawić czoło walącej się nań nawałnicy. Widocznie, iż rachunek wypadł korzystnie, bo Tagiejew odsunął się od Markowskiego i, wyprostowawszy się, przybrał postawę zwierzchnika, wydającego rozkazy podwładnemu.

— *Da*... wy mówicie, że spełniacie moje rozkazy, ale ja wam powiem, że wy się strasznie zaniedbujecie w służbie — zaczął twardo — w mieście nieporządki, w paszportach bezład... Tak być nie może. Ja muszę okazać wam więcej srogości, bo inaczej miasto djabli wezmą... Ja z was bardzo niezadowolony... słyszycie?... bardzo niezadowolony!

Przybierał w swych kalesonach i nocnej koszuli minę generała, rozdającego nagany i był niewymownie komiczny. — Markowskij natychmiast wniknął w sytuację, wstał, przybrał minę urzędową i obojętnie słuchał owych

„nagan“ obserwując ciągle pilnie deseń obicia.

— Ja zrobię dziś przegląd kancelarji! — zakonkludował wyniośle Tagiejew i, skinąwszy ręką, dał znak, że posłuchanie skończone.

Markowskij głowę skłonił i ku drzwiom zmierzał.

— Ach! pozwólcie!... — wrzasnął nagle za nim Tagiejew — nie frontowemi drzwiami... Po służbie wchodzi się czarnym wchodem... Moi ludzie powinni o tem pamiętać!

Bez odruchu buntu zawrócił na miejscu Markowskij i zapuścił się w korytarz, wiodący na schody kuchenne, na których stali Siemipudow i Pluskin. Minął policjantów, a gdy był już na dole, odwrócił się i nieokreślony uśmiech wykrzywił jego blade wargi.

— I za ten czarny wchód zapłacisz mi, draniu, *protomordo*... — myślał, folgując sobie w doborze wymysłów, których słusznie Europa Rosji zazdrości.

V

WYJAZD HORSKIEGO. DWIE WIOSNY. ZWIERZENIA DZIEWCZĘCE. JUTRO GO ZOBACZĘ. KAZIO. PUSTOTA JANI. ŚLICZNY STUDENCIK.

Tego dnia rano Horski dostał depeszę od swej siostry, donoszącej o chorobie męża i proszącej, aby brat przyjechał choć na chwilę dla dodania jej odwagi i uporządkowania interesów handlu, które zaczynały cierpieć wskutek przeciągającej się niemocy właściciela.

Horski zaczął natychmiast gotować się do odjazdu. Nieobecność jego miała potrwać dwa dni — poczem, powróciwszy — miał sam odwieźć ów protest do gubernatora. Ogarnęła go bowiem jakaś energja, jakaś chęć działania — coś, czego dawniej nie czuł w swych żyłach. Była to jakaś jakby siła młodości, nie znoszącej opresji i rwącej się do walki. Być może, że obecność Kazia bezwiednie oddziaływała tak na ojca. Dość, że Horski ku zdumieniu wszystkich zawiadomił, iż on *sam* zjawi się w gubernji i protest wręczy.

— A... nie boi się pan ściągnąć na siebie zemsty Tagiejewa?

— Gdzie dobro ogółu jest na celu, względy osobiste muszą iść precz! — odparł Horski.

Wzrokiem szukał syna. Kazio, siedzący obok niego, podniósł na ojca swe wielkie, piękne oczy — i coś jakby uznanie zamigotało w nich na dnie.

Wyraz ten pochwycił Horski i rozsłoneczniło mu się na duszy. W tej chwili czuł się zdolny do porwania się za bary nietylko z Tagiejewem, ale ze wszystkimi policmajstrami, dyszącymi nad całem Królestwem.

— No... bądźcie zdrowi... za dwa dni powrócę i wtedy pan Tagiejew pozna, kim jestem!...

Uściskał serdecznie dzieci. Kazia dłużej zatrzymał w objęciach. Zdawało mu się, że chłopiec serdeczniej mu się do piersi przygarnął. I gdy już za próg wychodził, coś jakby go szarpnęło całego. Odwrócił się i obrzucił raz jeszcze kochającem wejrzeniem Janię, Kazia i cały ten dom cichy i zamknięty, w którym tyle lat przeżył...

Serce miał ściśnięte, jakby rozstawał się z tem wszystkiem na długo.

— Cóż znowu? — myślał — wszakże ja tu niedługo powrócę...

Wyjeżdżał nieraz i nigdy nie doznawał tego smutku. Raz jeden odczuł podobne wrażenie, gdy wychodził z cmentarza, na którym

pozostawił świeży grób swej żony, a matki Jani i Kazia.

Dorożka czekała na dole. Horski wsiadł w nią, każąc się wieźć na dworzec. Jadąc, starał się otrząsnąć ze smutnego wrażenia.

— Oto, co jest zasiedzieć się w domu! Z mężczyzny robi się sentymentalna baba. Jedzie na dwa dni, a wyobraża sobie Bóg wie co!...

Splunął, przeżegnał się i usiłował myśleć o proteście.

— Czekaj! ja ciebie nauczę! — myślał, przejeżdżając koło domu, gdzie gnieździł się Tagiejew i urząd policyjny.

Ściemniło się. Okna już były oświetlone jasno i potokiem świateł biły na ulicę.

— Ty będziesz miał iluminację! — roześmiał się Horski.

. . . . . .

Tymczasem Jania, posprzątawszy od podwieczorku, wsunęła się do swego pokoiku i tam po raz niezliczony — zapaliwszy lampę — zaczęła czytać kilka liścików Klickiego, które otrzymała od niego z Krakowa. Listy te na pozór szablonowe i ściśle *correct* — dla Jani miały tysiące znaczeń i budziły w jej sercu najpiękniejsze nadzieje. Życie uśmiechało się do niej jasnością niezwykłą. Poddawała się z całą chęcią urokowi, jaki wywiera na kobietę miłość wzajemna, mająca pozostać tą „do

śmierci" — o której serce kobiece w zaraniu swem marzy.

— Mój mąż!... mój mąż! — powtarzała Jania, cała spłoniona — mój własny, jedyny...

Z małej zakopiańskiej szkatułeczki wydobyła fotografję Klickiego i przypatrywała jej się z zapałem. Nikt jeszcze nie wydał się jej tak pięknym, tak rozumnie pięknym, jak Klicki.

I gdy tak siedziała pod światłem lampy z fotografją w ręku — z listami rozrzuconemi na kolanach — ze śliczną główką pochyloną i oblaną złotem światłem, przedstawiała się jak najwdzięczniejszy obrazek rodzajowy — dyszący młodością, urokiem — pragnieniem szczęścia, które się takiej młodości z prawa należy.

U drzwi zaszumiało. Druga młodość, równie świeża i miła, wsunęła się delikatnie na podeszewkach ślicznych żółtych bucików.

— Hala!...

— Jania!...

Ucałowały się serdecznie. Nowoprzybyła szybko wniknęła w sytuację. Listy, fotografja... wreszcie poprzednie zwierzenia.

I rozszczebiotał się nagle dziewczęcy pokoik.

— A co! a jak?... a kiedy przyjedzie?

Jani aż twarzyczka pokraśniała pod zielonym abażurkiem.

— Niedługo... niedługo... spodziewam się go lada chwila.

— Dawno pisał?...
— Wczoraj.
— Codzień pisze?...
— Prawie. Uważasz — nie może nazbyt często. Co tacioby powiedział!
— Skoro się zgadza...
— Ale... zawsze. Jeszcze tak nie można...
— E! jabym na to nie uważała.

Obie siedzą naprzeciw siebie, obie śliczne jak cacka i czekają na to swoje przeznaczenie, które wyłania się do nich z tęczowych łuków dziewczęcych marzeń.

Jania zarzuca ręce na głowę i mówi z uśmiechem sennym:

— Ach! tak mi jakoś dobrze żyć! tak błogo... nigdy tak od śmierci mojej drogiej mamci nie czułam się szczęśliwa, że... że... aż się boję.

Hala klasnęła w ręce.

— No... macie! — zawołała ze śmiechem — teraz się znów boi. I czego? czego?...

Jania spoważniała nagle.

— Żeby mi szczęście moje nie znikło!...

Hala wzruszyła ramionami.

— Dziewczyno, nie grzesz... szczęście twoje obecnie — to pan Klicki. No... a jakże on zniknąć może?

— Nie wiem, nie wiem...

Portjera uchyliła się.

— Proszę panienki... list.

— Ach!...

Jania podskoczyła ku Józi, która, stojąc

na progu, podawała list z austrjacką marką. Jania w pośpiechu zapomniała o konwenansach i rzuciła się ku lampie, krzycząc radośnie:

— Od niego... od niego!

Hala i Józia patrzyły na nią obie. Hala uśmiechała się. Po twarzy Józi przewijały się, jakby żal, jakby smutek jakiś. Z umowy jej, zawartej z Tagiejewem, wypływało, iż powinna była zawiadomić go o wszystkiem, co się w tym domu dzieje, może nawet oddać mu list, adresowany do Horskich, aby on, otworzywszy go nad parą, przeczytał, a potem oddał go jej, zaklejony gumą, dla wręczenia adresatowi. Józia tego nie uczyniła. Od wczoraj nastąpił w niej bunt poniewieranego i kaleczonego zwierza. Nie mówiła Markowskiemu nic o groźbie Tagiejewa, bo ten zakazał jej srogo kogokolwiek wtajemniczać w to, co się pomiędzy nią i nim działo. Lecz miara była przebrana. Rola szpiega, którą grała, ciężyła jej kamieniem na sercu. Nie chciała, nie mogła więcej służyć sobą do takiego celu. Była rozpustną, dziewką sprzedajną, wszystkiem, lecz... *szpiclem!?*

Przypomniała sobie, iż matka jej niegdyś, gdy ona była bardzo mała, opowiadała jej, iż szpiegom obcinają uszy, a nawet wieszają, gdy zbrodnia ta wiadomą zostanie. Przytem pewna wzgarda, jaką ona czuła do tego ohydnego rzemiosła, wstrząsała nią całą. Zaczęła przemyśliwać, czy nie lepiej byłoby powie-

dzieć wszystko Markowskiemu. Z dwóch złych wybierając, Markowskij wydawał się jej aniołem w porównaniu z Tagiejewem. Może on zdoła ją ocalić... Kto wie?... Zresztą, woli już podlegać jego miłosnym zapędom, niż dalej być owym nienawistnym „szpiclem". W tym celu chce prosić Janię, aby jej pozwoliła wyjść dziś przed wieczorem; wie, że Markowskij o tej porze jest w domu i przyjmie ją z otwartemi rękami.

Jania skończyła czytać list. Nieopisana radość odbiła się na jej twarzyczce.

— I co? i co? — pytała ciekawie Hala.

— To... że Klicki przyjeżdża jutro. Słyszysz? wieczornym pociągiem!... jutro!...

Przycisnęła list do ust.

— Jutro!... jutro go zobaczę!...

— Proszę panienki — odezwała się nieśmiało Józia — czy ja mogę wyść na godzinę?

— Ależ możesz!... możesz! — zawołała Jania — zabaw się, a może i ty masz narzeczonego? co?

Postąpiła kilka kroków ku Józi — cała promienna od szczęścia i miłości.

Józia w jednej chwili uosobiła przed sobą tego, do którego dąży, jego rozpusty pełne pieszczoty, jego oddech zionący alkoholem i tytuniem i ten „moskiewski" podkład jego natury, który mimo wszystko przebijał się w jego zachowaniu, i ogarnął ją coraz większy smutek i rozpacz.

— Nie panienko... ja nie mam narzeczonego.

— To źle! — śmiała się Jania — cóż? myślisz zostać starą panną?...

Po twarzy Józi mignął dziwny wyraz.

— Ja już nie do ślubu — wyrzekła półgłosem.

— O! o! — zdziwiły się dziewczęta — miałaś może narzeczonego i umarł?...

— Tak — pochwyciła Józia — tak właśnie.

W tej chwili we drzwiach stanął Kazio. Powracał z miasta. Miał na sobie szynel i w ręku trzymał jakiś list. Sądził, że Jania jest sama i dlatego wszedł. Unikał bowiem starannie zetknięcia się z pannami miasteczkowemi. Józia, korzystając z nadejścia Kazia, wysunęła się do kuchni. Jania podskoczyła do brata.

— Wiesz? pan Klicki jutro przyjeżdża....

— Wiem, właśnie chciałem ci to powiedzieć.

— A... czy pisał i do ciebie?

— Nie.

— Więc skąd wiesz?

Po twarzy Kazia przemknął cień zniecierpliwienia.

— To już mniejsza. Dość, że wiem.

Trzymany w ręku list zmiął i schował machinalnie do szynela.

— Prędko będzie herbata?

— Za godzinę.

— Dobrze.

Skierował się ku przedpokojowi, aby przez jadalnię przejść do swego pokoju.

Jania, widząc, że Hala krzywi się z odrazą, nieśmiało się odezwała:

— Zostań z nami, Kaziu...

Lecz on już z przedpokoju, rozbierając się z szynela, odparł:

— Nie, moja droga. Nie mam czasu.

Powiesił szynel i czapkę na wieszadłach i przeszedł do jadalni.

Dziewczęta zostały same.

— Bardzo przystojny ten twój brat — zaczęła Hala — ale strasznie zarozumiały.

— On?

— No — przecież się nigdzie *nie udziela*.

— On ciągle czyta...

— Ciekawa jestem, co on może czytać?...

— Nie wiem.

— Zobacz. Może i my będziemy mogły z tej mądrości korzystać.

Umilkły na chwilę. Jania nie potrafiła ani myśleć, ani mówić o nikim i niczem, prócz o Klickim i o swojej miłości. Hala zaś, wyczerpawszy ten temat, nie miała już ochoty powtarzać ciągle tego samego.

— Powstała więc.

— No... idę już.

— Poczekaj! — ktoś cię musi odprowadzić. Ty wiesz przecież, że u nas w biały dzień jest niebezpiecznie, a cóż dopiero wieczorem.

Okazało się jednak, że nie było nikogo do odprowadzenia. Józia poszła — to samo

zrobiła i kucharka. Sklep był zamknięty, chłopcy rozeszli się, a stróż leżał chory na influenzę. Słowem — „rozpacz“ — jak zaopiniowała Jania.

— Cóż my poczniemy? — biadała Hala — kazałam naszemu służącemu odejść... gdybym wiedziała — byłabym go zatrzymała.

Jania się zamyśliła.

— Może... Kazio!

Hala wzruszyła ramionami.

— On?... powie znów, że nie ma czasu i to będzie tylko dla mnie kompromitacja. Nie — nie... wolę pójść sama.

— Aha! — obedrą cię — zabiją... sami policjanci dopomogą. Lepiej nocuj u mnie.

— Za nic. Znasz moją mamcię! Gniewać się będzie. Wiesz, jaka sroga. Kazała mi wrócić o ósmej...

Stały bezradne i zafrasowane.

Nagle Jania podskoczyła radośnie.

— Ja cię odprowadzę!

— Ty? co mi po takiej opiece! Zamiast, żebym sama była obdarta, to będzie nas dwie.

— Już ty się nie troszcz. Pójdziesz pod opieką mężczyzny!

Całe dziecko odżyło w niej wesołe i figlarne. Jak strzała wypadła z pokoju.

— Zobaczysz — wołała — zobaczysz!...

Hala, przyzwyczajona do pensjonarskich figli, z których Jania słynęła — nie zdziwiła się wcale i czekała cierpliwie, co nowego w tej drobnej ślicznej główce się ulęgnie.

Nie czekała długo.

Jak bomba — wpadł niebawem do pokoju śliczny studencik w zbyt długim szynelu, czapce i spodeńkach podwiniętych, jak na błoto, z pod których wychodziły drobne, małe nóżki. Zaokrągliwszy ramię, Jania z galanterją podeszła ku zdumionej Hali i, śmiejąc się, zawołała:

— Służę pani!...

Pierwsza myśl Hali była:

— Janiu! jak Kazio zobaczy!

— Ale!... zaczytany jak belfer żydowski. Już nieraz, gdy Józia wzięła ubranie Kazia do czyszczenia, przebierała się za studenta. Cóż? źle wyglądam? Nie chwacki ze mnie chłopak?

Paradowała przed lustrem — przekrzywiała czapkę na bakier, w której jej było rzeczywiście prześlicznie.

— Chciałabym być chłopcem! — westchnęła.

— W takim razie nie mogłabyś zostać panią Klicką.

— Prawda! — roześmiała się Jania. — A teraz chodźmy...

Hala spojrzała na nią zdumiona.

— Co?... tak chcesz wyjść na ulicę?

— Cóż wielkiego? Kazio przecież tak chodzi.

— Ale to mężczyzna...

— E! kto to po nocy pozna. Właśnie, że to będzie doskonałe. Dasz mi z powrotem kogoś z waszej służby i ten mnie odprowadzi.

— Ależ...

— No to przebiorę się u ciebie za dziewczynę...

Hala stała niezdecydowana.

— Ależ Janiu... poznają cię... rozniesie się po mieście.

— Będziemy szły prędko... ciemno już. Moja droga!... chodź, nie psuj mi zabawy!...

Aż się jej oczy świeciły pustotą, tak bardzo chciała figiel swój doprowadzić do rezultatu.

Pociągnęła Halę ku drzwiom.

— Ej, ty! — groziła jej przyjaciółka — i ty z taką pustą głową chcesz iść za mąż...

— Pewnie, że chcę... dość będzie spoważnieć, gdy już odejdę od ołtarza. Chodź!...

Cichutko wykradły się z przedpokoju. Drzwi się zamknęły na zatrzask. Jania wzięła klucz ze sobą. Halę powoli ogarniała także wesołość. Jania ciągle udawała młodego junaka i gdy wyszły na ulicę, zmusiła Halę, aby wzięła ją pod ramię.

— Raz dwa... raz dwa... widzisz!... nikomu się nie śni obejrzeć za nami. Ej ty, tchórzu!...

Szły ciemnicą rynku w jedną z bocznych uliczek coraz śmielsze, coraz więcej rozbawione.

— No, pomyśl! — śmiała się Jania — co znaczy ubiór! Gdybym miała na sobie spódnicę, żakiet, kapelusz z piórami, drżałabym ze strachu — a tak, nie boję się... nie boję...

Szły chwilę w milczeniu. Na ulicy nie było nikogo. W oknach gdzieniegdzie połyskiwały światła.

— Wiesz.. ja wrócę do domu sama — wyrzekła wreszcie Jania.

— Ależ ja cię każę odprowadzić.

— Także!... nikt mi nic nie zrobi. Studenta nikt nie zaczepi.

— Proszę cię...

— Ach, ty zmokła kuro!... No... Bądź zdrowa, jesteśmy już przy bramie twojej kamienicy. I przyznam ci się, że wolę, aby mnie twoja mama nie widziała w tem przebraniu.

Hala, która była nadzwyczaj srogo prowadzona, uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

— Przyznam ci się, że i ja wolę także...

— A no... a no, widzisz! Bądź zdrowa!

Zapomniały się i ucałowały serdecznie.

Równocześnie jednak po tym pocałunku odskoczyły od siebie i śmiać się zaczęły.

— A... ładna panna! — zaczęła Jania — całuje się na ulicy ze studentami.

— Szczęście, że nikt nie widział — odparła Hala.

Pożegnały się wreszcie *na dobre*, wesołe i pełne młodego zadowolenia z życia.

— Pojutrze przyjdę do ciebie.

— Nie... wpadnij jutro. Tacia niema. Muszę całe rano w domu siedzieć.

— Może mi się uda... Dobranoc, panie studencie.

— Pani!...

Jania złożyła głęboki ukłon.

— Panie!...

Hala ukłon ten elegancko oddała.

Jania zerwała czapkę z głowy i powiała nią butnie.

— Do jutra!...

I szybko śliczny studencik iść zaczął, zagłębiając się w ciemne zaułki miasteczka.

VI

BIEDNA JÓZIA. TAGIEJEW SIĘ LĘKA. W PASZCZY WILKA. TAGIEJEW SIĘ MŚCI. LOS NA USŁUGACH TAGIEJEWA. PALTO STUDENTA. JÓZIA DZIAŁA. UCIECZKA KAZIA. ODKUPIENIE JÓZI. JANIA ZAPADA W PRZEPAŚĆ.

Gdy Józia wydostała się z pomieszkania swych chlebodawców, pędem zwróciła się ku policyjnemu gmachowi. Rozgorączkowana jej wyobraźnia pracowała. Widziała, się ocaloną, nawet gdyby miała okupić tę wolność kosztem największej ofiary. Wiedziała jak Markowskij nienawidził Tagiejewa, i znała swoją nad nim władzę.

— Już ja go uchodzę — myślała — niech mnie tylko stąd zabierze.

Ciemna wilgoć wiosenna snuła się dokoła.

Józia, która nigdy nie miała właściwie *młodości* czystej i nieskalanej, która od małego dziewczątka walała się po piwnicach i łachach wiślanych z obdartusami, przypomniała sobie

nagle, że na wiosnę, gdy kwitły bzy — nawet w restauracji Matołkowskiej snuły się po kątach jakieś majaki, pragnienia... Czasem nawet skradziony przez ubogiego studenta pocałunek nabierał pewnej wagi, gdy otoczyła go ta właśnie wiosenna ciepła noc, w czasie której płacze i śmieje się ludzkie serce.

— Ach Boże — myślała Józia—ach Boże!... czemu ja inna, niż te drugie dziewczyny, co od rodziców za mąż wychodzą, mają dzieci... dom... męża...

Gorąca łza spłynęła jej po twarzy.

— Albo moja panienka — myślała dalej— jaka ona szczęśliwa... Taka nie ma potrzeby się puszczać. Ptasiego mleka jej brak!

Doszła do policji i nienawiść mignęła w jej oczach.

— To psiakrewskie gniazdo mego zatracenia — pomyślała — żeby się zapadło, żeby je choroba zatłukła, żeby wścieklizna je zalała, żeby...

Ustała w przekleństwach, wsunęła się do bramy i wolno zaczęła wchodzić na schody.

— Żeby ten pies tylko nie wyszedł! — przemkęło jej przez umysł.

Jakby wywołany zaklęciem, Tagiejew nagle otworzył drzwi od przedpokoju i wyszedł do sieni, odziany jak do wyjścia na miasto.

Józia chciała się cofnąć, lecz on dostrzegł ją natychmiast — zmrużył oczy i zapytał:

— Do mnie?

Józia nic nie odpowiedziała. Łamała sobie głowę, jakby się wywinąć z tego spotkania.

— Tak... — wyrzekła głośno — chciałam powiedzieć, że...

Urwała, i biła się z myślami, chcąc powiedzieć coś nieszkodliwego dla Horskich.

— Że co?

— Że narzeczony panienki jutro przyjeżdża.

— Jaki?

— Pan Klicki — z Krakowa.

Tagiejew rzucił się jakby go osa ugryzła.

— Którym pociągiem?

— Wieczornym.

— I co więcej?

— Nic!

Tagiejew kiwnął głową i zaczął schodzić ze schodów. Po sposobie, w jaki przyjął wiadomość o przyjeździe Klickiego, Józia zrozumiała, że i to ma swoją wagę. Ogarnął ją smutek na myśl, że mogła znów zaszkodzić Horskim.

— Przeklął mnie kto — czy co!... — szepnęła, idąc na górę do Markowskiego.

Tymczasem Tagiejew szedł szparko w stronę rynku, chciał złożyć „wizytę“ śpiewaczkom i rozerwać trochę myśli, które od rana kotłowały się w jego głowie. Po raz pierwszy nie umiał znaleźć odpowiedniej sprężyny, którą dla swego ocalenia mógłby w ruch wprawić. Wiedział, że trzeba główny motor akcji skierowanej przeciw niemu, to jest Horskiego, na jakiś czas przynajmniej ubezwładnić. Dowie-

dział się, iż Horski wyjechał na dwa dni. Zyskiwał więc choć dwa dni. Lecz — co dalej? Myślał, czy nie dobrze byłoby puścić Joseła pojedyńczo do tych, którzy podpisali się na proteście i zastraszyć ich strasznemi następstwami, które im grożą z powodu buntu, jaki podnieśli tak niespodziewanie.

Lecz przedewszystkiem należało złamać i zgnieść Horskiego. Gdy zabraknie głowy i podniety do czynu — gromada straci energję.

Przyjazd Klickiego także nie był na rękę Tagiejewowi.

— Taki z Krakowa, no... on ich nauczy, czego nie umieją... on... kanalja... a potem...

Rozmyślał, czy nie dobrze byłoby posłać Markowskiego na granicę, aby po przyjacielsku poradził Klickiemu „wrócić się", gdyż czekać go mogą duże nieprzyjemności. Lękał się, że Klicki, rozpatrzywszy się, zrozumie, iż poprzednio nielegalnie z nim postąpiono.

— Może zaraz donos na niego napisać, aby go nie wpuszczano?

Bił się z myślami i tak doszedł do hotelu Feinbuba. Nie wpuszczono go jednak do śpiewaczek, bo jedna z nich, najadłszy się wczoraj homara, ciężko zachorowała na żołądek, a druga gotowała jej na maszynce kataplazmy z lnianego nasienia. Aby czasu nie tracić, śpiewały duet z „Pikowej damy" i Tagiejew musiał się tylko zadowolnić rozmową przez drzwi, w której „*ach! wy etakij!... ach wy nasmiesznik!.. ach uchoditie proczl...*" grały główną rolę.

Zły wyszedł z hotelu, nie wiedząc, co począć ze sobą. Po raz pierwszy ogarniała go czczość i pustka. To miasto, które zdawało mu się leżeć jak pies obity u stóp, jeżyło się dokola niego w ciemności z wrogiemi zamiarami — nieprzychylne i nieprzytulne. Tagiejew miał zwykle wrażenie, iż stoi na pewnych podstawach niewzruszonego zdobywcy, tymczasem jakaś chwiejność była dokoła niego. W cieniu czaiło się coś ku niemu — wyciągało skute i zmęczone ręce — starało się go pochwycić i wstrząsnąć jego egzystencją. Byłaż to zbiorowa dusza tego kraju, z której cząstki on zdołał krew pić i tą krwią się tuczyć? I nagle coś tam w oddali wołało — „dosyć"... a on w tej chwili, dla niego tak bardzo stanowczej, tracił swój spryt i zdawał się „tumanieć"... według własnego osądzenia swego stanu.

Szedł ku domowi, ot jak zwierz z nawyknienia wraca do swego legowiska. Niecierpiany przez wszystkich, nawet przez Moskali, zamieszkujących miasteczko. nie miał gdzie iść, aby ten wieczór przepędzić. Zwolnił kroku, nie miał ochoty znaleźć się znów w swym jasno oświetlonym salonie. Zdaleka widział, iż z okien jego mieszkania biła łuna. Katiusza rozporządziła się i jak zawsze pozapalała światło. Nie należało się krępować. Świec i nafty było przecież podostatkiem.

Wlókł się więc Tagiejew ciasną ulicą — gdy naprzeciw niego nadszedł drobny, mały studencik, w zbyt długim szynelu i za dużej

czapce. Szedł dziwacznie drobnemi kroczkami i w blasku latarni Tagiejew dostrzegł śliczne małe nóżki w jasnych bucikach. Mijając Tagiejewa, studencik odwrócił głowę, jakby nie chciał być poznanym. Tagiejew spojrzał bystro i dostrzegł, że z pod czapki rozsypuje się długi splot źle spiętych jasnych włosów.

— To kobieta! — przemknęło mu przez głowę.

Przystanął i za studencikiem patrzył. Ten — widocznie wyczuł badawczy wzrok policmajstra — bo zaczął iść pośpiesznie — kulił się — plątał — wreszcie pochwycił szynel ruchem, jakim kobiety podnoszą treny swych sukien.

— To podejrzane — pomyślał Tagiejew.

Porwał się z miejsca i pobiegł za dziewczyną. Jania poczuła, jakby ktoś chwytał ją za włosy. Paraliżowało to jej ruchy jeszcze gorzej. Serce zaczęło bić gwałtownie. Chciała uciekać i nie była w stanie.

— Matko Boska, ratuj! — pomyślała.

Tagiejew dosięgnął ją nadzwyczajnie szybko.

— Stać! — krzyknął srogim głosem.

Jania zatrzymała się.

— Wy kto?...

— Horski — wybełkotała Jania.

— *Wy dziewczonka? zacziem wy piereodielis?*...

Jania nic nie odpowiadała. Plecami przylgnęła do muru jakiejś kamienicy. Była śliczna w tej czapeczce i szarym kołnierzu szynela.

— *Wy... Horskaja — mamzel Horskaja?...*

— Tak!...

— Proszę za mną... na policję...

Janię ogarnęła rozpacz.

— Proszę pana... ja z figlów... ja...

Lecz Tagiejewa podniecała dziwnie myśl, iż trzyma kogokolwiek z rodziny Horskiego w swych szponach.

— Ja proszę ze mną... na policję... tam się rozjaśni!

Jania spojrzała dokoła.

Pusto było i ciemno. Nikogo dokoła. Tylko w gmachu policyjnym czerwieniła się latarnia i siały światłem okna mieszkania Tagiejewa. A przed nią straszny, dyszący nienawiścią i srogością ów Tagiejew, który był dla niej legendową postacią i grozą serduszko jej biedne od dziecka przejmował.

— Proszę... ze mną!

Jania stała wciąż jak martwa.

Tagiejew brutalnie rękę wyciągnął.

— Proszę... te kaprysy na nic się nie zdadzą.

W Jani zbudziła się duma. Wyprostowała się i poszła w kierunku policji.

— Idę sama... proszę mnie nie dotykać.

Tagiejew wprowadził dziewczynę na schody i namyślał się, gdzie ją umieścić, w kancelarji czy w mieszkaniu? Widział, że była śliczna, ale dziś troska o sytuację stępiła w nim zmysły.

Po krótkim namyśle uchylił drzwi od śmierdzącej kancelarji.

— Proszę tutaj! — wyrzekł srogim głosem.

Wpuścił Janię do ciemnością ziejącej jamy i drzwi zamknął. Wszedłszy do swego mieszkania, zaczął się spokojnie rozpatrywać w sytuacji, którą mu los urządził. Przebranie się za studenta rozfiglowanej panienki nie było żadną zbrodnią, ale mściwość Tagiejewa i jego rozbestwienie, pastwienie się ciągle nad kimś, wzięły górę. Dziś został pozbawiony możliwości wywierania swej wściekłości na zwykłych interesantach, gdyż Josełe uprzedził ich i zalecił, aby nie pokazywali się dziś wcale przed oblicze Nerona. Cały więc ogrom żółci i furji dźwigał w sobie Tagiejew i z całej duszy pragnął wywrzeć go na kimś, kto bronić się nie mógł.

Zrzuciwszy więc szynel i narzuciwszy na plecy kożuszek, wziął w rękę lichtarz z zapaloną świecą i wszedł do kancelarji, w której stała na wpół żywa ze strachu Jania.

Tagiejew świecę na biurku Markowskiego postawił i sam usiadł na krześle. Świeca skąpo rozjaśniła ohydną norę. Wysoko tliła czerwona gwiazdeczka lampki, płonącej przed ikoną i wydobywała z cienia błyszczące punkta złoconego obrazka.

Reszta tonęła w cieniu.

Tagiejew na krześle się wyciągnął i z podełba na Janię patrzał.

— Wy gdzie szli w tem ubraniu? — zapytał.

— Do domu.

— Skąd?

— Odprowadzałam przyjaciółkę.

— Kogo?

— Halę Zadorską.

— Tak w portkach? no... no...

Jania spłonęła żywym rumieńcem. W tej chwili gorzko żałowała swej pustoty. Zdawało się jej, że stoi przed jakąś kałużą i że ktoś zmusza ją, aby do niej weszła.

— Czy u tej przyjaciółki było jakie zebranie? — badał dalej Tagiejew, napawając się widokiem zmieszanej jego brutalnością dziewczyny.

— Nie, ja nawet nie wstępowałam.

— Tylko tak po ulicach w majtkach. *To priliczno!* to ładnie... porządna panna! ..

Patrzył na nią i myślał, że ujrzana w loży, w teatrze lub na spacerze wydawała mu się roślejszą, pełniejszą. Przypomniał sobie, iż kiedyś Jania grała jako amatorka jakąś rolę, w której ukazywała się na scenie w dekoltowanej sukience. Pamiętał, iż wpił się wtedy oczami w jej śliczny biuścik dziewczęcy i całą noc potem zasnąć nie mógł, myśląc o tym „dekolciku" — pełnym czaru i wdzięku. Zbudził się w nim zwierz. To biedne, drobne stworzenie, takie blade i wystraszone, zdane na jego łaskę i niełaskę, zamiast wzbudzić w nim litość — budziło w nim rozpustę. Nie

pragnął posiąść Jani, bo tak daleko myśli jego nie sięgały, ale chciał wykorzystać sytuację.

— Panna od kogo wzięła ubranie? — zapytał.

— Od brata.

— Zobaczymy. Proszę się rozdziać z szynelu.

Wstał i zbliżył się do Jani.

— Proszę się rozdziać.

Jania zacisnęła szynel dokoła szyi.

— Proszę pana, ja...

— Proszę się mnie nie żenować. Ja starszy człowiek. Czy panna woli, żebym swoich ludzi zawołał?

Sięgnął ręką do guzików szynela. Jego dłoń oparła się o piersi Jani. Dziewczyna szybko usunęła się.

— No... co? co?... proszę zdjąć szynel.

Jania zesunęła szynel — lecz oczekiwania Tagiejewa zostały zawiedzione. Dziewczę miało pod szynelem bluzkę z ciemnego szafirowego aksamitu. W spodeńkach czarnych i w aksamitnym staniku wyglądała nadzwyczaj kształtnie i zgrabnie.

Tagiejew i to dostrzegł, lecz dla nadania sobie kontenansu zaczął szukać na szynelu jakichś oznak, któreby mu udowodniły, że szynel należy do Kazia.

— Tu niema nic! — wyrzekł — ani liter wyszytych, ani nic...

Zaczął przewracać po kieszeniach. Natrafił na kartki jakieś nic nie znaczące — wresz-

cie sięgnął do drugiej kieszeni i wyciągnął jakąś broszurkę. Podszedł do świecy i czytać zaczął.

W jednej chwili zmienił się wyraz jego twarzy. Coś z drapieżnego ptaka, gdy ujrzy zdaleka zdobycz, zagrało mu w rysach. Broszurka była najwidoczniej „propagandą" socjalistyczno-narodową. W broszurkę włożony był egzemplarz proklamacji niedawno rozrzuconej po całej gubernji.

Tagiejew zanurzył drżącą rękę w kieszeń szynela. Wyjął z niej jeszcze list.

Jania, śledząc go — poznała, że to był list pisany na szarym papierze, który Kazio, wszedłszy do jej pokoju, w kieszeń szynela machinalnie włożył.

Zdobyła się na odwagę i nagle zaprotestowała.

— Proszę pana nie czytać!...

Sarkastyczny uśmiech wykrzywił twarz Tagiejewa.

— Nie czytać? ejże!... mnie wszystko wolno czytać, moja miła — a nawet to mój obowiązek. *Da... prekrasno...* to ładne gniazdo... nu ot — na sławę Bogu, ja na was rękę wreszcie położył.

Błysnął ku Jani strasznemi źrenicami.

— A ot... panna niby koleżanki po nocach odprowadza, a tu po kieszeniach propagandę roznosi. *Ładno.* Braciszek się także dobrze bawi.

Jania nie pojmowała na razie znaczenia

słów Tagiejewa, ale czuła, że wali się na nią jakieś straszne nieszczęście i że to nieszczęście ogarnia jak czarny wał morza, nietylko ją, ale i Kazia i jej ojca, i Klickiego — słowem jej najbliższych.

Tagiejew znów w odczytywaniu listu się pogrążył. Był to list z Krakowa, zawiadamiający Kazia, iż Klicki będzie nazajutrz i przyniesie umówione „towary". Zaraz następowało wyliczenie kilku „towarów" londyńskich, jeden genewski, reszta krajowe. List, pisany z całą nieopatrznością młodzieńczą, napozór dość przebiegle — dla wprawnego a sprytnego oka policmajstra nie przedstawiał żadnej trudności. Poprzednio znaleziona broszura i proklamacje zaczynające się od słów: „precz z caratem" — rozjaśniły sytuację.

W pierwszej chwili Tagiejew doznał poprostu olśnienia.

Jakto? więc to, o czem marzył — to jest odszukanie „propagandy" i pognębienia w ten sposób żandarmerji, która na trop wpaść nie mogła — leciało mu prosto w ręce!

Wszak to było korzystne postawienie go w oczach władzy, kto wie, może zatarcie właśnie tych wszystkich gubiących go nadużyć, za które odpowiadać, czuł, iż będzie zmuszony.

A nadto składa się tak wybornie, że to dzieci Horskiego są wplątane w tę sprawę.

Oto — czem zajmie Horskiego. I wątpić trzeba będzie, ażeby Horski zajął się *protestem*,

skoro na jego dom właśnie spadnie nieszczęście.

Tagiejew wcisnął w dłoń pazury, aby bólem ściągnąć wszystką przytomność umysłu i otrzeźwić się. Czuł, iż działać musi w tej chwili sam i stanowczo. Miał atuty w ręku i te atuty wykorzystać musiał.

Posłyszał jakieś kroki na schodach. Podszedł do drzwi, uchylił je. Siemipudow kierował się do kancelarji.

— *Idi paskarieje — pazawi mnie siejczas Markowskawo* — wyrzekł — *i priwiedi mnie służanku Józiu* od Horskich.

— *Słuszajus!* — wyciągnął się w strunę Siemipudow.

Tagiejew na schody wyszedł — ręką drzwi od kancelarji przytrzymywał, jakby się obawiał, że mu ucieknie ten ptak szczęścia, którego złowił.

Siemipudow do drzwi Markowskiego zastukał.

— *Koj czort?* rozległ się głos gniewny.

— Ja, Siemipudow.

— *Czewo?*

Siemipudow tłumaczyć zaczął, jako że wzywają natychmiast Markowskiego do naczelnika.

Gniewny ruch otworzył drzwi od wewnątrz.

Pół ubrany ukazał się Markowskij.

— *Po kakawo czorta?* — pytał.

— *Nie smieju znat'* odparł Siemipudow.

Do drzwi sunęła tymczasem Józia. Z pośpiechem owijała się w chustkę.. Korzystała

widocznie z interwencji policjanta, aby przerwać miłosne afekta Markowskiego. Biała była i oczy miała ciągle łez pełne.

Siemipudow, zobaczywszy ją, ucieszył się,

— Pannę też pan naczelnik kazał przyprowadzić! — wyrzekł śpiesznie.

— Mnie?...

— Tak... wy przecież *gorniczna* od Horskich.

Józia załamała ręce.

— Jezus Marja!... Czegóż jeszcze?

Lecz Markowskij, który śpiesznie nakładał mundur, uspokoił ją.

— Nie bój się. miła... ja idę z tobą.

Zeszli wszyscy ze schodów. Lampeczka naftowa ledwo tliła, oświecając Tagiejewa,

— Co się stało? — zapytał po rosyjsku Markowskij.

— A... ona tu?

— Tak, tu... u mnie! — hardo odparł Markowskij, stając pomiędzy Józią a swym zwierzchnikiem, jakby w obronie swej kochanki.

Lecz Tagiejew nie zwracał na jego arogancję uwagi.

— Ty biegnij do domu — zakomenderował do Józi — przynieś spódnicę twojej panny, suknie, palto, kapelusz, parę koszul, co tam trochę z bielizny na pierwsze potrzeby i wracaj zaraz... słyszysz?

Spojrzał na zegarek.

— A milcz!... pary z ust nie puść!... ruszaj!..

— Idź! — potwierdził jego rozkaz Markowskij.

Józia posłusznie zaczęła schodzić ze schodów. Na zakręcie zatrzymała się.

— Wy weźcie Siemipudowa i Pluskina i idźcie za jaki kwadrans do Horskich. Tam aresztujcie syna Horskiego, który przyjechał.

— Aresztować?!

— Tak... i natychmiast go w dorożce powieźć na dworzec kolei. Pociąg odchodzi za pół godziny... Wy z nim i z dwoma wsiądźcie do przedziału drugiej klasy i jechać będziecie do gubernji. Ja z jego siostrą pojadę drugiem coupé... Nie trzeba, żeby się widzieli. Panna zacznie płakać... Zrozumieliście?

Chwilkę trwało milczenie. Wreszcie odezwał się Markowskij:

— Wy macie podstawy, żeby tego chłopca aresztować?

Tagiejew tupnął nogą.

— Widać, że mam! Róbcie, co każę, na moją odpowiedzialność, załatwcie się cicho, bez skandalu.

— Dobrze... Siemipudow!... idź, szukaj Pluskina i wołaj dorożkę!

. . . . . .

Jak szalona zbiegła Józia ze schodów. Na ulicy nie zwolniła biegu, przeciwnie, leciała, potykając się o wyboje i wyżarte flisy trotuarów.

— Aresztować będą, ścierwa! aresztować dzieci! a złodzieje... a sobaki... czekajcie!...

Wpadła do kuchni. Przy piecu siedziała już kucharka i skrobała ziemniaki na kolację. Józia pędem przeleciała obok niej i rzuciła się do pokoju.

— Wściekłaś się?! — zawołała na nią kucharka.

W pokojach było ciemno. Józia rzuciła się do szafy z rzeczami Horskiego, zerwała z kołków jego płaszcz wiosenny z peleryną, jakiś filcowy kapelusy i z tem wpadła do pokoju Kazia. Tu paliła się lampa, przysłonięta abażurem,

Kazio w domowej kurtce siedział przy stole i czytał. Na hałas, jaki sprawiła Józia wtargnięciem w ten spokój i ciszę, odwrócił się zdumiony.

— Paniczu!... — krzyknęła Józia, oddychając ciężko — niech panicz ucieka!

Kazio mimowoli zerwał się z krzesła.

— Ja?... Dlaczego?

— Za kilka minut policja przyjdzie panicza aresztować... wywiozą do gubernji... wiem... może już idą... niech panicz ucieka.

Kazio zbladł. Nie tego się spodziewał na progu życia. Nie konania w odosobnionej celi, kto wie, lat ile, kto wie, czy nie na zawsze. Nie należał jeszcze do żadnej organizacji, ale wiedział, że i za to, co uczynił, są srogie kary. Chciał przecież *poznać*, sam urobić sobie sąd, a tego nie wolno, za to się w Rosji idzie

w czerń, w samotność. Bystro spojrzał na Józię. Jej bladość, wzruszenie, wszystko świadczyło, że mówi prawdę. Młodość w nim zagrała, ta młodość, która chce słońca, swobody, przestrzeni.

Jak zwierz nagle osaczony rzucił się do ratunku.

— Gdzie mój szynel?... moja czapka?

— Nie wiem, paniczu... natychmiast złapią... tu płaszcz ojca, jego kapelusz...

Odziewała go pośpiesznie.

— Ojca ja zawiadomię.

— A siostra?

— Nie wiem... wyszła. Niech panicz będzie spokojny i niech panicz jedzie.

Instynkt nie pozwalał jej mówić, że Jania jest aresztowana. Wiedziała, że to może odwieść Kazia do ucieczki.

Kazio podskoczył do szafy, wyjął jakieś broszurki, świstki, zaczął drżeć. Ręce mu drżały. Józia przyklękła, zbierała rozsypane ćwiartki.

— Ja to spalę.

— Tak, tak... wszystko.

Skierował się do drzwi, ale był na razie bezradny. Dokąd iść? Gdzie uciec?

Józia potarła czoło. Spryt jej chłopski pracował. Przebiegłość, którą wytworzyło w niej doświadczenie życiowe, nadawała kierunek jej myślom.

— Panicz zrobi tak... — zaczęła — Trzeba wziąć dorożkę i jechać jak najprędzej do

przystanku. Tu nie wsiadać... niech Bóg broni!... A potem w pociąg i do granicy. Tam już się panicz przeprawi, jak będzie można... Tam są tacy żydzi... oni dopomogą... za pieniądze wszystko można.

— Tak! — odparł Kazio gorączkowo — ale ja mam tylko dwadzieścia rubli.

— Niech panicz poczeka!

Wybiegła, wpadła do przedpokoju, gdzie stała jej skrzynka. Otworzyła ją z klucza, poszukała pomiędzy sukniami i wyjęła trochę zmiętych asygnat. Było tego na trzysta rubli. Wróciła i pieniądze Kaziowi podała.

— Tu jest trzysta, czy ile tam... mniejsza, dość że jest. A teraz niech panicz idzie.

Kazio zawahał się. Coś nieokreślonego powstrzymywało jego rękę od wzięcia tych pieniędzy. Lecz Józia gorące prośbą oczy utkwiła w chłopca.

— Ja błagam... ja proszę panicza wziąć i jechać... mój paniczu... nie dać się tym zwierzętom. Jezus Marja!... na co panicz czeka?

Przez głowę jej przemknęło, że Kazio coś wie o niej, że z pogardy pieniędzy wziąć nie chce. Blada i zniszczona jej twarz wzniosła się nagle ku niemu bolesna i rozpaczliwa.

— Ja grzeszna... prawda... ale ja chcę odrobić moje winy... ja...

Łkanie jakieś zawyło jej w gardle.

Do rąk Kazia przypadła i te drobne dziecięce jeszcze ręce całować zaczęła.

— Niech panicz pozwoli się ratować! — wyłkała.

Kazio pochylił się ku niej.

— Dziękuję ci! — wyrzekł z prostotą.

I pocałował ją w czoło.

— Mój paniczu... idź z Bogiem!

Wyprowadziła go na schody, zbiegła naprzód z radością, przekonała się, że policji jeszcze nie widać i stała tak długo w bramie, aż dostrzegła, że z placu ruszyła szybko dorożka i pomknęła w stronę wału.

— Boże, ratuj go! — myślała gorąco, cisnąc złożone ręce do piersi.

Wróciła na górę i zaczęła składać rzeczy Jani.

— Gdzie oni powloką panienkę? — myślała — gdzie oni ją powloką?

Nagle dało się słyszeć dzwonienie u drzwi wchodowych i równocześnie przez kuchnię do przepokoju wszedł Pluskin.

Józia, która jeszcze poprzednio spaliła w piecu podarte broszury i listy Kazia, poszła otworzyć drzwi.

— Idą cholery! — mruknęła przez zaciśnięte zęby.

Przed nią stał Markowskij.

— Panicz w domu? — zapytał.

— Panicz, Kazio?

— No a kto?

— Panicz wyjechał.

— Gdzie?

— Do Warszawy... pociągiem o piątej.

Markowskij szybko wszedł do salonu.

W przedpokoju zatrzymał się Siemipudow, koło drzwi kuchennych stał Pluskin. Gdy weszli do salonu, Markowskij wziął z rąk Józi lampę i poświecił jej prosto w twarz.

— Ty łżesz! — wyrzekł krótko — on nie pojechał, on tu musi być.

Józia uśmiechnęła się szyderczo.

— Szukajcie!...

Markowskij chwileczkę się zastanowił. Pomyślał, iż Tagiejewowi piekielnie chodzi o to, aby mu plan się udał. Jego pewność siebie w wydawaniu rozkazów, to aresztowanie przedsiębrane na własną rękę, radość, jaka tryskała mu z twarzy, aż zbyt jasno dowodziły, iż Tagiejew znalazł jakieś wielkie *atu* w swej grze. Po tem wszystkiem, co Józia mu opowiedziała, nienawiść Markowskiego spotęgowała się do niemożliwych granic. W tej chwili szło mu więcej o unicestwienie Tagiejewa, niż o całość caratu, która mogła być zagrożona buntownikami w osobie... Jani i Kazia. Z pewnego rodzaju zadowoleniem zaczął lubować się w tej myśli, że Kazio uciekł i tem samem coś się zepsuje w planach Tagiejewa.

Służbistą jednak był i musiał honor swój nawet w oczach kochanki salwować. Lampę postawił na konsoli i dla formy otwierał drzwi i zaglądał do zupełnie ciemnych pokojów.

Józia śledziła go z radością.

— Widzisz, drabie! — myślała — widzisz cholero... szukaj choroby, a nie panicza.

Markowskij wreszcie odwrócił się ku niej.

— Za czem on do Warszawy pojechał?— spytał dla formy.

— Nie wiem... miał przez Warszawę przejechać i do krewnych przez wieś, gdzieś koło Świdra...

— No... no... a gdzież jego pokój?

— Tu.

Lampę z konsoli wzięła i wprowadziła Markowskiego do pokoju Kazia.

— O... wszystko porozrzucane — tak się na kolej wybierał.

Spotkali się nagle oczami i zajrzeli sobie w głąb duszy.

— Oj ty... mordeczko — wyrzekł wreszcie Markowskij i palcami lekko dotknął jej policzka.

Józia cofnęła się. Tu na tem miejscu pocałował ją Kazio i do tej chwili czuła wargi tego dziecka na swem czole. Coś jasnego, czystego, jakby płatek róży, jakby kwiat akacji spadł jej na duszę. Lękała się, aby Markowskij nie zatarł tego wrażenia.

— *Nu*... tak ja idę... a ty rzeczy przynoś, a potem do mnie na czaj. Tylko przed Tagiejewem, że ja go nie naszedł, ani gu-gu. Rozumiesz? Ja go jeszcze będę szukał do odejścia pociągu... Nu, a jak go nie znajdę, tak wrócę się i razem z tobą, mileńka, czaju się napijemy!

Wyszedł, zostawiając dla formy w kuchni Pluskina, ku ogromnej trwodze kucharki.

Siemipudow pociągnął za nim.

I zaczęła się wędrówka po knajpach, po bramach, po kościele, po sklepach, po lupanarach, słowem wszędzie, gdzie Markowskij wiedział, ze Kazia nie znajdzie.

— *Pust' czas prajdiot'* — myślał, uśmiechając się blademi usty z radości, że działa w tej chwili na krzywdę Tagiejewa.

. . . . . .

— Odziej panienkę, ale z nią nie mów! — przykazał srogo Tagiejew Józi, gdy zjawiła się pod progiem kancelarji z rzeczami w ręku.

Józia weszła do ciemnej nory, gdzie dogorywała świeca.

Pod ścianą ciągle stała Jania, i ciemne jej ubranie zlewało się z szarą wilgocią murów, tak że odróżnić ją w cieniu tych ścian przychodziło z trudnością. Przestrach jej, zdenerwowanie było straszne. Oczy szeroko rozwarte wbiła przed siebie, w próżnię i patrzyła niemi tak, jakby nic nie wiedziała z rzeczy istniejących, lecz nagle wstrząśnieniem całej swej istoty w jakiś zaświat, roztaczający swoją bezdeń, przeniesioną została.

Józia podbiegła ku niej.

— Panienko! złota panienko!...

Jania patrzyła na nią, jak przez mgłę.

— Ktoś ty?

— Ja... Józia.

— A!...

Potarła rączką czoło, jakby gwałtem chciała powrócić do przytomności.

— Ja przyniosłam sukienki. Niech się panienka przebierze.

— Dobrze!...

Łagodnie, jak małe dziecko, pozwalała się ubierać Józi, która gorączkowo jej szeptała:

— Niech się panienka nie boi... ja po ojca zatelegrafuję... przyjedzie i panienkę wyzwoli... A pan Kazio bezpieczny... zupełnie... nie złapią go...

Jania oparła się o ścianę.

— I jego? i jego?...

— Tak... chcieli, ale uciekł... pst!... cicho!...

W tej samej chwili Tagiejew wetknął głowę.

— Milczeć!... nie rozmawiać!... co? gotowa?..

Jania, ujrzawszy Tagiejewa, wstrząsnęła się nagle i powoli zaczęła znów zapadać w swój dziwny stan jakby nieświadomości tego, co się z nią dzieje. Drżała tylko—ręce jej trzęsły się, a w twarzy zdawało się że niema ani kropli krwi.

— Jak gotowe, tak proszę! dorożka czeka.

— Może ja pojadę — zaczęła Józia.

— Poco?

— Panience może być słabo. Taka blada.

— Już ja panienkę otrzeźwię!— roześmiał się Tagiejew.

Podszedł do Jani i wziął ją za rękę.

— A proszę komedji nie łamać i histeryki nie stroić, bo to ze mną na nic.

Zeszli ze schodów. Dorożka z podniesioną budą czekała na ulicy.

— *Da*... proszę wsiadać.

Odwrócił się i ujrzał, że Józia, płacząc, chwyta Janię za rękę i całuje.

— A ty *won*!

Jadąc dorożką, rad był, że Jania zachowuje się tak spokojnie. Bał się płaczów, spazmów, i ten spokój u tak młodego dziecka imponował mu.

— *Wot kakaja gordaja!* — myślał, dziwiąc się tak wielkiej sile, której podstawą była hardość, według jego wyobrażenia.

Gdy wysiedli przed dworcem, pociąg już stał na stacji.

Od pól, od łąk, aż zanosiło ciepłą nocą wiosenną. Miljony gwiazd osypały niebo, które zdawało się tak bliskie, iż sięgnąć, a gwiazdkę ściągnąć można w zanadrze. Na platformie żółciły się naftowe latarenki. Czerwona czapka naczelnika stacji migotała jak kropla krwi pod jedną z nich.

Lokomotywa syczała, okrywając się co chwila białemi obłoczkami pary. Jakiś robotnik przebiegał wzdłuż wozów, uderzając po osiach młotkiem.

Zresztą pusto było zupełnie.

Tagiejew obejrzał się za Markowskim i Kaziem. Nigdzie ich nie dostrzegł.

— Pewnie już wsiedli! — pomyślał.

Do naczelnika podszedł.

— Moi ludzie zamówili osobny dla mnie przedział?

— Tak... proszę siadać... tam na samym końcu pociągu.

Czerwona czapka mignęła i pobiegła w stronę urzędu telegraficznego.

Tagiejew pchnął Janię w kierunku wskazywanego mu wagonu.

— Proszę się śpieszyć...

Gdy wsiedli wreszcie, pociąg natychmiast zakołysał się i z brzękiem łańcuchów szarpnął się w przestrzeń.

Tagiejew usiadł naprzeciw Jani, rozpiął palto i spojrzał na dziewczynę.

Była trupio blada i miała dziwny szklany wzrok. Tagiejew zmusił się kilkakrotnie, aby na te oczy popatrzeć.

— *No... kakije to głaza... kak u sumaszedszej!* No... jakie to oczy... jak u warjatki! — pomyślał.

Wstał, bo nie mógł znieść tego wzroku. Wypełniały całą przestrzeń i dławiły go. Wyszedł na korytarz i zapalił papierosa.

— To im puszczę finfę pod nos!... — myślał w swej macierzystej mowie — kiedy im takie duże ryby przywiozę. O Klickim nie powiem jeszcze nic. List schowam. Na razie niech starczy broszura i proklamacja. Na resztę każę czekać 24 godzin i kopnę się sam za granicę. Tam rewizja, capnę resztę i Klickiego albo przywiozę, albo jeżeli się da, niech

o mnie milczy i wraca, skąd przyjechał. Ot... co!... Będę go miał w ręku.., No... no...

Rad, uśmiechał się sam do siebie i palił papierosa za papierosem.

Turkot pociągu wystukiwał rytm jakiejś znanej mu piosenki.

— *Ech da!... ech ma!... czort s taboju i sa mnoju!.. ech da u ech ma!...*

Popatrzył przez okienko i, z pod fruwającej w takt rwącego się pociągu firanki, dostrzegł Janię, jak wyprostowana, blada siedziała zapatrzona w dal...

— *Ot diewczonka* — pomyślał — prawa *diewczonka.* — Roześmiał się. — *Gawarjat — diewczonka prynosił szczastje...* no — ot i mnie *priniesła... ech ma! ech da!...*

A pociąg rwał się wciąż w takt znanej piosenki.

VII

TAGIEJEW ZARZUCA SIECI. AKSAKOW. CO STAŁO SIĘ Z JANIĄ. KLICKI I JEGO WALIZKA. WALKA Z DZIKIM ZWIERZEM. W DRUGIE SZPONY.

Ach!... kogo ja widzę? — zawołał Hordyj — to wy Iwanie Iwanowiczu?

— Ja...

— A wy co u nas robicie?

— Mam się tu z kimś spotkać.

Tagiejew uśmiechał się obleśnie. Przeklinał w tej chwili Hordego, którego los zaniósł w tę stronę peronu. Tagiejew, który przyjechał poprzednim pociągiem i zameldował żandarmom odbierającym paszporty, że „zostaje na granicy" — poszedł w zapadający już cień — w stronę hotelów, sądząc, że uda mu się doczekać Klickiego, nie natknąwszy się na Hordego. Los zrządził inaczej. Kapitan powracał właśnie od znajomych i oto spotkali się na „sztrece", a spotkali się uprzejmie, z uśmiechem, dużą kurtuazją, jak dwa fałszy-

we koty, patrzące, kiedy się rzucić na siebie, aby wydrzeć sobie wzajemnie zdobycz.

— Kogoż wy będziecie spotykać? — zapytał Hordyj, otulając się w szynel, bo deszcz mżył i nocny chłód powstawał z flisów peronu.

— Ach!... krewnego.

Hordyj podbójczo wąsika pogładził.

— No... zostawcie. My was tu znamy. Wy straszny Don Żuan. A to słynne w gubernji. Ja ręczę, że wy na spotkanie jakiej pięknej damy...

Tagiejew uznał za stosowne dyplomatyzować.

— Może...

— A no — to chodźcie do mnie, do kancelarji. Tu deszcz, na chłodku nie miło. A może do restauracji na szklaneczkę *winca* czerwonego? ha?...

— Dziękuję.

— Cóż wy? przystąpili do tych w Krakowie, co nic nie piją?

— Nie... ale dziś mi czegoś nie *łowko*. Wolę nie pić.

— No... wasza dama się nie rozgniewa.

Poszli w stronę zabudowań stacyjnych. Kapitan starał się być ożywiony i podtrzymywał rozmowę.

Nagle się zatrzymał.

— Wiecie wy, Iwanu Iwanowiczu, ja was gdzieś zaprowadzę — gdzie wam strasznie miło czas zejdzie. U nas jest Marusia Jegorowna, sławna dziewczynka — śliczna — pod-

śmieszliwa, *chytrenka*. Ona przejeżdżała granicę, a my ją sobie zatrzymali i u niej bałakamy, jak który ma czas. Chcecie — ja was tam zawiodę.

Lecz Tagiejew potrząsnął głową.

— Nie, dziękuję.

— No... to wy już całkiem do tej eleuterji czy jakiegoś czorta przystali. Dzieweczki nie chcecie, no! no! Chyba ta wasza dama to na prawdę coś sławnego.

— Może!...

Weszli do kancelarji. Lampy paliły się jasno. Gorąco aż buchało od pieca. Na pluszowej otomanie, nad którą wisiał melancholijny car w gronostajach — siedział wysoki mężczyzna o stalowych oczach w mundurze żandarmskim i palił papierosa.

Ujrzawszy wchodzących, podniósł się z otomany. Jego strojna, prosta figura zarysowała się na tle ściany pociągniętej białem obiciem.

— Fadiej Konstantynowicz Aksakow!

— Iwan Iwanowicz Tagiejew!

Po Tagiejewie przeszedł mróz. Doszły do niego bowiem wieści, że świeżo mianowany na pomocnika naczelnika gubernji Aksakow, przeniesiony z Kielc, jest jego specjalnym wrogiem i ma poruczoną szczególną pieczę nad jego postępkiem.

— To ty, draniu! — pomyślał, podając rękę żandarmowi, który natychmiast usiadł.

Toczyła się rozmowa banalna — trochę o wszystkiem, z wyjątkiem o sprawach gu-

bernji, czy to politycznej, czy ekonomicznej natury. Widoczne jednak było, że żaden z tych ludzi na chwilę nawet nie myśli o tem, co głośno wymawia. Szczególniej myśl Tagiejewa pracowała bezustannie. Od chwili ujrzenia Aksakowa wpadł w szalone rozdrażnienie. Stalowe oczy żandarma, które ciągle go obserwowały — zdawały mu się świdrować poprostu duszę. Wiedział, iż w gubernji czekano na przyjazd świeżo mianowanego pomocnika, aby „zabrać się do rządów Tagiejewskich". Sądził jednak, że to tak prędko nie nastąpi, gdyż używał wszelkich sprężyn, aby naczelnik gubernialny pozostawał jak najdłużej bez pomocnika. Tymczasem, nietylko że już go mianowano i przysłano, ale Tagiejew miał go już przed sobą jako żyjący dowód możliwych kłopotów i walk, przez jakie mu brnąć przyjdzie.

— *A niech twoja mat*, itd.—wiło się litanją przez mózg Tagiejewa, podczas gdy mu z czoła spływały krople potu — ale ja wam się nie dam, *protomordy* jedne.

Powstał z miejsca i podszedł do okna.

— O! jak to Iwan Iwanowicz z tęsknoty aż usiedzieć nie może! — śmiał się Hordyj — co za temperament!...

— Da! da!... — potwierdzał Aksakow — ale się nie bezpokójcie... ona nadejdzie.

Zamienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia.

Tagiejew ze zdenerwowania dłużej wytrzymać nie mógł.

— Pozwólcie, wyjdę na peron, u was prosta parnia.

— Jak chcecie.

Tagiejew narzucił szynel i wyszedł. Zaczął chodzić po peronie, wreszcie przysiadł na ławce, która stała w cieniu.

Tymczasem Hordyj z Aksakowem pośpiesznie zaczęli zamieniać urywane zdania.

— Na kogo on czeka?

— Czort *znajet!*

— Może na Klickiego.

— Kto wie.

— Trza ich dopuścić, żeby się zeszli i mieć na oku nowe dowody.

— Da, da...

Umilkli na chwilkę, wreszcie znów Aksakow podjął.

— Jak on będzie *to* wiózł?

Hordyj ramionami wzruszył.

— Jeszcze nie wiem.

— A Szary?

— Wczoraj szyfrował, że jest na tropie.

— Jakże więc?

— Szary w porę uwiadomi. A nie, to będziemy szukali.

— Da, da...

— I znajdziemy.

Roześmieli się. Siedzieli już teraz cicho i tylko Aksakow leciuchno pogwizdywał jakąś ptasią melodję — jakby w bezlistnych krza-

kach bzu na ogródku stacyjnym śpiewało w wiosenną noc jakieś małe ptaszę.

. . . . . .

Tagiejew na ławeczce siedział — patrzył w czerń wilgotną i dumał.

Od rana miał ciągle w oczach jeden krzyk, jeden tylko krzyk pół dziecka, pół kobiety...

Tak krzyknęła Jania, kiedy zabierano ją do gubernialnego więzienia. Dziewczynka na wszystkie pytania nie odpowiadała ani słowa. Noc spędziła bezsennie w kancelarji, gdzie jej urządzono posłanie na sofie. Siedziała skulona i milcząca. Nie pytała, jakie jest jej przestępstwo. Czy odgadła, że figlem swoim niewinnym ściągnęła na brata swego i nich wszystkich takie ciężkie nieszczęście, czy zrozumiała, że list ten, który Tagiejew w szynelu brata znalazł, był jakimś dowodem politycznych, prawem zabronionych zbrodni, dość, że zdawało się, iż Jania nagle przeszła cały cmentarz i znalazła się po drugiej jego stronie. Blada trupio, z oczyma podkrążonemi, postarzała się, tak, że zdawała się nie mieć lat poprostu. Była tą cyfrą nieokreśloną, która szła w głuszę i zamknięcie, i przed tem zrzucała z siebie przepych lat młodych i krasę roześmianą jako zbytek niepotrzebny.

Gdy Tagiejew zobaczył ją wczesnym rankiem stojącą przed biurkiem naczelnika żandarmerji gubernialnej, milczącą i wpatrzoną szklanemi źrenicami w jakąś dal dla niej tylko

widzialną, nie poznał jej, tak to widmo nie było w niczem podobne do tej ślicznej panienki, której biuścik kraśniał mu różą na scence amatorskiej sceny.

— Nu... do czortowej matił... — pomyślał — a ot zeszkapiała.

Krótko trwała indagacja. Jania nie odpowiedziała ani słowa. Naczelnik powstał i kazał ją zaprowadzić do niewielkiego pokoiku w suterynach gmachu więziennego. Postawiono jej tam łóżko, siennik, stołek, dodano dzbanek i miskę. Szare światło płynęło z okna wychodzącego na dziedziniec, po ktorym pełzało jakieś małe dziecko. Cienkie kraty były pordzewiałe, lecz dziedziniec był doskonale zamkięty.

I wtedy to Jania krzyknęła raz jeden, jedyny. Krzyknęła, jakby żegnając się ze swobodą, z młodością, ze słońcem. Tagiejew towarzyszył z żandarmami dorożce, która przewiozła Janię na drugi koniec miasta do gmachu więziennego. Z tych czerwonych, ceglanych murów dobył się ten jeden krzyk protestu, rozpaczy, chęci do życia.

I zaraz potem zaległa cisza.

Lecz Tagiejew krzyk ten w sobie miał zamknięty. Wpił się poprostu w niego, ustąpić zeń nie chciał... I nawet teraz, gdy przeszedł cały dzień, co chwila rwał się w jego mózgu jak zraniony ptak, który chce uciec w przestworze.

Nie pomogły żadne przekleństwa, które

dobywał ze swej głębi, aby zagłuszyć go lub uśpić. Potrzebował bowiem w tej chwili całej swej przytomności umysłu, ażeby jasno rozpatrzeć się w sytuacji. Tymczasem ten krzyk zasłaniał mu bystrość jego zwykłych sądów.

Za pomocą wszakże natężenia całej swej woli doszedł Tagiejew do postanowienia, które tylko mogło mu być podyktowane pewną rozpaczliwością położenia. I tak... ów Aksakow, siedzący na granicy w chwili przejazdu Klickiego, wydał mu się podejrzanym. Kto wie, co w gubernji postanowiono. Tagiejew, który już rozpoczął akcję wykrywania propagandy patrjotycznej na własną rękę, aby tem upokorzyć i zgnębić żandarmerję gubernską, stał teraz na rozstaju. Jeśli Klickiego zaaresztują za jego przyczyną i wskazówką, Tagiejew osiągnie znaczenie, lecz równocześnie żandarmerja, mszcząc się za wkraczanie policji w jej dziedzinę — przyśpieszy swoją przeciw Tagiejewowi akcję i na jednego z najniebezpieczniejszych świadków powoła Klickiego, któremu los dozwolił być świadkiem owego dzielenia się pieniędzmi policji ze złodziejami. Tagiejew ciężką przechodził walkę, siedząc tak na ławeczce platformowej, w wilgotnym, wiosennym cieniu. Lękał się zetknięcia Klickiego z żandarmerją, a nie chciał wypuścić z rąk okazji *zajawienia* o propagandzie patrjotycznej, złowionej na gorącym uczynku. I tak Kazio niepojętym dla niego sposobem wymknął mu się z rąk. Doniósł mu o tem

nad ranem w szyfrowanych depeszach Markowskij i powtórzył swój *dokład*, gdy pociąg, wiozący Tagiejewa z gubernji do granicy, przejeżdżał przez stację miasteczka. Tagiejew, słysząc, że Kazia nie zaaresztowano, aż zwinął się ze wściekłości, lecz Markowskij pozostał niewzruszony.

— *Nie naszli!* — powtarzał automatycznie, wbijając swe rybie oczy w lśniącą twarz zwierzchnika.

Obecnie — jeżeli i Klicki wysunie mu się z rąk jako zdobycz — myślał Tagiejew — to owa dziewczynka, zamknięta w turmie gubernjalnej, przedstawia się jako licha i nie imponująca zwierzyna. Z taką pewnością siebie Tagiejew zapowiedział nachmurzonej władzy, że on jedzie na inne łowy i to co on zajawi, zdumieje wszystkich. Rzeczywiście wykrycie przewózki „towarów" takiej treści dla młodzieży szkolnej mogło mieć swoje doniosłe znaczenie...

Lecz co począć!... jak propagandę przychwycić i siebie ocalić!?...

I wtedy w spocony łeb Tagiejewa wstąpiła genjalna myśl „porozmawiania" z Klickim. Co z nim miał mówić, wiedział doskonale — całą rozmowę rozplanowywał sobie dokładnie teraz ze ścisłością najwyższą. Nie był to plan genjalny i sam Tagiejew, gdyby później przyszedł do równowagi i rozpatrzył go kiedykolwiek — zdziwiłby się, jak on ze swoim sprytem, ze swą piekielną zręcznością

lawirowania przez życie — mógł się na nim gruntować i według niego postąpić. W tej chwili jednak wydawał mu się jedyną drogą, po której mógł się poruszać i znaleźć jakąś dla siebie pewność i zabezpieczenie.

Zadudniło w oddali jakby przyciszony grom.

Telegraf stacyjny dźwięczał cienko i jasno. Tu i ówdzie na platformie zaczęły się pojawiać latarki żandarmów. Z daleka nadbiegał jakiś zwrotniczy i machał latarenką, która zataczała w powietrzu ogniste kręgi.

Pociąg nadjeżdżał.

Tagiejew przycisnął się do ławki.

Wszystko zależało od tego, ażeby mógł dostać się do Klickiego niedostrzeżony i pomówić z nim przed rewizją. Było to bardzo trudne, ale w każdym razie możliwe do uskutecznienia w ciżbie i natłoku.

Tagiejew bystro śledził, czy Aksakow lub Hordyj nie wyjdą na platformę. Żaden z nich się jednak nie pokazał. Ruch się zwiększył. Garstka ludzi wysypała się na peron z zabudowań stacyjnych.

Ze świstem, szumem, łoskotem przybył wreszcie pociąg przed stację. Wbił swe koła w relsy i pozostał tak nieruchomy jak wąż nagle rozwinięty. Lecz we wnętrzu jego zdawało się być życie zaklęte. Jedynie tylko kilku żandarmów w długich siermięgach dźwigało się po schodkach i znikało w drzwiczkach.

Tagiejew wytężył wzrok i patrzył z zapar-

tym oddechem w stronę pociągu. Wreszcie — w jednym z bliższych mu wagonów mignął się Klicki. Nie zważając na nic, pan policmajster porwał się z ławki i w tę stronę iść szparko zaczął, roztrącając brutalnie cisnących się żydów.

Nadszedł właśnie w chwili, gdy Klicki z wagonu wysiadał, trzymając w ręku walizkę.

Tagiejew zaraz mu przed oczy podszedł.

— Wy *gaspadin* Klicki?

Nie był bowiem pewien. Klickiego widział zawsze z gołą głową. Czapka podróżna zmieniała fizjognomję młodego człowieka.

Lecz sam wyraz twarzy Klickiego na widok Tagiejewa już był dostateczną rękojmią, że to był prawdziwy Klicki.

Młody człowiek, zdziwiony i jakby zaniepokojony, pytająco patrzał.

— *Pazwolte na minutku!* — zaproponował Tagiejew.

— Pan ma ze mną do pomówienia?

— Tak... na osobności!

— Czy to konieczne?

Tagiejew we dwoje się złożył.

— Dla dobra pana i jeszcze dla dobra innych.

Klicki coraz więcej zdumiony i zmieszany na Tagiejewa patrzył.

— Może się pan myli? — wyrzekł wreszcie, starając się mówić pewnym głosem.

— Nie... — upierał się Tagiejew — ja na pana czekam. Chodźmy!

— Dokąd?

— Gdziekolwiek na osobność. Krótko z panem mówić będę. Rzeczy niech pan ze sobą zabiera. Czy pan ma jeszcze co w bagażu?

— Nie.

— No... to dobrze... proszę iść ze mną.

Mimowoli Klicki szedł za Tagiejewem. W ręku ściskał silnie walizkę, w której podwójnem dnie miał całą pakę przesyłki dla Kazia.

— Zaczyna się! — pomyślał, zrezygnowany na wszystko.

Ogarnęła go gorączka, a zarazem jakieś dziwne uczucie niewysłowionego szczęścia, że znajduje się na granicy Królestwa. Byłby padł na ziemię i w egzaltacji swej szlachetnej całował ją, wołając:

— Jestem znów u ciebie... jestem...

Tagiejew zatrzymał się na zupełnie odkrytem miejscu, tam, gdzie już zaczynały się pogranicza pola.

W oddali szemrał jakiś potoczek. Na prawo jaśniały światełka stacyjne i szumiał coraz słabiej pociąg.

— Tylko dwa słowa... — zaczął Tagiejew — proszę, niech pan Klicki mnie dobrze zrozumie i wniknie w moje intencje. Jam mam dla pana jak najlepsze intencje.

Zawiesił głos. Przed nim stał Klicki wciąż

z walizką w ręku. W ciemni nie widzieli swych twarzy, wyczuwali się tylko wzajemnie.

— Słucham tedy intencji pana!... — podjął Klicki.

Nastało chwilowe milczenie.

I nagle z ciemni przebił się głos Tagiejewa.

— Pan wiezie propagandę patrjotyczną!

Klicki cofnął się.

— Pan oszalał?

— Nie... ja jestem zupełnie przy zdrowych zmysłach — twardo odparł Tagiejew — mógłbym panu dać niejedne szczegóły. Mniejsza z tem. To panu jedno powiem. O tem, że pan to wiezie, wiem ja tylko jeden. Dla moich planów potrzebny mi dowód w rękę, pan zaś możesz się zupełnie z tej sprawy wycofać bezpiecznie. Oddaj mi pan owe dokumenty i wracaj do Krakowa, ale wracaj pod słowem honoru na zawsze. Niech pana noga więcej nie postanie w Królestwie. Na to mi pan musi dać słowo honoru,

Czekał chwilę jakby na odpowiedź Klickiego, który milczał.

— I jeszcze jedno — podjął znowu Tagiejew — jak ja dziś postępuję z panem, tak pan musi postępować ze mną... Nigdy mi nie szkodzić... Oto, co chciałem od pana.

Wszystko to spadło na Klickiego niespodziewanie. Ogarnęła go armosfera rządów tagiejewskich. Teror niby małomiasteczkowy, a przecież w gruncie rzeczy groźniejszy i sil-

niejszy, niż się na pozór wydawał. Dławić go zaczynała hydra, ledwo u jej progów się ukazał. Chwilę sądził, że to jest sen, ale Tagiejew był przed nim czarną bryłą — był — i głos jego zawieszony w powietrzu bił o siatkę nerwów Władysława. Równocześnie przyszła mu myśl, czy Tagiejew wie istotnie o propagandzie, czy może tylko zastawia na niego pułapkę.

— Czego pan chce odemnie?... Nic nie rozumiem... — wyrzekł opryskliwie — nic nie wiozę... paszport mój w porządku zupełnym... proszę mnie puścić.

Lecz Tagiejew pochwycił go za rękę.

— Pan mnie nie zwiedziesz! — wyrzekł szybko — ja wiem... Mnie opowiadali, jak i co młodzi Horscy... Kazio i ta... Jania.

— Oni?...

— Tak, oni. Pan im wiezie propagandę od tych tam innych z Krakowa. Pan ma londyńskie, zurychskie wydawnictwa i proklamacje... A co?... zamilkł pan?

Tagiejew się dobrze poinformował.

Klicki starał się oprzytomnieć i zebrać zmysły.

— To wszystko nieprawda!

Lecz głos jego się złamał. Miał wrażenie, że ktoś bije go w pierś kułakiem. Jania... Kazio!... te dwa imiona padły słodkim dźwiękiem w ciemnię ścielących się dokoła rozłogów.

Straszny niepokój szarpnął sercem Klickiego. Jeśli Tagiejew mówi w ten spsób, to

znaczy, że badał tak Kazia, jak i Janię... Gdzie?... czy ich aresztowano?

Klicki czuł, że blednie, że nogi uginają się pod nim.

Tagiejew zrozumiał wrażenie, korzystał zeń i nacierał.

— A więc... a więc...

Teraz Klicki ku niemu się zwrócił.

— Co z nimi?... na Boga!... przeczuwam nieszczęście.

— Nie stanie się im nic, jeżeli pan mnie posłucha... propagandę tu ze siebie zrzuci i nazad do Krakowa odjedzie... Inaczej...

Klicki mimowoli także przybrał groźną postawę.

— Inaczej?...

— Ja pana z rąk nie puszczę!... — zasyczał Tagiejew.

Chwilę panowało milczenie.

Klicki rozważał sytuację... Był rzeczywiście w szponach Tagiejewa. Gdyby mu nawet w łep palnął, nie ujdzie mu to płazem, gdyż jakkolwiek byli dość od ludzi oddaleni, to przecież tu i owdzie snuły się postacie i na odgłos strzału czujność i tak rozbudzona natychmiast by pośpieszyła tam, skąd się strzał dał słyszeć. Uciec od Tagiejewa, było to wpaść w ręce żandarmów. Skoro Tagiejew wiedział o wiezionych przez Klickiego pismach, to i żandarmerja musiała być o nich powiadomioną. Należało więc jakoś zniszczyć owe

broszury i paczki, a potem poddać rzeczy rewizji i jechać do Horskich.

Lecz jak zniszczyć? Wszystko, co Klicki przewoził, było ukryte w podwójnem dnie walizki, które kazał sobie w Krakowie na Grodzkiej ulicy u kufrarza dorobić. Dno było doskonale dopasowane, ale wobec tej całej kwestji nie należało ufać, że zdoła ukryć wszystko przed oczyma władzy. Tagiejewowi Klicki nie wierzył ani na chwilę i do rąk jego nic oddawać nie mógł. Czuł w tem grubą, ordynarną „łapkę", chęć złowienia głupca w sidła, aby potem korzyść z tej jego głupoty ciągnąć.

Aż pot wystąpił na czoło Klickiego.

Przez tych chwil kilka przeżył więcej, niż przez swe poprzednie życie. Aż rwał się cały w głąb Królestwa, wiedząc, że tam już jest jakieś nieszczęście. Ta dysząca przed nim ciemna bryła cielska nawodziła tę pewność.

— *Nu tak* co pan postanowił? — cisnął go Tagiejew.

Klicki szarpnął rękaw.

— Proszę mnie puścić!... proszę na mnie nie następować! Jakiem prawem? To nie pana rzecz... Tu rządzi pograniczna żandarmerja... odsuń się pan!

— A... tak...

Nic nie zdoła opisać tonu, z jakim Tagiejew wymówił te dwa wyrazy. Odmalował on jednak dostatecznie wściekłość, która w jego duszy zakotłowała.

— A ja pana nie puszczę!...

— Precz!...

Klicki zaczął biedz ze swoją walizką w stronę zabudowań stacyjnych. Sądził, iż zdoła ukryć się choćby w miejscu ustępowem i tam spalić za pomocą zapałek owe dokumenta. Gdyby zaś się nie udało, powrócić do Krakowa...

— Tylko czy oni mnie puszczą... muszą, wszak jeszcze nie przejechałem granicy.

Lecz gdy wpadł na peron, natknął się natychmiast na kapitana, który stał w asystencji jednego z żandarmów i uparcie w stronę, skąd właśnie Klicki biegł — patrzył.

Zobaczywszy Klickiego, Hordyj ręce rozłożył.

— Pan Klicki!... no... no... pan znów jedzie do Królestwa?... ślicznie... a ot to ja panu wszystko ułatwię. Proszę do mnie, do kancelarji.

Klicki odczuł, że Tagiejew, który biegł za nim, zatrzymał się w cieniu. To mu dodało otuchy.

— Ja... namyśliłem się! — wyrzekł — nie pojadę, wracam do Krakowa.

— Ale jakże!... — wołał Hordyj... — co znowu! raz dwa wszystko będzie załatwione.

Zwrócił się do swego żandarma:

— *Wazmi!* — szepnął, wskazując walizkę.

Zanim Klicki się opamiętał, walizka znalazła się w ręku żandarma.

— Ależ... proszę oddać... ja nie jadę.

Kapitan, grając dobrodusznego, silnie czepił się ramienia Klickiego.

— A my za nim... proszę.

Jak z pod ziemi wyrosł znów nowy żandarm przy boku Hordego.

— Na koniaczek... u mnie sławny koniaczek.

Klicki w jednej chwili uczuł, iż wszelki opór jest daremny. Zdał się na los. Jakaś gorączka owładnęła nim.

— Chodźmy! — wyrzekł, prawie śmiejąc się nerwowo. A w skroniach mu łopotało ciągle.

— A oni!... a oni!... co z nimi — z Kaziem? z moją drogą dziewczyną...

I do kancelarji żandarmskiej szedł, bo zdawało mu się. że w ten sposób zbliża się ku nim, że niedługo będzie tam, gdzie — oni!

IX

W MATNI. UPRZEJMOŚĆ ŻANDARMSKA. PRZEDWCZESNA RADOŚĆ KLICKIEGO. ARESZTOWANIE. ZNALEZIENIE PROPAGANDY. W PUŁAPCE. ZAMYKAJĄCE SIĘ DRZWI.

Gdy żandarm walizkę do kancelarji wniósł, Aksakow powstał ze sofy.

— Połóż! — wyrzekł po rosyjsku.

Żandarm położył walizkę i wyszedł.

Wówczas z kąta podniosła się jakaś niepoczesna szaro odziana figura, która do walizki podeszła i bacznie ją oglądać zaczęła.

— Ta? — zapytał Aksakow.

— Ta sama. Nosił ją wieczorem do żyda na Grodzką w oficynie, Przykazywał tajemnicę. Nosił sam, aby nie wtajemniczać.

— Podwójne dno?

— Tak.

— Nic, żyd w domu zaciągnął płótnem, tekturą i zakleił, gdy Klicki papiery włożył.

— Dobrze!...

Dały się słyszeć kroki i głos Hordego.

— Idą.

Szary człowiek ukłonił się grzecznie i znikł bocznemi dzwiczkami jak kamfora, W ślad za nim wyszedł i Aksakow.

Drzwiczki jednak pozostały niedomknięte.

Hordyj i Klicki weszli do kancelarji. Gdy Klicki dojrzał swą walizkę, doznał dziwnego uczucia. Chciał się na nią rzucić, porwać ją i uciec — lecz Hordyj drzwi od kancelarji zamknął i bardzo serdecznie Klickiego siedzieć prosił.

— A ot... papieroska! — częstował, podsuwając ładne pudełko na papierosy i popielniczkę, przedstawiającą secesyjną syrenę.

Klicki ruchem ręki odmówił. Wzburzony jeszcze, niepewny — usiadł na krześle niedaleko sofy. Hordyj koło biurka gospodarował, przeglądając papiery.

— Dziś mało do czynienia—mówił z uśmiechem — pasażerowie wszyscy w porządku.

Wszyscy w porządku — pomyślał Klicki, a więc i on także.

— Czemuż wy chcieli jechać nazad? — pytał Hordyj, siadając na fotelu przy biurku— to *nieładno*. Jechać w gości i wracać się— a tam was pewnie czekają... Nie można robić zawodu.

— Wie czy nie wie? — przemknęło po głowie Klickiego.

— Dowiedziałem się ważnej rzeczy na granicy — tłumaczył się, lecz Hordyj przerwał mu:

— Ach zostawcie... coś wam takiego mógł powiedzieć Iwan Iwanowicz.

— Iwan Iwanowicz?

— No... Boże mój... Tagiejew. Ja widział, jak on na was naleciał i powiódł was w pole. On nie chciał pewno, żeby wy jechali znów do miasteczka i czepił się was. Ha? Straszył może was, czort wie czem. Ale wy na to plujcie, bo on nie ma do was prawa. U was paszport w porządku, wy *czestnyj* człowiek i my ot gościnnie do Rosji prosimy i serce i objęcia wam otwieramy.

Klicki zdumiony patrzył na Hordego, nie wiedząc, co ma o tem wszystkiem myśleć. Jasno płonęły lampy na stole i konsolce. Zacisznie i spokojnie było w tym kącie. Siedzący przed nim żandarm miał wyraz twarzy dziwny, nie odgadniony. Niby to była serdeczna dobroduszność, niby to coś się pod tem skradało.

— On z nami w *drace*! — śmiał się, ukazując szereg białych zębów — więc ot zwarjował i już zaczyna po granicy czepiać się spokojnych austrjackich gości. My nie robimy z nim awantury, bo ot... *dobryj starik, tolko waniajet mogiłoj* (Dobry staruszek, tylko śmierdzi grobem).

Zapalił papierosa i od niechcenia na walizę spojrzał.

— A ot i wasz *czemodan*!

W Klickim dech zamarł.

— Ja wam tu każę przykleić rewizyjną kartkę. Poco wam się słaniać po rewizyjnej

sali? Tam błoto. Tu sobie herbatki się napijemy i wy stąd wsiądziecie do pociągu, tak się Tagiejew was nie czepi.

Zadzwonił.

Wszedł żandarm. Hordyj wydał mu rozporządzenie, poczem najswobodniej zaczął z Klickim mówić o nowej sztuce, wystawionej w teatrze krakowskim. Według niego była za chaotyczna, za mglista. Widział ją na drugiem przedstawieniu.

Klicki odpowiadał mu machinalnie. Ta rewizja tu na miejscu przejmowała go trwogą i nadzieją. Jeżeli Hordyj wie o znajdujących się broszurach, odnajdzie je zaraz, jeżeli nic nie wie, spełni prostą formę i kurtuazja nie dozwoli mu robić szczelniejszych poszukiwań w kuferku.

Wszedł żandarm z kartką, podmazaną klejem. Klicki wpił się oczami w ten biały płateczek papieru, na którym czerniał orzełek, jakby chciał go przywabić do siebie. Lecz płatek przylegał do silnych palców żandarma i odczepić się od nich nie chciał.

Żandarm zwrócił się do Klickiego.

— *Pazwoltie waszi kluczi* — poprosił.

Klicki do kieszeni sięgnął. Ręka mu drżała. Cały krzyż pokrył się potem. Lecz Hordyj szybkim gestem ruch jego powstrzymał.

— Ależ poco klucze?... *Ostaw!* — zwrócił się do żandarma i ręką skinął.

Ten szybko karteczkę z orzełkiem na boku kuferka przylepił.

— Nic więcej? — zapytał Hordyj.

— Nic...

— Nu... a teraz czaj!... Jegorow, *skarieje*... czaj! — zawołał Hordyj.

Żandarm wyszedł. Gdy za nim zamknęły się drzwi od kurytarzy, zdawało się Klickiemu, że zniknęła jakaś mara, ciężąca mu na mózgu. Zaczynał trochę oddychać. Patrzył na Hordyja, na swoją walizkę i myślał z radością:

— Nie wiedzą nic... przejadę... zobaczę Janię... za parę godzin zobaczę Janię...

Tymczasem Hordyj grał rolę gościnnego gospodarza. Nalewał podaną herbatę, podsuwał Klickiemu zakąskę i rozmawiał ciągle.

— Wy nie wiecie — mówił — jak dusza pragnie rozmowy z artystą... A to wiecznie służba i służba... Nadojadło... Ja dla artystów w ogień.

Nie wypytywał Klickiego o jego osobiste stosunki i zachowywał się dyskretnie i powoli starał się uspokoić spłoszone nerwy swego gościa.

— Ja sam trochę malował dawniej — śmiał się — ale prędko rzuciłem, bo to były bohomazy, a nic więcej.

Klicki odpowiadał coraz uprzejmiej. Jakaś wdzięczność zaczynała go ogarniać dla tego grzecznego oficera, który mu ułatwiał nietylko przejazd, ale przewóz rzeczy zakazanych. Wolał nie wychodzić z tej kancelarji, gdzie jakby go otoczono przed Tagiejewem opieką. Rzeczy zrewidowane, a właściwie usankcjonowane

pieczątką rewizyjną, nie wymagały uiszczenia i otwierania, co mogło właśnie naprowadzić żandarmerję na pomysł i trop, na którym wcale nie była.

— Bylebym tylko wsiadł w pociąg — myślał, pijąc herbatę i słuchając słów Hordego. Wreszcie pociąg nadchodził. Hordyj, mając do załatwienia sprawy kancelaryjne, wyszedł do sąsiedniego pokoju, zostawiając drzwi otwarte. Równocześnie do kancelarji wszedł jakiś drugi żandarm, coś w rodzaju porucznika i usiadł przy biurku, pisząc jakieś akta.

Klickiemu zdało się przez chwilę, iż go nieustannie pilnują i mają na oku. Trwało jednak to wrażenie krótki moment. Niemniej przecież Klicki nie śmiał się poruszyć z krzesełka. Przez otwarte drzwi widział całą kaźnię żandarmsko-graniczną. Widział jak wchodzili żołnierze w swych wysokich czapkach, ozdobionych kitami, jak odbierali rozkazy od przełożonych i ginęli znów w czeluściach korytarzy. Mówiono cicho, poruszano papierami dyskretnie. Brzęczały tylko ostrogi.

Wszystko zdawało się tonąć w jakiejś jasnej rozpylonej mgle, która, do sufitu bijąc, przybierała złote i przezroczyste tony.

Wreszcie Hordyj wszedł do kancelarji. Na peronie zaczęto się gotować do odjazdu. Dawały się słyszeć dzwonki, sygnały.

Hordyj w narzuconym szynelu do Klickiego podszedł.

— No... choć przykro wypraszać — wyrzekł — ale komu w drogę, temu czas...

Klicki powstał.

— A może pan nie chce jechać? Może pan wraca do Krakowa? — zapytał go nagle Hordyj.

— Nie... namyśliłem się... jadę!... — odbił Klicki. Teraz aż drżał cały na myśl, że wrócić miał do Krakowa.

— Pięknie!... Jegorow, *bieri czemodan!*

— Ja sam poniosę...

— Cóż znowu, nie pozwolę.

Jegorow walizkę pochwycił. Klicki palto nałożył i pośpiesznie się z Hordym żegnać zaczął.

— Serdecznie jestem panu kapitanowi wdzięczny.

— Och proszę... bagatelka.

Klicki na peron wyszedł.

Już wsiadali do wagonów oświetlonych jasno i dzwoniących łańcuchami. Przy jednym z wagonów stał Jegorow z walizką.

— *Wtaroj kłas?* — zapytał.

— Tak!

Do osobnego przedziału wniósł walizkę i stał we drzwiach, jakby na coś czekając. Zaraz zwalili się grzmiący butami i ostrogami inni żandarmi. Podano ze zwykłym ceremonjałem Klickiemu paszport. Gdy ten świstek papieru znalazł się w rękach Władysława, ten odetchnął zupełnie. Rad, szukał

drobnych pieniędzy, aby dać Jegorowowi na czaj.

— Jadę! jadę! — aż biło triumfalnie w jego skroniach.

Znalazł wreszcie pianiądze i, obdarzywszy żandarma, przyrządzał sobie legowisko. Jegorow bardzo grzecznie dopomagał mu, ścierając poduszki opylone, wyciągając materac.

— Już idźcie... bo jeszcze pociąg ruszy! — wyrzekł Władysław.

Lecz Jegorow ogromnie był zajęty zepsutą maszynerją przy rolecie osłaniającej szybę od okna.

Klicki chciał mu dopomódz i zbliżył się także do okna.

W tej chwili spostrzegł, iż na peronie zupełnie już ogołoconym z pasażerów stoi Hordyj w towarzystwie jakiegoś wysokiego żandarma oficera i wydaje jakieś rozkazy dwom żandarmom, wskazując na wagon zajmowany przez Klickiego. Ponieważ był to wagon pusty i jedynie tylko Władysław nim jechał — dreszcz przeszedł Klickiego. Instynktem wiedziony, rzucił się ku walizce. Natknął się na Jegorowa.

— Idźcie stąd!... — wymówił gorączkowo.

Równocześnie szukał w kieszeniach noża składanego, który wziął na wypadek, aby rozciąć w razie potrzeby podwójne dno kufra.

Lecz już wagon zakołysał się i znów zagrzmiały ostrogi i buty. Władysław wcisnął się w kąt wagonu. Dech mu zamarł w pier-

siach. Do przedziału wszedł podoficer żandarmski. Za nim wypełniły wąski kurytarzyk szynele i kołpaki żołnierzy.

— *Izwoltie wyjti!* — wyrzekł podoficer niskim bezdźwięcznym głosem.

— Ja?...

— *Da. Izwoltie wyjti!*

Rękę wyciągnął i walizkę szybko chwycił. Władysław się rzucił.

— Nie ruszać! to moje!

Lecz już walizki w przedziale nie było. Podana z rąk do rąk niesiona była do kancelarji.

Klickiemu się zdało, że pod nim rozstępuje się ziemia. Cisnęły się ku niemu jakieś nieokreślone olbrzymie postacie, które na nim kamienne swe ręce kładły i pierścieniem cielsk stopy mu wiązały.

— Wiedzą... pojmali...

Spojrzał w prawo, w lewo, tym ostatnim ruchem trapionego beznadziejnie zwierza.

I nic... nic...

Przed nim ciasna przestrzeń, wypełniona w mglistem świetle szarością siermięg, linijkami skręconych kit u kołpaków...

Niby to nic — a to wali się na jednego człowieka cała moc zorganizowana, cały system.

I znikąd wyjścia.

To „znikąd" doprowadza właśnie Klickiego do przytomności. Czuje, iż nie może się bronić — lecz musi z godnością przynajmniej znieść przemoc.

W jednej chwili cała ta godność wytryska mu z głębin ducha, jakby woń z kwiata. Na twarzy jego maluje się uspokojenie. Blednie, lecz drżeć przestaje. Usuwa ręką podoficera.

. . . . . .

Wychodzi na peron otoczony żandarmami. Znajduje się ich coraz więcej. Wyrastają jakby z pod kół pociągu. I jak na dany znak pociąg szczęka łańcuchami, rozlega się gwizd. Z okien wagonu wyzierają strwożone twarze.

— Aresztowali kogoś... aresztowali!...

Pociąg w dal ucieka, ścieląc za sobą wstęgę pary, która rozwłóczy się po bezlistnych krzakach bzu.

Klicki kieruje się sam ku kancelarji. Wie już, że tam na niego czekają. Śpieszy się nawet — radby już stanąć *im* prosto w oczy i wziąć na barki część *swoją*.

W kancelarji na biurku otwarta już walizka. Z jaką nadzwyczajną szybkością sprawił się ślusarz, mający w tem olbrzymią wprawę. Nic dziwnego! Walizka była uboga, tania, zameczek przytwierdzony czterema gwoździkami. I oto leży roztwarta. Z niej wysypują się koszula, skarpetki, chustki, ubrania. Jakaś jasna krawatka długim wężem wije się po czerni podszewek...

Przy walizce z ręką zanurzoną w jej wnętrze stoi słuszny, chudy oficer. Przy nim Hordyj. Nieco dalej ślusarz zbiera swe rozrzucone po ziemi narzędzia. Klicki w jednej

chwili obejmuje okiem sytuację. Zimna krew nietylko go nie opuszcza, ale przeciwnie potęguje się. Ze zmarszczonemi brwiami i zaciętemi ustami spogląda na oficerów. Ten drugi wydaje mu się twarzą znaną. Mundur wprawdzie zmienił go trochę, lecz wyraz twarzy, rysy, spojrzenie jest to samo.

— Ależ to ten, który mi się przedstawił jako Montwiłł — myślał Klicki.

I w tej chwili spostrzega, że wpadł w pułapkę zastawioną nań podwójnie, przez żandarmerję i Tagiejewa.

— Proszę, niech pan siada — przemawia doń Hordyj tym samym uprzejmym tonem, tylko bez uśmieszku. — Ot... w ostatniej chwili wypadło nam poprosić, aby pan, przejechawszy granicę, już dalej nie jechał. Mamy z panem do pomówienia.

Klicki nie odpowiada nic. Postanawia milczeć. Hordyj obrzuca go spojrzeniem pełnem chłodu i wskazuje mu znów krzesło.

— Niech pan siądzie... My się tu bez pana rozporządzili *czemodanem*. Tak my musieli zrobić... Czy pan za to, co jest *w czemodanie*, odpowiada? Czy to z wiedzą pańską wszystko się w nim znajduje, co jest tu zawarte?

Klicki milczy.

Wysoki oficer skinął ręką.

— Zostawcie... Pan nie chce odpowiadać. Mniejsza.

Ton głosu utwierdził Kiickiego w poprzedniem mniemaniu.

— To Montwiłł! — myślał z uporem.

I to jedno teraz głównie uczepiło się jego myśli. Rad był nawet temu, dozwoliło mu to nie denerwować się głównemi pytaniami i zbywać je milczeniem. Lękał się bowiem, że powie coś, czego żałować będzie i czem sobie zaszkodzi.

Szybko przewrócił Aksakow walizkę, wysypał z niej rzeczy na ziemię i na Jegorowa skinął.

Ten z ogromną wprawą nożem cienkim wyjętym z kieszeni odkrajał tekturę i płótno, stanowiące cieniuchne dno podwójne. Aksakow ręce zanurzył jakby w ożywcze fale i umiejętnie poukładane papiery wybierać zaczął.

— Pan widzi, co my *naszli*? — zapytał Hordyj.

Chwilę mignęło przed umysłem Klickiego wypierać się wszystkiego. Lecz ogarnęła go duma. Jak żak zapierać się szkolnej winy? Nie. To jedno tylko postanowił: nie mówić, dla kogo to było przeznaczone.

— To pana?...

— *Moje*.

— A dla kogo pan to wiózł?... ha?...

— Dla siebie.

— No... pan daruje, my w to wierzyć nie będziemy.

Hordyj i Aksakow zamienili spojrzenia.

— Bo... ostatecznie, cel nasz osiągnięty—

zaczął dalej Hordyj — skoro jeszcze będziemy wiedzieli, dla kogo te książki były przeznaczone, to może będzie pan mógł jechać z powrotem do Krakowa.

Klicki czuł, że ci ludzie jeśli nie wiedzą z pewnością, to muszą coś odgadywać, należało więc milczeć, zbywać ich pogardliwem milczeniem.

— Więc pan nic nie powie nawet po przyjaźni? ha... to *żałko* — ale...

Hordyj ręce rozłożył. U jego stóp Jegorow rzeczy Klickiego w jakąś szmatę płócienną wiązał i do walizki pakował.

Aksakow ukończył swoją czynność i prosto w oczy Klickiemu spojrzał.

— No... tak ja pana poproszę do siebie w gości! — wymówił powoli, oglądając sobie paznogcie.

Klicki stał niewzruszony.

— Może pan tam w gubernji co powie... A teraz proszę...

Ręką wskazał na Jegorowa.

Ten wyprostował się i przy boku Klickiego stanął.

— Pan pójdzie za tym żandarmem.

Klicki bez słowa odwrócił się i w ślad za Jegorowem, odchodzącym w głąb stacyjnych ubikacji iść zaczął. Przy drzwiach przyłączyli się do nich jeszcze dwaj żandarmi. Ci odebrali z kieszeni Klickiego rewolwer, nożyk i, zanim się opatrzył, ściągnęli mu szelki. Jeden zaczął się dobierać do podwiązek, w chwaleb-

nej gorliwości pozbawienia Klickiego narzędzi samobójczych, lecz Klicki odtrącił go gwałtownie.

— Poszli precz!... czego chcecie?

Działo się to na malutkim kurytarzyku, oświetlonym małą lampeczką i zakończonym silnie okutemi drzwiami z okienkiem.

Klicki natychmiast zrozumiał, że jest to więzienie i że tam będzie zamknięty. Choć wiedział, że to chwilowe i że przewiozą go z granicy gdzieś dalej, doznał takiego uczucia, jakby zimne gady prześlizgały się wzdłuż jego żył.

I gdy te drzwiczki Jegorow otworzył, i Klicki całą siłą woli przez nie przeszedł, to o mało z jego piersi nie wydarł się taki sam krzyk, jakim Jania pożegnała swoją młodość, słońce i poczucie swobody człowieka.

Tylko Klicki zdołał ten krzyk cofnąć w głąb swej duszy i ona tylko milczeniem tragicznem zaprotestowała na ten głuchy, ciężki dźwięk zamykających się drzwi.

. . . . . .

W kancelarji pozostali Hordyj i Aksakow.

Ten ostatni ogromnie skrupulatnie i starannie papiery znalezione w walizce w swoją teczkę skórzaną układał.

— Gdzie ten *prachwost*! Tagiejew skrył się? — zapytał wreszcie Hordyj — Moi ludzie wynaleźć go nie mogą.

— Czort z nim! — rzucił Aksakow —

trzeba go było widzieć, jak się nadymał dziś w gubernji, jak pchła na igle, kiedy tę dziewczynkę przywiózł. Tak przed naczelnikiem się piął, a to — niema politycznego dozoru, więc on musi... Naczelnik śmiał się z niego do nas. Jasne, że ten transport Klickiego chciał nam on sprzątnąć z przed nosa... *Wot i finfa!...*

Roześmieli się. Zapalili papierosy. Hordyj rzucił się na sofę i wyciągnął się na niej.

— Jakoś on ścierwo policyjne przewąchał jazdę Klickiego — wyrzekł — może się panienka ta przed nim wygadała. To zdaje się już narzeczona Klickiego.

— Zdaje się. Przywiózł ją taką strwożoną, że była na pół przytomna. My z niej nic nie wydobyli.

Hordyj ziewnął.

— Spać się chce! — wyrzekł — kiedy jedziecie?

— Ha no... rannym — inny nie odchodzi.

— Tak wy się tu przedrzymcie. Ja pójdę do siebie.

Aksakow usiadł na fotelu.

— Zostańcie tu. Ja spać nie będę.

— Jak chcecie.

Hordyj zaczął drzemać. Aksakow milczał i papierosy jeden po drugim palił.

Białe kółka płynęły i rozsnuwały się w powietrzu.

Na dworze zapadła dziwna noc, napozór ciemna a przecież tak przejrzysta, że dostrzedz

można było niemal każdą gałązkę bzu, w której pracowała wiosna...

Białe kółka dymu płynęły i nieśmiało docierały do okna, rozbijały się o szyby i gasły jakby mary, duchy drobne, pragnące wydostać się w tajemnicy w czar wiosennej mazowieckiej nocy.

X

PRZYJAZD HORSKIEGO. ROZBICIE SKLEPU. JÓZIA. ZŁODZIEJSTWA W DZIEŃ BIAŁY. U MNIE ŻAŁOBA.

Od dworca już gnał Horski dorożką, aby czemprędzej wpaść do domu, tak mu serce kołatało szalonem tętnem, takie dziwne uczucia szarpały nim całym. Szary ranek dziwny, zamroczony, przykry wstawał nad miasteczkiem. Leniwy, smutny świt, jakby nie chciał rozjaśnić nędzy, która się w tych murach ukrywać zdawała.

Horski, wsiadłszy do obdartej dorożki, poznał w woźnicy słynnego złodzieja Juljana Kosza o typowej twarzy urodzonego kryminalisty. Ten Kosz operował już całe lata, wciągając chłopów w grę w karty i oszukując ich bez litości. Miał zawsze przy sobie kilka talji znaczonych kart i w dnie targowe lokował się ze swoją dorożką w pobliżu chłopów, ściągających na targowisko z sąsiednich

wiosek. Towarzysze jego, których główny klub stanowiła jaskinia Frumele Leinbrama, poprzebierani odpowiednio, grali doskonale role chłopów zabłąkanych chwilowo na targ z jakąś okruszyną towaru lub przychodzących w celu zakupna żelaza lub nawet jakiego bydlęcia. Kosz wdawał się z nimi w rozmowę — poczem — ot dla zabicia czasu złaził z kozła i cała szajka rozpoczynała grę na stopniach dorożki. Otaczała ich wnet cała banda gapiących się chłopów i chłopek. Zdaleka już policjanci obserwowali to zbiegowisko, nie mieszając się wszakże do niego. Czasem tylko który z nich sprytniejszy i mający zdolności aktorkie, rozganiał niby całą bandę i napadał na Kosza. Ten składał się pokornie, a gdy policjant oddalał się, mamił znowu do siebie chłopów i swych towarzyszy. Zwykle z początku Kosz przegrywał. Chłopi wyśmiewali się z niego, a ten i ów zapalał się powoli. Wkrótce najpiękniejsza szulernia zakwitała na obłoconej ziemi targowicy. Twarze rozpalały się, oczy pobłyskiwały niezdrowo. Ulubioną produkcją Kosza była tak zwana „damoczka". Rzucał trzy kupki kart i kazał zgadywać, gdzie „damoczka". Umyślnie migał ku zwalonej mu na piersi prawie ciżbie, kierową damą, którą nadzwyczaj zręcznie w danej chwili wsuwał do rękawa.

Co chwila słychać było:

— No... no... gdzie damoczka?...

Pozwalał często wygrywać, aż nagle jak

zwierz na żer narzucał się na tych, którzy zdenerwowani cisnęli się, zczerniałemi brudnemi palcami wskazując na kupki kart.

— Tu! tu!...

Tu — piszczały baby — tu damoczka!

Lecz damoczki nie było. Pieniądze z węzełków, chust tłustych i cuchnących wpadały w kieszeń Kosza. Tłum gorączkował się coraz bardziej. Wszyscy chcieli się „odbić". Kosz godził się chętnie. Trwało to długą chwilę. Wreszcie tu i owdzie wyleciało słowo „szachraj". Tłum poruszał się gniewliwie. Twarze ciemniały od napływu krwi. Jakaś pięść podnosiła się do góry. Baby szemrały coraz głośniej.

— Psia mać... szachruje, żebym tak Boga doczekała przy skonaniu, szachruje...

Kosz orjentował się szybko w sytuacji. Towarzysze jego znikali, jakby wkopani w ziemię, a on sam objąwszy bystrem spojrzeniem tłum, pod pozorem większej wygody w graniu wyłaził na kozioł dorożki. Było to jakby hasłem. Policjanci, obserwujący zdaleka całą bandę, rzucali się i rozganiali, płazując po karkach chłopstwo.

— *Czto eto? igra?... ubirajtieś k'czortowoj matieri!...*

Jeden z nich, najczęściej Barłamow, czepiał się Kosza.

— *A ty mierzawiec... pajeżdżaj siejczas w czast'.*

Kosz płaczliwie zaczynał ręce składać.

— Panie stójkowy... Ja tak dla zabawy.

— Ja tobie dam zabawę... jedź do policji, tam się z tobą zabawią...

— Panie rewirowy...

— *Małczi, a to pa szei...*

I Barłamow rozpierał się w dorożce, a Kosz lamentując zacinał konia i odjeżdżał w stronę rezydencji Tagiejewa.

Za rogiem jednak kierunek jazdy się zmieniał. Najczęściej zajeżdżali do hotelu Izaaka Feinbube i tam, zamknąwszy się w miejscu ustępowem, dzielili się wygranemi pieniędzmi.

Na targu pozostawali chłopi, obłupieni i obici. Z podełba śledzili odjeżdżającą dorożkę. Czuli w tem całą komedję, co jednak nie przeszkadzało, gdy Kosz zjawił się na następny dzień targowy ze swoją dorożką, ciągnąć ku niemu jak słonki i nieść mu swe biedne, ciężko zapracowane pieniądze, któremi on dzielić się znów musiał z hydrą policyjną, wyciągającą daleko i szeroko swe ohydne macki, ssące krew i mienie ludzkie.

Horski jechał do domu i na kark Kosza patrzał. Wyjeżdżał bardzo rzadko z miasteczka i siedząc tak na miejscu, nie doznawał tego wrażenia czegoś potwornego i strasznego, co go otaczało. Przebywszy przez dni kilka w innej miejscowości, odczuł ogromnie silnie tę przygniatającą niewidzialną moc, tak ciążącą nad jego miastem. Oprócz tego wrażenia, jednak ściśle miejscowego, serce Horskiego odczuwało jeszcze coś więcej. Ta noc groź-

na i niezwalczona, to była jakby straszna, gniotąca wszystko chmura, która rozciągnęła się całunem nietylko nad miastem, ale nad krajem całym. I dlatego Horski miał wrażenie jakieś beznadziejne, rozpaczliwe. Nie widział punktu, w którym możnaby odetchnąć szerzej i swobodniej.

Wszędzie, gdzie tylko dusza jego mogła wybiedz, ucisk straszny, tragiczny ucisk. Pomyślał chwilę o proteście, który podpisano dni kilka temu u niego i który miał jeszcze przy sobie.

— Do kogo podać ten protest? do kogo? do tych, którzy także gnębią i cisną, żalić się będziemy na innych cisnących? Jakąż znajdziemy sprawiedliwość! Dla konwenansu coś może zrobią... a co poza tem? co?...

Z kozła Kosz rzucał na Horskiego ukośne wejrzenie. Całe miasteczko wiedziało o aresztowaniu panny Horskiej i o rewizji w domu kupca. Co więcej, Kosz był właśnie tym, który odwoził na kolej Tagiejewa i Janię. Kosz nienawidził Horskiego, który mu kiedyś nawymyślał od złodziejów, nie zważając na fawory policyjne. Kosz, wioząc tak Horskiego, cieszył się z tego, co kupiec w domu zastanie. Nawet, gdy Horski przynaglał go do pośpiechu, odwrócił się i wyrzekł drwiąco:

— Ojej... jeszcze pan na cas trafi, aby o wszystkiem się dowiedzieć.

Horski uczuł jakby silne uderzenie w piersi. Zamilkł jednak,lękając się dowiedzieć z ust

tego człowieka o czemś bardzo bolesnem i bliskiem, co na niego spadnie. Gdy wjechał na rynek, podniósł się aż w dorożce, aby dojrzeć swój dom. Sklep był jeszcze zamknięty. Nie było w tem nic dziwnego. Wszystkie sklepy były jeszcze pozamykane. Lecz przed bramą Horski dostrzegł stojącą i owiniętą w chustkę Józię. Ta, gdy dostrzegła dorożkę, porwała się z miejsca i biedz ku niej zaczęła.

Spotkali się prawie na środku rynku.

— Co... co się stało?... — krzyknął Horski, widząc zmienioną twarz dziewczyny, jej oczy opuchłe od płaczu i siny kolor cery.

Józia wybuchnęła płaczem.

— Jezus Marja... proszę pana...

Kosz zatrzymał dorożkę. Horski pochylił się nad sługą.

— Gadaj... co?... co?...

— Panienka... panicz...

— Co?...

Lecz ona tylko łkała i obejmowała mu nogi. Horski odtrącił ją, wyskoczył z dorożki i biedz jak szalony w stronę domu zaczął. Kapelusz mu spadł z głowy, on biegł siny, straszny, zmieniony. Za nim dążyła Józia. Kosz, widząc, że zapomniano o walizce ulokowanej na koźle, zaciął konia i popędził ku domowi znanego pasera, aby tam walizkę do czasu przechować.

Horski przebiegł bramę i wpadł do mieszkania. Już od przedpokoju powiało nań pustką i grozą. Przytem wszędzie wyzierały

ślady pośpiesznego odjazdu i rewizji. Horda tędy przeszła, horda, która miała prawo wedrzeć się wszędzie, nawet do wnętrza domu rodzinnego, który zdawał się być dla każdego — świętością.

Horski wbiegł do pokoju Jani.

Pustka.

Białe łóżeczko rozrzucone — wydarte z szafy sukienki walają się po podłodze. Do pieca przysunięte krzesło, na komodzie porozrzucane cacka i drobiazgi. Śliczna lalka w różowej sukience i kapeluszu, pamiątka jeszcze z dziecinnych lat Jani i przez nią w szczególnej opiece przechowywana, leżała na dywanie, mając nóżki odziane w czarne skarpetki, zdruzgotane jakimś ciężkim butem. Horski bez słowa, bez krzyku wybiegł z pokoju Jani i udał się do pokoju Kazia. I tu zastał podobny nieład i pustkę. Szary świt bił z okien smutną strugą. Drzwi otwarte zdawały się być rozwartemi wrotami grobowca...

Horski cofnął się do wnętrza mieszkania i już nie szukał. Zrozumiał, że mu ktoś wydarł dzieci. Ale kto?

Pot mu okrył czoło. Upadł na fotel i zakrwawione źrenice podniósł od ziemi.

W progu stała... Józia.

Dziewczyna chwilę zdawała się namyślać i walczyć ze sobą. Na schodach porwał ją lęk i chęć ucieczki. Lecz pokonała siebie samą. Wszystko, co było podłotą i tchórzo-

stwem, pleniła teraz ze swej duszy z szaloną szybkością. Nie znając słowa *ekspiacja*, wypełniła ją w pełni. I teraz przywlokła się za Horskim drżąca i blada. Była jeszcze za słaba i była przedewszystkiem kobietą. Nie umiała silnie stanąć wobec cudzego nieszczęścia. Łzy drugich oczu bolały ją więcej, niż jej własne łzy.

Zrozumiała nieme pytanie źrenic Horskiego.

Czuła, iż odpowiedzieć musi.

— Panienki niema — zaczęła głucho.

— ! ! !

— Aresztowali!

Horski próbował podnieść się z fotela, lecz sił mu nie starczyło.

— Aresztowali — łkała Józia. — Sam Tagiejew... panienka dla pustoty przebrała się w panicza ubranie i wyszła na ulicę. Powlekli do kancelarji, rozebrali a potem .. wywieźli.

— Jezus Marja!

Była chwila, iż zdawało się, że Horski pod tym ciosem zginie. Lecz *ojciec* zwyciężył i dodał sił człowiekowi.

— Wywieźli? dokąd?...

— Nie wiem, nie wiem... Sam Tagiejew powrócił, to się tylko mogłam dowiedzieć.

Nastała chwila milczenia. Horski zdawał się zbierać myśli, chcieć wniknąć w sytuację. Nagle porwał się z krzykiem:

— A... Kazio?...

Józia otarła łzy.

— Panicza ja uratowałam. Panicz uciekł przed rewizją...

— Gdzie?...

— Pewnie już przeszedł granicę. Już tak się dobrze złożyło...

— Kto mu dał pieniądze?

— Ja!...

— Ty... dziękuję, dziękuję...

Upadł znów na fotel. Dusił się. Józia podała mu wody — natarła skronie. Płakała cicho cała wzruszona i przejęta tem podziękowaniem, w którem była cała dusza tak bardzo zdręczonego ojca. Pochyliła się i ucałowała ręce Horskiego.

— Niech się pan uspokoi. Oni przecież wypuszczą panienkę. Trzeba się zaraz zacząć starać... To ten pies Tagiejew to zrobił... On się mści na panu za to, że się u pana kupcy zmówili na tę skargę.

— Skąd on o tem wie?...

Józia zmieszała się strasznie. Lecz tak wielką była jej egzaltacja w tej chwili, iż nie umiała zapanować nad swemi nerwami.

Upadła na kolana u nóg Horskiego.

— Niech mnie pan zabije!... — krzyczała.

— Ciebie? za co!...

— Bo ja byłam szpiegiem — ja donosiłam — ja do policji chodziłam!... ja!

— Co? co?

— Ja! — oni mnie zmusili. Najprzód Markowskij, bo mi zatrzymał paszport, a potem Tagiejew. On mnie straszył czarną książką... och!

Aż usunęła się na ziemię i wiła się cała w spazmatycznym krzyku,

— Ale... — zaczęła znów — ja żałuję! ja strasznie żałuję. Matka Boska wie, jak ja płaczę. Ja panicza ostrzegłam, ja mu oddałam wszystkie moje pieniądze... Markowskij przeczekał i Tagiejew zapóźno się dowie, że panicz uciekł. Tak mi Boże dopomóż...

Czepiła się poły palta Horskiego.

— A teraz niech mnie pan zabije, skopie jak psa, włosy wydrze. Ja więcej nie warta.

Głową uderzyła o ziemię i pozostała tak, czekając, ażeby Horski rozgniótł jej caszkę butem. Lecz nic podobnego się nie stało. Horski milczał długo. Gorące łzy spadały mu po twarzy. Nie ocierał ich. Biegły sznurkiem pereł i spadały na odzież. W jednej godzinie człowiek ten zdawał się przeżywać resztę swego życia. Wreszcie ocknął się — spojrzał na szlochającą u jego stóp dziewczynę i dotknął drżącą ręką jej ramienia.

— Wstań!

— Och!... wielmożny panie!...

— Wstań, mówię ci. Nie pamiętam ci nic, tylko to, żeś mi ocaliła chociaż jedno dziecko.

— Och!... żeby nie ja podła...

— Ty jesteś tylko narzędziem ślepem, głupiem narzędziem.

Józia podniosła głowę. Z poza łez spojrzała na Horskiego. Wydał się jej jakby za mgłą biedny, nędzny, straszny...

— Pan mi przebacza?...

Chciała go pochwycić za rękę. Usunął ją. Przejęła ją nagła rozpacz. Uczuła, że jest gadziną, której się nie zabija, ale i nią się brzydzi. Porwała się z ziemi.

— Ja sobie pójdę! — wybełkotała.

Nie wstrzymywał jej. Zrobił to, co mu nakazywało sumienie. Wina jej zmazaną była wielką przysługą, jaką wyświadczyła. Lecz widział w niej zdradę i nie mógł się zdobyć, aby zatrzeć w sobie uczucie odrazy.

Tylko, gdy już była przy drzwiach, zapytał szybko:

— Ile dałaś paniczowi?

Józię oblał gorący rumieniec.

— Nie, nie... nie wiem! — bełkotała.

— Przed chwilą mówiłaś.

— Tak, tak... ale teraz...

Urwała i ryknęła strasznym szlochem.

— Niech mi pan choć to pozwoli dobrego zrobić... choć to... może mi Pan Bóg przebaczy moje grzechy!

Ręce wyciągała i była taka tragiczna, taka *szczera* w tej prośbie, że Horski głową skinął.

— Niech tak będzie... ale ty mi donieś zawsze, gdzie będziesz, ażebym mógł chociaż później...

— Dobrze, dobrze...

Tłumiąc łzy, Józia wypadła do sieni. Spotkała się w nich z kucharką, która strwożona biegła z bramy na górę.

— Piwnicę rozbili... wino pokradli!

— Idźcie do pana. Już przyjechał.

Józia zbiegła ze schodów i biedz w stronę policji zaczęła.

— Niech mi ścierwa oddadzą paszport, a nie, to ich pozabijam. Muszą mnie puścić, muszą...

Przeleciała jak wicher koło jakiegoś sklepiku, z którego wydobywał się wrzask kobiecy.

— Rozbój!... złodziej!...

Drzwi sklepiku otworzyły się gwałtownie, na ulicę wypadł dwudziestoletni obdartus, unoszący kobiałkę drucianą, w której kupcy zwykli trzymać pieniądze. Nie taił się ze swą kradzieżą, jawnie i otwarcie, biegnąc, zsypywał pieniądze z kobiałki do kieszeni spodni. Na rogu ulicy dojrzeć można było uciekającego w przeciwną stronę policjanta, który nagle zczezł, jakby się w ziemię zapadł. Nieliczni jeszcze przechodnie uchodzili także śpiesznie, wytresowani, nauczeni nie mieszać się nigdy do spraw, w które wchodzili złodzieje. Obdartus przeleciał mimo Józi — dał jej w bok porządną sójkę, za co dziewczyna zwymyślała go wrzaskliwie. On odwrócił się i plunął jej w oczy, poczem z gwizdem i śmiechem poleciał dalej.

W drzwiach sklepiku ukazała się zakrwawiona i wrzeszcząca żydówka. Trzymała się drzwi, widocznie ugodzona silnie przez złodzieja, aby jej uniemożliwić pościg.

— Łapajcie... rabuś... zabił...

Wreszcie z jękiem zwaliła się na progu, cisnąc skrwawioną twarz do kamieni brukowych...

Józia pędziła dalej, powtarzając ciągle:

— Muszą oddać paszport, ścierwa!... muszą!...

. . . . . .

— Proszę pana, piwnicę okradli!

Lecz Horski przygasłym wzrokiem spojrzał na mówiącą.

— Co?

— Piwnicę okradli. Poprostu weszli do bramy, otworzyli, połamali skoble i powynosili.

— Kiedy?

— Dziś w nocy...

— Gdzie był Jan?

— Stróż? A gdzież? aresztowali.

— Za co?

— A to proszę pana on chodził na kolej z paczkami ze sklepu i podpatrzył, jak tam złodzieje z wagonów skóry co powiązane dla Gwozdeckiego niby rymarza przyszły — kradli. Tak on, głupi, idzie do Barłamowa i mówi: ja wam powiem, kto skóry kradł, bo widziałem. A Barłamow jego w pysk i mówi: „czego się suniesz w nie swoje dzieło?“ — i po-

lecił pewnie, aby ostrzedz złodziei. Jak Jan wrócił z kolei i nam to opowiedział, tak my z niego w śmiech: ty durny, co ty idziesz do złodzieja na złodzieja skarżyć! A Jan nie wiedział, bo on niedawno do miasteczka nastał. Tak się z niego śmiejemy. Aż tu przychodzi Siemipudow i dwóch innych policjantów i biorą Jana do aresztu — przed samym wieczorem. Janowa w krzyk... a w nocy złodzieje bramę otworzyli i z piwnicy, strach co wynieśli...

Urwała, bo Horski widocznie nie słuchał nawet jej opowiadania. Co go obchodzić mogły skradzione wina, wtedy, gdy dzieci jego wydarto mu i rzucono na straszną dolę. Jania w ręku policji — Kazio na tułaczce!... kto wie, może zastrzelony w chwili przekradania się przez granicę, lub może w ręku żandarmerji. Ach! cały jego dobytek mogła roznieść szajka Tagiejewa i podzielić pomiędzy sobą jak głodne hieny dzielą padlinę, którą dopadną na piasku.

Gdzie były jego dzieci?... jego biedne dzieci!...

Skinieniem ręki odprawił stróżową. Machinalnie wziął kapelusz i zeszedł na korytarz, prowadzący do piwnicy. Lecz — zaraz się zawrócił i wyszedł na ulicę. Spotkał starego subjekta, który szedł powiadomiony o kradzieży.

— Nie otwierać dziś sklepu! — wyrzekł Horski przygasłym głosem.

— Nie otwierać?... Ależ zapasy, które mamy w sklepie jeszcze na długo wystarczą.

— Nie otwierać! — powtórzył, nie patrząc na niego.

I, odchodząc w stronę policyjnego gmachu, dodał:

— Dziś u mnie *żałoba*.

XI

JÓZIA ZBUNTOWANA. POMIĘDZY DZIKIEMI ZWIERZĘTAMI. TWARZ W TWARZ. NA POKUTĘ DO MAMUSI.

Jak wicher wpadła Józia na schody policyjne. Pomimo wczesnego ranku już snuły się tu i owdzie postacie podejrzane, policjanci i migała postać Joseła Pinkasa. Smuga smrodu wlokła się za nim i znaczyła jego przejście. Józia pchnęła go i szarpnęła drzwiami kancelarji.

Pinkas upadł na ścianę i zaczął krzyczeć z wściekłością:

— Co się panna tak ciśnie?

Józia odwróciła się i rzuciła mu niezrównanym głosem:

— Chcesz w mordę?

Pinkas zeskoczył ku schodom i zsunął się z nich jakby na linewce.

W kancelarji stójkowy robił „porządek". Dolewał właśnie oliwy do lampeczki ćmiącej się przed ikoną.

— Gdzie Markowskij? — spytała Józia.

— *U siebie, spit. Wy pa dielu?*

Józia mu już nie odpowiedziała. Cofnęła się do sieni i zaczęła się namyślać. — Nie chciała widzieć się sam na sam z Markowskim. Wiedziała, że to ją do niczego nie doprowadzi. Chciała jakimś ogromnym skandalem nastraszyć Tagiejewa i zarazem Markowskiego. Jak to miała uczynić, nie wiedziała sama. Lecz rozpacz targała nią całą. Chciała za jakąbądź cenę wydostać się ze szponów Tagiejewa i powrócić do Warszawy.

— Będę porządną — myślała — będę porządną, uczciwą — nie będę nawet u Matolkowskiej. Pójdę do szycia jak dawniej, jak przedtem, tylko niech mnie te ścierwa puszczą.

I nagle cisnęła się ku drzwiom Tagiejewa, pochwyciła dzwonek i z całej siły dzwonić zaczęła.

— Otworzyć! otworzyć! — krzyczała, bijąc pięścią i kolanem we drzwi.

. . . . . .

Jakby kto szarpnął go za włosy tak porwał się Tagiejew z posłania. Powrócił już z nad granicy od dwóch dni, a krył się po za zapuszczonemi storami jak dziki zwierz, nie wiedząc sam, co począć ze sobą. Coraz więcej doznawał wrażenia, że mu zdarto dach z nad głowy. Porażka, jaką doznał na granicy, przejmowała go rozpaczliwą wściekłością.

Tyle budował na ujęcie propagandy, wiezionej przez Klickiego, iż drżał teraz na myśl, że mając ją w rękach, wypuścił ją tak niebacznie. Klął siebie, żandarmów, los, okoliczności. Klął od rana do wieczora, znajdując w tem pewną ulgę. Kopał krzesła, stoły, a skrzypce swoje poharatał o marmur umywalni. Nic mu to jednak nie pomogło w rozjaśnieniu sytuacji. Kazio uciekł! Klicki wymknął mu się z rąk, wpadł w ręce żandarmerji i teraz, mszcząc się, wyśpiewa dużo o nim, o Tagiejewie, gdy będzie badany. Żandarmi z niego to wydrzeć potrafią...

Tagiejew chciał jechać do gubernji i list ów znaleziony w kieszeni szynela Kazia do dokumentów złożyć. Lecz wahał się. W głowie miał zamęt. Pomyślał, że ten list może mu posłużyć w jakiej ważnej chwili. Postanowił już nie jawić się sam, ale czekać w sprawie Jani wezwania.

Zdawało mu się, że tak będzie o wiele polityczniej i taktowniej.

Całe noce jednak nie spał i wyczekiwał jakiegoś „faktu", czegoś, co się stanie, czegoś bardzo ważnego i stanowczego. Był podniecony i zgorączkowany. Pił naturalnie więcej niż zwykle, a pragnąc się ogłuszyć, próbował względami swemi obdarzyć... Katiuszę.

Lecz *ziemliaczka* Siemipudowa musiała mieć jakieś projekty i stałe postanowienia, ugruntowane na cnotliwości chwilowej, bo

z furją źle ukrytą odtrąciła umizgi, dość zresztą wyniosłe, policmajstra.

— *Wy s uma saszli? Da adstańtie, a nie... to ujdu procz na ulicu...*

Tagiejew, stojący niepewnie ze świecą w ręku we drzwiach kuchni, zaczął złorzeczyć brzydko matce Katiuszy i powlókł się do spalni.

Przez chwilę myślał posłać po Joseła, ale zmroziła go myśl wtajemniczania muzykanta w swoje upadki duchowe i moralne.

Gdy Józia szarpnęła dzwonkiem, Tagiejew porwał się z łóżka.

— *Czto eto?* — szepnął sam do siebie, wytrzeszczając oczy.

Rzeczywiście nikt nie ośmielał się dzwonić do frontowych drzwi, zwłaszcza, gdy były spuszczone rolety, i to dzwonić tak gwałtownie.

Dzwonek powtórnie zaklekotał i uderzenia we drzwi stawały się coraz silniejsze.

— Katiusza!... — zaryczał Tagiejew — *pasmatri, skatina, czto eto za swołocz u dwierej!*

Katiuszka przeleciała przez pokój, wznosząc ręce do nieba.

— *Batiuszki!* — wołała — *czto eto za nahał?!*

Tagiejew porwał się i wciągnął spodnie. Katiuszka drzwi otwierała, i zaraz w przedpokoju rozległ się wrzask i kłótnia. Katiuszka broniła wstępu, jakiś głos kobiecy lżył ją i zbliżał się do jadalni.

— *Czto eto?*

Katiuszka już w jadalni biła się z Józią.

— *Eto wot ta mierzawka priamo k' wam w spalniu leziet!...* — krzyczała kucharka.

Tagiejew poznał Józię. Natychmiast pomyślał, że przychodzi z nowym donosem.

— *Katiuszka... astaw!* — wrzasnął na kucharkę.

Ostro posunął się do Józi.

— Ty czego tak rano i paradnym wchodem?... Ty nie wiesz, gdzie czarny wchód dla służby?

Józia przygładzała drżącą ręką rozburzone włosy. Brudna była; rozmazane łzy smugami jej po twarzy spływały.

— Ja nie wasza sługa — odparła hardo.

— *Nu?*

— Tak!

Zmierzyli się oczami.

Tagiejew coś niedobrego dla siebie wyczytał w czarnych oczach dziewczyny, bo szybko zwrócił się do kucharki.

— *Ty won!* — zakomenderował krótko.

Katiusza wyszła, człapiąc pantoflami.

— *Nu, wot dieła!* — mruknęła przez zęby, doprowadzając do porządku przekręconą na bakier chustkę.

Tagiejew pozostał z Józią oko w oko.

Story w jadalni były już podniesione i szary ranek wlewał się bogato przez szyby, przysłonięte do połowy koronkowemi firankami.

— Ty czego?... co się dowiedziałaś?... gadaj!

Józia gwizdnęła przez zęby.

— Zaraz ci... — wyrzekła z całą rozpaczliwą zuchwałością — zaraz ci będę znów donosić... a jakże... Gryźnijcie się przez plecy w piętę... Ja tu poco innego... Wypuśćcie mnie stąd!... oddajcie mi mój paszport i wypuśćcie!... a nie, to...

Tagiejew oczy przymrużył, ściągnął twarz i głowę charakterystycznym swoim ruchem przekrzywił.

— To co, *miłusza*?... co? — syknął.

Józia wbiła w niego szaloną nienawiścią tchnące oczy. Widoczne było, iż rozdrażnienie jej doszło do takiego szczytu, iż nikt nie jest w stanie jej powstrzymać, ani nic nie może być zbyt silną zaporą, aby położyć tamę wylewowi jej żalu.

— Bo jak Boga ukrzyżowanego kocham! wszystkich was pozabijam! — niech mnie tak szlak trafi!...

Była straszna, tragiczna i w tragiźmie tym niezwykle piękna.

— Po-za-bi-jam!

Tagiejew skurczył się, przyczaił jak kot, który lada chwila rzuci się na zwierzynę.

— No... no... — wycedził przez wykrzywione usta.

— Oczy pazurami wydrę... języki powyrywam... włosy ze łba zedrę... — krzyczała Józia, ogarnięta szałem, bijąc z całych sił pierś

własną kułakami i drąc odzież — skopię ścierwa — cholery — dranie — tatary — zbóje — mochy!...

Brakowało jej głosu, piana pojawiła się jej na ustach.

— Ty ze mnie szpicla zrobił! ty sam szpicel, policjant... pies... pies wściekły... herszt złodziei!

Nie mogła dokończyć.

Tagiejew porwał ją za gardło i jednym zamachem na ziemię rzucił.

— *Małczi, skatina!...*

Upadek ten ogłuszył ją. Lecz prędko przyszła do siebie. Uderzenie nogi w lewą pierś, następnie w brzuch, pozbawiło ją tchu, lecz z całej siły bronić się zaczęła.

— Złodziej!... — krzyczała, — szpiclem mi kazał być!... duszę gubić! ludzi gubić!... a żebyś nie skonał spokojnie... a żebyś...

Zdołała się wydostać z pod kopiącej ją nogi i odgraniczyła się od Tagiejewa stołem jadalnym. Uczuła, że straciła grunt, że popełniła krok niedyplomatyczny, że teraz Tagiejew pomści na niej srogo wypowiedziane obelgi. Lecz była tak zrozpaczona, że nic jej od dalszego zionięcia swą nienawiścią już powstrzymać nie mogło.

— Wytrzeszczaj, wytrzeszczaj twe przeklęte ślepia!... — krzyczała znowu — patrzaj na mnie dobrze. Ty mnie szpiclem zrobił, a ja się na was pomściłam. Ja ci z pod nosa Kazia Horskiego sprzątnęłam... Fiu... pojechał...

szukajcie go teraz... on już pewnie za granicą... ścierwa!... ścierwa!...

Teraz twarz Tagiejewa stała się straszną. Posiniał cały i zadławił się własną śliną. Obejrzał się dokoła, jakby szukał czegoś, rozerwał na piersiach koszulę i bić nogami w ziemię zaczął.

Józia nie przycichała.

— Ja! ja to zrobiłam! A teraz polecę nawet do samego prokuratora i powiem, co wy tu łajdaki z ludźmi robicie... Wszystko powiem. Niech mnie potem do więzienia wsadzą. Taka szmata jak ja, to nic nie warta... Niech zczeźnie... Ale wpierw ja wam dam fernepiksu, ścierwa jedne!...

Przerwał jej ryk Tagiejewa.

— Siemipudow!...

Z kuchni dały się słyszeć ciężkie kroki.

Do jadalni wszedł olbrzym, który wraz z Katiuszą podsłuchiwał pode drzwiami.

— Jest tam kto z waszych? — zapytał Tagiejew.

— Jest wasze wysokorodje — Kultiapkin, Jegorow, Kalinowskij.

— *Dostatoczno! Wziat' etu diwku i...*

Zatrzymał się chwilę. Coś motał, coś obmyślał. Chciał widocznie, aby zemsta była niepospolita.

Józia zamilkła.

Jakaś groza przejęła ją całą. Czaiło się coś ku niej, co miało jej złamać życie chyba do reszty.

Tagiejew mignął na Siemipudowa i wyszedł z nim do salonu. Przedtem jednak zamknął drzwi od spalni, aby Józia żadną miarą wymknąć się nie mogła.

I gdy weszli do salonu, nachylił się do policjanta i jakieś ciche rozkazy mu dawał.

. . . . . .

— Gdzie wy mnie wleczecie, juchy jedne?

Siemipudow dobrodusznie napozór się uśmiechnął.

— Panna słyszała może... my pannę etapem do Warszawy.

Józia się uspokoiła.

Do Warszawy! choćby etapem, to znaczy konwojowana przez dwóch strażników policyjnych, piechotą może.

Niech będzie, jak chce, byle się wydostać z miasteczka, ze szpon Tagiejewa, Markowskiego.

— Och!... taka będę porządna... taka dobra... niech mnie Matka Boska pokarze, jeśli się ze wszystkiem nie odmienię... O, mój Jezu cudowny!...

Idzie tak Józia pomiędzy dwoma policjantami drogą, poza miasteczko. Ta sama droga, którą wlókł się Klicki owej pamiętnej nocy. Tylko teraz wiosenne, młode słońce przebiło chmury i jakby dla siły kontrastu ozłacało nędzę przydrożnych domków, rozpadających się, połatanych i popodpieranych belkami.

To, co wśród ciemni nocnej miało tajem-

nicę fatalną i groźną, w tej chwili ujawniało się jako siedlisko nędzy tak marnej, tak lichej, że aż tragicną się stawała. Lupanary miasteczka, siedlisko zbojów i złodziei, pomieszkania paserów całym rzędem wznosiły się wśród pól, od których wiało czysto rozkoszną wilgocią wiosenną. Pół nagie dzieci wyły jak psy, a psy, odarte z sierści, zawodziły jak dzieci. Gdzieniegdzie stała przed progiem rozmamrana dziewka w czerwonej bluzce i czochrała się w rozkudłany łeb.

Jakiś pijak spał w rowie, o który się potknął. Zdaleka widać było jego jasną kurtkę i wpite w ziemię pazurami ręce.

Może go wyrzucono z któregoś z tych domów, może był to już trup tylko...

Leżał martwo, nieruchomo jak kłoda zwalona.

Józia otulila się szczelnie w chustkę. Dawniej byłaby wśród tego bagniska przeszła spokojnie i patrzyła w twarz dziewkom, które miały ten sam odcień zielonego niewyspania, jaki ona dostrzegła u siebie, gdy u Matołkowskiej bawiono się do późnej nocy. Lecz dziś Józia doznawała innego uczucia. Szła, jakby wstydząc się czegoś strasznie, jakby ją pędzono przez rózgi, jakby błoto dławiło ją w gardle i zadręczało ją na śmierć.

Przyśpieszała kroku, nie patrząc na bok, wciągając tylko z całą siłą powietrze w płuca.

— Byle stąd!... byle jaknajdalej!...

Nagle policjanci zatrzymali się.

— Panna!... hej.... *kuda* tak spieszno? Musimy popasać... proszę z nami.

Józia zatrzymała się.

— Poco? chodźmy dalej.

Policjanci śmiać się żaczęli.

— Ot, jaka skora, jakby na *swidanje* z kawalerem. Warszawa nie ucieknie, a my głodni. A i popić trochę chce się. No... dalej, niech panna z nami idzie...

A Siemipudow dodał:

— Tu porządny *kabak*... tu mamusia szynkuje. *Sławnyj kabak*!

Pochwycił Józię za rękę i ciągnął ją do wpadłego w ziemię domostwa Lajnbramów. Józia pomyślała, iż lepiej się nie sprzeciwiać policjantom i być im posłuszną.

— No... nie ciągnąć — mruknęła — pójdę sama.

Weszli do sieni i Siemipudow szybko do szynkownej izby wszedł i tam z za szynkwasu „mamusię" wyciągnął. Stała już odziana w peruce ze zrudziałych wstążek i brudnemi palcami dobywała śledzie ze słoja. Drzwi od alkierza były przymknięte. Siemipudow pochylił się ku żydówce i szybko jej coś mówić zaczął. Słuchała go uważnie. Wzruszyła ramionami. Wreszcie odparła.

— *Haraszo!*...

Wytoczyła się z za szynkwasu i weszła do alkierza. W betach leżał jeszcze Lajnbram, przykryty czerwoną pierzyną. Blady, wymokły, ogarniał się od budzącej go żony, jak od

muchy. Lecz Lajnbramowa szarpnęła nim silnie, tak że wreszcie otworzył oczy. Zawiązał się pomiędzy nimi szybki djalog w żargonie.

— Lajnbram!

— Czego?

— Tagiejew przysłał dziewkę.

— Tagiejew?

— On! — Coś tam zrobiła jakaś *służanka*. Kazał ją zamknąć osobno w komórce i pozwolił nam z niej ciągnąć zyski...

Lajnbram siadł na pościeli.

— Nu... jaka to dziewka?

— To coś z Warszawy.

— Będzie krzyczała.

— Zatka się jej pysk. Pokrzyczy, a potem się przyzwyczai i zostanie. Mało która u nas z początku nie krzyczy! A taka warszawska, to jak się ją potem ubierze i jaki pokoik osobny wyrychtuje, to może się i dla lepszych nadać...

Lajnbram skrobał się i czuchrał.

— Co ona zrobiła?

— Co nam do tego?

— Zamknę ją w komórce. — Tam jest wino od Horskiego, dziś w nocy przynieśli i trochę złożyli. Trzeba będzie resztę także złożyć...

— No, to się złoży.

— Ona będzie piła.

— Jak dostanie raz dwa w mordę, to nie ruszy.

— No — dobrze!...

Wylazł z betów, wziął klucz i, odziawszy się w jakiś rozłachmaniony hałat, wyszedł do sieni.

Józia stała przy ścianie, czekając na Siemipudowa. Z poza drzwi, wiodących do lupanaru Lajnmbrama, rozlegała się kłótnia dziewek, wylegujących się na tapczanach.

— Hardyga jedna...

— Małpa zakroczymska...

Józia odróżniała niektóre specjalne przezwiska, które i u Matołkowskiej biegały często w powietrzu. I coraz jej było smutniej, coraz więcej żal tego, co było jej przeszłością. Nigdy tak wszystko, co przeżyła, nie stanęło jej przed oczami, jak w tej chwili. Zakryła oczy chustką, aby nie słyszeć tych ohydnych głosów. Naprzeciw niej stał drugi policjant i każdy jej ruch pilnie śledził.

Nagle otworzyły się drzwi od szynkowni mamusi i poza Siemipudowem weszła Lajnbramowa powoli, nie spiesząc się wcale.

— Dobry dzień pannie — wyrzekła uprzejmie — panna wraca do Warszawy?

Józia nic nie odpowiadała Lajnbramowej. Zwróciła się tylko do Siemipudowa:

— Chodźmy! — rzuciła niecierpliwie.

— Nu... zaraz, czego się spieszyć! — odparła Frumele, otwierając zamknięte na kłódkę drzwi, prowadzące do długiego korytarza, na końcu którego mieściła się zapadła i na wpół w ziemi wykopana komórka.

— Pan Siemipudow jeszcze nie pojadł. On chce jajecznicę. Trzeba pójść i wybrać świeże jaja z pod kury. One się niosą. Ale u nas dziś święto... Niech mi panna pomoże... Tam w komórce na prawo. — Mówiąc, wprawnym wzrokiem oceniała Józię. Choć była zakutana w chustkę, spłakana i brudna, to przecież Frumele otaksowała ten „towar" ze sprawnością zupełną. Dojrzała czarne, przecudne oczy, niskie, gęsto zarośnięte czoło, odgadła rozwinięte bary i piersi, ześlizgnęła się wzrokiem po silnie odstających biodrach.

To był dobry interes i należało go dobrze pielęgnować. Z początku brutalizować, a potem schlebiać, pieścić, karmić dobrze i poić, wreszcie, gdy nabierze wdzięczności i ochoty, zmusić do „pracy", którą z początku należało jako schlebianie rozpuście traktować.

Lecz Józię ogarnęło jakieś przeczucie. Cofnęła się jeszcze więcej ku ścianie i opornie patrzyła na żółtą twarz Frumele.

— Nu, niech panienka idzie.

— Nie pójdę.

— Dlaczego?

— Bo... nie chcę.

Zawróciła się w stronę drzwi wyjściowych.

— Chodźmy!

Lecz z nadzwyczajną szybkością, jakby ktoś dał im znak, obaj policjanci rzucili się na Józię, omotali jej głowę w jej własną chustkę i porwali ją jak lalkę. Nie miała

czasu krzyknąć, bronić się. Nieśli ją już ciemnym korytarzem i wrzucili do komórki. Za nimi szła Frumele i ta drzwi od komórki na kłódkę zamknęła.

— Tak... niech sobie teraz trochę pokrzyczy!...

— Tu już nie takie, jak ona, krzyczały.

Siemipudow się roześmiał.

— Pójdzie jej to na zdrowie!

Wyszli wszyscy z korytarza do sieni. Gdy Frumele drzwi zamykała, słychać było już rzeczywiście krzyk Józi.

— Łaj-da-ki!.. otwórzcie!..

Frumele roześmiała się.

— Nu... już wrzeszczy.

Siemipudow dodał, kiwając filozoficznie głową:

— Ot... *żenszczina*... jutro będzie się śmiała.

— Pewnie...

Drugie drzwi zapadły i krzyk Józi wydobywał się wprawdzie, lecz bardzo słabo. Ot, jakby gdzieś, pod ziemią, w piwnicy, pies skomlał.

Tymczasem policjanci naradzali się w kącie; wreszcie Siemipudow wystąpił dość hardo:

— A co to za wino w kącie, w komórce?... ha?...

Frumele brzydko oczy zmrużyła.

— To nasze.

Policjanci śmiać się zaczęli.

— A może i Horskiego. My poznali po butelkach.

— Nieprawda.

— Prawda — krzyknął Jegorow — wy wzięli kradziony towar na przechowanie.

Frumele wydęła usta.

— To nie wasza sprawa. O tem już wie Barłamow. On się z Tagiejewem załatwi. A wy nosa nie suńcie, gdzie nie wasze dzieło.

— No... czy nie nasze, to jeszcze pytanie... — wycedził Siemipudow, — jeszcze można dalej podać sprawki o to. My możemy iść do Horskiego, my możemy mu powiedzieć, gdzie jego wino.

Frumele parsknęła śmiechem.

— Wyby tego nie zrobili!

— Czemu?

— Bo Tagiejewby was nagnał ze służby i dałby wam takie świadectwo, że... no...

— Ech!... batiuszki, Tagiejew nie wieczny na miejscu.

Padło to słowo, które jakby wrzało w miasteczku oddawna.

„Tagiejew nie wieczny na swojem stanowisku pana policmajstra".

Frumele zastanowiła się przez chwilę.

— Nu... a co wy chcecie?

— Chodźmy do szynku, tam powiemy.

Z tajoną wściekłością mamusia poszła przodem, człapiąc pantoflami. W izbie stał Lajnbram zamyślony jakby o niczem, co się w domu działo, nie wiedział. Gdy Lajnbramowa weszła z policjantami, usunął się i wy-

szedł przed dom, gdzie znów się zamyślił i na słońce błędnemi oczami patrzył.

Tymczasem w izbie rozpoczynał się targ, nędzny szantaż drobnych złoczyńców, ściągających ze siebie nawzajem skórę, którą już poprzednio złupili na kimś słabszym lub nieopatrzniejszym.

A na dworze, poza brudnemi szybami, zaciągniętemi czerwonym kretonem, wzbijało się triumfalnie wiosenne słońce jakby ptak złocisty, silny i niepowstrzymany.

Potoki światła zalewały czarne bróżdy zoranej ziemi, a w oddali na szmaragd świeżych łąk opadały zwolna i majestatycznie bociany.

I gdy opadły już na ziemię, zabieliły się na niej jakby olbrzymie nenufary na zieleni fal spokojnych wykwitłe.

Na to wszystko patrzył Lajnbram swemi zblakłemi, dziwnemi oczami, patrzył i w głębi duszy obliczał zysk, jaki mu wczorajsza noc przyniosła.

. . . . . .

Gdy Józia odmotała się z fałdów chustki, znalazła się w zupełnej ciemności. Z krzykiem przypadła do ścian, bijąc w nie pięściami.

— Łajdaki!... otwórzcie!

Domacała się drzwi. Rwała je i szarpała pazurami. Drzwi były mocne i grube, snać, by stłumiły krzyk i jęki. Krew pociekła z pod paznogci kobiety, drzazgi wbijały się jej w pal-

ce. Ból odbierał jej resztę przytomności. Szalała z trwogi i bezsilnej wściekłości. Szarpiąc się i ciskając, napotkała ręką butelkę. Porwała ją i cisnęła o drzwi. Woń starego tokaju uderzyła w nią kłębem. Ten szczęk tłuczonego szkła podniecił ją jeszcze. Schyliła się. Znalazła znów butelkę. I tę porwała i bić nią zaczęła we drzwi. I ciągle teraz nachylała się, łkając i szalejąc. W podnieceniu nerwowem woń silna tokaju zaczęła ją upajać. Komórka była mała, duszna. Zapach odurzający wypełnił ją całą. Józia chłonęła w siebie tę woń rozdętemi nozdrzami. Zdawało się jej, że to przynosi jej jakąś ulgę.

I nagle krzyczeć przestała.

Osunęła się koło drzwi prawie pijana pomiędzy czerepy szkła i w kałużę wina. Przymknęła oczy i oddychała ciężko. W tej chwili nic jej nie bolało więcej nadto, że żyć musiała. Całe jej życie wydało się jej okropnem, cuchnącem bagnem, które zionęło ku niej smrodem upajającym. Czuła, iż całe postanowienie „poprawy" wali się poprostu w gruzy, że ona nigdy nie zerwie tego łańcucha, który ją dławi, że...

I zwaliła się głowa w błotnistą ciecz, która powoli, jakby z żalem, wsiąkała w ziemię, stanowiącą dno komórki.

XII

PAN POLICMAJSTER I HORSKI. TAGIEJEW ZACZYNA WSZYSTKO STAWIAĆ NA KARTĘ. PIERWSZE POWINIĘCIE NOGI. ROZPASANIE SIĘ TAGIEJEWA. GOTÓWKA. FLAGI IZAAKA. OSACZONY.

Po wyjściu Józi Tagiejew rzucił się do samowara i zaczął pić czaj, chłepcząc moskiewskim zwyczajem ze spodeczka. Byłby dał dużo za to, ażeby mógł tę Józię gdziekolwiek zabić i zniszczyć. W areszcie trzymać jej nie chciał. Lękał się czegoś. Mogą spaść nagle, natrafić na dziewkę, która, jako kochanka Markowskiego, musi być o wielu rzeczach poinformowana, i pozwać ją na świadka. To myślał cichaczem sam przed sobą, nie formułując jeszcze dokładnie, jasno możności takiej jawnej żandarmskiej interwencji. Lecz stamtąd czuł, iż pędzi na niego wielka nieprzychylność i groza. Myśl o projekcie podania do prokuratora, wniesionego przez kupców, zwiększała jego trwogę. Na ja-

kiej drodze było to wszystko?... Nie wiedział nic. Józia odmawiała dalszego szpiegostwa. Kupcy się strzegli. Wszystko było w ręku Horskiego.

Tagiejew ręcznikiem wytarł spotniały łeb i lał dalej w siebie czaj. Na rozdrożu siedział. Ani w prawo, ani w lewo. Choć siadłszy... płacz. Przynajmniej u Frumele Józia siedzieć będzie długo i wiele czasu upłynie, zanim światło dzienne zobaczy.

— *Protomorda* — wściekał się — *archibestja!*... ot... dopomogła do ucieczki...

Zajęczał dzwonek u wejścia. Tagiejew porwał się. Rad był, że mu się ktoś nawinie, na kogo swoją wściekłość spędzi. Popędził sam do przedpokoju, podciągając spodnie.

Otworzył drzwi.

I spotkał się oko w oko z Horskim.

. . . . . .

Ojciec Jani stał na progu tak blady, jakby w nim kropli krwi nie było, tak zmieniony, że zdawał się powracać z drugiej strony grobu. Nie był nigdy u Tagiejewa, pomimo że ten, znając jego wybitne stanowisko w miasteczku, nieraz już chciał użyć jego wpływu na obywateli.

Horski brzydził się Tagiejewem, jak czemś bardzo nieczystem i roztaczającem zgniliznę dokoła. Nie mógł o nim myśleć bez wstrętu i grozy. Obecnie przyłączył się do tych uczuć rozpaczliwy żal i bezmierna nienawiść za wy-

rządzoną jego dzieciom krzywdę. W tej chwili Tagiejew miał przed sobą ojca, który był jedną raną, dyszącą niepokojem i trwogą. Twarz Horskiego wyrażała dostatecznie stan jego duszy. Nawet Tagiejew wyczytał, co się wewnątrz tego człowieka działo. Cofnął się ode drzwi i wyrzekł cichszym głosem;

— *Wy ka mnie?*

— Tak!

— *Wajditie, pażałujsta!*

Przepuścił grzecznym ruchem Horskiego w głąb mieszkania. Ten wszedł powoli i stanął niepewny na środku przedpokoju. Tagiejew pchnął drzwi od salonu.

— *Wajditie w etu komnatu!*

Horski wszedł do bawialni. Ostre słoneczne światło zalewało pokój. Łagodziły je zielone liście roślin, strojących okna. W szkiełkach, wiszących u lamp i pająków, grały tęcze blasków i rozszczepiały się na podłodze.

Kot, śpiący pod fotelem, przemknął koło nóg Tagiejewa.

— *Ot... koszka... kakaja chitreńka... wot...*

Tagiejew usiłował nadać sobie jakiś ton, porając się z kotem. Przez ten czas śledził z pod oka Horskiego. Z czem przychodził ojciec Jani? Czy nie rzuci się na niego, aby zemścić się za sponiewieranie córki? Należało się mieć na baczności, a nawet kto wie, wyzyskać z sytuacji co będzie można.

Horski spojrzał tępo na policmajstra i potarł ręką skronie. Zdawało się, iż chce zebrać

myśli. Nagle zwrócił się całą twarzą ku Tagiejewowi i zapytał:

— Gdzie jest moja córka?

Tagiejew był tak bystry, tak dziwnie przenikający ludzkie dusze oddane mu w rękę, iż natychmiast zrozumiał, że Horski upadł zupełnie na duchu i że o żadnych gwałtownych represaljach nie może być mowy.

Przymrużył oczy, przekrzywił głowę, założył ręce w tył i przybrał minę urzędową, co przy jego negliżu wydawało się co najmniej dziwnem.

Horski ponowił pytanie:

— Gdzie jest moje dziecko?

— Ach! *wasza doczka*?

— Tak. Coście z nią zrobili?

Głos Horskiego zaczynał drżeć, powieki mu opadały nerwowo.

Tagiejew wyprostował się jak struna.

— Zrobiłem to, co mi obowiązek nakazał, panie Horski! — odparł twardo.

— A... co panu ten obowiązek nakazywał?

— Aresztować pańską córkę za jej nieprzyzwoite zachowanie się...

Blada twarz Horskiego nagle pociemniała.

— Pan się zapominasz — wyrzekł przez zaciśnięte zęby — moja córka nie mogła zachowywać się nieprzyzwoicie.

Tagiejew chytrze się uśmiechnął.

— Ano! — wyrzekł — może to u was Polaków przyzwoite panny w spodniach po ulicy latają. Ale dla mnie to srom i *priliczna*

panna tak nie robi. Ja waszą córkę naszedł na ulicy, jak leciała gdzieś przeodziana za chłopca.... Tak ja ją zaaresztował... no! trudno!... Ja muszę porządku pilnować! A to cyrkówkaby tak nie zrobiła i wstydziła się. To trudno.

Horskiemu tchu brakło w piersiach.

Rzeczywiście... Jania często przekraczała miarę w figlach. I teraz musiała dopuścić się nietaktu. Ale przecież za to się nie wtrąca do aresztu i nie wywozi dziecka do więzienia.

Drżącym więc coraz więcej głosem odparł:

— Panie policmajstrze, córka moja młoda, wesoła... zrobiła głupstwo! Należało ją zestrofować i kazać do domu odprowadzić. Ja byłbym ją ukarał. Ale pan ją aresztowałeś... pan ją podobno wywiozłeś... pan... Gdzie ona jest? Niech mi pan powie, co się z nią dzieje?

Tagiejew milczał.

Wciąż stał z rękami splecionemi z tyłu i przymrużonemi oczyma na Horskiego patrzał. Miał pozór chirurga, zapuszczającego sondę w ciało chorego, skazanego na śmierć, bez chęci przyniesienia ulgi, ot... dla własnej chciwości.

— Nu... ona w gubernji, w więzieniu.

— W więzieniu?... za co... za taki żart?...

— Ja ją zdał żandarmerji.

— Jezus Marja! Pan oszalał!... Przecież to dziecinny wybryk. Jak pan śmiał? ...

Teraz Tagiejew błysnął nagle oczami.

— Co to, jak ja śmiał? To jak pan śmie.

panie Horski, do mnie tak mówić? Jeśli ja to zrobił, to ja wiedział, dlaczego ja tak robię. Taki urzędnik *praworny* jak ja, nie popełni nic dla żartu. Ja musiał mieć podstawy do tego, aby córkę pana uwięzić.

Ręką po marmurze stolika nagle uderzył.

— Pan rozumie? pod-sta-wy!

Horski otworzył szeroko oczy i, milcząc, patrzył na Tagiejewa. Zaczynał rozumieć, że tu się dzieje rzecz straszniejsza, niż on kiedykolwiek przypuszczał. Tu już nie szło o jakiś marny dziewczęcy figiel. Tu się rozgrywała stawka o wielkich szerokich zakresach.

— Co?... co ona zrobiła?

Tagiejew znów artystycznie wytrzymał pauzę. Zatopił swój wzrok w strwożone oczy Horskiego.

— Nu... pan ojciec... pan powinien wiedzieć, czem się to dzieci pana zajmują, a zwłaszcza syn.

Horskiemu zabrakło tchu.

Zrozumiał w jednej chwili, że chodzi tu *o przestępstwo polityczne.*

— To widzi pan — ciągnął dalej Tagiejew—jak się rodzice dziećmi nie zajmują i jak należy ich nie chowają, to potem kryminalne myśli czepiają się młodej głowy. Tak i z pana synem... W gubernji powiedzą panu dokładnie jego przewinę. Ale on uciekł. Siostra się została, a tę mamy w ręku.

Horski starał się zebrać całą przytomność

umysłu. Kazio może już ocalony, należało teraz główny nacisk położyć na niewinność Jani.

— Ależ ona o niczem nie wie, panie Tagiejew — zaczął, usiłując mówić spokojnie — ja za nią mogę ręczyć. Ona zajmowała się domowem gospodarstwem, drobiazgami. Wy nie możecie oskarżać ją o nic więcej, jak o pustotę dziecinną. Pan sam przecie, panie policmajster, powinien świadczyć, iż Jania nie mogła mieszać się w polityczne sprawy. Pan zna przecież życie każdego z nas, pan...

Nic nie zdoła opisać zmian, jakie się teraz z błyskawiczną szybkością odbywały w mózgu Tagiejewa.

Horski żądał, Horski się czegoś od niego domagał, niemal prosił. Horski miał u siebie złożony protest obywateli z podpisami, Horski miał ogromny wpływ w miasteczku i mógł odwrócić katastrofę, grożącą Tagiejewowi od strony władzy. Należało tę chwilę wyzyskać.

Nadął się więc i zaczął oglądać sobie brudne paznogcie, tak jak to widział u gubernatora, gdy gubernator przyjmował go na raporcie kwartalnym.

— *Da*... — wyrzekł — ja się nie taję, odemnie dużo zawisło. *Nu*... ja mogę za waszą *doczkę* dać dobre świadectwo, lub nie... To już, panie Horski, moja wola.

— Pan będzie sprawiedliwy.

— Ach! *pamiłujtie*! bez wszelkich słów... Wy Polaki to zaraz wielkie słowa. Poco? sprawiedliwy... *da*, *priekrasno*... Ale wy, panie

Horski, czy wy dla mnie Tagiejewa sprawiedliwy? Ha? Jak wy mnie sądzicie? Czy nie za srogo, *miłeńkij*?... Ja wiem o wszystkiem.

Zawiesił głos i po chwili dodał z naciskiem:

— O wszystkiem!

Horski milczał. Przeczyć nie chciał. Nie pozwalała mu na to jego prawa natura, drażnić zwierza nie śmiał. Ojciec w nim wołał wielkim głosem zmiłowania dla dziecka. I dlatego Horski milczał.

— Tak widzi pan, — podjął znów Tagiejew — że ja mam rację, bo pan zamilkł. Ja wiem, żeście się wszyscy zeszli u pana i nademną naradę trzymali. Nu... nie tak? Niby że ja złodziej, *wor*, łapownik, że całe miasto zniszczył, że ja ze złodziejami trzymam, że... nu... czort was wie, co wy na biednego Tagiejuszkę nie nawymyślali. A on tymczasem troszczy się, użera, życie naraża w ciągłej walce o spokój dla mieszkańców, on nie śpi w nocy i czuwa nad wami, on nie doje... co on ma za to? co... on?... Mundur wytarty i ot siwy łeb. Jakby ja był *wor*, to u mnie byłyby zaprzęgi, *łakieje*, *kuchmistery*... Nu, nie tak?... No, a teraz powiedzcie, jaka wasza dla mnie sprawiedliwość, kiedy wy do *prokuratora* aż protest taszczyć na mnie chcecie? Ha?

Przekrzywił głowę, zmrużył oko i wpatrzył się w Horskiego.

Czekał na odpowiedź, lecz Horski milczał,

pomimo, że całe fale słów rwały mu się na usta.

Tagiejew przeszedł się po pokoju, i zatrzymał się znów przy stole.

— Pan się do mojej sprawiedliwości odwołuje, nu prześlicznie... Ale, widzi pan, ręka rękę myje... Pan rozumie?

Po Horskim przeszedł dreszcz. Zrozumiał, że wypłynie jakiś targ. O ile Tagiejew mógł wpłynąć na los Jani, Horski nie zdawał sobie sprawy, nie znając wielkości winy, o jaką ją oskarżali. Był jednak tak przerażony o los swego dziecka, że byłby dał pół życia za wydobycie córki ze szponów, w które wpadła.

— Pan ma ten protest u siebie? co? Ja znów mam oto dokument, który znalazłem przy córce pana. Tu jest list... ten list jest strasznie ją kompromitujący politycznie... o!...

Horski wyciągnął rękę, lecz Tagiejew swoją rękę z listem krakowskim, pisanym do Kazia i zawiadamiającym o wysyłce propagandy, a który to list wyjął z kieszeni od spodni, cofnął.

— *Niet... niet...* — wyrzekł żywo — pan tego czytać nie możesz. To już nasza, rządowa tajemnica. Dość, że ja panu mówię, iż pańska *doczka* bardzo poważnie skompromitowana. Ona może pójść w goście do cytadeli, a już wtedy ja ręce umywam. Ja ten dokument zatrzymał u siebie i właśnie mam go odesłać do gubernji... Tak... widzi pan, tu już

nietylko o sprawiedliwość chodzi, ale od Tagiejewa strasznie dużo zawisło.

Kłamał gładko jak człowiek, który się czepia deski ratunku.

— Ale ja nie taki czarny, jak wy mnie do prokurora osmarować chcecie. Ja dla pana, jak dla *czestnego* człowieka dużo mogę zrobić. Ja ten dokument schowam u siebie i z niego nie zrobię użytku, a pan nawzajem w moich oczach protest podrze...

Horski poruszył się gniewnie.

— Ja? — zapytał zdławionym głosem — ja? Pan chce, żebym zawiódł zaufanie współobywateli?

— Ja więcej chcę, panie Horski. Ja chcę, żeby pan zredagował pismo, dziękujące mi za opiekę nad miastem i za spełnianie uczciwe obowiązków.

— Co?

— *Da.* I żeby to pismo było opatrzone podpisami tych samych ludzi, co się podpisali na proteście. I żeby jutro to pismo było wysłane do gubernatora. *Wot czto!...*

Zagrał teraz w odkryte karty.

Horski cofnął się aż ku ścianie.

— To szantaż!... — wyszeptał.

— No, niech on będzie sobie szantaż. Z wami inaczej nie można. Wy chytrzy i ja chytry. Kto kogo przechytrzy... No i jakże... godzi się pan?...

Horski odetchnął całą piersią

— Nie! — krzyknął.

Tagiejew aż zbladł. Policzki mu obwisły. W tym dowodzie uznania czuł bardzo ważne świadectwo, z którem może iść śmiało przeciw oskarżeniom żandarmerji.

— Pan Horskij niech się zastanowi.

— Tu niema zastanowienia! Ja żądam od pana sprawiedliwego zeznania, a pan chcesz na mnie wymusić, ażebym skłonił całe miasto do zaprzeczenia prawdzie, która jest tak jasna, jak słońce świeci. Pan chcesz, żebyśmy panu dziękowali za opiekę? My? Ależ my ledwo dyszeć możemy z tej pańskiej opieki, my pod pańską pięścią i nożami pańskich złodziei mało nie zdechniemy!...

Nerwy, gorączka, ból, rwały teraz Horskim, już czuł, że nic go nie powstrzyma, nawet myśl o Jani.

— Ach!... pan żądasz, żebym zniszczył protest? Ależ żeby o mnie szło, tobym to uczynił bez wahania, ale tu idzie o ogół, o sprawę publicznego dobra, o tych wszystkich, którzy z zaufaniem do mnie przyszli. Ich mi zdradzić nie wolno, nawet dla ocalenia mego dziecka... i tego nie uczynię.

Rozpasały się i nerwy Tagiejewa. Widząc, że i tu usuwa mu się grunt z pod nóg, wpadł w swoją zwykłą pasję.

— *Won!* — krzyknął, wskazując mu drzwi.

Twarz Horskiego pociemniała od nabiegu krwi.

— Milcz! — krzyknął — nie tobie, herszcie złodziei, głos na mnie, uczciwego człowie-

ka, podnosić! Nie boję się ciebie! I z tobą, łotrze, będzie koniec! Jest jeszcze Bóg nad nami!

Szybko, jakby lękając się spełnienia czegoś nieodwołalnego, Horski wybiegł z mieszkania Tagiejewa. Gdy zamykał drzwi od sieni, rozległ się za nim ryk:

— *Swinskoje ryło! kupieckaja driań!*

Horski wypadł na ulicę. Wskoczył do dorożki i pędem kazał się wieźć do najbliższej stacji kolejowej. Wydał jednak ten rozkaz woźnicy dopiero za miastem. Nie wątpił, że gdy Tagiejew ochłonie i zacznie rozmyślać, postanowi i jego aresztować pod zarzutem dopomagania w „przestępstwach" politycznych" Jani i Kaziowi. A Horskiemu szło głównie o to, aby dobić się do gubernji, zobaczyć Janię, starać się o jej uwolnienie i osłabić zeznania Tagiejewa wręczeniem protestu w gubernji.

Trafił właśnie na stacji na pociąg, wskoczył do wagonu i za chwilę, cały drżący, nieprzytomny jechał tą samą drogą, którą niedawno Tagiejew wiózł martwą i bladą Janię.

Może nawet jechał tym samym wagonem. Myślał o tem i myślał także, że nigdy, nigdy tak bardzo swoich dzieci nie kochał, jak w tej chwili.

Nigdy mu nie były tak bliskie, tak sercu drogie, tak jego, jak teraz, gdy złączyły się z nim w cierpieniu i w miłości dla kraju, który był im był wszystkim rodzony.

. . . . . .

Teraz już na dobre rozszalał się Tagiejew, jakby zupełnie zmysły postradał. Od rana do nocy, od nocy do rana robił wrażenie pijanego, choć w rzeczywistości nie pił więcej nad zwykłą swoją miarę. Lecz nerwy jego tańczyły teraz jakąś tarantellę i musiał dać im upust, hulając po karkach mieszkańców miasteczka. Wiedział, że Horski złożył protest w prokuratorji i, że władze będą, chcąc nie chcąc, musiały wdrożyć śledztwo.

Chwilami myślał o ucieczce zagranicę, gdyż miał uskładanych kilka tysięcy rubli. Lecz ogarniał go żal. Co mu robić zagranicą? Chyba się wściec. A potem wiedział, że daleko nie ujdzie. Już go śledzono i szpiegowano. On, który drugich śledził i szpiegował, teraz targał się w zdenerwowaniu i szaleństwie, czując dokoła siebie rozpostarte szpiegowskie siatki. Zamiast się skupić i ściągnąć swe złodziejstwa, zdjęty niewytłumaczonym pędem, rozprzestrzeniał je niejako i uzuchwalał coraz bardziej.

— *Naplewat'* — mówił, machając ręką — *naplewat'!*

Z góry szedł przykład.

Oprócz Markowskiego, który grał w grę taktowną i milczkowatą a zniknięciem Józi był naprawdę oszołomiony i przybity, banda tagiejewska szalała na równi ze swym szefem. Dawanie znać o złodziejach nie przynosiło żadnych rezultatów, bo albo im nic nie robiono, albo brano ich do magistratu i za

pół godziny wypuszczano. Najczęściej pisano tylko protokół, którego nawet nie zaciągano, gdzie należy. Tagiejew żadnych skarg nie przyjmował. Po sklepach kradziono pieniądze przy zmianie ich lub przy drobnych zakupach. Kiedy się skarżono Barłamowowi lub innemu policjantowi, odpowiadali:

— A niech wam kiszki i duszę ukradną, mnie czorci do tego!...

Tagiejew zaczął teraz uprawiać na wielką skalę nagłe, bezprzyczynowe zamykanie sklepów, składów drzewa i innych procederów. Zwykle z pod ziemi w takiej krytycznej chwili wyrastał Josełe Pinkas i proponował interwencję. Lecz ceny już podskoczyły, to co dawniej dało się ułagodzić łapówką kilkunastu rubli, wymagało setek. Targowisko na wale rozpoczęło się dzięki temu, że żydzi złożyli się na trzysta rubli i przez Joseła wręczyli je Tagiejewowi. Jako znak, że pieniądze zostały przyjęte, Tagiejew wezwał jednego z kupców do siebie. Podczas audjencji jednak nie mówiono nic o łapówce.

W każdej chwili dnia, a często i nocy, można było spotkać teraz Tagiejewa, chodzącego po miasteczku z miną rozjuszonego odyńca. Zdawało się, że mu niedługo wyrosną kły, któremi pruć zacznie wnętrzności nieszczęsnych mieszkańców, aby zobaczyć, czy jeszcze dla niego żeru niema.

Wpadał do restauracji, krzycząc na nieporządki, napadał na właścicieli domów i obry-

wał dzwonki u kamienic. Kopał włóczące się z bobem i makagigami żydówki, i tylko mu bystre oczka latały, czego się jeszcze czepić. Spotkawszy przecież swoich protegowanych przy robocie, słysząc jaki krzyk, widząc, jak napadnięty pasował się ze złodziejem, lub jak umykali z łupem notoryczni złodzieje, skręcał z drogi, pozostawiając pokrzywdzonych ich własnym losom. Wydawał zakazy, potrącające o granice bezczelności. Zacząwszy od zakazów zmieniania szyldów, wywieszania zegarów, zakazywał teraz otwierania apteki, zakładu fotograficznego...

Czepił się jak rak kożucha restauratora kolejowego, i jedynie kolacja na kilkanaście osób, dostawiona do domu policmajstra celem uraczenia rosyjskiej „*dramaticzeskoj*" trupy, zdołała na chwilę ułagodzić gromowładcę.

Brutalność jego w obchodzeniu się z interesantami przekraczała zupełnie granice. Najstraszliwsze obelgi, przekleństwa, przezwiska, kopania nogami, uderzania w twarz, były na porządku dziennym. Cały dzień, a często i w noc rozlegały się ryki Tagiejewa po słynnym przedpokoju. Wpadłszy w furję, wymyślał na gubernatora, na żandarmerję, życząc ich zbiorowym matkom przerozmaitych dziwnych rzeczy. Wskutek usunięcia się z owej sfery działania Markowskiego, który jak maszyna nadzwyczaj poprawnie odrabiał swój dział służbowy, wypłynęły lub wzrosły ogromnie inne osobistości

Jakiś Guzicki, do tej chwili zapomniany i w cieniu się kryjący młodszy strażnik, położył swe szpony na dział paszportowy i obficie zaczął czerpać z niego zyski. Barłamow porastał jak wieprz w słoninę i na wale był teraz niepodzielnym władcą.

Dobrodusznie podziwiał spryt rzezimieszków, operujących wśród wozów i rozłożonych na ziemi płacht z towarami. Śmiał się, trzymając się za brzuch, widząc jakiś zręczny manewr. Lecz, skoro poszkodowany w naiwności swojej zwracał się ku niemu, natychmiast przybierał groźną postać rozwścieczonego niedźwiedzia.

— *Czto? czewo...* — darł się tak, aż konie od wozów uszami strzygły — *uchodi procz, ty pjan*!...

Czasem dla odmiany propozycja:

— *Choczesz w mordu?*

I odpowiedni gest, a nie rzadko i czyn.

Wtedy wszystko dokoła milkło na chwilę steroryzowane, przerażone, a Barłamow odchodził dumny, wyniosły, naśladując bezwiednie chód i gest Tagiejewa.

U Frumele Lajnbram nie chowano nawet towarów, które złodzieje znosili co chwila. Mamusia rosła w tłuszcz i pierze, Josele Pinkas grał rolę pośrednika. Latał do okradzionych i bezczelnie proponował odkupienie skradzionych towarów. Ten i ów przystawał, lecz byli tacy, którzy po miasteczku roznosili

wieść o złożonym na ręce prokuratora sądu okręgowego proteście kupców.

— Czekajcie!... przyjdzie i na niego kolej! — mówili, grożąc pięścią w stronę siedliska Tagiejewa.

To byli optymiści, lecz większość, pesymistycznie usposobiona, wzruszała ramionami.

— E!... kruk, krukowi oka nie wykole!

Lub:

— Nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje!

Tymczasem banda cała z Tagiejewem na czele poprostu szalała.

. . . . . .

Nadeszła „galówka".

Jedna z tych z niezliczonych galówek, co to muszą być czczone, a mieszkańcom „dozwala się" miasto przystrajać flagami dla wyrażenia swej bezmiernej radości i lojalnych usposobień.

Pan Izaak Feinbube za pomocą Joseła Pinkasa świetnie przeprowadził interes z flagami. Za pomocą silnej łapówki Tagiejew nakazał wszystkim mieszkańcom sprawić nowe flagi. Te zaś jedynie miał prawo sprzedawać Izaak Feinbube. Tylko flagi Izaaka były *prawome* i miały być tolerowane...

Izaak podniósł cenę swych flag o sześć rubli nad nominalną wartość. Musiał odbić łapówkę Tagiejewa, łapówkę Barłamowa, łabówkę Joseła Pinkasa i swój zysk. Za to

wszystko powinni byli płacić mieszkańcy. Inaczej być nie mogło.

Jasne, wiosenne rano aż rozpachniało się nad ziemią. Woń świeżej runi od pól była tak silna, że głuszyła smrody miasteczka. Od rana rozpoczęło się rozwieszanie flag o barwach „państwowych". Od pierwszej chwili poznać było można, że nie wszyscy mieszkańcy zastosowali się do rozkazu Tagiejewa. W pierwszym rzędzie wszyscy ci, którzy podpisali się na podaniu do prokuratora — powywieszali flagi kupione w Warszawie. Odznaczały się te flagi pięknością materjału, lepszą robotą i różniły się znacznie od flag Izaaka. Inni znów, „zbuntowani", powywieszali flagi stare, zupełnie jeszcze przyzwoite i niezniszczone. Rozwiało się to wszystko w jasności porannej jakby stada na lince uwięzionych ptaków. Sklepy pozamykane nadawały miasteczku pozór odświętny. Cicho było i wzniosło, lecz zarazem zdawało się, iż się coś dziwnego po ulicach czai, że coś się stanie ważnego i stanowczego.

Po ulicach jak wiatr przeleciał Josełe Pinkas, rozwieszając swój czerwony szalik, z którego wypruwały się długie, kręcone nici i czepiały się po chałacie.

Pędził, łeb do góry podniósł i pilnie flagom się przypatrywał. Zdawało się, że coś liczy, coś sumuje w pamięci. Galopem obiegł całe miasteczko. Nie zatrzymywał się nigdzie.

Wreszcie skierował się w stronę policji. Wpadł na „czarne schody" a poten do kuchni.

Katiusza naturalnie porała się koło samowara.

— Co? śpi? — zapytał Josełe.

— Czort wie — odparła kucharka i odwróciła się do Joseła częścią korpusu tak srodze poniewieraną, a bez której siadanie byłoby dla ludzkości aktem zupełnie nieznanym.

Josełe się cisnął niecierpliwie.

— Jego trzeba zbudzić.

— Bo co?...

— Bo ja mam coś ważnego do powiedzenia.

— Et!...

— Niech no panna Katiusza powie tylko, że tu o flagi chodzi... pan naczelnik będzie wiedział, co to znaczy, i nie pogniewa się.

— Łupnie mnie w mordę!

— Ale... ja mówię, że nie.

Nagle z sypialni dał się słyszeć ryk.

— Katiusza!

Pinkas podskoczył.

— A co!... sam się obudził. Ja idę.

— Walaj!...

Josełe wleciał do sypialni. Na jego widok Tagiejew aż uniósł się na poduszkach.

— Czego tu, świńskie *ryło?* czego się suniesz! *won!...*

Schylił się, uchwycił za but i w muzykanta cisnął. Ten uchylił się zręcznie.

— Niech będzie panu naczelnikowi na

zdrowie — wyrzekł układnie — ale niech pan naczelnik wstanie i wyda rozkazy strażnikom, żeby szli na miasto zdzierać flagi.

— Czemu?...

— Bo proszę pana naczelnika jest dużo flag nie *naszych*.

Podkreślił te słowa „nasze".

Tagiejew, wytrzeźwiony ze snu, usiadł na łóżku, skrobiąc się w głowę.

— *Da*? dużo mówisz?

— Dużo. Cały rynek. Wszystkie panowie kupcy bogatsze mają albo stare flagi albo kupione w Warszawie. Ja to zaraz poznał. A potem Feinbube ma wynotowane, kto u niego kupił... Pan naczelnik musi z tem zrobić porządek. Feinbube dał przezemnie taki piękny pieniądz panu policmajstrowi.

— Co?! — ryknął policmajster — mnie!... Feinbube dał na ochranę!

Od pewnego czasu nazywało się to dawać na „*ochranę*"...

Pinkas się ukłonił.

— Niech jemu będzie na ochranę!... — odparł — ale zawsze on będzie stratny i on mnie będzie szarpał za to, że ja go w taki kawałek wpędził... Niech pan naczelnik zwoła strażniki, niech oni wezmą pożarne drabinki i niech skokną żdżyrać te flagi, co une nie są nasze...

Tagiejew czegoś się wahał.

Zbudził się niespokojny i szarpany jakiemiś fatalnemi przeczuciami. Nigdy nie

doznawał tak panicznego strachu, jak w tej chwili.

— *Pazawi Siemipudowa!* — wyrzekł wreszcie, starając się odzyskać panowanie nad sobą.

. . . . . .

W pół godziny niespełna na rynku dziwne odbywały się sceny. Grupka policjantów, którym zdaleka przyglądały się tłumy przechodniów, przystawiała do kamienic drabiny. Jeden z policjantów gramolił się na szczeble i z okien lub balkonów zdzierał flagi, nie usankcjonowane firmą Izaaka Feinbuba, i rzucał je poszarpane na ziemię. Sterczały tylko gdzieniegdzie kije ze strzępami materji. I te łamano, aby zniszczyć zupełnie dowody oporności mieszkańców. Nie wznosił się jednak żaden głos protestu. Bezprawie to odbywało się w zupełnem milczeniu i bezkarności. Policjanci sami nie odzywali się, wykonując swoją pracę. Coraz więcej flag zdartych leżało na trotuarach. Z otwartych okien ludzie przyglądali się temu nowemu zuchwalstwu Tagiejewa i milczeli. Gdzieniegdzie z bramy wyszedł stróż kamieniczny i oglądał leżącą na ziemi poszarpaną materję. Lecz nikt nie chował jej i nie podnosił.

Nagle od strony kolei zaturkotały dorożki. Kilka z nich jechało pędem, naładowanych szaro odzianymi ludźmi. Zdaleka migotały kołpaki żandarmskie. Wszyscy zastanowili się jednocześnie.

— Żandarmi! Tylu?... co to znaczy?... Czy będą aresztowali dzieci, jak tę Janię Horską? czy może to...

Lecz nie było czasu na domysły. Dorożki wpadły na rynek i tu, jakby już według ułożonej dawno komendy, rozjechały się w rozmaite strony. Jedna z nich pędziła ku wałowi, druga w stronę hotelu Feinbuba — dwie znów w ulicę prowadzącą za miasto ku domowi mamusi Lajnbram, kilka innych mknęło w strony domów paserów lub lupanarów. Wreszcie — ostatnia, w której siedział Hordyj w towarzystwie porucznika i na koźle mająca silnego, rosłego żandarma, podjechała do grupy policjantów, zdzierających flagi, i stanęła. Hordyj przemówił coś do żandarma siedzącego na koźle, ten zeskoczył i podszedł do grupy policjantów. Przez ten czas na rynku zrobił się ruch i popłoch.

— Żandarmi! żandarmi!...

Mimowoli twarze bladły i dreszcz przebiegł wszystkich.

— Co będzie?... co będzie?...

Lecz żandarm nie mógł się jakoś dopytać nic u policjantów. Zabrali drabinę i, patrząc z podełba na żandarmów i na Hordego odeszli, nie salutując, z minami bardzo niepewnemi. W tej samej chwili z poza kamienicy wyleciał Josełe Pinkas, który z polecenia Tagiejewa leciał dowiedzieć się, czy flagi zdarte.

Hordyj aż porwał się z siedzenia i bystry wzrok w rudej, połamanej postaci utopił.

— Josełe — zawołał — *pajdi siuda!*

Josełe zawahał się. Natychmiast w oficerze żandarmskim poznał owego „obywatela z Litwy", który niedawno mieszkał u Feinbuba i któremu kilkakrotnie napróżno proponował rozmaite „flirty" — jak pomarańcze i godne noszenia mirtowych wieńcy, na co się klął, oddając swe życie i życie swych rodziców, dzieci i żony w zastaw.

W słonecznej jaśni aż zamigotało coś w oczach kaprawych Pinkasa. Obejrzał się na prawo, na lewo, gdzie można uciec. Manewr ten jednak dojrzał i Hordyj. Szybko wyciągnął rękę.

— *Arestowaĭ* — wyrzekł szybko, suchym głosem.

Żandarm schwycił silną ręką za ramię Pinkasa.

Ten się wyślizgnął.

— Czego mnie aresztować? — zaczął.

— *Bieri za sziworot i wiedi w banhof!* — rozkazał Hordyj.

Żandarm porwał Pinkasa, kopnął i żelazną ręką powiódł go w stronę „banhofu".

— To gwałt... to rozbój... — krzyczał Pinkas, lecz prędko parę kopnięć zmusiło go do milczenia.

— Aresztują! aresztują złodziei!... — przeleciało po rynku.

— Matko najświętsza!

— To niemożebne!...
— Pojechali do Lajnbramów...
— I do paserów.
— Zatrzymali się przed „zdechłą sroką"...
— O!... tam wchodzą do tego złodzieja jubilera, co to wszystkie zegarki skradzione z miasta wywozi.
— Wreszcie może ustanie nasza bieda!...
— O! o!... patrzcie... słyszycie tam na wale krzyki.
— Aresztują i tam!
— Jest pewnie ze czterdziestu żandarmów.
— Ależ, gdzie teraz jedzie ten najstarszy?
— !!!
— Ach patrzcie!
— Patrzcie!
— Do policji!
— Do... niego?...
— Do Tagiejewa!
— Jezus Marja!...

. . . . . .

Dzwonek.

Nic, tylko dzwonek krótki, urwany — jeden, drugi. Tagiejew w kurtce nie pije herbaty, tylko chodzi po pokojach. Chodzi i gryzie paznogcie.

— *Czortowaja mat'* — klnie, sam nie wie kogo.

Nagle słyszy ten dzwonek.

Zwinął się prawie cały. Nie wie, czemu

się tego dzwonka tak bardzo zląkł. Katiuszy niema, poszła do miasta...

Nie otworzy.

Lecz oto dzwonią po raz drugi. I z Tagiejewem dzieje się rzecz dziwna. Tam, poza temi drzwiami przedpokoju jest jakaś siła, jakaś moc. Coś go ciągnie w przeznaczenie jego jak dno przepaści. Ciągnie, i wie Tagiejew, czuje, że pociągnie.

I po drugim dzwonku zwrócił się Tagiejew ku drzwiom przedpokoju i szedł jak zahypnotyzowany tam, gdzie czekało na niego to, czego już uniknąć nie mógł.

Otworzył drzwi wchodowe.

Poza niemi stał Hordyj w swym fiołkowym mundurze, spokojny i wyprostowany.

— *Ja k'wam pa diełu!* — wyrzekł suchym, urzędowym głosem.

Tagiejew, nie mówiąc ani słowa, drzwi mu do salonu wskazał.

Hordyj i towarzyszący mu oficer weszli szparko i udali się do bawialni. Ich strojne figury zarysowały się silnie w jasnem, słonecznem oświetleniu.

Za nimi powlókł się Tagiejew ogłupiały, postarzały, z obwisłą wargą i rozbieganemi nerwowo oczyma....

XIII

HYGIENICZNE... WIĘZIENIE. I NIETYLKO TEN SZARY MUR! KILKA SŁÓW Z ODDALI. WIDMO JANI. OBCY PODDANY! PRZEPADNIE BEZ WIEŚCI. KATORGA DUCHA. DZIWNA NOC. MUREM ROZDZIELENI - DUCHEM ZŁĄCZENI.

Niepodobna nawet wypowiedzieć, o ile Klicki byłby wolał, ażeby to „więzienie", w którem go po przywiezieniu do gubernji osadzono, było rzeczywiście „więzieniem".

Tymczasem ten pokój w suterynie czysty, podłużny z niedużem oknem, wychodzącem na jakiś mały zakamarek, wznoszący się jak studnia, miał wszelkie pretensje do hygieny, do tego czegoś „ludzkiego", którem ludzie okrucieństwa swoje względem drugich pokrywać zwykli.

Było tu niby i widno, i trochę powietrza, i warunki zdrowotne zachowane — ale to wszystko było *niby*.

Pod tą osłoną jęczały i biły utajone rozpaczliwe nawoływania. To była hygieniczna *kaźń*. Trup ziejący zgniliznę zdrowotną. Klicki to czuł — wrzał cały tym buntem i obijał się o jasno posmarowane ściany szaleństwem swych nerwów, które krył z całą siłą, na jaką go stać było.

— Nie dojrzą nic... — postanowił.

Sądził, że będzie badany. Gotował się na utarczki, na podjazdowe wojny. To zajmowało mu umysł, rozrywało go. Ciągle przeżywał sceny badań.

— Powiedzą mi to i to, ja wtedy zamilczę jednak — na takie ich słowa odpowiem im to...

Miał już plan cały ułożony — i czekał.

Lecz czekał napróżno.

Minęły trzy dni, nikt się do niego nie zgłosił. Jedynie dozorca więzienny z nieufną i tępą twarzą wnosił kubki z jedzeniem i spełniał inne posługi. Zachowanie się jego było zachowaniem manekina. Zdawał się być żandarmem, który, będąc chorym i niezdolnym do czynnej służby, został przydzielony do więzień.

Z początku to automatyczne wchodzenie obcego drażniło Klickiego. Przyjmował go ze zmarszczonemi brwiami i odwracał się do okna, podczas gdy dozorca po celi się krzą-

tał. Powoli przecież towarzyskość zwierzęca wzięła górę. Chwilę oddychał ktoś w jego pobliżu i to mu zaczynało sprawiać bezwiedną ulgę. Spojrzał więc raz, drugi w twarz tego człowieka i jako malarz wyczuł w niej zasadnicze rysy. Wszystko w tej twarzy jakby uciekało, czoło, broda, oczy, powieki, wszystko ciążyło gdzieś, gubiło się w linjach niepewnych. To było widoczne, ten człowiek miał w sobie niepochwytliwość pewnego gatunku ryb, ślizgających się pomiędzy palcami.

Klicki trzeciego dnia naprężonego oczekiwania na wezwanie stracił cierpliwość.

Nerwy jego nie mogły wytrzymać dłużej tego natężenia.

Siedział na krześle przy stole z głową opartą na ręku i usiłował patrzeć w okienko. Lecz wola jego nie miała już dostatecznej siły.

Patrzył na szary mur, rozciągający się przed oknem bezbarwną płachtą, a oczy jego widziały smugi, gzygzaki, piorunowe linje.

Poza nim snuł się dozorca, jak zawsze milczący. Ciężki jego, astmatyczny oddech miarowo wypełniał celę. Ranek był wiosenny, ale jakiś duszny, mury więzienne ziały zimową wilgocią.

Nagle Klicki uczuł, że *musi* przemowić choćby słów kilka, nie dla dźwięku, ale dla zapytania, dla dowiedzenia się wreszcie czegoś...

— Słuchajcie!... — odezwał się i w pier-

wszej chwili zdawało mu się, że ten głos bije gdzieś zdaleka z przestrzeni od kogoś obcego.

— Słuchajcie!... kiedy mnie będą badali?...

Dozorca nie przerywał swej roboty. Ramionami tylko ścisnął na znak swej nieświadomości. Lecz teraz Klicki zapragnął posłyszeć ludzki głos, chciał, aby mu odpowiedział ten człowiek o zamkniętej duszy i o ciężko dyszących ustach.

— Kiedyż mnie wezwą?... nic nie wiecie?

Ponowne ściśnienie ramion.

— Powiedźcie tam komu należy, że ja chcę być jak najprędzej przesłuchany, czy słyszycie?

Tępe spojrzenie nieufnych oczu i więcej nic. Milczenie i oddech ciężki.

Klickiemu zda się nerwy grają na powierzchni skóry.

— Dlaczego nie odpowiadacie, kiedy do was mówię? To, o co was pytam, to rzecz służbowa, musicie mi odpowiedzieć...

Lecz dozorca już nie patrzy, nie wzrusza ramionami. Nadzwyczaj spokojnie chodzi dalej po celi i załatwia swoje sprawy.

Klicki porywa się z krzesła.

— Czy rozumiecie, co wam każę? — krzyczy — niech mnie badają! Co to znaczy, żebym tu siedział w ten sposób zamknięty? Zawołać do mnie kogoś starszego!

I znów cisza.

Dozorca tylko cofa się do drzwi i znika

poza niemi. Chrzęst klucza, założenie „sztaby“ i oto wszystko...

Klicki opada na krzesło. Spodziewa się przecież, że dozorca poszedł po tego „starszego“, że lada chwila ktoś wejdzie. Z natężeniem zaczyna łowić szmery na korytarzu. Słyszy tylko, jak otwierają się drzwi innych kaźni, potem ich miarowy łoskot, zasunięcie „sztaby“ i oddalające się kroki.

Klicki porywa się z krzesła i zaczyna chodzić po celi. Co parę kroków obija się o ścianę i zawraca. Czeka południa. Przecież ktoś nadejdzie! Wreszcie dozorca wnosi obiad. Stawia ubogie kubki na stole. Klicki natychmiast go pyta:

— Cóż?... mówiliście?

Coś jakby mrugnięcie powiek. Niby znak przytakujący.

— Kiedyż przyjdą?

Ściśnienie ramion i ciężki oddech spracowanego zwierzęcia.

Klicki już się nie rzuca. Osłabł nagle. Opadły mu ręce wzdłuż ciała. Stoi tak przy stole nad kubkami i patrzy w nie pełen osłupienia.

Dozorca wychodzi.

I dzień mija powoli, długi dzień wiosenny. Klicki odsuwa jedzenie i chodzi znów po celi. W miarę, jak zbliża się wieczór, ogarnia go znów gorączka. Kilkakrotnie ktoś szedł kurytarzem. Raz nawet słyszał kilka głosów. Doleciały przez otwór we drzwiach słowa:

— *Balnaja... suma schadit, ili czto...*

I potem znów nastała ogromna, przedwieczorna cisza.

Do Klickiego nie zgłosił się nikt.

Gdy dozorca wniósł wieczerzę, Klicki był u szczytu rozdrażnienia. Pił właśnie wodę ze dzbanka, aby choć trochę ugasić gorączkę. Twarz o uciekających rysach stanęła przed nim w całej grozie swego tajemniczego milczenia. Spojrzał i natychmiast odwrócił oczy. Nie umiał poprostu znaleźć słów, aby przemówić do tego człowieka.

Uczuł, że wszystko będzie napróżno.

Noc minęła mu bezsennie. Nad ranem zasnął trochę, majaczył. Widział Janię tak blisko, iż zerwał się i usiadł na posłaniu. Przeczulonemi nerwami wyczuwał rzeczywiście jej obecność. Byłby przysiągł, że i ona gdzieś w pobliżu nie śpi, trwoży się i duszą całą rwie się ku niemu. Wyciągnął ręce.

— Janiu!... moja Janiu!...

Nie za kobietą wołał w tej chwili, lecz za smutkiem, za cierpieniem przeogromnem, w którem się ta kobiecość rozpływała. Była mu bliską tym bólem odosobnienia i prześladowania, jaki on czuł w sobie. I cierpiał w tej chwili jej bólem więcej jeszcze, niż swoim. Miał ją przy sobie taką bladą, smutną, stojącą z rekami obwisłemi tym ruchem, który on już przyswajać sobie zaczynał.

Pot zrosił mu czoło.

— Czyż i ona jest tu? W tych murach? — pomyślał.

Wyskoczył z łóżka i zaczął się pośpiesznie odziewać. Szary ranek niepewnie rozmazywał po ścianach swoją jasność. Klicki odziewał się machinalnie, nie wiedząc sam. co czyni. Zdawało mu się, że lada chwila posłyszy krzyk Jani, że rzuci się jej na pomoc.

Lecz milczenie głębokie, panujące na kurytarzu, przywołało go do przytomności.

Napił się trochę wody i zaczął znów chodzić po celi.

— Dziś pewnie — uspakajał się — dziś pewnie ktoś do mnie przyjdzie.

Jedno sobie postanowił, nie zwracać się więcej do dozorcy. Zbudziła się w nim duma.

— Będę czekał — myślał — muszą przecież ze mną coś zrobić.

Nagle przeszyła go nawskróś myśl, że czasem zdarza się w Rosji, iż jakiś obcy poddany przejechał granicę i... przepadł bez wieści.

Przepadł bez wieści!

To właśnie znaczyły takie marne cztery ściany, ta ich szara nagość, to straszne, co się z każdego kąta wysuwa.

A równocześnie budzenie się i rośnięcie pragnienia czynu, poczucie ogromnych jakichś sił, których się nie przeczuwało, a które aż rozpierają pierś, aby stać się pokotem snopów, z których sypią się ziarna, karmiące spragnione pociechy dusze.

. . . . . .

Minęło dni kilka.

Do celi Klickiego, prócz dozorcy, nie przyszedł nikt.

Nie wzywano go, nie badano, zdawało się, iż zapomniano zupełnie o jego istnieniu.

Był „murem", któremu się należała porcja jedzenia. Tę porcję przysyłano mu i kończono z nim rachunki.

To było wszystko.

On jeszcze czekał ciągle i teraz starał się doprowadzić do ładu swe myśli i swój ustrój nerwowy.

— Skoro się będę szarpał, nie na wiele mi się to przyda — uspakajał się — wszystko należy przeczekać.

Unormował sobie dzień, licząc godziny od świtu do zjawienia się dozorcy. Nie mógł tylko pozbyć się jednej denerwującej go i prześladującej myśli. Oto — ciągle, bezustannie narzucała mu się scena przesłuchania, jaka go czeka. Te pytania, jego odpowiedzi — ciągle, ciągle tłoczyły mu się w mózgu. Gdy zasnął, widział we śnie twarze badających go ludzi. Na jawie byłby mógł narysować je, tak przedstawiały mu się dokładnie

— W tej samotności szaleństwo mnie się czepia... — przeraził się pewnego ranka.

Lecz mimo to owe „bruliony" przesłuchań snuły się przed nim bezustannie. I rosły w nim i olbrzymiały dawniej mu nieznane wątpliwości.

I tak — pewnego dnia zbudził się w nocy nagle zdjęty niepokojem.

— Jeżeli mnie przywołają, czy powinienem powołać się i chronić za nietykalność moją jako... obcego poddanego?

Obcy poddany!

. . . . . .

Tak... obcy poddany. Granicą przedzielony, kolorem paszportu — rządem, który się nad nim rozpostarł zuchwale.

On jest poddany austrjacki, więc jako Rosyanin nie zawinił. Wolno mu było jako „austrjakowi"...

Lecz czy zawinił jako człowiek, ogólnie rzecz biorąc, czy jako... Polak?

Polakiem był, bez różnicy, czy austrjackim, czy rosyjskim, czy pruskim poddanym.

Jako Polak niósł bunt i pochodnię krzyczącą płomieniem: „Precz z uciskiem!... oddajcie swobodę..."

Polakiem się czuł jedynie w tej chwili, gdy zapadły za nim drzwi więziennej kaźni. Nie „austrjackim poddanym" bezprawnie więzionym cierpiał, lecz swobodnym człowiekiem, który dyszał płomienną chęcią padnięcia na glebę, której był synem i wchłonięcia z niej tego ducha, który był podstawą jego istoty.

— Nigdy nie zastawię się mem poddaństwem austrjackiem. Niech mnie sądzą jako Polaka, nie jako obcego. Jestem jeden, jestem złączony nierozerwalną siecią z całą resztą kraju. Nie chcę, by mnie jedna opresja broniła przed drugą...

Tak myślał Klicki i temi myślami przepajał się cały. Wyciągał z nich ekstrakty i kuł z nich stal swych przekonań. Rósł w nim duch coraz hartowniejszy, coraz bardziej jednolity. Skupiał się i przetrawiał nietylko z tego, co zgadywał i odczuwał, lecz z tego, co i sam już przeszedł.

— Niech oni mnie tylko wypuszczą! — myślał.

. . . . . .

Lecz go nie wypuszczali.

Mijały znów dnie i noce. Klicki powoli zaczynał utracać hart panowania nad sobą. Nie szarpał się, nie rzucał, nie rwał się na strzępy, lecz jakoś martwiał, a ta martwota zaczynała kosztować go ogromnie dużo sił. Nie nadsłuchiwał szmerów na korytarzu, lecz odwalał bryłami dzień, bryłami cichego wyczekiwania, i każda stacja kosztowała go szalone wyczerpanie i okrywała udręką.

Przerażała go ta myśl, iż nikt może nie troszczy się o niego, że pozostawiono go jego losowi. Są chwile, w których człowiek musi tulić się do cudzych ludzi, w których musi szukać jakiegoś oparcia. Klicki w tej bezdni, w jaką wpadł, nie miał nikogo, nawet nie czuł nerwami, iż ktoś zna położenie, w którem się znajduje.

I to go bolało najwięcej.

Pewnego wieczora starał się usnąć, bezskutecznie. Nigdy może tak żywo Jania nie

stała przed jego oczami. Ponieważ powoli dziewczę zidentyfikowało się niejako z uczuciem, jakie wzbudziło się w nim dla zgnębionego kraju, coraz więcej gorętszym płomieniem szlachetniejszej siły przepajał swe przywiązanie dla narzeczonej.

Jania nigdy już nie zjawiła się przed nim tak, jak dawniej, roześmiana, wesoła, ptaszęca w swych różowych muślinach, lecz jej blada twarzyczka owiana była czernią, a oczy zapadłe głęboko otoczone były sinym pierścieniem, ślubującym trosce wierność bezustanną.

— Moja... biedna...

Na korytarzu rozległy się ciche kroki kilku osób. Szli w kierunku celi Klickiego. Władysław zerwał się i usiadł na posłaniu.

— Po mnie — pomyślał.

Ciemność panowała zupełna. Na korytarzu paliły się gazowe płomienie, lecz po celach już był gaz zgaszony.

Kroki minęły drzwi Klickiego, lecz zatrzymały się w korytarzu opodal.

— *Razwie ona adieta?* *) — pytał jakiś głos, Klickiemu znajomy.

— *Da! maja żena adieła* **) — odpowiedział głos drugi.

Powóz gotów? — pytano znów po rosyjsku.

— Dwa powozy.

— I ludzie?

---

*) Czy ona ubrana?

**) Tak. Moja żona ją ubrała.

— Tak.

— Może będzie krzyczała?

— Nie. Ona całkiem spokojna.

Klicki słyszał te słowa urywkami, niedokładnie. Zrozumiał z nich, iż będą kogoś wywozili, prawdopodobnie jakąś kobietę.

Posłyszał dalej odryglowanie drzwi, odsuwanie „sztaby", wreszcie ruch większy na korytarzu. Kogoś wyprowadzono z celi, znajdującej się naprzeciw.

I Klickiemu serce nagle tak gwałtownie bić zaczęło, że tchu nabrać nie mógł. Ktoś zdawał się opierać milcząco, bo głos, znany Klickiemu, przemówił po polsku:

— Proszę... niech się pani nie boi, proszę podać mi rękę.

Jakiś cichy jęk, jakby ktoś harfą potrącił.

— Niechże pani stąd wyjdzie... tam lepiej pani będzie.:. tu ciemno, nie dobrze... Dlaczego pani nie chce?

I znów cichy tylko jęk.

— Skoro pani wyjdzie stąd, to pani zobaczy może ojca, brata...

Milczenie

Nawet nie słychać jęku.

I głos gniewny już i zniecierpliwiony po rosyjsku.

— Odczep jej ręce od drzwi i wyprowadź... spóźnimy się na pociąg.

Klicki zwłóczy się z łóżka. Coś go ciągnie ku drzwiom. Cicho, podkrada się, do desek przypadł.

Kogoś wyprowadzili na korytarz i prowadzą wzdłuż jego drzwi. Ten ktoś żali się cichutko, jęczy... Jakiś głos pół kobiecy, pół dziecinny. To musi być młode dziewczę...

Teraz przesuwa się tuż koło niego. Desek jakby nie było. Ociera się suknią o jego ciało. Jezus!... ta blada twarz!... on ją widzi, pomimo przeszkody, on ją widzi swą nerwową istotą — to ona!...

To, Jania!...

— Janiu! Janiu!...

Lecz już minęli drzwi i oddalają się.

Z nimi kona w oddali głos harfy trąconej...

Skonał.

Klicki osunął się na klęczki, ręce wyciągnął.

— Moja... biedna!...

XIV

ŁAPÓWKA. DZIWNE GŁOSY. PROJEKT GŁODOWEGO STREJKU. ROBOTNICY Z DĄBROWY. STREJK POSTANOWIONY. NIECH ŻYJE POLSKA SOCJALISTYCZNA. POWOLNE TORTURY. ZJAWIENIE SIĘ AKSAKOWA. DUCH MOCNY, SIŁ BRAK. W CIEMNĄ NOC.

Od tego dnia zaczęło się znów dla Klickiego inne w celi życie.

Martwota jego zbogaciła się szalonym bólem i niepokojem.

On wiedział, on mógł na ewangelję przysiądz, że Jania jest uwięziona, chora, że ją wywieziono gdzieś pociągiem, w asystencji żandarmów.

Gdzie?

Do Warszawy, do cytadeli.

Ona, pewnie i Kazio. Wszystko się łączyło, jego aresztowanie na granicy, słowa Tagiejewa o przyznaniu się Horskich, znalezienie jego przewózki.

I w Klickim zawrzało jedno pragnienie. Przynieść ulgę tym dwojgu dzieciom, wziąć winę na siebie, zaprzysiądz (jeśli to wystarczy), że oni o niczem nie wiedzą.

Niech go ześlą, niech go osadzą na całe życie w jakiej Petropawłowskiej *kreposti*, ale niech ją puszczą żywą, niech jej nie włóczą w otoczeniu siermięg i kołpaków po korytarzach więziennych, tę słodką, tę jasną...

Na to jednak trzeba koniecznie, ażeby go przesłuchano.

A nad nim zda się zapadło wieko trumny i położono krzyż.

Gdyby mu pozwolono mówić, gdyby się zapytano, on miał tak wszystko przygotowane, ułożone, iż oni musieliby uwierzyć, że to on sam, on jeden winien jest i powinien tę „karę" odcierpieć.

Choć go to kosztowało wiele, zwrócił się znów do dozorcy. Miał przy sobie kilkadziesiąt guldenów, które na wszelki wypadek zasunął poza podszewkę buta. Postanowił owego dozorcę spróbować przekupić.

Pewnego południa, gdy astmatyk wszedł do jego celi, Klicki powstał nagle z krzesła i bez żadnego przygotowania podał dozorcy banknot dziesięcioguldenowy.

Umykająca ręka wyciągnęła się, banknot wzięła i oczy pytające wlepiły się w Klickiego.

Instynktem wiedziony wyczuł Klicki, co trzeba powiedzieć.

— Przynieście mi papierosów — wyrzekł

obojętnie. — To pieniądze austrjackie... należy zmienić — dodał po chwili.

Dozorca głową skinął.

Gdy wyszedł, gorączka ogarnęła Klickiego. Co będzie? Czy dozorca wypełni jego zlecenie, czy odda pieniądze władzy? Zaczął oglądać się po celi, aby ukryć gdzieś resztę pieniędzy. Czysto było, hygienicznie, o żadnej skrytce myśleć nawet było nie można.

Gdy dozorca z obiadem wszedł, Klicki bał się spojrzeć mu w oczy. Z uczuciem ogromnej ulgi spostrzegł rękę chudą i czarną, wysuwającą się z trzema pudełeczkami papierosów i pudełkiem zapałek.

Następnie ręka się cofnęła i powróciła z garścią pełną pieniędzy.

Klicki pieniądze odsunął.

— Niech będą u was... będziecie mi kupowali papierosy.

Zupełnie spokojnie ręka cofnęła się z pieniędzmi.

Dnia tego Klicki nic więcej z dozorcą nie mówił. Lękał się spłoszyć go. Zaczynał nabierać chytrości. Zresztą papierosy uspokoiły mu trochę nerwy. Zdołał drzemać, nie śniąc o niczem. Nad ranem jednak zbudził się i doznał jakby przebolesnej rany w sercu. Cierpiał niewymownie, asystując w milczeniu powstawaniu światła, które dochodziło do niego smutne i chorobliwe, przefiltrowane przez cień jamy okiennej.

— Może tam słońce wstaje nad błoniami

w Bronowicach, błękitne chałupy zaczyna otulać zieleń wiosenna... a ja...

Zakrył oczy i leżał nieruchomy, woląc nie widzieć tej szarości cmentarnej, która się powoli do niego skradała.

W południe nie wytrzymał i przemówił do dozorcy:

— A na dworze... słońce?...

Zatrzepotały powieki astmatyka. Wreszcie ze ścieśnionego gardła wysunął się głos:

— *Da, sołnyszko!*

— Czy mnie nie wypuszczą na spacer? Chciałbym przejść się...

— *Nie śmieju znat'.*

— Zapytajcie się. Powiedźcie, że ja chory, że ja potrzebuję powietrza.

Dozorca ukośnem wejrzeniem obrzucił postać Władysława i nic nie odpowiedział. Gdy jednak wrócił z wieczerzą, widocznie działał w porozumieniu z władzą, gdyż okno poza kratami otworzył.

Nieokreślone, zgniłe powietrze buchnęło z podwórka.

Klicki zrozumiał, że to ma zastąpić mu owo wyjście na spacer i zamilkł.

Równocześnie ze zgnilizną powietrza wpadł do celi Klickiego jakiś gwar. Kilku ludzi mówiło dość szorstkiemi głosami po polsku. I Klicki dokładnie posłyszał:

— A ja ci powiadam strejkujemy głodowo... nic... tylko to...

Podniósł się gwar.

— No to co? — krzyczał pierwszy głos, — nie „obuchacie bandziochów“ dotąd, dopóki wreszcie z nami co nie zrobią... Słyszeliście?

I znów krzyk.

Klicki zbliżył się do okienka.

— Kiedy was z Dąbrowy przywieźli, te psiamacie?

— Po jesiennym strejku.

Wszczął się lament.

— Pół roku!... pomsta na nich...

— Strejkować głodem...

Dozorca do okienka podszedł i zamknął je na kłódkę i milcząc wyszedł z celi.

W głowie Klickiego zakłębowały myśli.

— Strejk głodowy... mówili ci na piętrze... co to znaczy?...

Całą noc analizował te słowa. Wreszcie dotarł do ich znaczenia. Strejk głodowy, to znaczy, że wszyscy jeść przestają i nie jedzą... dokąd...

Tu urywały się jego kombinacje.

— Dokąd nie jedzą? — Czego chcą ci ludzie? Z Dąbrowy ich przywieźli, znaczy się z kopalni węgla, lub z hut dąbrowieckich. Strejkowali. Wyłowili „menerów“, przywieźli do gubernialnego więzienia i tu pół roku trzymają...

Klicki doznał olśnienia, aż usiadł na łóżku, tak go jedna myśl przejęła.

— Może trzymają ich tak jak jego? — może i oni nie mogą doczekać się wezwania do badań, może i oni mają przepaść bez wieści?

Nazajutrz rano, gdy przyszedł dozorca, Klicki zażądał kategorycznie, aby mu okno choć na chwilę otworzył.

Dozorca pokręcił głową.

— *Poslie abieda* — wyrzekł — *takoj prikaz!*

Klicki cierpliwie czekał wieczora. Gdy podczas wieczerzy dozorca okienko otworzył, Klicki aż paznogcie wbił w krzesło, na którem siedział, aby się do okna nie rzucić. Jakaś cisza panowała na piętrze. Słychać było czasem jakiś głos, ktoś gwizdał. Klicki zdołał przemódz na sobie, że do okna się nie zbliżył. Chciał pozyskać zaufanie dozorcy i skłonić go, aby pozostawił go samego w celi z oknem rozwartem.

Postępował w ten sposób dni kilka. U dozorcy nie upominał się o pieniądze. Ten nieproszony dwa razy jeszcze przyniósł Klickiemu papierosy. Wreszcie jednego dnia nad wieczorem, gdy otworzył okienko i później spinał się, aby je zamknąć, Klicki powstrzymał go gestem.

— Zostawcie trochę... macie tu jeszcze pieniędzy i przynieście mi jeszcze papierosów.

Dozorca jakby chwilkę się zawahał, ale szybko wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Klicki natychmiast do okienka poskoczył i krat się rękami uczepił.

— Hej tam z piętra — zawołał silnym głosem — chodźcie tu do okna!

Na piętrze zapanowało głębokie milczenie.

Gwizdanie umilkło. Rzecby można, że wyczekiwano dalszych odezwań się Klickiego.

— Nie bójcie się — zaczął znów Klicki — za co siedzicie?

Ktoś na górze do krat także się przysunął.

— A wy?

— Z Krakowa jestem. Klicki się nazywam. Aresztowali na granicy... Jeżeli macie styczność z ludźmi, powiedźcie. Niech czynią starania... Wpadłem jak w studnię... Nie badają, nie wołają do śledztwa... Nic — skonać przyjdzie.

Wyrzucał to wszystko rozpaczliwie ze siebie, urywanemi zdaniami. Wreszcie umilkł wyczerpany.

Zaraz na piętrze rozległ się hałas.

— My tak samo... pół roku nas tu trzymają... Jeszcze nas nie badali... nic... Tam żony... dzieci.,. Manią nas, że z Petersburga nie nadchodzą rozkazy... mamy dosyć...

— Chcecie strejkować?

— Tak, głodem.

— Kiedy zaczynacie?

— Jutro.

— Ja z wami!...

— Dobrze!... tylko się trzymać... muszą przecież z nami coś zrobić, gdy zobaczą, że głodem się chcemy zamorzyć.

— Muszą!...

— Jutro!...

— Jutro!

Klicki zeskoczył z okienka. Zaledwie

usiadł na krzesełku, w tej chwili wszedł do celki dozorca i papierosy przed nim położył. Reszty pieniędzy jednak nie podawał i zaraz do okienka podszedł i zamknął je na klucz.

Klicki nawet głowy nie odwrócił.

Nazajutrz rano Klicki wstał z najsilniejszem postanowieniem rozpoczęcia owego głodowego strejku.

— Oni sześć miesięcy siedzą i władza się o nich nie troszczy — pomyślał — a przecież tam muszą się o nich upominać ich rodziny, towarzysze pracy, idei. Cóż będzie ze mną, który nie mam nietylko tutaj w Królestwie, ale wogóle na świecie — nikogo?

Odsunął śniadanie i nie jadł.

Gdy dozorca przyniósł mu obiad, odsunął także kubki z jadłem i wziąwszy go za rękaw kapoty, dobitnie powiedział:

— Słuchajcie co wam powiem! Nie będę jadł... rozumiecie mnie? — nie będę jadł zupełnie, dokąd tu kto z władzy się nie zjawi po to, aby mnie wysłuchać i ze mną jakiś porządek zrobić. Zrozumieliście?

W pierwszej chwili na twarzy dozorcy odbiło się jakby zdziwienie.

To samo objawili dziś robotnicy z zagłębia dąbrowieckiego, pół roku temu przywiezieni i dotychczas bez żadnych badań w więzieniu trzymani.

Lecz prędko maska twarzy o rysach umykających pozostała znów jednakowo nieruchoma.

— Zabierzcie to!... jeść nie będę! — mówił doń Klicki.

Dozorca kubki z jadłem na stole rozstawił i z celi wyszedł.

Klicki nie przeczuwał, że zaraz się ktoś z władzy zjawi. Był przekonany, że dozorca złoży raport o stanie rzeczy, tembardziej, że nie był odosobniony i że na piętrze odmówiono też jadła. Był to już protest zbiorowy i z tem liczyć się będzie chyba zarząd więzienia tak dbały o „hygienę" swych gości.

Pod wieczór Klicki uczuł zwierzęcy popęd do jadła. Była to jedna chwila, ale sprawiła mu dojmującą przykrość. Sądził, że jego duch podniesiony potrafi tak dalece ujarzmić fizyczną stronę jego istoty, iż ta nie będzie śmiała ani na chwilę objawić swych instynktów.

Gdy dozorca przyniósł jadło wieczorne i w milczeniu sprzątnął kubki z nietkniętym obiadem. Klicki wskazał mu okno. Dozorca rozkaz spełnił, lecz nie wyszedł z celi i Klicki nie mógł zbliżyć się do okna. Słyszał, że na górze rozmawiają głośno i że kilka głosów śpiewa marsyljankę. Pomyślał w tej chwili, iż ci ludzie idą w ów strejk głodowy z jakimś zapałem, którego on nie ma.

— Jestem sam — pomyślał ze smutkiem.

Do dozorcy się zwrócił:

— Mieliście władzy to, co wam kazałem, powiedzieć.

Dozorca głową skinął.

— *Da!* — wyrzekł lakonicznie.

— No?...

Ścisnienie ramion i milczenie zupełne.

Noc nadeszła. Klicki usiłował zasnąć, lecz fizyczna przykrość głodu budziła go co chwila.

Kubki z wieczerzą stały na stole. W ciemnościach czuł, że są. Raz nawet nad ranem zbudzony gwałtownemi nudnościami, zapalił zapałkę i ledwo oprzytomniał wtedy, gdy ręką kubka z mlekiem dotykał. Cofnął rękę i zapalił papierosa. Doznał pewnej ulgi i zasnął twardo.

Następny dzień minął mu na jeszcze cięższej walce. Chodził po celi, pił wodę, walczył z gorączką, która zaczynała go trawić. Coś ssało mu wnętrzności, w głowie panował huk, w uszach dzwoniło. Palił papierosy i z przestrachem dojrzał, iż ma zaledwie parę.

— Przynieście mi papierosów! — wyrzekł wreszcie do dozorcy.

— *Nie lzia!* — wyrzekł i do okienka, aby je otworzyć podszedł.

Klicki uczuł konieczną potrzebę porozumienia się z tymi, którzy mu podali pierwsi myśl o głodowym strejku. Szybko podszedł do okienka i zawołał pomimo obecności dozorcy:

— Czy głodujecie?

— Tak. — zagrzmiało z góry — a wy?

— Ja także!

— Trzymajcie się!... my ich psubratów zmusimy!

— Precz z caratem!...

— Niech żyje Polska wolna i socjalistyczna!...

I silne głosy zaintonowały Marsyljankę.

Dozorca do okienka się drapał.

— *Adajditie!* — krzyknął na Klickiego.

Lecz on podniecony za kraty uchwycił.

— Niech żyje Polska socjalistyczna!... — wołał, łącząc swój głos z tonami Marsyljanki.

Szyby okienka zapadły, a na nie rozwinęła się silna siatka druciana, która przedtem zwinięta sterczała w kącie okna.

Klicki zaczął się śmiać nerwowo.

— Ach bydło!... bydło ze swemi siatkami — wyrzucił ze siebie w gorączce — bydło!...

Podszedł do łóżka i rzucił się na nie.

Przedtem jeszcze pochwycił kubki z wieczerzą i rzucił je na ziemię. Ciepłe kluski rozlatując się po podłodze, wydały ze siebie woń świeżego kleju.

Klicki twarz w poduszki ukrył, ażeby tej woni nie czuć.

. . . . . .

Noc, która minęła, była jeszcze straszniejsza, niż poprzednia. Klickiego paliły wnętrzności, tak jakby ktoś rozniecił mu ogień wewnątrz ciała. Żar ten posuwał się do gardła i ogarniał mu uszy i wdzierał się do mózgu. Chwilami zdawało mu się, że to rzeczywiście płomień jakiś we wnętrzu jego goreje. Woda

nie mogła ugasić tego żaru. Papierosy mu wyszły. Siedział więc na łóżku pogrążony w ciemności, cierpiąc niewypowiedzianie.

— Oni tam na górze także cierpią tak samo — pomyślał, chcąc w tej myśli znaleść ulgę.

Lecz to było słabą pociechą. Fizyczne dolegliwości schwyciły go w swe szpony, porywając mu nawet swobodę myśli.

— Teraz mi huczy w głowie... teraz znów śliny cisną mi się do ust... gorączka rośnie... Chryste... ratuj!...

Wyskoczył z łóżka. Stał drżący w ciemni. Przed oczyma zamajaczyła mu nagle plama strawy rozlana na podłodze.

— Nie pamiętam, czy sprzątnął — pomyślał.

Na kolanach posunął się po podłodze, drżącą ręką namacał oślizgłą zimną kupę. Pochwycił w palce parę klusek i podniósł do ust. Zaledwie jednak poczuł je w przełyku, porwały go wymioty. Wyrzucił to ohydne jadło. To go oprzytomniło.

— Nie... nie... — pomyślał — gdybym nawet teraz jeść chciał, nie mógłbym, organizm odmawia.

To mu przyniosło ulgę. Przestał walczyć ze sobą, uważał tę walkę za zbyteczną. Uśmiechał się radośnie na myśl, że oto jego własny organizm dopomaga mu w wytrwaniu w tem postanowieniu.

Świt zastał go sennym i wyczerpanym.

Nie spojrzał na kubek herbaty i kawał chleba, który dozorca na stole postawił.

Południowy posiłek zastał go tak samo obojętnym, leżącym z twarzą zwróconą ku ścianie.

Dozorca zlekka dotknął jego ramienia.

— *Wieleli skazat'* — wyrzekł — *czto...*

Klicki odwrócił się i świecącemi od gorączki oczami patrzył w twarz dozorcy.

— Mówcie po polsku — wyrzekł szorstko — nie rozumiem po rosyjsku.

Dozorca jakby się zawahał, lecz zaraz odparł dość dobrą polszczyzną.

— Kazali wam powiedzieć, coby jedli...

Klicki usiadł na łóżku.

— A ja wam kazał powiedzieć, żeby mnie przesłuchali.

— Ja powiedział.

— No?

— Kazali powiedzieć, coby jedli.

Klicki szarpnął się nerwowo.

— Nie będę jadł, dokąd tu kto nie przyjdzie.

I znów drżącą ręką zrzucił na ziemię kubek z herbatą.

Dozorca wyszedł.

Klicki upadł na posłanie. Cała ta scena wyczerpała go do dna. Każde słowo, każdy ruch sprawiał mu dotliwy ból. Leżał, oddychając ciężko. Każdy muskuł bolał go. Przed oczami snuły się pasy szarawe i mgliste.

Uporczywie uczepił się jego mózgu jeden nic nie znaczący frazes.

— Dużo ludzi było i poszli...

Jak długo tak leżał, nie wiedział sam, stracił poczucie czasu. Chwilami zdawało mu się, że to jest noc i że płonie daleko jakaś purpurowa lampa. To światło czerwone zjawiało się, gdy przymknął powieki. Przez szare fale przebijał punkt krwawy, otoczony żółtą poświatą...

— Słońce zachodzi nad mazowiecką równią!...

Nagle dały się słyszeć szparkie kroki.

Ktoś szedł kurytarzem, zmierzając do jego celi.

Lecz Klicki nie poruszył się.

Przeczulony nerwowo wyczuł, że do niego idą, ale nie wzruszyło go to. Dążył to tego całą siłą i gdy osiągnął, nie miał już sił, aby nawet pochwycić swe zwycięstwo.

Drzwi celi się otworzyły. Ktoś głowę schylił, tak był wysoki i do futryny dostawał.

Zamajaczył fioletowy surdut. Przybyły czapkę zdjął i po celi się rozglądnął.

Szarawe światło okna, przyćmione koronką siatki, kładło mu na twarz jakby welon tiulowy.

Klicki oczy otworzył i bez ruchu patrzał.

Przed nim, z czapką w ręku, stał Aksakow-Montwiłł.

— Dzień dobry panu! — wyrzekł grzecz-

nie — pan ma jakieś żądania. Proszę sformułować, poto przychodzę.

Klicki dźwignął się z trudem i oparł łokciem o poduszki. W głowie miał pustkę lodową. Wszystkie myśli zdały się uciekać, jak klucz żurawi i kantem przebijać czaszkę, przez którą wpływał prąd ostrego składu.

I on, który poprostu żył przez te długie, więzienne dni myślą, o czem mówić będzie gdy wreszcie ktoś z nich stanie przed nim nie umiał znaleźć ani słowa z tych nagromadzonych zapasów, które stworzył w chwilach osamotnienia.

— Czy pan życzy sobie może książek — pytał dalej Aksakow — czem możemy służyć, będziemy. Czy wikt więzienny nie dobry? Czy może ma pan jakie zażalenie na służbę? Proszę, niech pan mówi...

W pozycji wyczekującej stał opodal łóżka i chłodnemi oczyma po ścianie błądził.

Klicki czuł, że zapada w bezdnię nienawiści, i że zaczyna mu w piersiach zbierać straszny żal do tego człowieka, który w tej chwili sam reprezentował przed nim ową wielką, sturamienną hydrę, rozpiętą gronostajami absolutyzmu nad miljonami pochylonych przemocą głów.

— Nie, panie — wyrzekł — a oczy ciemniały mu coraz bardziej i brwi ściągały się kurczowo — nie, panie, niemam zażaleń na służbę, ani na wikt... Co do ostatniego zwłasz-

cza, nie wiem nic o nim — od dni trzech — pan chyba o tem wiedział...

Aksakow uśmiechnął się melancholijnie.

— Doszło to do nas. Ale pan daruje, to są żarty. Sądziliśmy, że pan nie przy apetycie...

Klickiemu przytomność zaczynała powracać, lecz stopniowo i gorączka wzrastała.

— Proszę inaczej ze mną mówić! — krzyknął — proszę drwin nie robić. Czy i ci tam nademną są także, według was, nie przy apetycie...

— Nad panem — tam niema nikogo.

— Łgarstwo! — Tam siedzą już od pół roku robotnicy z Dąbrowy i oni tak, jak ja, strejkują głodowo... Zmusiliście nas do tego... Wrzuciliście nas do tych cel i trzymacie, nie troszcząc się o to, co się z nami dzieje... Czy sądzicie, że życie ludzkie powinno upływać w tych ścianach? Czy na to kołacze się w nas duch i wola?...

Aksakow zrobił gest, jakby dopiero teraz zrozumiał, o co chodzi.

— A... więc to... o to... nu...

— Tak, o to — przerwał mu Klicki, a dwie czerwone plamy wystąpiły mu na policzki, o to, słyszysz pan — o to nam chodzi! Osądźcie nas, wywieźcie, powieście, ale zróbcie co z nami, nie każcie tu siedzieć, jak w mogilnej jamie, bo szaleństwo chwyta.

Aksakow usta przygryzł.

— Proszę pana — wyrzekł — to tak prędko nie idzie. To musi przejść przez departamen-

ty, przez wydziały i my musimy czekać na rezolucję co do postępowania z naszymi „gośćmi" — od sfer wyższych.

Pan ma do nas żal, a my nic nie możemy... nic...

Ramionami ścisnął tym samym gestem, jakim dozorca odpowiedział Klickiemu na jego zapytania.

I w jednej chwili to podobieństwo spętania woli po gradusach opadających władz jednych przez drugie — odebrało poprostu Klickiemu możność żądania kategorycznego od takiego Aksakowa spełnienia jego woli, tak samo, jak przedtem od owego dozorcy, który drażnił go tak silnie bezsilnością gestów, któremi się tłumaczył.

— Więc dokąd ja tu będę siedział? — zawołał, hamując drżenie, które go opanowało.

Aksakow kurtuazyjnie się skłonił.

— Proszę wierzyć, iż nie całe życie. Zapewniam pana.

— Ach! wasze zapewnienia! Nie wierzę im!

Umilkł na chwilę, spojrzał jeszcze raz na Aksakowa i wyraz niewypowiedzianego wstrętu odbił się na jego twarzy. Przypomniał sobie, że ten człowiek podszedł go, przedstawił mu się jako rodak, grał z nim całą komedję, aby go w sieci pochwycić.

Ogarnął go wstręt, aby dalej wieść z nim rozmowę.

— Nie!... — wyrzekł, jakby sam do siebie — nie... to na nic!...

I opadł znów wyczerpany na poduszki.

— Przyślę panu buljonu! — wyrzekł Aksakow.

— Nie, panie Montwiłł — odparł twardo Klicki — to się na nic nie zda... ja jeść nie będę.

Zapanowało milczenie.

Nazwisko „Montwiłła" padło nagle w tę celę i zadzwoniło w niej, jakby uderzenie w twarz kogoś, kto się tego bynajmniej nie spodziewa.

Klicki oczy przymrużył, tak leżał. Do niego doleciał wreszcie niezmieniony głos Aksakowa.

— Pan tak chce robić, jak chłopi, karać swój żołądek, za co?... to dla człowieka inteligentnego nie uchodzi.

— Dla człowieka inteligentnego hańbą jest gnić za deskami wtedy, gdy ma wykształconą wolę i ducha... Ja z panem więcej mówić nie będę. Proszę mnie zawołać urzędownie na badanie, rozpocząć moją sprawę a wtedy i ja do normalnego stanu powrócę.

Zaciął usta i leżał tak z twarzą już wychudłą, zarysowaną ostro, pociemniałą od rosnącej ostro niegolonej brody.

Aksakow wyszedł z celi raźnym krokiem. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Klicki uczuł, iż wzbiera mu w piersi łkanie, jakiś krzyk

bolesny i nagle wszystko cichnie, a on sam jakby leci w przepaść.

Gdy ocknął się z owego wpół omdlenia, ciemnawo już było w celi. Węch jego szalenie został podrażniony zapachem buljonu, którego spory kubek postawiono bliziutko jego głowy.

Lecz równocześnie porwały go nudności. Odsunął kubek z wysiłkiem. Uznał, że owo zrzucanie jedzenia na podłogę jest zbyt dziecinne i porywcze. I leżał tak bez ruchu, chwilami mając dziwną przejrzytość myśli, to znów zapadając w jakieś odrętwienie dziwne, graniczące ze stanem jakiejś niezwykłej błogości.

W chwilach oprzytomnienia Klicki myślał o tych strejkujących wspólnie z nim w dziedzinie głodu.

— Jacy jesteśmy sobie blizcy... jacy bardzo blizcy... W jednej chwili zeszliśmy wszyscy do jednego szeregu... Całe tomy dzieł, całe serje mów — przekonywających dążeń, to wszystko nic w porównaniu z siłą takiego jednego faktu...

Jak stułą ze stali związał nas ten „głód". Ich ból to mój ból.

Moja męka — ich męką.

I wszyscy cierpimy przez jedno, dla jednego!...

. . . . . .

W półsen zapada, lecz czuwa jego duch. Czuwa i stanął przy nim na straży.

Skrzydła ma silne i w górę wzniesione. Jeszcze chwila, a uderzy niemi Hosanna w niebiosa i ten dźwięk, jak echo, wywoła krzyk wyzwolenia z tamtych, pyłem węglanym lub żarem hut rozpalonych zeżartych piersi.

I to mu Ojczyzną, to mu blizkością i sercem kryształnem ten w ciemnię spowity kraj biedny i szary z legjonem rwących swe pęta, zgarbionych, roboczych, o zczerniałych twarzach, z pieśnią na ustach. To mu Ojczyzną ten bezmiar skib, po których kraczą czarne ptaki, unosząc ziarno nędzne, od którego niema pożytku dla ciał, dla dusz.

Ten bezmiar skib, na które niewolno powrócić duchom tych, którzy z nich wyrośli, na które dzieci ich nie idą o wiosennej jaśni dyszeć wonią zieleniejących ruń.

Ten bezmiar skib, na które trupy nawet nie padły tych, którzy je kochali, trupy, użyźniające swą piersią spragnioną życiodajnej siły ziemię.

Bo trupom tym do grobów, które miały być pograniczem ich życia, legnąć było zakazane. Trupy te już „ziemi“ nie miały, ziemi, co kołyską im była.

I za to wygnano je z tych kochanych pól, z pod tych brzóz cmentarnych, bo o nie właśnie walczyć pragnęli, walczyć poszli, piersią swą tarczę dla dzieci swych czyniąc.

O skiby te...

O brzozy białe...

O niebo szare i dżdżyste...

O jesienny liść...
O szumy dębów...
O pacierz dziecka...
O swobodny dech...
O czystą myśl...
O hymn radości...
O wolny grób!...

. . . . . .

Nie za ten Majestat, purpurą znaczony w pysze bezdennej koronowanych głów. I nie o te rycerskie rzeźnie, popisy wyostrzonych mieczy, które z duchów ludzkich stos gnijącego mięsa czynią. I nie o te niedościgłe majaki przebrzmiałych wielkopolańskich but.

I nie o te rozkrzyczane granice od morza do innych morskich fal — dumne i pograniczną strażą błyszczące.

Lecz o ten duch wolny, który równą linją waży się szeroko rozwiniętemi skrzydłami po nad całą ziemią, nad całą warstwą ludzi i dźwiga na sobie czerń chmur a gromy w siebie chłonie.

O ten duch cierpi teraz w ciasnej celi i on i cierpią tamci, którzy nigdy nie jedząc do sytości, mają heroizm odepchnąć od siebie to, co według innych, podstawę ich życia stanowi. Cierpienia te litanją ofiar biją ku skrzydłom ducha, które równo rozpostarte chmury na sobie dźwigają.

Litanją w tej nocnej ciszy...

. . . . . .

Klicki widzi nerwowo, widzi tam ciemną kaźń i pod ścianami przytulone czarne postacie zgorączkowane, takie same, jak on, półsenne.

Ręce do piersi, do zębów cisną, lecz trwają twardo i dusze ich milczące i ciche, dusze dumne ludzi pokornych wypłynęły z nich i otuliły je przeczystą pięknością wielkich tragicznych przeznaczeń.

I zdają się być siedmioma kryształami płonących lamp w podziemiu, gdzie się dokonywają pełne poświęceń czyny.

Płoną swą udręką i wzajemnie udzielają sobie światła i ciepła.

Klicki ich widzi i łączy się z nimi, biorąc od nich siłę wielkiego poświęcenia i hartu ich tragicznej woli.

. . . . . .

Dokoła gmachu więziennego palą się latarnie i wydobywają gdzieniegdzie biel murów.

Słychać miarowe kroki szyldwacha, który chodzi wzdychając ciężko.

— Ej! Boże mój... dałby dużo za to, aby choć przylegnąć na pryczy więziennej, bo senny jest i wiosna w nim osłabieniem suchotniczem nurtuje.

— *Ej da!... ech matuszka maja radnaja...* z tak daleka... z twerskiej gubernji, na sześć lat w sołdaty Paweł Piotrowicz Zwiericz do Królestwa zwleczony.

I piersi bolą i tęsknota szarpie. Jedno jeszcze, jak harmonję dopadnie a pogra pieśni i ochrypłym głosem zaśpiewa...

A ot niewolnik w siermiędze na plecach, chłop, co mu siano pachło pod głową a krył go szmat nieba, nabijany gwiazdami, niewolnik włóczy się dokoła klatki, w której w agonji głodują inni niewolnicy.

— *Ech matuszka radnaja!...*

Z operetki, z gmachu, cuchnącego naftą i kloaką, jadą obdarte dorożki. Migają białe koronki, osłaniające włosy kobiet. Jadą tuż obok więziennych murów, obok wzdychającego żołnierzyka.

Niczyja myśl o mury te się nie wspina.

— Ech! matko ty moja rodzona!

XV

W SZPITALU.
A CZY NAS UMARŁE MA SIĘ ZA STRACONE.
GŁOS Z POZA MGIEŁ.
NADZIEJA I SPOKÓJ POWRACA.

Gdy Klicki otworzył oczy, nie mógł rozpoznać narazie, gdzie się znajduje.

Za sobą miał duże okno okratowane, zasłonięte do połowy białą firanką. Otwarte było na rozcież, łagodne, czyste, wiosenne powietrze dopływało mu do płuc.

Przymknął oczy, usiłując sobie przypomnieć, co zaszło w ostatnich chwilach. Lecz był bardzo osłabiony i myśli miał porwane na strzępy.

— Nic nie wiem, gdzie jestem.

Ktoś zbliżył się do łóżka.

— *Odkrył głaza?**) — pytał jakiś głos cichy i spokojny.

— *Da.*

*) Otworzył oczy?

Klicki znów otworzył oczy i spostrzegł przy swojem łóżku młodego mężczyznę w mundurze lekarza wojskowego i obok stojącego sołdata w białym infimierskim fartuchu.

— To szpital!... — pomyślał.

I zaraz z ogromną jasnością poczęły się tłoczyć mu do mózgu ubiegłe fakta, więzienie, strejk głodowy, Aksakow...

Potem urywało się wszystko.

— Musiałem zemdleć... oni mnie tu przynieśli — czynił wnioski.

Jakkolwiek był bardzo osłabiony, nie czuł głodu.

— Korzystając z tego, żem przez gorączkę utracił świadomość mych czynów, nakarmili mnie — pomyślał.

Ogarnęła go straszna gorycz i żal do siebie.

— Nawet człowiek nie może być panem swych czynów... o! co za nędzna maszyna... co za podły organizm!... żre — żre, choć duch woła — nie — zwierzę! zwierzę!...

Widocznie uczucia, jakie nim miotały, musiały się odbić na jego twarzy, gdyż lekarz pochylił się nad nim i wyrzekł dość czystą polszczyzną:

— Ja proszę, aby się pan uspokoił i nie denerwował... Niema przyczyny, dla której pan będzie szarpał sobie siły.

Przez zęby Klicki syknął:

— Ja chcę być badanym.

— *Da!* i to będzie tylko nie tu, w lazarecie

— Właśnie że tu...

— Ach Boże mój! to już rzecz władzy, ja tylko pana muszę do sił przywieść.

Klicki spojrzał prosto w twarz lekarza. Był to młody, hoży człowiek o rumianych policzkach. Zdrowiem aż biło od niego i siłą życiową.

— Jeść nie będę!...—wyszeptał.

Lekarz się roześmiał.

— E *batiuszka!* to nie ze mną sprawa. Sondę się zapuści i wbrew pana woli odżywi. Więc poco?

Tak, rzeczywiście, poco bronić się i łamać, kiedy oto silni sołdaci w białych fartuchah za ręce pochwycą i ubezwładnią.

Uczuł to Klicki, ogarnęła go rozpacz, W rękach ich był więcej, niż kiedykolwiek.

— *Da* — mówił doktór — niech pan zaśnie, potem się o sprawach pomówi.

Odsunął się od łóżka. Klicki zanurzył się jakby w swych myślach.

W lazarecie, na łóżkach nie widział nikogo. Był sam. Tamci więc z Dąbrowy pozostali w więzieniu. Oni z pewnością nie mdleli, głód przenosili odważnie i mężnie, mieli całą przytomność, niepozwolą się karmić sondami wbrew woli.

I Klickiego ogarniał coraz większy wstręt do niego samego.

— Duch mój silny... ciało mdłe!... A więc w nich, w nich nadzieja i możność odrodzenia. My padamy, choć wola w nas wielka...

— Sił nam brak!

Za oknem lazaretu rozgorzał błękit jas-

nością wiosennego południa. Rozbrzęczały się miliardy muszek, tańczących w smudze słońca. Gdyby nie krzyże krat, które cmentarzem nadpowietrznych mogił znaczyły się w przestrzeni, Klicki doznawałby wrażenia, że go wydobyto już z więzienia zupełnie.

— Troszczą się o moje zdrowie — myślał z goryczą — chyba po to, aby módz silniej jeszcze spętać ducha... Och! nędzo!... nędzo!...

Razem z błękitem, ze słońcem, z wiosną, nieśmiało zaczęła w sercu jego drgać struna miłosna. Jania spłynęła ku niemu wiosenną wizją. To przesunięcie się jej po drugiej stronie drzwi o nocnej porze, gdy drgał jęk trąconej harfy w ciszy więziennej, straszną wizją padło mu nagle na duszę.

— Gdzie ona? czy opływa ją błękit? czy szarość murów więzienia?... Gdzie ona?...

Uczuł, że ktoś znów stanął przy jego łóżku.

Był to infirmier, który chciał mu założyć termometr.

Klicki usunął go gestem — jakby przewidując odmowę. Z poza infirmiera wysunął się lekarz.

— Proszę... niech się pan nie dziecinni...

Lecz Klicki twardo odparł:

— Niech tu do mnie przyjdzie *gubernski naczelnik*.

— Wyjechał przedwczoraj do Petersburga właśnie w sprawie pana i tamtych więźniów. Może się tam dobije jakiej rezolucji.

— To kłamstwo. Gdzie jest ten drugi jego pomocnik, który był u mnie w więzieniu?

— Jest w więzieniu u strejkujących głodowo. Siedzi z nimi od wczoraj i także nie może w ten sposób ich zmusić do odżywiania się.

Klicki roześmiał się gorzko.

— Co za komedje... gdy wyjdzie na świat dobrze się najada.

Lekarz ramionami wzruszył.

— Nie wiem. Jeżeli pan chce go koniecznie widzieć — dobrze.

Odwrócił się i wydał rozkaz. Klicki czuł, że ogarnia go znów gorączka. Chciał widzieć Aksakowa, a rozumiał, że to wszystko naprożno.

W kwadrans później po białej ścieżce płóciennej szedł ku łóżku Klickiego Aksakow.

Jego strojna figura, ściśnięta fioletowym surdutem, odcinała się ostro na jasnem tle sali. Był zdenerwowany i trochę blady. To przebywanie w towarzystwie ludzi prawie w agonji głodowej — szarpało mu nerwy. Doszedł do łóżka Klickiego i bezdźwięcznym głosem zapytał:

— Co pan sobie życzy?

Lecz Klicki już zebrał przytomność umysłu.

— Chcę się zapytać, czy długo mnie tu będziecie trzymali.

— W lazarecie?

— Nie, wogóle u siebie.

— Naczelnik wraca jutro z Petersburga

On pana zawezwie. To jedno chcę, żeby pan wiedział, iż nikt pana zamordować tu nie myśli...

— O!...

— Ach tak! Nie cierpimy przesady. A wy tam z Galicji to zaraz do przesady względem nas skłonni.

Te słowa podrażniły do najwyższego stopnia Klickiego. — Usiadł, drżąc cały, na łóżku.

— A coście zrobili z panną Horską? Ona tu była... Gdzieście ją powlekli?

Aksakow spojrzał przenikliwie na Klickiego i zaraz zaprzeczył.

— Panny Horskiej u nas w gościach nie było.

— Łżesz pan! — krzyknął Klicki — jam ją słyszał, jam ją przeczuł, jakeście ją prowadzili wzdłuż drzwi, poza któremi byłem... Mnie nie oszukacie. Gdzie ona jest? Coście zrobili z nią?... ja chcę wiedzieć! ja muszę wiedzieć!

Aksakow. strzepywał starannie pył z rękawa.

— Skoro pan tak widzi jasno, jak jaki jasnowidek, jak ryś aż przez mury — odparł spokojnie — to powinien pan wiedzieć, co się z nią teraz dzieje. Ja panu *nic* powiedzieć nie mogę.

Skłonił się lekko i odszedł.

Klicki patrzył, jak nikł powoli pomiędzy łóżkami, opromieniony jakimś pyłem fioletowym wśród złotych słonecznych smug.

Klicki odwrócił się do ściany białej i prostej. Wbił oczy w białość muru, jakby w niej szukał ukojenia dla poszarpanych nerwów.

— Janiu! Janiu!... — rwała się w nim rozpaczliwie dusza. — Dlaczego duch mój nie może przeniknąć przestrzeni i wynaleźć cię tam, gdzie jesteś? Czy byłabyś już w tej doskonalszej warstwie, gdzie tylko dostęp istotom, które ze siebie ciało swe zrzuciły?... Byłażbyś... umarłą?... Janiu, moja Janiu!...

Wzrok jego zamglony łzami — padł na ścianę i wkuł się w nią z całą siłą.

Na białej, gładkiej powierzchni snuły się cienkie nitki liter, które ktoś wydrapał jakiemś narzędziem.

— *A czy nas umarłe macie za stracone?*

I pod spodem liter innych trochę. Może imię czyje zatarte, może data...

Klicki przypomniał sobie, iż to są słowa Kochanowskiego na śmierć córki.

— *A czy nas umarłe macie za stracone?*

Któż przed nim leżał w lazarecie na tem łóżku? Może walczył ze śmiercią. I w tych słowach spływała ku niemu kojąca cisza. Rzucał je w przestrzeń ku tym, którzy silnie i krzepko się jeszcze życia trzymali i jasnowidzeniem swej przyszłej egzystencji dawali znać o wierze w istność pozagrobową.

Jakby głos z poza mgieł — jakby powiew żywego dechu, tak spłynęły ku Klickiemu te słowa jasne i spokojne.

— Może to jej głos... może to ona mi znak o sobie daje! — myślał, a jakby go ktoś tulił w objęciach, tak mu stawało się cicho, bezbrzeżnie łagodnie i nadziei pełno.

XVI

SĄD.
TAGIEJEW NA ŁAWIE OSKARŻONYCH I JEGO ARMJA.
W SALI ŚWIADKÓW.
ZEZNANIA KLICKIEGO. SNOP CIERNI.
A JEDNAK ON NADEJDZIE!

Sala sesjonalna sądu pełna po brzegi. Bije godzina dziesiąta. Za oknami o wysokich, pięknych łukach świergocze jakaś zabłąkana para ptaków i śmieje się wiosna. Twarze ludzi znamionują wielkie natężenie. Brzęczą ostrogi, łan cały głów kołysze się tak na ławach podsądnych, jak i u publiczności. Jakby kłosy wichrem miotane.

Podsądnych cała mnogość. Jest ich pięćdziesiąt trzy sztuk. Siedzą na kilku ławkach, po dwie partje naprzeciw siebie i patrzą sobie oko w oko. Kilka kobiet, Frumele w chuście na głowie, reszta młodych kochanek złodziejskich, uczesanych gładko. Wszędzie po-

między podsądnymi żandarmskie kołpaki. Izaak Feinbube rozkłada swą brodę patryarchy, Josele Pinkas mruga oczami, owinięty swym czerwonym szalikiem, dalej Lajbram blady i anemiczny. Wiszorek o głowie zdecydowanego kretyna, Pustowiński silny, rosły zbój, Ruszkin o hulaszczym wyrazie twarzy, Teodorczuk apatyczny, mający wprawę i rutynę w sprawach kryminalnych. Wszyscy oni tu są, cała szajka. A oto i Tagiejew wkracza na salę i szmer przebiega dokoła.

Tagiejew idzie wolno, ociężale, patrzy w ziemię i widać w nim jakieś dziwne przytępienie umysłu. Postarzał się, posiwiał, policzki mu obwisły, brzuch spadł. Jakkolwiek odpowiada „z wolności", jednak ta wolność musiała mu się dać dobrze we znaki. Czuje się smutnym bohaterem chwili i bezsilność jego strasznie go przygnębia. Wie, że po tych świadkach, których powołano dwie setki, niczego spodziewać się nie może. Sam czuje, że przeciągnął strunę i że musi przejść ciężką chwilę.

Lecz równocześnie wie, iż kara jego nie będzie zbyt srogą. Rząd nie może karać zbyt silnie i bezwzględnie swego reprezentanta. Że przesolił, zdarza się to przecież każdemu, ale w gruncie rzeczy robił to, co inny. Udawało mu się, więc poszedł trochę za daleko.

W każdym razie na szubienicę nie pójdzie. Wszedł i usiadł na przygotowanem dla siebie krześle. Za nim wkroczył Markowskij, Bar-

łamow, Gwozdeckij, Siemipudow. Ci wszyscy, wraz z Josełe Pinkasem, Izaakiem Feinbube i Frumele Lajbram jako paserką i Pustowińskim, jako najsłynniejszym rozbójnikiem, stanowili czoło podsądnych. Markowskij blady, z trochę drwiącym uśmiechem na nerwowo wykrzywionych ustach, trzymał się jak najdalej od Tagiejewa, aby nie mieć miny jego pomocnika. Wybladłemi oczyma powiódł po audytorjum. Do tej chwili nie wiedział, gdzie znikła Józia. Miłość do tej dziewczyny żarła mu ciągle serce. Myślał, że uciekła do Warszawy. Miał nadzieję głupią, że przyjdzie na sprawę i że zjawi się wśród publiczności.

Lecz Józi nie było.

Tagiejew siedział naprzeciw estrady i sądowego stołu i oddychał ciężko, ocierając od czasu do czasu pot z czoła. Po obu stronach miał cisnący się na ławach tłum opryszków, złodziei, ladacznic, jego bandę, jego gwardyę, przez niego zdemoralizowaną, wytresowaną i tu doprowadzoną. Wszyscy oni patrzyli na niego, a wzrok ten miał rozmaity wyraz.

Jedni z nich drwiąco witali go, jak swego kompana. Drudzy, przeważnie kobiety, bały się go jeszcze. Inni wbijali w niego wściekły wzrok, czyniąc go odpowiedzialnym za to, że owego pamiętnego ranka wyłowiono ich tak, jak robactwo po norach, w których się wylegiwali, gotując się do nowych rozbojów.

Lecz wszyscy byli z nim złączeni nierozerwalną siecią wspólnych myśli i czynów.

On czuł to może po raz pierwszy tak dotkliwie i zwiesił łeb z jakimś cieniem wstydu.

Ta obszarpana gwardja nie przynosiła mu zaszczytu.

Bije godzina dziesiąta.

W mundurach nowej formy powoli wchodzą sędziowie i zajmują fotele. Prezydujący i dwóch sędziów. Szparko idzie ku swemu miejscu podprokurator. Dalej cała falanga, sekretarz sądu, podsekretarz, kandydat do posad sądowych, tłómacz i inni.

Adwokaci z urzędu, w liczbie czterech, zjawiają się także. Osobny obrońca wybrany przez Tagiejewa ma wyraz zafrasowania na pogodnej zwykle twarzy. Wie, że musi bronić nędznej sprawy i wstydzi się trochę, choć czuć najwyraźniej, iż nie będzie sobie zadawał wiele trudu. I on, tak jak zresztą wszyscy, wie, że „kruk krukowi oka nie wykole", i że jeśli rząd zdecydował się na wywleczenie tej całej sprawy przed forum publiczne, to nie dlatego, aby sprawiedliwości stało się zadość, lecz dlatego, że skandal był zbyt wielki i że przybierał za szerokie rozmiary.

Rozpoczęła się więc komedja z odbieraniem przysięgi według wyznań, a potem wśród ogromnej ciszy, przerywanej tylko ćwierkaniem za oknem pary ptasząt, odczytywaniem aktu oskarżenia.

Czyta go kolejno trzech protokulantów i jeden zmęczony ustępuje miejsca drugiemu. Jest to właściwie połączenie dwóch spraw,

które poprzednio miały być sądzone oddzielnie. Okazały się jednak tak ściśle ze sobą związane, że złączono je w jedno, aby módz wybrnąć równocześnie z powoływania świadków, których jest do dwustu osób.

Bije godzina jedenasta, odczytywanie aktu trwa dalej. Znużenie ogarnia wszystkich, nawet oskarżonych. Siedzą prawie nieruchomo, apatyczni. Jakaś kobieta zasnęła. Mały, może trzynastoletni chłopak, zaprawiony przez Frumele do złodziejstwa, śledzi z zaciekawieniem promienie słońca, w których tańczą wesoło młode, zalotne muchy.

Tagiejew sapie i poprawia się na krześle. Zaczyna go to wszystko nudzić. Dopiero przy końcu ożywia się, gdy słyszy coraz częściej swoje nazwisko.

— Ależ nasmarowali! — myśli — czorta ze mnie zrobili. *Wziatki, wziatki*, tak co? a któren z nich „takich" synów, nie bierze *wziatek*? Nu... niech mordę pokaże, który?

Akt oskarżenia odczytany. Przy końcu jeży się paragrafami jak palisadą.

Wszyscy doznają uczucia ulgi, przewodniczący zarządza pięc minut pauzy.

Gwar rozsnuwa się po sali. Tagiejew radby poruszyć się, przemówić do kogo słowo. Lecz Markowskij odwrócił się od niego, wszyscy patrzą na niego jak na zapowietrzonego.

— Ach *swołocze!* ach *protomordy*! ach *archibestje, djawoły, swinskija ryła*... ach wy *etakija*... —

czyni sobie ulgę w myśli, a noga aż sama się wyciąga, aby zacząć po dawnemu walić, bić kopać.

Sąd powraca — i oto rozpoczyna się defilada świadków.

I ciągła, ciągła komedja.

Tłumacz przekłada „na język urzędowy" zeznania świadków. Jest to głupie, bezcelowe i komiczne. Sędziowie bowiem rozumieją wszystko co mówią świadkowie.

Ale tak wymaga godność państwowa.

I dzieje się temu zadość.

. . . . . .

W ciasnych trzech pokojach cisną się świadkowie.

Kogo tam niema! Żydzi, chrześcjanie, żandarmi, kupcy, ludzie inteligentni, dziewki publiczne, żebracy, policjanci, szynkarze, wszystko, co może przynieść ważniejsze świadectwo o bezprawiach Tagiejewa, zjechało do sądu. Prawie nikogo nie brak. Gnębieni lat tyle, chcą chociaż teraz doznać ulgi, mogąc mu rzucić w twarz jego postępki. Jakieś ogólne rozradowanie ogarnia wszystkich.

— Powiemy, powiemy...

— I to, i to...

— Tylko żeby nie zapomnieć.

Milczenie, a potem ciszej:

— Tylko żeby pozwolili.

— Właśnie.

— Bo to u nich tak zawsze. Oni się za ręce trzymają.

— Oni mu tam nie zrobią nic złego!

— Ale niech się dowiedzą!

Znów milczenie, a potem jeszcze ciszej i bardzo nieśmiało:

— Tak... ale kto wie... może się potem mścić będą.

— Kto wie...

Powiew niedecyzji, trwogi zwierzęcia, wiecznie bitego za wszystko i zawsze, przelata dokoła.

— Oni wszystko mogą.

— Ach Jezu! co robić!...

— Nu tak... co robić?...

Lecz śmielsi i ci co najwięcej ucierpieli buntują się.

— A niech!... nic nam gorszego się nie stanie. Powiemy wszystko jak na spowiedzi, jak nas kradł!

— Jak skórę z nas ściągał!

— Jak bił i kopał!

— Jak do mnie ciągle do sklepu wpadał, bo chciał sto rubli za nowy szyld.

— Jak mi po weselach grać nie pozwolił, żeby jego Pinkas zarobił.

— Jak mi nie kazał wydać paszportu, żeby chorą matkę zagranicę wywieźć, aż mu dałem dwadzieścia pięć rubli...

— Jak mnie skopał i zbił za to, że przyszedłem powiedzieć, iż mi u jubilera zaparli dany do naprawy zegarek...

— Jak mnie na rynku wyzywał ostatniemi słowami za to, że mu przypomniałem, iż wziął sto rubli i zakładu fotograficznego nie pozwolił mi otworzyć.

— Jak mnie do domu publicznego zamknąć kazał!

To ostatnie oskarżenie padło z jękiem, jakby głos z poza grobu.

Wszyscy odwrócili się ku mówiącej.

Józia stała przed nimi, blada, wychudła, straszna z posiwiałemi włosami u skroni. Odziana ubogo, przywieziona już z Warszawy, gdzie po otworzeniu przez żandarmerję lupanaru i aresztowanie Lajnbramów wywiezioną została — sprowadzona teraz jako jeden z klasycznych świadków — zionęła cała nienawiścią i rozpaczą do Tagiejewa.

Wszyscy patrzyli na nią z ciekawością i zainteresowaniem. Ten i ów odsunął się od niej jak od nieczystego zwierzęcia. Ona instynktem przyczynę tego gestu zrozumiała i gorycz jej jeszcze wzrosła.

— A jakże!... — wyrzekła ponuro — zamknąć mnie kazał za to, że mu szpiclem być nie chciałam.

— I... panna... tam... była? — spytał jakiś głos nieśmiały.

— A byłam... ci byłam... zamknięta w komórce o chłodzie i głodzie, po ciemku jak zwierz jaki. Tam mnie trzymali i więzili. Krzyczałam aż ochrypłam — nikt mnie nie słyszał... o... patrzcie ludzie, jakem to sobie

twarz i szyję pazurami podrapała z rozpaczy. Patrzcie!

W jasności dziennej widać było na jej steranej twarzy pręgi sine, bruzdy, zdrapania.

Tragiczną była — jakieś bezprzytomne szaleństwo biło od niej.

Szmer współczucia rozległ się dokoła.

— Biedna... ta chyba najwięcej wycierpiała!

Józia suchym wzrokiem powiodła dokoła.

— Nawet nie płaczę... bo już nie mam łez. Wszystkie tam wypłakałam. Myślałam, że już tak zgniję na zawsze. Dopiero mnie wyciągnęli.

W tej chwili wszedł Horski. I on zmieniony, siwy — zgarbiony.

Stanął przy oknie, witając się w milczeniu ze znajomymi. Wszyscy szanowali jego ból. Wiedzieli że córka jego w więzieniu i że jest chora. Józia patrzyła długo na znękaną postać swego dawnego pana. Wreszcie, zasłoniwszy twarz chustką, osunęła się w kąt i tam pozostała nieruchoma, nie odpowiadając już na zadawane jej pytania.

Co chwila wychodził ktoś z wywoływanych świadków i nie wracał, wypuszczany już z sali innemi drzwiami na schody. Nagle w dziedziniec, na który wychodziły okna pokojów przeznaczonych dla pomieszczenia świadków, zajechała dorożka. Z dorożki tej wysiedli Hordyj i Klicki. Z kozła zeskoczył żandarm. Szybko przeszli dziedziniec i weszli do sali świadków.

W sali nastało poruszenie.

Ten młody, nieznany, piękny człowiek, przybywający jako więzień pod eskortą żandarmów, zastanowił wszystkich.

— Kto to?

— Nie wiemy.

— Czy to także świadek?

— Zapewne, skoro go tu przyprowadzili.

— Dlaczego z żandarmami?

— To ktoś, co siedzi w więzieniu.

— Ach!...

Horski dostrzegł Klickiego. W jednej chwili zdało mu się, że wreszcie ktoś z jego rodziny rozprószonej zjawia się przed nim. Porwał się z miejsca i zaczął się przeciskać ku Władysławowi.

Lecz Hordyj drogę mu zagrodził.

— *Pazwoltie* — wyrzekł — panu z nikim mówić nie wolno.

I rozsuwając ludzi, poprowadził Klickiego do małego pokoiku, zupełnie pustego, widocznie zarezerwowanego, bo przed drzwiami oczekiwał na nich żandarm.

— Pan tu wejdzie i poczeka! — przemówił Hordyj — pana niebawem zawezwą do sali sądowej.

Władysław zatrzymał Hordego w progu.

— Panie Hordyj, proszę mi pozwolić pomówić z kimś, kogo dostrzegłem w tłumie, to ojciec mej narzeczonej.

— Nie wolno.

— Ależ chwilkę!...

— Nie wolno.
— Ona uwięziona.
— Tem bardziej.
— Bądźcież ludźmi!
— A pan bądź rozsądny. Na wszystko będzie czas.

I wyszedł, pozostawiając Klickiego w towarzystwie żandarma, który ustawił się przy drzwiach jak żyjąca, a zdeterminowana na wszystko barykada.

. . . . . .

Władysław usiadł na zydlu, który wraz ze stolikiem stanowił całe umeblowanie pokoiku. Gwar świadków dolatywał do niego przez drzwi. Odurzony był światłem i powietrzem. Po raz pierwszy od chwili uwięzienia przejechał po ulicach miasta dorożką, jadąc do sądu w roli świadka. Miał nadzieję, że zobaczy może Janię. To go krzepiło i dodawało mu sił. Pomiędzy zgromadzonymi dostrzegł tylko jej ojca.

— Kto wie... może ją zamknęli także osobno tak jak i mnie i w danej chwili wyprowadzą. Ależ w takim razie nie zobaczę jej ani na mgnienie oka.

Posmutniał strasznie. Żył tak tą myślą, iż wreszcie ją zobaczy, iż nie mógł uprzytomnić sobie, w jaki właściwie sposób do tego zeznania prowadzić będą. Teraz widział, iż jego nadzieje były płonne.

Inni świadkowie mogli być razem i przed

zeznaniem porozumiewać się ze sobą. Oni oboje byli wyjęci z pod tej reguły.

Oboje byli przecież więźniami.

I to politycznymi więźniami!..,

. . . . . .

Widocznie szło o to, ażeby jak najprędzej z Klickim się uporać, bo niespełna w godzinę otworzyły się drzwi pokoiku.

— Proszę pana!...

Hordyj stał w progu.

Klicki przeszedł znów przez pokój świadków i zauważył, iż liczba ich znacznie się zmniejszyła. Ekspedjowano ich prędko, a jednak i tak zanosiło się na to, że sprawa przeciągnie się co najmniej na cztery dni lub może i pięć.

Klicki bystro po pokoju spojrzał i nie dostrzegł już Horskiego.

Widocznie załatwiono się z jego zeznaniem, ażeby nie dozwolić na jakiekolwiek, choćby wzrokowe porozumienie się z nim Władysława.

Gdy Klicki wszedł do sali sądowej, aż cofnął się od gorąca, panującego na sali. Pomimo, że okna były otwarte, zaduch był straszny. Zwłaszcza grupa podsądnych, stanowiących gwardję Tagiejewa, zionęła ze siebie cuchnące wyziewy. Sam Josele wystarczał, aby zatruć dokoła siebie znaczną ilość powietrza.

Władysław, osłabiony chorobą, więzieniem i szpitalem, aż zachwiał się, podchodząc do

kratek. W tej samej chwili mignęła przed nim twarz Tagiejewa. Cały żal, ból za krzywdę doświadczoną, za to, co się stało z Janią, odżyły w jego sercu ze zdwojoną siłą.

Już oprzytomniały zupełnie stanął u kratek naprzeciw przewodniczącego i donośnym, pewnym głosem złożył żądaną przysięgę.

. . . . . .

Z początku odpowiadał zwięźle i niechętnie na czynione mu pytania. Ten szablon zdawkowy, zastosowany do każdego świadka, osłabił jego nerwowe podniecenie. Pytania przewodniczącego wydawały mu się... małe, żadne. głupie.

— Właściwie, poco mnie tu ściągnęli, jeżeli mieli pytać tak *obok* sprawy, obok tego, co wiem i co powiedzieć pragnę? — myślał. Wzrokiem błądził po ścianach sali, po głowach sędziów i po dziwacznej masce twarzy prokuratora, który miał usta zacięte, nieprzystępne i oczy siwe wpatrzone w jakąś dal, jemu tylko dostępną. Widoczne było, iż spełnia on swój urząd z musu i bierze udział w wyreżyserowanej naprzód komedji, której uniknąć nie jest w stanie. I wszystko zaczęło robić na Władysławie wrażenie takiej komedji.

Ten cały sąd, te pozorne badania, pozostawianie wolności zeznaniom świadków, ściągnięcie na ławę Tagiejewa i jego wspólników.

— A więc i ja mam przydzieloną rolę w tej komedji? — buntował się w swej du-

mie. — To za wiele... Lecz poczekajcie!... Chyba nie wiecie, z kim macie do czynienia!

Nagle wyprostował się, uśmiechnął ironicznie i przybrał jakąś postawę wyzywającą. Spojrzał w oczy prezydenta, blade, błękitne, dość przebiegłe i zaczął donośnym głosem:

— Wezwany na świadectwo w tej brudnej i rozgłośnej sprawie, pragnę je złożyć bez ogródek, bez zastrzeżeń tak, jak mi to sumienie i uczciwość nakazuje.

Po sali przebiegł szmer.

Zakołysało się tam jak łan żyta nagle wichrem poruszony. Klicki to odczuł i ten dreszcz, ten szum przebiegł po nim i zagrał na strunach jego duszy.

Przewodniczący popatrzył przenikliwie na Władysława, sędziowie podnieśli głowy — podprokurator zacisnął jeszcze silniej usta.

Chwilkę trwało milczenie.

I rozległ się monotonny głos tłumacza.

— *Swidietiel gawarit, czto pozwannyj w etom griaznom dielie...*

Przewodniczący zawahał się chwilę, lecz widząc zdeterminowany wzrok Władysława silnie ku sobie skierowany — wyrzekł z pewną kurtuazją, czyniąc zachęcający gest ręką:

— *Sdiełajtie adałżenje...*

I Władysław mówić zaczął.

Słowa płynęły mu z ust z taką szybkością, iż sam dziwił się swojej wymowie.

Owa pamiętna noc, podczas której Markowskij nurzał go w błocie, włóczył po wale,

po wybojach pod pozorem poszukiwań za złodziejami — owa wizja opryszków, dzielących się łupem z Barłamowem, dalej sylwetka biednej Rozy Montag, zwierzęca scena nocna w hotelu — wszystko, co się nagromadziło wrażeń i potwornych obrazów z miasteczkowego życia — wszystko to płynęło teraz lawiną niepowstrzymaną z ust Władysława. Wrzącą siłą, bujną młodością dyszały obrazy, które on ze siebie wyrzucał, jakby dławiły go i oddech życiowy mu tamowały.

W artystycznem stawione oświetleniu i ugrupowane fakty w zeznaniach Klickiego nabierały dopiero właściwej siły i przynosiły prawdę rzeczywistą.

Zeznania poprzednich świadków, bełkocących przeważnie, steroryzowanych mimowoli obecnością Tagiejewa i jego rozbójniczej bandy — nie dowierzających komedji sądowej, lękających się represaljów — bladły i malały zupełnie. Dopiero w słowach Władysława odczuć można było ten straszny terror, jaki wywierała banda Tagiejewa na nieszczęśliwe miasteczko. Powiew grozy przeleciał nad salą. Wszyscy słuchali w zupełnem milczeniu. Tłumacz milczał, a ani przewodniczący, ani prokurator nie przerywali słów Władysława swemi uwagami — czuli w nim niebezpieczną a silną naturę, która zbić się z tropu nie da. Woleli więc milczeć i pozostawić spokojne ujście tej nawałnicy i zatrzeć ją później bledszemi zeznaniami.

Lecz sam najwięcej w tej sprawie interesowany Tagiejew nie przeczuł tej taktyki.

Słysząc zeznania Klickiego, zaczął się nagle rzucać i szarpać. „Djabli go brali" jak sam później się wyrażał.

— Jakto? — myślał — ta *swołocz*, która propagandę wozi przez granicę, staje, aby go oskarżać? Tego zanadto! On nauczy ich wszystkich, gdzie raki zimują...

I porwał się z ławki, aż mu się brzuch zatrząsł.

— Wszystko to kłamstwa... — wrzasnął po rosyjsku — ja powiem, dlaczego ten pan tak na mnie potwarze ciska. Oto ja jego przyłapał na politycznem przestępstwie...

Lecz przewodniczący gniewnie pokrył słowa Tagiejewa swoim głosem i nakazał podsądnemu milczenie, grożąc wyprowadzeniem z sali, jeżeli będzie przerywał zeznania świadków.

Widocznie sprawy polityczne miały inne ujście i poruszać ich tutaj nie było wolno.

Zapał Władysława po tem „intermezzo" osłabł. Wyczerpał siły i nerwy zaczęły się buntować w nim, drżeć jakby za podmuchem jakiegoś wichru. Stał osowiały i nie mógł już zacząć zeznania. Myśli jego rozbiegły się. Głos Tagiejewa, bijący o jego plecy, przypomniał mu wszystko: Janię... więzienie... jej jęk... strejk głodowy i w czerń zapadający a dyszący ciężko jakąś skoncentrowaną zemstą kraj!

— Wy kończyli? — zapytał przewodniczący.

Władysław się skłonił.

— Tak... już nie mam nic więcej do powiedzenia.

Wyprowadzono go z sali.

Gdy wychodził, otarł się prawie o Pinkasa. Ten mu się grzecznie skłonił i owionął go cuchnącą wonią gnijącego ciała.

To było ostatnie wrażenie, jakie Klicki po zetknięciu się z armją Tagiejewa odniósł.

. . . . . .

Po wyściu Klickiego z sali rozpoczęła się dalsza defilada świadków. Sensację wywołali ci, którzy zeznawali, iż byli bici przez Tagiejewa. W tej powodzi bowiem *wziatek* i łapówek trudno już było wyłowić jakiś punkt wytyczny.

Słychać było ciągle „musiałem dać, wzięli odemnie, żądali" i t. d.

Gdy jednak Józia weszła na salę, Tagiejew poruszył się niespokojnie. Dziewczyna, wchodząc, zesunęła z głowy chustkę. Zjawiła się tak tragiczna, blada i zmieniona nagle, a publiczność i sędziowie odczuli, że będzie to jedna z ważniejszych chwil całej sprawy.

Promienie złote popołudniowego światła sypnęły się całą kiścią na ciemne włosy dziewczyny, wydobywając z nich iskierki. Olbrzymie czarne oczy, te niezrównane oczy ładnego zwierzęcia, napełniły się ogromem nienawiści.

Cóż dziwnego!

Józia w tej chwili stanęła oko w oko z całą swoją niedolą, uosobioną w tych dwóch ludziach.

Tagiejew i Markowskij.

Ten ostatni, gdy dostrzegł wchodzącą Józię, aż drgnął. Twarz mu się ściągnęła i pobladła. Nie spodziewał się zobaczyć Józi jako świadka. Przeczuwał, iż go nie oszczędzi i odemści teraz wszystkie swoje krzywdy.

O to mu jednak już szło mniej, niż o to, że ta dziewka, umiłowana bądź co bądź przez niego, stanie mu wrogiem i serce mu zakrwawi.

— Aj!... gołąbko, aj!... miła, gdybyś wiedziała — myślał w tej chwili, dając folgę sentymentalnej stronie swej natury, która w każdej duszy największego *wziałocznika*, jeśli jest tylko rdzennym moskalem, znajdować się musi.

Tymczasem przewodniczący zadawał zwykłe pytania.

— *Wasza familia?*

— Józefa Wyrobek.

— *Skolko liet?*

— Dwadzieścia jeden...

Tu nastąpiła przerwa. Przewodniczący zajrzał do spisu świadków, zmarszczył się i wreszcie zapytał:

— Wy...

Nie krzykiem, lecz rykiem odpowiedziała Józia:

— Nie... nie... ja przez tego łajdaka się tam dostałam!...

I odwróciwszy się do audytorjum, przez łzy, przez bardzo krwawe straszne łzy, krzyczeć zaczęła:

— Słuchajcie mnie ludzie, co oni ze mnie zrobili...

Słowa jej padać zaczęły jak wielkie krople krwi z nigdy niezagojonej rany.

I zdawało się, że w miarę tych słów gasną promienie słońca i ciężka, bolesna zaduma nad strasznym losem bezbronnych przepełnia świat cały.

Na stole, pomiędzy świecami niezapalonemi, stał krucyfiks. Z ust tragicznych stojącej przed sądem dziewki biegł szmer zdań związanych łańcuchem bólu i konał u stóp przybitego do krzyża Chrystusa.

I były one jak olbrzymi snop cierni okrwawionych, zebranych wśród niwy życiowej i osrebrzonej rosą czystych, pokutnych łez.

. . . . . .

— W którą stronę jedziemy?

— Zobaczy pan.

— Czy do więzienia?

— Może nie.

— ? ? ?

— No, tak, tak. Tylko niechże pan spokojnie siedzi. Żadnych ekstrawagancji. Na to muszę wziąć od pana słowo honoru.

Klicki z Hordym jechali tą samą dorożką, która ich przywiozła z więzienia do sądu. Zdaleka pojawiły się zabudowania stacyjne.

— Jedziemy do Warszawy?

— Nie.

Klickiemu biło serce na myśl, że i jego wywożą do Warszawy, jak Janię, i że osadzą go w cytadeli.

— A potem dalej, dalej... może do Petersburga, do tych twierdz, z których już się nigdy nie wychodzi.

— Nigdy!...

Słońce zachodziło z wielkim majestatem i pięknością. Już kończyły się domy miasteczka i widać było przedmiejskie łąki, na których pasło się bydło, strzeżone przez rozbawione i przewracające się po trawie dziewczęta.

W Klickim obudziła się natura malarska. Jakaś dziewczyna w pąsowej sukience jak mak wyglądała na tle zielonej, świeżej trawy.

Obok złociły się żółte włosy małego dziecka, wciśniętego w kępę macierzanki.

Władysławowi aż zaśmiały się oczy i myśl do tego rodzajowego, pełnego światła obrazka.

Mignęły przed nim staluga, świeże płótno naciągnięte na blajtram, paleta, pendzle...

— Więc i to nigdy? nigdy? — przemknęło mu lotem przez mózg — i twórczości mej wyrzec się muszę, twórczości... wszystkiego?...

Hordyj, siedzący obok niego, przypominał mu i uosabiał ciężącą dłoń mocy, która nagle ogarnęła go i trzymała w swych szponach nieubłaganie.

— Zabiję go...

W tej chwili obcy głos roześmiał się we wnętrzu jego duszy:

— Głupcze, zabijesz marnego pionka i zapadniesz jeszcze głębiej w przepaść... Nie tobie szarpać się, stawiać czoło... Uczynić to może *miljon* — wiele *miljonów*... *Uczynić to mogą wszyscy*...

To było nieśmiałe, ciche, znaczące się cieniami głosek zaledwie... ale od tej myśli targnęła się cała dusza Władysława. I gorące, szalone życzenie, aby wreszcie taki dzień wszedł w majestacie purpury ponad tę ziemię, przepojoną łzami, rozpłonęło w nim całym.

— A przecież on nadejdzie!... — wybiegło mu na usta z całą siłą, zanim je powściągnąć zdołał.

Hordyj zwrócił się ku niemu zdziwiony.

— Co ma nadejść? — zapytał.

— To, czego ani pan, ani panu podobni, ani wy wszyscy razem nie zdołacie żadną siłą powstrzymać.

Hordyj milczał przez chwilę. Stalowe jego oczy błądziły po zieleniejących łąkach, nad któremi z chyżością złotego ptaka leciało w przepaść snu — słońce.

— Nie chcę rozumieć, o czem pan mówi — wyrzekł wreszcie.

— Och!... pan wie dobrze, pan to czuje, wy to wszyscy czujecie...

— Nie... nic nie wiem...

Umilkł i dodał, forsując uśmiech na cienkie wargi:

— To tylko, że za parę godzin będzie pan wśród... swoich.

Wśród swoich?

A więc do granicy. Odwożą go do granicy. Wyrzucają, odstawiają z jednej rogatki za drugą, oddają sobie z rąk do rąk jak własność.

— Bierzcie sobie... to wasze!...

O! nieszczęsny narodzie z piętnem orzełków trójbarwnych, z wieczystem piętnem w pacht, w niewolę wziętych zwierząt!

Przez rogatkę, przez szlaban.

Zabłąkało się tu coś waszego, miły sąsiedzie, a że jest znarowione, psuje nam naszą chudobę, odstawiamy wam, do rąk własnych...

O narodzie z piętnem przynależności do trzech swoich panów, smutny, tragiczny narodzie!...

XVII

POWRÓT KLICKIEGO DO KRAKOWA. JAKBY SEN. KAZIO. CHOROBA JANI. JEJ WIĘZIENNE LOSY. ZMOCZONY SZRONEM KWIAT. CO NAM PRZYPADA W UDZIALE.

Gdy Klicki stanął w swem atelier — i obejrzał się dokoła — zdawało mu się, że śnił, że to wszystko, co przeszedł, działo się we mgłach.

Żandarmi, sąd, Tagiejew, cela więzienna, lazaret migotały mu w pamięci dziwnie oddalone. Pozostało mu tylko uczucie ogromnego bólu i tęsknicy za tą stroną kraju, z której go wygnano.

— Nigdy już tam nie wrócę! nigdy!... myślał, a jaki mi drogi teraz tam każdy łan, każda przydrożna grusza — każden człowiek schylony i cichy...

Usiadł na swej otomance, na której tyle nocy przetrawił, patrzył na ten kąt, do którego zwłóczył co mogł z rzeczy pięknych, aby niemi karmić wzrok. I dziwił się, jak witały

go smutno, jaką się oblekły mgłą, jakby czuły, że dziś stawały się poprostu akcesorjami, które go bawić tylko mogły, a od treści jego życia były dalekie.

— Jesteście duszy mojej miłe — myślał— ale nie jesteście drogie.

Na ścianie, nad łóżkiem wisiała ogromna fotografja Jani. Było to powiększenie z małej wizytówki, którą dziewczynka mu dała jeszcze w Zakopanem. Bezpretensjonalna poza podnosiła naturalny czar jej postaci. Śliczne oczy patrzyły słodko, usta rozchylał uśmiech. Była to wiosna, uśmiech, czar młodości, rwącej się do życia.

Klicki z bólem na fotografję patrzył.

— Janiu! moja Janiu!... — myślał i wreszcie głowę na ręce pochylił.

Zdawało mu się, że mu ktoś zdruzgotał życie i że z tych ruin niepodobieństwem będzie już wynieść cokolwiek.

Słońce zapadało — a od plant płynął dech rozkwitających drzew. Młoda zieleń okoliła wieńcem stary gród, jakby mogiłę równianka zbożnie maiła. Purpurowym ptakiem, a przecież nie krwawo, zapadało powoli słońce za wał ciemnych chmur. Kilka ognistych strzał wpadło przez otwory ciemnych firanek, któremi były zawieszone okna. I odbiły się na fotografji Jani, której twarzyczka zaczęła się żarzyć i jaśnieć jakby w aureoli i blasku.

Klicki rachunek swego sumienia czynił. Wszystko to, co spełnił, nie były to heroizmy,

raczej wynikały z łańcucha faktów, niż z jego woli. Był jednak spokojny, że czynił dobrze i szedł prosto, nie zawahawszy się ani na chwilę.

— Gdyby mi danem było dokonać rzeczy większych — myślał — dokonałbym ich, bo rozwinęła się we mnie moc!...

Ktoś zadzwonił u drzwi. Klicki wstał niechętnie. Lękał się, że to jego wspólnik przyjdzie nagabywać go pytaniami, że będzie musiał przeglądać książki, wejść w tok interesów bieżących.

Żył pomimo wszystko w tak abstrakcyjnym świecie, że ciężko mu było naginać się do rzeczywistości.

Dzwonienie powtórzyło się.

Klicki drzwi otworzył i ogromna radość przepełniła mu serce.

Przed nim stał... Kazio.

Młody Horski wyrósł, zmężniał, spoważniał jeszcze więcej. Te kilka miesięcy z chłopca zrobiły prawie mężczyznę.

Ku Klickiemu ręce wyciągnął.

— Jesteście!... choć wy... to dobrze...

Klicki go do atelier wciągnął. Nieokreślone wzruszenie wezbrało jego piersią. Ten „Kazio" — to była przecież bliskość Jani, to była jakby ona w oddali i we mgle majacząca.

Zimne na pozór rysy Kazia roztajały także. I on patrzył na Klickiego jakby z poza wilgotnych oparów.

I niemal równocześnie wyciągnęli ku sobie ramiona...

— Wróciliście?... dziś?... prawda?... — szeptał Kazio — ja tu codzień zachodzę.

— Dziękuję wam!...

Siedli pod fotografją Jani, ciągle wzruszeni obaj, nie tając się teraz z tem, co się w ich sercach działo.

— To ja wam dziękuję! — podjął Kazio — dla mnie i przezemnie...

Lecz Klicki przerwał szybko:

— Jak możecie tak mówić! nie przez was, nie dla was... dla idei — dla was wszystkich... Wy jesteście przecież cząstką całości, którą i ja jestem. A więc dla was i dla mnie!... Wszak tak?...

Gorączkowo wyrzucał słowa.

Kazio swe ogromne śliczne oczy utkwił w jego twarz.

— Tak... tak — zaczął — widzę, wracacie inni, wracacie *nasi*, przeobrażeni... pragniecie, szukacie celu, ogrom was nie przeraża.

— Nie... ciągnie! Drobność, małość tego, co przedemną, raczej odpycha. Chciałbym działać, żyć w tem działaniu... istnieć duszą czynu...

Umilkli obaj, czując, że serca ich biją jednako.

— Skąd wiecie o mem uwolnieniu? — zapytał wreszcie Klicki.

— My wiemy wiele — odparł Kazio — i wiemy to, co wiedzieć chcemy.

— A...

— Mówcie śmiało. Chcecie pytać o siostrę?

— Tak!...

Twarz Kazia powlokła się smutkiem.

— Chora jeszcze w lazarecie warszawskim.

— Jezu!...

Klicki twarz zakrył. Drżał cały. Dowiedział się, że Jania żyła, lecz równocześnie miał pewność, iż jest uwięziona.

— Ja ją widziałem — wyszeptał wreszcie.

— Gdzie?...

— Tam... w gubernskiem więzieniu! Sunęła się cicho wzdłuż ścian mej celi. Słychać było jej cichy jęk. To była ona. Ja to wiedziałem — to była ona!,..

— Tak... pojmana przez Tagiejewa, została odstawiona do gubernii... tam zachorowała,.. wywieźli ją do Warszawy... jest w cytadeli na oddziale chorych... ojciec nad nią czuwa, stara się.

Głos Kazia się łamał. Lica jego bardziej zbladły i nagle wybuchnął:

— Ach! co ja mam czynić!... co ja mam czynić!...

Padł na sofę i tarzał się po niej, jęcząc.

— Ja tu... wolny... uciekłem... A ona tam złowiona przez nich, zamiast mnie! Wszak to ja powinienem być w ich rękach... ja! nie ona!...

Klicki pochylił się nad nim.

— Tak zrządził los.

— Myślałem powrócić, oddać się im za

nią, aby ją wypuścili, lecz to się na nic nie zda. Ojciec pod błogosławieństwem zakazuje — ma nadzieję uwolnić...

Klicki patrzył na Kazia i nie poznawał go. Sentyment wybuchnął w nim z całą potęgą. To, co ten chłopiec tak umiejętnie dławił w sobie tyle lat, aby nie „zaszkodziło" mu w czynie, tliło w nim pomimo wszystko. I oto dziś łamał się i tarzał we łzach, zdjęty bólem nad cierpieniem siostry, dla której był z pozoru tak zimny, tak surowy.

— Ojciec ma nadzieję?... — podchwycił Klicki, i w jego sercu zajaśniał jakiś promyk cieplejszy.

— Tak. Podobno Jania popadła w chorobę nerwową, wywołaną przestrachem. Lęka się wszystkiego. Lęka się ludzi, zmiany miejsca, lęka się samej siebie. Lekarze nie tają, iż musi być doskonale leczona, aby wróciła do normalnego stanu...

Klicki zerwał się z otomany i zaczął chodzić po pracowni. Cała dusza rwała mu się na strzępy na myśl, że Jania tak strasznie cierpi, a on jej żadnej ulgi przynieść nie jest w stanie i zdaleka musi asystować tej męce, w którą popada duch jego ukochany.

— Czy oni ją wypuszczą? — zapytał nagle, stając przed Kaziem.

— Ojciec tak sądzi. Wiedzą, że mnie już nie pochwycą, co do niej, „sprawki", jakie z niej ściągnęli, uwalniają ją nawet od indagacji. Z was wyciągnęli wszystkie korzyści.

Jania może być dla nich tylko bezużytecznym ciężarem. Zapadać będzie coraz ciężej. Ojciec kołatać będzie rozpaczliwie. Zechcą się pozbyć kłopotu.

Uśmiechnął się gorzko.

— Gdyby Jania była opuszczona zupełnie, gdyby ojciec nie miał żadnych środków, a!... wtedyby rzucono ją gdziekolwiek, nie troszcząc się, jak zginie.,. ale tak, może, kto wie...

Zamyślili się obaj. Dokoła gasło słońce, cienie liljowe zasnuwały sprzęty. Cisza panowała przeogromna. Kraków zamierał uroczyście, otulając się w mglistość księżycowej nocy.

— Ojciec pisał, — odezwał się znów Kazio — że skoro zdoła Janię uwolnić, przeniesie się na mieszkanie do Krakowa. Będziemy wszyscy razem.

Spojrzeli sobie w oczy, szukając wzajemnie otuchy. Nie było jej tam. Natomiast Kazio pierwszy otrząsł się z uczuć, które przenikały miękkością jego serce.

— Czekajmy na przeznaczenie! — wyrzekł, a głos jego nagle nabrał hartu — i bierzmy w życiu to, co nam przypada. Ból i wytrzymałość... Gdy nas spotyka coś jaśniejszego, to brać jako chwilę przejściową. Stan walki, to stan normalny. Gdy tak będziemy brać życie naszego społeczeństwa, nie będziemy mieli zawodów.

Czarne jego oczy ochłodły z łez i miały znów w sobie tę nieprzenikliwość, jaką zdo-

być zdołał duch tego chłopca kosztem zgnębienia serca własnego.

Klicki na niego patrzył, podziwiał, lecz nie mógł nadążyć za nim w ten hart, którym się czyny cudowne dokonać jest w stanie. Oczy jego i myśl wciąż zwracały się teraz ku twarzyczce Jani, koło której gasła poświata purpurowa, i jakiś cień wielkiej, nieutulonej rozpaczy zasnuwał ją nierozerwalną przędzą. Dokoła tłoczyły się postacie Tagiejewa, Aksakowa, Markowskiego, cały tłum siepaczy, to brutalnych i dzikich, to aksamitno układnych, i, milcząc, gasili te słoneczne blaski, które nimbem wiosennym rozkwitały, pełne młodego uśmiechu i chęci do życia.

— Co z tobą, ty moja serdeczna? co z tobą? — myślał Klicki i wmadlał się duchem w tę wizję dziewczęcą, mdlejącą jak kwiat, na który pada wczesny jesienny szron.

XVIII

PRZEMIANA KLICKIEGO. KUCIE PŁUGA, ZDOLNEGO ROZERWAĆ MOGILNE WZGÓRZA. ZBUDZIŁEM SIĘ! ŻYJĘ! UWOLNIENIE JANI. JEJ PRZYJAZD. W MROKACH OBŁĘDU. TAGIEJEW.

Rozpoczęło się dla Klickiego życie nowe, inne, tak różne od tego, które wiódł poprzednio.

Dawniej żył artyzmem i chlebem codziennym. Sądził, że spłaca dań duchowi, skoro poda mu piękno sztuki w linjach, barwach, tonach, i w harmonji estetycznej kąpał się wtedy, gdy nadto troska o byt przytłaczać go miała. Obecnie, po przebyciu katastrof i przejść w Królestwie, ten horyzont, na którym odcinał się dawniej tak czarująco ołtarz sztuki, wydawał mu się czemś ciasnem, oleodrukowem, ujętem w ramy, obciętym szmatem podrzędnych objawów życiowych.

Do Kazia garnął się teraz całą duszą. Kazio, znalazłszy się nagle na swobodzie, odrzuciwszy precz niewolniczy przymus, jakim go system szkolny w Królestwie przenikał, nie stanął nieprzygotowany i rozgorączkowany. Przeciwnie, już w Królestwie rozważny, chcący być moralnie dojrzałym wtedy, gdy do pracy zabrać mu się przyjdzie, nie rzucał się na ślepo w wir poto jedynie, aby ukoić swą gorączkę i nerwy. Przeszedłszy od dziecka straszną szkołę, która mu się kazała „pod ziemią kryć z gniewem i być jak otchłań w myśli niedościgły", nie rozpraszał się na zewnętrzne wylanie owego nagromadzonego w swej piersi gniewu. Raczej żar ten stapiał się na szlachetny metal, z którego kuł pług zdolny rozorać mogilne wzgórza.

Klicki szedł za nim jak cień, chłonąc z jego słów linje wytyczne swych myśli. Kazio pozostał małomównym, w Królestwie zamknięto mu wrota ulatujących słowami myśli. Lecz Klicki wżywał się w to niedopowiedziane i później na swą korzyść obracał, starając się analizować rdzeń myśli i odrzucać łupiny, które je otulały.

Horski pisywał niezbyt często, używając przenośni, które Kazio rozumiał. Widoczne było, iż listy do Kazia adresowane są na granicy odklejane i czytane. Władze rosyjskie nie robiły sobie nawet skrupułu z uczciwem zalepieniem raz otwartej koperty. Za Klickim i za Kaziem włóczyły się ciągle jakieś figury

i szpiegowały ich kroki. Przywykli do tego i przestali się nawet denerwować. Kazio właściwie nigdy się tem szpiegowaniem nie czuł podrażniony.

— Wzrosłem wśród Tagiejewów i Hordych! — mówił, wzruszając ramionami.

Stan zdrowia Jani pogarszał się. Horski pisał, iż dziewczę niknie w oczach. Widuje się z nią często, lecz ona czyni widocznie wysiłki, aby przed nim ukrywać trwogę, którą nawet widok ojca ją napełnia. Bezustannie czuje krążącego dokoła siebie Tagiejewa i nic nie zdoła odpędzić od niej tej przerażającej ją myśli.

„Mówiono mi — pisał Horski — iż zrywa się po nocach, jęcząc i uspokaja się tylko w ciemności i odosobnieniu. Poznaje mnie wszakże. Uzyskałem, iż widzę ją bez krat. Jutro jadę do Petersburga, nie tracę nadziei. Krew ostatnią wytoczę — muszę ją ocalić"...

Kazio w milczeniu podał Klickiemu list ojca.

— Czytaj! — wyrzekł — weź i ty część swoją!

Klicki oczyma list chłonął. I z każdą literą wstawało w nim wyobrażenie tego nieszczęsnego ojca, snującego się pod bramami cytadeli i te białe mury szpitalne, opatrzone cmentarzyskiem krat, poza któremi jęczy cichy głos jakby trąconej harty, która kona w oddali.

„A *czy nas umarłe macie za stracone?*"

I tam ginęła i gasła powoli dusza strwożona nagle w zaraniu istnienia. Kosmata dłoń Tagiejewa sięgnęła po nią i zgniotła swem dotknięciem. Płoszyła się dusza jednostki, płoszył się duch ziemi, na którą spadła ta sama dłoń, i konał w oddali jęk dziewczyny, i konał w oddali jęk setek i tysięcy. A tylko tęczową, delikatną wstęgą rozwijały się słowa pociechy:

„*A czy nas umarłe mącie za stracone?*"

Klickim rwało aż ku nim, ku tym, którzy cierpieli, dysząc ciężko; błądził teraz wśród pozornej wolności, w której przebywać musiał, a przecież nie czuł się wolnym. Tak bardzo zrósł się z tamtą częścią społeczeństwa, tak bardzo był niem samem — tem, co dla niego było niedawno jeszcze niemal obce, a przynajmniej tylko pozornie z nim złączone. Ta krata cmentarna, za którą jęczała Jania, zdawała mu się rozciągać nietylko nad nią, nad krajem, lecz i nad nim ciągle i bezustannie. Duchem pozostał na mazowieckich polach, w tych miasteczkach opasanych kordonem policji, wycieńczonych ekonomicznie i zgangrenowanych moralnie.

— My tam nigdy nie wrócimy! — mówił do Kazia z wielkim, bezgranicznym smutkiem.

— Przeciwnie, to od nas zależy.

— Jakto?...

— Wrócić czynem, myślą... zbudzoną

w drugich wolą. Stąd działać możemy... powinniśmy...

— Tak! tak!...

O robotnikach dąbrowieckich myślał teraz często i ku nim się garnął duchem.

— Oni mi najbliżsi — myślał — w nich jest hart i moc.

Pokrewne drogi ku nim łatwo mógł odnaleźć. I zaczął na nie wchodzić, a serce mu łopotało w piersiach jak zbudzony ptak. I słońce mu było teraz jaśniejsze choć krwawsze, i cel wielki już przebijał w tem świetle.

Były chwile, w których czuł wdzięczność prawie dla losu za to, że go przez te rózgi przegnał.

— Zbudziłem się... żyję — myślał, wyciągając ręce w przestrzeń, jakby skrzydła rozwiewał... — żyję... I gdyby tylko ona...

. . . . . .

I nagle, niespodzianie zupełnie, wpadł do niego raz Kazio późnym wieczorem.

— Telegram jest — zawołał od proga — jutro przyjeżdżają...

— Kto?...

— Jania, ojciec...

Klicki przez chwilę stał, milcząc; wreszcie aż na otomanę padł, tak drżeć zaczął nerwowo.

— Uwolnili!...

— Widocznie...

Chmura smutku powlokła oczy Kazia.

— Ale co oni uwolnili?... — wyrzekł cichym głosem — musieli wypuścić z ręki już pół trupa, nawet go dalej pognać nie chcieli.

Klickiemu pociemniała jego radość chwilowa. Tak, Jania musiała być bardzo chora, jeżeli ją dobrowolnie wyrzucali z więzienia...

Gdy nazajutrz rano stał razem z Kaziem na peronie, zdenerwowanie jego wzrosło jeszcze silniej. Noc całą nie spał, chodząc po pracowni. Doznawał już teraz nie radości na myśl o przyjeździe Jani, ale bólu. Gdy pociąg nadjeżdżał, ból ten spotęgował się tak silnie, iż Klicki pobladł trupio i ręce do piersi przycisnął. Pociąg pędził z hukiem i szczękiem, ludzie, gwarząc, cisnęli się dokoła. Klicki nic nie widział, nie słyszał, tylko ten huk i tę lokomotywę, zdającą ziać się z furją kłęby białej pary.

— Tam... ona...

W jednej chwili mignęło mu wspomnienie tej Jani, którą widział po raz ostatni w miasteczku, w podwyższeniu okna, obramowaną żałobną draperją, bladą, smutną.

I skojarzona z ziemią, z której się zrodziła, jak brzózka z lasowej poręby, wiodła ze sobą wspomnienie całej czerni smutnej wyzyskanych i uciśnionych stron, które już jęku nie mają, aby dać znać, że im źle, że sił w nich więcej niema, aby żywić swemi sokami tagiejewską paszczę.

Pociąg stanął szeregiem wozów i tłum do

drzwiczek się rzucił. Klicki błędnie po oknach patrzył. Wysiadali ciągle. Horskich nigdzie nie było.

— Może nie przyjadą? — przemówił Kazio.

Peron oczyszczał się szybko. Wszyscy dążyli do wyjścia. Jakaś rodzina całowała się i witała, mając pośrodku biało ubrane dziecko na ręku niańki. Kwiaty, które niosła strojna panna, zapachniały nagle masą rezedy i róż. Ktoś gniewał się na posługacza, wreszcie wszystko znikło i tylko służba kolejowa krzątała się koło wagonów, szczękając młotkami o łańcuchy.

Klicki doznał ogromnego chłodu w piersi.

— Niema ich!...

— Niema.

Nagle z jednego wagonu wysunął się siwy, pochylony starzec. Obejrzał się dokoła. Dostrzegł Kazia i Klickiego. Skinął ręką i zaraz do wnętrza wagonu powrócił.

— Ojciec!... — zawołał Kazio.

— Ależ nie...

— Mówię wam, ojciec.

Podeszli szybko do wagonu i zaczęli się wspinać na schodki. Słyszeli, jak Horski przemawiał prosząco do kogoś, pozostającego w głębi przedziału.

— Ależ chodź... chodź... niema powodu do obawy. Jesteśmy w Krakowie... tu już ci nic zrobić nie mogą...

I cicho, jakby z oddali, wypłynął jęk...

Ni to harfa trącona, ni to się żali bardzo młode dziewczę.

Klicki aż drgnął. On jęk ten znał. Słyszał go owej nocy, gdy do drzwi przypadł i Janię po drugiej stronie numeru widział.

I teraz ją widział tak samo, zanim się mu ukazała.

— Chodź!... — prosił Horski — podaj mi rękę. Tam czeka na ciebie Kazio, czeka pan Klicki...

Jakieś niewyraźne słowa. Horski jeden je słyszał.

— Niema... on jest teraz w więzieniu. Mówiłem ci, że Tagiejewa zamknęli. Możesz być spokojna!...

Pochylił się i ostrożnie, powoli, wyprowadził z oddziału jakąś postać owiniętą długą czarną rotundą, z włosami obciętemi i gładko zczesanemi po obu stronach głowy.

. . . . . .

To była Jania.

Szła, chwiejąc się, uczepiona u ręki ojca, z oczyma przymkniętemi nerwowo, jakby lękając się ujrzenia tego, co ją zabić może. Zdawała się być bardzo wysoka, tak nadzwyczajnie wychudła i wyciągnęła się.

Twarz jej biała jak opłatek stała się podobną do tych twarzy ascetycznych, średniowiecznych dziewic, które klęczą rzędami u stóp Marji. I gdy szła tak wolno, z oczyma zamkniętemi, które, sinemi płatkami powiek kryte,

zdawały się nie chcieć już widzieć nic z tego, co rzeczywistością się zowie, wiało od niej jakieś zamykanie się stopniowe istoty, którą zmroził straszny wicher przeciwieństw i strachu wtedy, gdy dusza jej na wzór delikatnego kwiatu ku słońcu swą koronę podnosić zaczęła.

Ta kobieta blada i czarno odziana zdawała się być przepojona cierpieniem i trwogą. Ten bezmiar, gdy cofała się w głąb swej duszy i zabierała ją ze sobą, tworzył dokoła niej jakby poświatę, oddzielającą od zewnętrznych wrażeń. I to chroniło ją od obłędu zupełnego. To dozwalało jej przesuwać się tak wśród ludzi, dążąc ciągle do samotności, ciemni, gdzie mogła drżeć i lękać się, lecz zarazem odpoczywać, jakby od samej siebie.

Gdy Horski, ująwszy ją w ramiona, postawił wreszcie na peronie, Kazio chciał ująć jej rękę, lecz Horski szybko zakazał mu zbliżenia się gestem.

— Daj spokój — wyrzekł półgłosem — może przyjść atak... później.

Klicki i zbliżyć się nie śmiał. Powoli wyprowadzono Janię i wsadzono do landa. Ludzi było już mało na dworcu, lecz ci, którzy byli, oglądali się zdziwieni.

— Warjatka!... — mówili jedni.

— Ślepa!... — szeptali drudzy.

Klicki te wszystkie słowa zbierał jak cierpie i w serce sobie wbijał.

— Miał słuszność Kazio, mówiąc, że na-

leży jaśniejsze chwile brać jako wypadki nadzwyczajne w naszem życiu — myślał, idąc za żałobną szatą Jani — oto wkraczam w dziedzinę rzeczy nam zwykłych i właściwych. Powinienem przyjąć je bez buntu. Są narody, którym być szczęśliwymi nie wolno. Nasza pieśń szczęścia wyśpiewana.

Naprędce obaj z Kaziem przygotowali mieszkanie dla Horskiego i Jani. Brakowało jeszcze wiele. Cały jednak dzień poprzedni Klicki zwłaszcza pracował razem z tapicerami i stolarzami, aby poustawiać choćby najkonieczniejsze sprzęty. Mieszkanie znaleźli bardzo ładne, z widokiem na planty, całe zasnute zielonością. Klicki szczególnie troszczył się o pokoik Jani. Wybrał słoneczny, z dużem weneckiem oknem. Tapicer szybko rozrzucił dużo białych muślinów w liljowe irysy. Ustawiono angielskie metalowe łóżko, tualetę, szafę biało lakierowaną. Klicki przyniósł masę kwiecia ciętego w długich szklannych wazonach. Józefici dostarczyli palm. I aż rozsłoneczniało się w sercu, gdy weszło się do tego pokoju, całego dziewiczego, wesołego, pełnego jakiejś otuchy i dobrej myśli.

— Odżyje tu... zapomni moja ukochana... tyle słońca, kwiecia i starań zatrą w jej sercu te straszne wspomnienia. Widmo Tagiejewa musi ustąpić przed złotem słonecznem i tą zielenią świeżą plant — myślał Klicki.

Lecz gdy wprowadził Horskiego z Janią do tego „wnętrza", które miało być teraz ich

domem, zrozumiał, jak okrutną była jego pomyłka.

Nic bowiem nie zdoła opisać, jak straszny był kontrast tej bieli, tych kwiatów rozesłanych na spotkanie tej czarno odzianej, bladej dziewczyny, stojącej nieruchomo na środku jasnego dywanu w ogromne czerwone róże, z oczyma zamkniętemi, z rękami nerwowo zaciśniętemi pod fałdami długiego płaszcza. Zdawało się, że czarny, żałobny anioł zabłądził w jasne wirydaże, gdzie róże kwitną i palmy cień swój blady rzucają.

— Trzeba czemprędzej przysłonić okna, zabrać te białe firanki i kwiaty — wyrzekł Horski — to nie dla niej... ona tego nie znosi.

Szybko poczęto zdzierać śnieżne draperje, wynosić kwiaty, rozpinać na oknach pledy. Jania usiadła w kącie, odwróciła się do ściany i siedziała tak wtulona w mur, nieruchoma, milcząca.

Klicki, dopomagając do niszczenia swej poprzedniej pracy, spoglądał ze strasznym bólem na nią i na Horskiego, który niezmordowanie zajmował się instalacją córki.

Horski posiwiał, postarzał się strasznie. Twarz mu obwisła, oczy podkrążone, czerwone były i zmienione zupełnie. Chwilę stał, patrząc na Kazia boleśnie i z miłością ogromną.

— Dobrze, że choć ty! — mówił — choć ty...

Kazio do ramienia ojca przypadł.

Po raz drugi Klicki widział serdeczne rozrzewnienie na twarzy chłopca. Pozostali tak długo w uścisku. Nie mówiili nic, a przecież odczuli się i porozumieli wreszcie.

Złączył ich ból, niepokój, przebyte cierpienia.

Wreszcie Horski i do Klickiego się zwrócił:

— I pan cierpiałeś!...—wyrzekł zdławionym głosem, — i to przez nas... przepraszam!

Chciał jeszcze coś mówić, łzy mu oczy zalały.

Klicki rękę jego pochwycił.

— Dziękować wam winienem, — wyrzekł wzruszony — iż przez was poznałem takie cierpienie.

— Należysz przez to do nas — odparł Horski — jesteś naszym i dopomóż mi...

Wskazał oczami na przytuloną do ściany Janię, więcej wymówić nie mógł. Na fotel padł i długo łkał jak dziecko.

Widok tego siwego człowieka, zanoszącego się od płaczu, przeszył bólem serce Klickiego.

— Życie moje oddam — wyrzekł gorąco — aby ją ocalić!...

— Ach! gdyby!... — wyłkał Horski.

. . . . . .

I wśród tych łez, i wśród tych smutków przeogromnych powiało nagle jakby grozą potworną.

Jania zerwała się, spojrzała w blask jeszcze

źle przyćmionego okna i krzyknęła strasznym, rozdzierającym głosem:

— Tagiejew!...

Dojrzała go oczyma duszy, nie jako wizję wspomnienia, lecz jako rdzeń, jako czynnik tej boleści, tego strachu, który tu nawet — w słońcu, w zieleni, w pozornej swobodzie przywleczony z poza miedzy granicznej, rozłączyć się z niemi nie chciał.

I nie był to on sam, ten policmajster małego miasteczka, dziki i nieukrócony, lecz to, co on reprezentował, to jest system rządzenia, terror ekonomicznego wyzysku i rozprzężenie moralne niższych warstw społecznych. W krzyku Jani to wszystko wróciło i rozpanoszyło się straszną potęgą, wlokąc za sobą widmo rozpasanej hordy w policyjnych szynelach, kłębiącej się w walce z bandą żandarmerji, a wszystko na wyssanej do szpiku ziemi, która, jęcząc cicho, w przepaść zapadała.

. . . . . .

Całe szeregi lekarzy nerwowych przesunęły się przez mieszkanie Horskich.

I nic, tylko „spokój! cisza!" — oto było wszystko, czem uleczyć Janię mieli niepewną nadzieję. Grobowa cichość włóczyła się dokoła jej pokoju. Wysłano warstwą słomy ulicę, zabito materacami do połowy okna, resztę zasłonięto. Urządzono rodzaj celi więziennej, aby w niej uspokoić chorą. Jania bowiem, doznawszy szalonego przestrachu po areszto-

waniu, musiała czuć się niejako tylko bezpieczną w zamknięciu więziennem. I to w niej zostało. Nie chciała nic więcej, jak tylko odosobnienia zupełnego. Z ojcem widywała się chwilowo. Każda dłuższa rozmowa doprowadzała ją do ataku. Wizją Tagiejewa zdręczona uciekała w kąt, jęcząc i drżąc cała. Można było wymódz na niej wiele, słuchała, lecz opłacała każdy taki wysiłek zdenerwowaniem okropnem.

Stała się ona osią i punktem wytycznym życia Klickiego. Nie był w stanie ani pracować. ani oddawać się swojej duchowej ewolucji. Ona i ciągle ona! I ta jej nędza, to jej cierpienie, rwało go na strzępy.

Ciągle przabywał pod jej drzwiami.

W nocy przesiadywał na plantach, wpatrzony w ciemne okna jej pokoju.

Gdy ataki bywały silniejsze, Horski dozwalał mu czuwać na przemian z Kaziem przy uchylonych drzwiach jej pokoju.

W ciszy nocnej, siedząc na fotelu, w świetle przyćmionej lampy, wsłuchiwał się wtedy Klicki w każdy odgłos dochodzący z pokoju Jani. Słyszał, jak wstawała, jak chodziła miarowym krokiem, jak stawała nieruchoma, jakby i ona słuchała z trwogą, co się nazewnątrz dzieje.

Jakże byłby przypadł do jej bosych nóg, których kroki snuły się w nocnej ciszy jak skrzydła zranionego ptaka po jesiennem ścier-

nisku, jakże byłby te bose stopy całował i wołał:

— Nie lękaj się... ja tu jestem... . serce moje czuwa nad tobą...

Lecz wiedział, że samo pojawienie się jakiejś postaci we drzwiach wywoła w Jani uczucie grozy i przestrachu, i że rozlegnie się znów ten krzyk o nieokreślonym dźwięku:

— Tagiejew!... Tagiejew!...

Siedział więc nieruchomy i tylko zimno grobowe spływało mu do serca, spływało wzdłuż całej jego istoty, jakby wiał ku niemu anioł śmierci, i wahał się u progu, lekając się sam czynu, jaki stać się musiał.

XIX

CHWILA JASNOŚCI, JANIA PRZYTOMNIEJE. JAŚMIN. POWOLNY POWRÓT DO ZDROWIA. Z MELODJĄ, Z GWIAZDAMI, Z KWIECIEM! WYJAZD DO WIEDNIA. PRZYBYCIE. NIEPOKOJĄCE OBJAWY. NAPAD SZAŁU. STRASZNA CHWILA. SAMOBÓJSTWO JANI.

Nagle, jakby los ulitował się i chciał choć chwilę pozwolić swym ofiarom odetchnąć, stał się w zdrowiu Jani jakiś zwot pomyślniejszy.

Zaczęła dłużej rozmawiać z ojcem, jadła więcej i nie domagała się więziennego wiktu, nie wbijała ciągle oczów w ścianę i zaczęła interesować się drobnemi objawami życia zewnętrznego. Lekarze nie taili swego zadowolenia, przypisując ten nieznaczny krok ku lepszemu swoim systemom i radom.

Przedewszystkiem Jania sypiała teraz, sypiała po kilka godzin i ten objaw był najbar-

dziej ze wszystkich pocieszający. Dowodził pewnego uspokojenia się systemu nerwowego. Ponadto pewnego dnia jakaś oddalona katarynka grała ochrypłym głosem jakąś znaną melodję.

Jania, jakby pociągnięta magnesem, zbliżyła się do okna i słuchała długą chwilę. Ojciec zapytał ją:

— Może zakazać grać?...

Skinęła tylko ręką i słuchała dalej.

Gdy katarynka umilkła, Jania cofnęła się do swego kąta, ale nie siedziała zwrócona twarzą do muru i kilkakrotnie spoglądała w okno, jakby czegoś wyczekiwała.

Klicki, powiadomiony o tym fakcie, nabrał trochę otuchy. Podzielił się nią z Horskim, który bardzo tej otuchy potrzebował. Biedny człowiek, oprócz trosk o córkę, wyrwany ze swego otoczenia, z ruchu handlowego, do którego przywykł, cierpiał niewymownie, starzał się, podupadał, pomimo woli jaką w sobie budził.

— Ciężko mi!... — mówił do Klickiego w godzinie depresji moralnej.

Przed Kaziem nie skarżył się nigdy. Chciał widocznie dowieść synowi, że jest w nim duża siła i że on umie dźwigać część swoją.

Od tego dnia codziennie i coraz dłużej płacona przez Horskiego katarynka grała pod oknem Jani. Powoli zbliżała się i na chorą to oddziaływało pomyślnie. Ta prosta muzyka, której Jania dzieckiem wysłuchiwała rado-

śnie w miasteczku, miała dar przywoływania jakichś milszych wspomnień, jak te, które mózg chorej opadły.

Klicki najczęściej znajdował się w sąsiednim pokoju i przez uchylone drzwi widział, jak Jania, cicha i powolna w gestach, zesuwała się ze swej pościeli i w białej, długiej koszuli, owinięta czarnym szalem, sunęła do okna. Cały czas pozostawała tam nieruchoma i powracała znów leciuchno, jak widmo, w cień. Klicki na te chwile czekał, bo były mu one zjawiskiem przeogromnej radości w ciemnicy chmurnego bólu.

Pewnego dnia, gdy Klicki przyszedł wieczorem, przyniósł ze sobą gałązkę kwitnącego jaśminu.

I wszystko już tam pachniało i kwitło na plantach. Klomby, jak żywe kadzielnice, biły kłębami upajającej woni. Nad miastem rozciągał się czarny welon nieba, przetykany gęsto brylantami gwiazd.

Horski przywitał go radośnie w progu.

— Pan wie... Jania dziś jest nietylko spokojna, ale przywitała mnie pierwsza słodką pieszczotą. Z lekarzem rozmawiała przez chwilę i nie uciekała przed nim tak, jak zwykła to czynić, biorąc go za Tagiejewa... Mamy nadzieję...

To słowo zadzwoniło nagle jak dzwonek w ranek majowy, którego głos po łąkach się ściele.

— Lekarz powiedział, że w razie polep-

szenia należałoby ją wywieźć do jakiegoś zakładu hydropatycznego do Wiednia... Może do Kaltenleutgeben... Nie wiem...

Klicki uśmiechnął się wesoło. Wyciągnął rękę, w ktorej trzymał gałązkę jaśminu.

— Niech pan jej poda ten kwiat... co powie?...

Horski wziął białe kwiecie.

— Dobrze!

Wszedł do pokoju Jani. Dziewczynka siedziała na łóżku, nie w swej zwykłej pozycji, skurczona, lecz wyprostowana, jakby na coś wyczekując.

— Janiu!... — przemówił ojciec — masz tu gałązkę jaśminu.

Położył jej kwiat na złożonych na kolanach dłoniach. Dziewczę ostrożnie dotknęło palcami kwiecia, wreszcie powoli podniosła gałązkę do twarzy.

— Jaśmin... — wyrzekła cicho.

I zaraz dodała:

— Kto to przyniósł?

Horski zawahał się. Lękał się, czy nazwisko Klickiego nie przypomni Jani znów miasteczka, a w ślad zatem i Tagiejewa i całego przejścia. Nie odpowiedział nic. Jania nie ponowiła pytania. Tylko Horski usłyszał zdumiony następujące z jej ust słowa:

— Gdyby trochę okno...

Szybko Horski uchylił ciemnej zasłony. Ciepły, wonny powiew wpadł razem z szumem drzew. Gwiazdy zaiskrzyły się przez konary

lip. Od dołu płynął szmer spacerujących ludzi. Letni, śliczny wieczór modlił się czarem w niebiosa.

Jania z gałązką jaśminu przy ustach siedziała nieruchoma, patrząc w gwiazdy.

Coś słuchała, czegoś pragnąć zaczęła i na jej bladej twarzy, lekko oświetlonej miluchnem światełkiem wysoko ustawionej nocnej lampeczki, pojawił się wyraz rozmarzenia błogiego, właściwego zakochanym i tęskniącym dziewczętom.

Klicki, stojący przy niedomkniętych drzwiach, poił swą duszę wyrazem tych rysów i chłonął go z nadzieją dni lepszych, jakby promień słońca przez dżdżyste, ohydne szeregi jesienne.

. . . . . .

Z melodją, z gwiazdami, z kwieciem, wracała ku Jani siła i chęć do życia. To, co istnienie nasze wykradło losowi, czarującego dla upiększenia naszego życia — ciągnęło i wabiło dziewczynę, odpędzając od niej precz mary straszne, w grób ją wtrącające. Zaczynała interesować się obecnem miejscem pobytu, zaglądała czasem do okna ukradkiem, kilkakrotnie prosiła, aby ojciec u niej dłużej pozostał. O Kazia nie pytała nigdy... W głębi swej ciemnicy doszła do przekonania, iż ona zgubiła swego brata lekkomyślnością swoją. Od tej chwili wystarczało, aby ktokolwiek wymówił imię Kazia, a natychmiast popadała w sil-

ny nerwowy atak, kończący się rodzajem katalepsji. Od owego dnia, w którym skonstantowano pewne polepszenie, widocznem było, iż Jania pragnie o coś się zapytać, czegoś chce, a nie śmie... Kazała przywoływać ojca i z wypiekami na twarzy patrzyła nań badawczo.

— Chciałabym... — zaczynała i urywała natychmiast.

— Nie dopomagajcie jej — powiedzieli doktorzy — niech sama wypowie myśl swoją.

I, rzeczywiście, jednego poranka zapytała nagle ojca, zadając sobie widocznie wielki gwałt:

— Kazia wywieźli?...

Horski się ku niej rzucił.

— Nie, Janiu... Kazio jest tu, w drugim pokoju. Czy chcesz go widzieć?

Patrzyła długi czas na ojca, jakby zdumiona, że i on tak kłamać może.

— Kazia... wywieźli? — zapytała silniejszym głosem.

Horski usłuchał pierwszego popędu. Podszedł szparko do drzwi i zawołał:

— Kazio!... chodź tutaj!

Razem z Kaziem porwał się i Klicki. Sądzili, że stało się coś strasznego. Wbiegli do pokoju, w którym szarzał niepewny blask lekko przyćmionych okien. Stanęli tak nagle przed Janią, która, spostrzegłszy ich, porwała się z łóżka, wyprostowała i krzyknęła:

— Kazio... On!...

To drugie odnosiło się do Klickiego.

Głos jej był przytomny — gest raczej radosny, niż obłąkany. Obaj nie śmieli zbliżyć się do niej. Stali nieruchomi, patrząc wylękłemi oczami. Horski ku niej podbiegł i mdlejącą prawie w objęcia pochwycił. Lecz ona nie odwracała oczów. Patrzyła ciągle — uparcie — a źrenice jej rozszerzyły się, jakby chłonęła w siebie widok tych ludzi, którzy przez tak długi czas byli dla niej straceni.

— Chodźcie do mnie!... — wyrzekła wreszcie cichym, proszącym głosem.

Pierwszy podszedł Kazio. Sunęła długo swe wychudłe ręce po jego twarzy i piersi, jakby chciała się przekonać, że nie ma z widmem do czynienia.

— Dawno cię wypuścili? — zapytała — bardzo cię męczyli?... Gniewasz się na mnie bardzo? Nie gniewaj się! Ja byłam bardzo nieszczęśliwa... ja myślałam...

Urwała, zaczęła blednąć, brwi marszczyć, lecz Kazio szybko opowiadać jej zaczął, że nie był wcale aresztowany, że w sam czas umknął, że się przedostał przez granicę, że...

Lecz ona niedowierzająco kręciła głową.

— Nie... tam byliby cię ze swych szponów nie puścili.

Wzrok jej padł na Władysława. Lekki rumieniec przesunął się po licu. Nie wyrzekła ani słowa, tylko wyciągnęła rękę.

Całować zaczął tę biedną, chudą rączkę i z trudnością mógł powstrzymać łzy, cisnące

mu się do oczów. Ona łzy te dostrzegła i zaraz wyrzekła ze smutkiem:

— Wszyscy przezemnie płaczą!...

Zapewnili ją natychmiast, że to są łzy radości. Wielka troska osiadła jednak na jej twarzyczce. Widocznie nie umiała już przyjmować z życia lepszych cząstek, ciągle teraz szukała tego, co złem było.

Niemniej przecież zdrowie jej czyniło znaczne postępy. Przestała miewać halucynacje i zaczęła żyć normalnym trybem. Pozwoliła się przekonać, że jest bezpieczna nietylko w ciemnicy i w odosobieniu, i że jest daleką od Tagiejewa i jego bandy. Klicki wysilał swój mózg i nerwy na ciągłe rozrywki, któremi nie pozwalał Jani powracać do dawnych upiorów. Całe dnie trawił przy jej boku, przeprowadzał ją po mieszkaniu, ukazywał z wolna chodzących po ulicy ludzi, kwitnące klomby, szumiące lipy plant. Oczami rozkochanemi dodawał jej sił i równowagi i wpajał w nią umiejętność życia, którą utraciła.

Horski powoli ustępował mu placu, zmęczony poprzedniemi przejściami. Zresztą widział, że miłość zaczyna wstępować w swe prawa i że ona dokona tu cudu, który zdawał się być nieziszczalnym. Jania zaczynała nawet uśmiechać się, domagać kwiatów, prosić o trochę księżycowego światła. Słońca jeszcze tylko znieść nie mogła i doznawała poprostu bólu na samą myśl, że tam na wolnej prze-

strzeni potoki złota przelewają się poprostu falami przed oczami ludzi.

Jeszcze był jeden objaw znamienny, który niepokoił lekarzy. Jania nigdy nie mówiła o tem, przez co przeszła. Nie wspominała nigdy o aresztowaniu swojem, o miasteczku, o Tagiejewie. Gdy mimowoli ojciec lub Klicki potrącił o temat dawny, twarz jej przybierała wyraz nieufny i srogi. Nawet ta widoczna ufność, którą żywiła do Klickiego i którą miłość potęgowała z dniem każdym, nie zdołała przełamać jej milczenia w tym względzie. To był widocznie świat, do którego ona tylko się cofała, poza kratą bólów przebytych. Tam, nawet kochając, nikogo wpuścić nie mogła.

Lekarze jednak nie zwracali na to uwagi. Ogromnie dumni z polepszenia, które przypisywali jedynie swojej wiedzy, chcieli dopełnić je kuracją, przeprowadzoną według wszelkich reguł.

— Hydropatja... nic, tylko zabiegi hydropatyczne.

Klicki doznawał jakiejś trwogi, słysząc te słowa. Zdawało mu się, że kwiat zbyt delikatny chcą koniecznie ściąć lodem. Lecz Horski lekarzom wierzył. Postanowiono Janię powieźć do Wiednia, a stamtąd do Kaltenleutgeben.

Chodziło teraz o przyzwyczajenie jej do słońca. Misji tej podjął się Klicki. Z nadzwyczajną subtelnością wyczuwał w Jani te nerwowe nici, które nie są słońcu przeciwne.

Rozwijał je i czynił dominujące. W początkach na drobnych, złotych przedmiotach, na żółtym jedwabiu abażuru, przyzwyczajał ją do odblasków dziennej gwiazdy. Trzymając w swoich rękach jej rękę, mówił jej o jasności złotych strzał, które powstają nad polami, w triumfie przeczystym. Jania słuchała, patrzyła w jego oczy, uśmiechała się swym przecudnym dziecinnym uśmiechem.

I chciał przed nią paść na kolana, tulić usta do jej rąk jak do kielicha lilij i wołać jak wtedy:

— Moja Janiu! moja!...

I przyzwyczaił ją do światła dnia dżdżystego tak nawet, że wychodziła z nim na balkon i stała długo, patrząc na fale przechodniów sunących pod jej stopami. Raz jeden jednak jakiś zbłąkany promień zaczął przebijać chmury. Jania wcisnęła głowę w dłonie i Władysław czemprędzej wprowadził ją w głąb mieszkania.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu do Wiednia. Jechano nocą. W przeddzień długo siedziała z Klickim przy oknie i patrzyli na gwiazdy. Nigdy serca ich nie były tak bliskie. Nieszczęścia przebyte otulały ich jakby skrzydłami. Oboje poszybowali myślami ku opuszczonej przez nich części kraju. Wrośli w nią potęgą przeżytego bólu i straszną wspólną tęsknotą. I choć nie mówili słowa, oboje czuli, że byli tam wśród płaszczyzn bezkresnych, z któ-

rych wygnano ich na resztę dni ich realnego życia.

Nie mówili także, iż są narzeczeni, i Klicki nie oświadczał się ponownie formalnie Horskiemu, ale wszyscy wiedzieli, iż złączą się pośmiertnym związkiem, który nie rozłączy ich więcej ze sobą.

Powolne ukojenie spływać zaczynało pomiędzy grupę tych ludzi, którzy w danej chwili rozbiegli się na wzór jesiennych liści przez wicher roztrąconych. I to, co każde w duszy swej taiło, na samem dnie, nie było przecież niedostępne dla drugiego. Przebyli wszyscy podobną tragedję, każde patrząc na nią przez pryzmat swego udoskonalenia duchowego. Kazio wykwitł potęgą. Klicki dążył za nim, Horski łamał się i pragnął być mimo wszystkiego niezłamanym.

Na Jani odbiły się wycia wichru i zbliżenie brutalności „rządowych systemów" jak na śniegowym kwiecie. Starły puch nieświadomości i topiły biel, choć zasób wrodzonego odczuwania życia był w niej może jeszcze dość silny, aby borykać się ciężko i usiłować ocalić jej istotę. Padała i dźwigała się znowu, a Kalwarja jej była cięższą, niż tamtych, bo weszła na nią nagle, nieprzygotowana i szczęścia pełna.

I gdy tak siedzieli naprzeciw siebie, oddychając wonią rozmodlonych ku gwiazdom kwiatów, trzymając się za ręce, ona poddająca się pod jego opiekę, on tę opiekę nad nią

roztaczający, zdawało się, iż los wreszcie ułagodzony dozwoli im żyć w tej martwej ciszy, graniczącej ze szczęściem tak, jak je ludzka dusza pojąć jest zdolna.

. . . . . .

Przybyli do Wiednia dość szczęśliwie. Ruch jednak i gwar kolejowy podniecił Janię, która z wypiekami na twarzy siedziała niespokojnie i co chwila oglądała się poza siebie. Horski drzemał, Klicki starał się rozerwać Janię i nie dopuścić, aby w niej zbudziły się jakiekolwiek wspomnienia.

Nagle Jania odezwała się.

— Jak ta Warszawa daleko!...

Klicki drgnął, lecz opanował się. Nie zaprzeczył, nie starał się wywieść Jani z błędu. Usiadł tylko przy niej i otoczył ją swem ramieniem. Powoli pochyliła się i zasnęła. Tak zastał ich świt ponury i dżdżysty. Pozapuszczane story przyćmiewały jeszcze światło. Klicki patrzył na uśpione na swem ramieniu dziewczę. Jej przezroczysta skóra nabierała tonów wosku. Wiły się pod nią błękitne smugi żyłek. Opuszczone rzęsy ciemniały zdaleka. Usta lekko rozchylone blade były i bezkrwiste.

— Biedna ty... biedna... — w myśli pieścił ją Klicki.

Gdy wreszcie dostali się do hotelu, przyćmili natychmiast pokój zajmowany przez Janię, przykazując, aby nikt okien nie odsłaniał.

Lecz Jania od chwili, gdy weszła do swego numeru, zaczęła okazywać niepokój, siadać przy ścianie i zaciskać ręce na piersiach. Klicki z trwogą śledził te dawno niewidziane objawy. Nie chciał trwożyć Horskiego, który, ogoliwszy się i ubrawszy, miał jechać pociągiem „Westbahnu" do Kaltenleutgeben, aby tam się w warunkach rozpatrzyć.

— Będziemy się wszyscy kurowali wodą... przyda się nam — mówił, uśmiechając się.

Był jakiś ożywiony i pełen dobrej myśli. Jania widocznie zmuszała się, aby zachowywać się normalnie. Wypiła szklankę mleka i położyła się. Po chwili jednak widział Klicki, że się zerwała i siadła na łóżku tak, jak to dawniej w Krakowie, a widocznie przedtem w więzieniu robiła.

Horski odjechał, ucałowawszy Klickiego.

— No... zostańże na straży, panie zięciu! — przemówił, po raz pierwszy nadając Klickiemu to miano.

Po jego odjeździe Klicki kilkakrotnie wchodził do pokoju Jani i zastawał ją siedzącą na łóżku. Łagodnie prosił ją i namawiał, ażeby usiłowała zasnąć. Nie odpowiedziała mu nic. Spojrzała na niego raz prawie błędnie. I zaraz schwyciła się za głowę.

— Boli panią głowa? — spytał Klicki.

— Nie, nie...

Zamknęła oczy. Klicki wyszedł i usiadł obok drzwi. W pokoju, który zajął z Horskim, wszystko leżało porozrzucane, odzienie, rę-

czniki, mydło, brzytwy, drobiazgi. Klicki, ażeby się czemś zająć, zaczął robić jakiś ład w odzieży. Nagle z pokoju, w którym była Jania, doleciał go znany mu jęk. Przeszył go dreszcz, szybko wbiegł tam.

Jania stała na środku pokoju. Przedewszystkiem uderzył go jej wzrok. Było w nim coś dzikiego.

— Chciałabym... — zaczęła zdławionym głosem — chciałabym wiedzieć...

— Co?... co?...

— Ale — wy mi nie odpowiecie. Wam nie wolno.

Widocznie brała go za kogo innego.

Nic nie zdoła opisać, jakiego strasznego uczucia doznał w tej chwili Klicki.

— Co Janiu? co chciałabyś wiedzieć?...

Patrzyła na niego zdumiona, wreszcie jakby bardzo dotknięta odeszła i usiadła tak jak dawniej, twarzą do ściany, z oczami wbitemi w mur.

Klicki do niej podszedł.

— Janiu! czy mnie nie poznajesz?... To ja, Władysław... Kocham cię, Janiu!...

Cichy jęk jakby harfy trąconej.

Pot wystąpił na czoło Władysława.

— Janiu... ojciec zaraz przyjedzie z Kaltenleutgeben...

Nagle, jakby przez zęby, jakby przemocą wydarte słów kilka:

— Przezemnie Kazia wywieźli na Sybir...

— Nie, nie. Kazio jest w Krakowie. Nie pamiętasz?

Milczenie.

— Czy chcesz, żebym po Kazia zatelegrafował?

Milczenie.

— Janiu!... ulituj się nad sobą! nad nami! nie zapadaj znów w tę ciemnię...

Jania chwilę pasuje się ze sobą, wreszcie usuwa się od niego, drżąc cała.

— Janiu!... spójrz na mnie, przyjdź do siebie!...

Jedno spojrzenie błędnych oczów i jeden ogromny straszny krzyk:

— Tagiejew!!!

Klicki porywa się i staje naprzeciw niej. Ogarnia go okropny lęk. Tagiejew jest tu, jest między nimi. Nic nie zdoła go wygnać, nic zażegnać. Jania, wciśnięta w róg pokoju, ze szczęką naprzód wysuniętą szaleje z trwogi.

— Tagiejew!...

Klicki nie próbuje jej uspokajać. Wie, że nosząc w jej wyobraźni w tej chwili maskę Tagiejewa, każdem zbliżeniem doprowadzać ją będzie do większego szału. Rzuca się do dzwonka. Chce posłać po lekarzy, chce wysłać telegram do Kaltenleutgeben dla Horskiego. Może ojciec zdoła ją uspokoić. On czuje, że jest bezsilny. Nikt nie przychodzi. Wybiega wreszcie na kurytarz. Zupełna pustka.

Zbiega szybko ze schodów. Mieszkają na trzeciem piętrze. W loży swej portjer drzemie. Zbudzony wyraża zdziwienie, że nikt ze służby się nie zjawił. Klicki tłumaczy, iż potrzeba na gwałt lekarza, poczem wraca na górę. Widzi z drzwi numeru Horskiego wypadającą pokojówkę. Dziewczyna krzyczy przeraźliwie. Ten krzyk wypełnia cały hotel. Klicki pędzi na górę. Drzwi do numeru otwarte. Pokojówka zanosi się z krzyku, wołając:

— „*Gnädiges Fraülein! Gnädiges Fraülein!...*"

Klicki wpada do pokoju. We drzwiach na ukos leży Jania. Z gardła jej broczy silna purpurowa struga. To samo i z ramion i rąk. Opodal połyskuje porzucona i zakrwawiona brzytwa, którą Jania musiała schwycić ze stołu. Klicki przypada do omdlałej i chwyta ją w objęcia, mimowolnym ruchem grozy puszcza ją napowrót. Jania przecięła sobie szyję, szeroką, straszną raną. Początkowo chciała sobie otworzyć żyły u rąk, lecz słysząc nadchodzących, pociągnęła brzytwą po gardle.

Krew jej gorąca zbroczyła Klickiego. Do drzwi cisną się ludzie, wpadają sąsiedzi, służba. Powstaje gwałt, krzyk. Każdy boi się zbliżyć do rannej, tak straszną jest w swej krwawej powodzi. Oczy ma zamknięte, usta rozwarte, włosy jasną kaskadą czerwienieją coraz więcej, tworząc dokoła głowy krwawą aureolę.

Klicki słyszy gwar, nie rozumie słów, zapytań, nie widzi nic, nic, tylko tę jedną straszną ranę rozwartą, ziejącą krwią ranę, przez którą uchodzi jej życie, jego życie i ostatnia nadzieja choćby chwili szczęścia. *)

Nagle przedziera się przez szyby promyk słońca i ten już bezkarnie pieści i całuje czoło trupa!

Jani — trupa!...

*) Fakt autentyczny. Kobieta, więziona przez pewien czas w cytadeli, tak silnie została przerażona swemi przejściami, że w rok później, w Wiedniu sądząc, że jest znów uwięzioną, poderżnęła sobie gardło. Działo się to lat temu sześć.

XX

I ZNÓW W MIASTECZKU. TAGIEJEW ZNIKŁ, LECZ ZJAWIA SIĘ NOWY. ER KIMT! PRZYJECHAŁ! I DOKĄD?

Równocześnie w miasteczku, gdzie do niedawna jeszcze Tagiejew bezpodzielnie terror swój uprawiał, coś się zagotowało.

Przed przyjściem pociągu wyległy gromady ludzi na rynek. Mrowią się, chodzą, szepcą.

Przeważnie są to żydzi, żydówki. Gdzie niegdzie widać porządną odzież. Ze sklepów czasem wyjrzy mały chłopak i, zaraz odwołany, kryje się.

Na rynku tak jak zawsze błoto, pomimo że lato od pól wieje rozkwitającem żytem. Czarno tu, ciemno, biedno. Duch Tagiejewa bezpodzielnie panuje jeszcze dokoła. Jak zwierz potworny, olbrzymi opadł ciężkiemi łapami i gniecie mocą nawyknienia. Od wału nie płynie jęk ani krzyk grozy, ale przecież nie wie-

rzy nikt, ażeby to było stałe uspokojenie i ażeby mógł każdy swobodnie i wolno odetchnąć.

Josełe Pinkas w odświętnym chałacie przebiega ulice.

— *Er kimt!* — mówi, mrugając oczami.

Udało mu się już wykręcić z kozy. Odsiedział swoje trzy miesiące i parę dni temu go wypuszczono.

— *Er kimt!* — powtarza, wyziewając ze siebie całe kłęby smrodliwego powietrza.

Siemipudow strojny w nowy mundur trzyma straż na rynku i sennemi oczami wodzi dokoła. Nad dawnym sklepem Horskiego wicher od czasu do czasu łopocze szyldem, który mimo wszystko się trzyma. Sklep sam, zamknięty, robi wrażenie ubogiej katakumby.

W innych sklepach handel wlecze się powoli. Znać wielkie ubóstwo i przygniecenie ekonomiczne. Miasteczko zdaje się dyszeć ciężko, z całym krajem.

Gdzieniegdzie wlecze się mały chłopak w mundurku. Są to wakacje i to, co się nazywa szeroki rozmach młodości, tu nie istnieje. Dzieci przytłoczone przybierają ogólny ton, ogólną linję całego społeczeństwa.

Dojrzały — nie będąc młodemi.

— *Er kimt!...* — słychać tu i tam.

Na rogu Frumele Lajnbram, ubrana w porządną suknię, stoi, mrużąc oczy. Ma minę istoty, będącej bardzo spokojną i stojącej na niewzruszonej podstawie. Opodal kilku obdartusów drwiąco pogwizduje. Jakieś dziecko

podrzuca kamienie, jakiś pies wiejski mknie co tchu i przepada w przecznicy.

Nagle od kolei jedzie szybko dorożka jedna, za nią druga. Stare żelaziwo turkocze wściekle po bruku. Hałas napełnia rynek.

Josełe biegnie naprzeciw, rozwiewając chałat.

— *Er kimt!*

. . . . . .

Jedzie nowy policmajster!

Skąd go translokowano? Mniejsza. Jedzie z głębi Rosji nie „*korenny*“ moskal, ale taki z tych na wpół moskali, a na wpół internacjonałów, którzy żadnych urodzonych nawet fanatyzmów nie mają.

Jedzie w narzuconym na rozpaszkę szynelu i bystro patrzy po mieście. Twarz ma chudą, ciało także mało spasłe. Ale on już wie, już czuje, że się odżywi. W tych wszystkich cichych, jakby przerażonych sklepach, płyną dlań odżywcze soki.

Nietylko dla niego, ale i dla jego gromadki, która drugą dorożką za nim się wlecze. Siedzi tam żona blondynka o bombiastem czole i „niania“ i troje małych dzieci. Wszystko to patrzy i pyseczki wyciąga. Głodne, źle odziane, przygnane z głębi Rosji „na awans“ za jakąś zasługę ojca.

Pan policmajster jedzie i ruchem skromnym ręce na kolanach złożył.

Przy sobie je trzyma... jeszcze.

Po rogach gromadki dawnych rozbójników, którzy prym w mieście dzierżyli, oglądają go okiem znawców. Milczą i wrażenie swoje powoli po szynkach i lupanarach żuć będą.

Frumele Lajnbram jest spokojna. Jednym rzutem oka objęła sytuację. Policmajstrowa żółta, skrzywiona, chora, on suchy, nerwowy.

Frumele określiła go po swoim fachu, „dziwkarz".

Mąż jej będzie miał pociechę, będzie grał na nim do woli.

Policmajster przejeżdża przez rynek i kieruje się do dawnego legowiska Tagiejewa. Jakaś groza powlokła się za tym chrzęstem dorożki, już coś nowego, a przecież znanego wsunęło się do miasteczka, które przypadło do ziemi i strachem dyszy.

Ze sklepu bławatnego wyjrzał na chwilę właściciel, rosły blondyn, i patrzył smutno w stronę oddalających się dorożek.

Jakiś przechodzień, także kupiec miasteczka, zatrzymał się przed sklepem.

— Widziałeś?... przyjechał.

— Widziałem!...

— Co też ten dla nas chowa?

Gorzki uśmiech przebiegł po twarzy blondyna.

— Czego ty się spodziewasz? — wyrzekł — czego?...

— No... kto wie...
— Ja wiem. Przyjechał... nowy Tagiejew!

. . . . . .

Rozwiało się to słowo skrzydłami nietoperza i rozsnuło po rynku, ponad wałem, po miasteczku.

I zdawał się wzrastać krzyk ten straszny, który nie budził potrzeby pomocy i przed którym kryli się wszyscy w głębinę swych jam.

— Tagiejew!... Tagiejew!...

Przebiegły pędem jakieś skrwawione mary skopane i zbite postacie chłopskie, żydzi w porozdzieranych chałatach. Przewiała blada postać wędrownej śpiewaczki, obdarta z szat z powydzieranemi włosami, i Józia drżąca przed grozą ostatecznej hańby, i tyle innych postaci startych w proch, zdręczonych, wyssanych moralnie i materjalnie do szczętu.

Rozwiała się żałobną wstęgą cała tragedja małego kąta ziemi, na którą kolejno spadały głodne pasożyty z paszczą rozwartą, z wyciągniętemi rękami jakby ramiona hydry nigdy nienasyconej.

I tragedja ta ciągnąć się miała dalej, dalej po szarości bezkresnych równin, po których stąpają ciężko w szynele odziani sałdaci i kozacy swoje małe konie poją...

— I dokąd?... dokąd?...

KONIEC





LEKTOR

INSTYTUT LITERACKI

SPÓŁKA Z OGR. ODP.

WARSZAWA, — SIENKIEWICZA 5

TELEFON 253-99

LWÓW, MIKOŁAJA 23 (DOM WŁASNY)

„ BATOREGO 12 (KSIĘGARNIA NAUCZYCIELSKA)

KRAKÓW — RYNEK GŁÓWNY 22

LUBLIN — ULICA SZOPENA 5

POZNAŃ — ULICA RYCERSKA 33

CZERNIOWCE — ULICA GREGORA 3

Wydawnictwa własne beletrystyczne i naukowe. Księgarnie i Antykwarnie, Największe w Polsce wypożyczalnie książek z bogatym księgozbiorem ponad 200000 tomów. Ostatnie nowości w dziale Polskim, Francuskim, Angielskim i Niemieckim. Reprezentacje wydawnictw Krajowych i Zagranicznych. :-: :-: :-: :-:

215804/10769 45

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
78716
LP



ZAKŁADY GRAFICZNE
we WŁOCŁAWKU
H. NEUMANA